

MARIO GIORDANO

*Ciotka
Poldi*

I SYCYLIJSKIE
LWY



MARIO GIORDANO

*Ciotka
Poldi*
I SYCYLIJSKIE
LWY

Przełożyła
Agnieszka Hofmann



Kraków 2017

Copyright © 2015 by Bastei Lübbe AG, Köln
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by
WYDAWNICTWO INITIUM
Wszelkie prawa zastrzeżone

Tłumaczenie z języka niemieckiego: AGNIESZKA HOFMANN

Redakcja i korekta: ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Korekta: NATALIA MUSIAŁ

Ilustracja okładkowa: MARTINA FRANK

Projekt okładki: FAVORITBUERO GbR

Lena Kleiner & Bettina Mayer

Projekt i wykonanie mapy: Einsdreiundsechzig.com

DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

Wydanie I

ISBN 978-83-62577-57-6



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: studio@initium.pl

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Mapa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Podziękowania

Przypisy



Rozdział 1



OPOWIADA O TYM, JAK I DLACZEGO POLDI PRZYBYWA NA SYCYLIĘ I CO SĄDZĄ O TYM JEJ SZWAGIERKI. O TYM, ŻE BEZ PERUKI I BUTELKI BRANDY ANI RUSZ. O TYM, JAK POLDI ZAPRASZA NA PIECZEŃ WIEPRZOWĄ, SKŁADA SIOSTRZEŃCOWI PROPOZYCJĘ NIE DO ODRZUCENIA I POZNAJE SĄSIADÓW PRZY VIA BARONESSA. I O TYM, JAK WKRÓTCE POTEM JEDEN Z NICH, NIESTETY, ZNIKA.

Moja ciotka Poldi w dniu swoich sześćdziesiątych urodzin wyprowadziła się na Sycylię, by tam elegancko zapić się na śmierć, spoglądając przy tym na morze. A w każdym razie właśnie tego wszyscy się obawialiśmy. Niepotrzebnie, bo jak się okazało, ciotce i tak coś wiecznie stawało na przeszkodzie. Sycylia jest skomplikowana – tu nawet umrzeć nie można tak po prostu, ciągle coś wchodzi człowiekowi w paradę. A potem wydarzenia zaczynają następować po sobie lawinowo, ktoś zostaje zamordowany, nikt nic nie widział, o niczym nie wie. Więc jasna sprawa, że ciotka Poldi, uparta i bardzo bawarska, musiała wziąć sprawy w swoje ręce i zaprowadzić porządek. I od tego zaczęły się problemy.

Moja ciotka Poldi. Była olśniewającym zjawiskiem, uwielbiała dramatyczne występy. W ostatnich latach przybrała nieco na wadze, a alkohol i melancholia, trzeba przyznać, pozostawiły na jej twarzy pewne ślady, mimo to nadal była atrakcyjną kobietą, umysłowo w szczytowej formie, w każdym razie na ogół. Nie mówiąc o modzie. Kiedy ukazał się album *Music* Madonny, ona pierwsza na Westermühlstraße zaczęła nosić biały kowbojski kapelusz. W jednym ze swych pierwszych wspomnień widzę ją z wujkiem Peppe, jak stoi na tarasie moich rodziców, cała w jaskrawych oranżach, z piwem w jednej i papierosem w drugiej ręce, a cały świat drży w posadach od

śmiechu, wstrząsającego całym jej ciałem, niezmordowanymi zrywami. Przerwy robiła tylko na świńskie kawały, przeplatane przekleństwami, które, powtarzane następnego dnia na szkolnym dziedzińcu, czyniły ze mnie gwiazdę.

Isolde i Giuseppe poznali się w Monachium, w telewizji, gdzie Poldi pracowała jako kostiumolożka, a wujek Peppe jako krawiec, który to zawód, z braku innych talentów oraz wizji, przejął po swoim ojcu, a moim dziadku, tyranie i hipochondryku, któremu również brakowało talentu i wizji w przeciwieństwie do jego ojca, czyli mojego pradziadka, Barnaby. Barnaba w latach dwudziestych bez znajomości choćby jednego słowa po niemiecku wyemigrował do Monachium, by zbić majątek na lukratywnej hurtowni owoców południowych. Ale zbaczam z tematu.

Poldi i Peppego połączyła wielka miłość. Niestety, parę rzeczy poszło kompletnie nie tak. Dwa poronienia, alkohol, kobiety w życiu wujka, rozwód, choroba wujka, jego śmierć, tamta historia z posiadłością w Tanzanii i parę innych niewesołych zakrętów, uskoków i błotnych lawin w życiu ciotki – wszystko to sprawiło, że popadła w melancholię. A mimo to nadal często się śmiała, kochała, ostro tankowała i po prostu nie potrafiła odpuścić, kiedy coś szło nie po jej myśli. Czyli w gruncie rzeczy zawsze.

Poldi kochała swój zawód. Ale w ostatnich latach coraz częściej traciła zlecenia na korzyść młodszych koleżanek. Telewizji wiodło się gorzej, nastaly ciężkie czasy, a Poldi miała coraz mniejszą radość z pracy. Pech chciał, że tamta nieszczęsna sprawa z Tanzanią pozbawiła ją niemal całych oszczędności. A potem jedno po drugim zmarli jej rodzice, zostawiając jej w spadku mały domek na obrzeżach Augsburga. A ponieważ Poldi nienawidziła tego domu i wszystkiego, co było z nim związane – niewiele myśląc, postanowiła wyskrobać ostatnie pieniądze i spełnić swoje ostatnie życzenie: umrzeć, patrząc na morze. W gronie rodziny.

Oczywiście rodzina domyślała się, że Poldi, przy swej skłonności do melancholii, zamierza dopomóc temu umieraniu paroma kieliszeczkami, i uznała, że należy temu przeciwdziałać wszelkimi sposobami i na wszystkich frontach. Mówiąc „rodzina”, mam na myśli głównie moje trzy ciotki: Teresę, Caterinę i Luisę, oraz wujka Martino, męża Teresy. Ciotka Teresa, która nami rządziła, próbowała przekonać Poldi, żeby sprowadziła się do nich, do Katanii, już choćby ze względu na kontrolę społecznościową.

– Poldi, co będziesz siedziała taka samiutka? – lamentowała w swoim najlepszym monachijskim dialekcie. – Osiądź gdzieś niedaleko nas, będziesz

miała do kogo gębę otworzyć, z kim w karty zagrać, wszystko sobie załatwisz na piechotę, teatr, kina, supermarket i szpital praktycznie miałabyś za rogiem, nawet paru przystojnych policjantów by się u nas znalazło.

Zero szans. Widok na morze – takie było wewnętrzne postanowienie Poldi – i widok ten, wraz z zapierającą dech w piersiach panoramą z tarasu na dachu, dostała. Na wprost morze, a za plecami, wystarczyło się odwrócić, Etna. Czego chcieć więcej? Głupio tylko, że Poldi, z tym swoim chorym kolanem, ledwie pokonywała schody na dach.

Torre Archirafi jest miłą, zaspaną dziurą na wschodnim wybrzeżu Sycylii, położoną między Katanią a Taorminą, która ze względu na ciągnące się kilometrami nabrzeże pełne ostrych skał z zastygłej lawy praktycznie nie nadaje się do jakiegokolwiek turystycznej eksploatacji, gentryfikacji czy oszpecenia. Tak mogłoby się przynajmniej wydawać. W istocie fakt ten nie powstrzymuje mieszkańców od pozbywania się swoich śmieci na brzegu morza, wzajemnego utrudniania sobie życia oraz latem wbijania klockowatych drewnianych platform i bud z jedzeniem między skały, gdzie całe rodziny oraz młodzi ludzie z Katanii spędzają weekendy na kąpielach słonecznych, jedzeniu, czytaniu gazet, sprzeczkach, jedzeniu, słuchaniu radia, jedzeniu i flirtowaniu, a wszystko to przy ogłuszających dźwiękach niezidentyfikowanych basów oraz odurzającym zapachu olejku kokosowego, oleju do smażenia i fatalizmu. I pośrodku tego wszystkiego – moja ciotka Poldi. Nigdy nie pojąłem czemu, ale uwielbiała to.

Za to zimy w Torre były wilgotne i chłodne. Ołowiane i twarde fale piekły się na wysuniętych w morze łamaczach, jakby chciały zagarnąć całe miasteczko, i każdym swoim słonym oddechem malowały na sufitach kolejne kwiaty czarnej pleśni. Klimatyzacja i dychawiczne kaloryfery nie miały najmniejszych szans. Już pierwszej wiosny po wprowadzeniu się na Via Baronessa, zaraz w kwietniu, ciotka Poldi musiała odmalować cały dom. I tak co roku na nowo. Zimy w Torre to nie igraszka, ale przynajmniej trwają krótko.

Po zakupy jeździło się do pobliskiego Riposto albo najlepiej od razu do Megamercato Hipersimply, gdzie można dostać wszystko. W samym Torre były jeszcze tylko małe *tabacchi* z artykułami pierwszej potrzeby, prowadzone przez signora Bussaccę, *pasticceria* Cocuzza ze smutną signorą i *ristorante*, którą nawet koty omijały szerokim łukiem. Ale Torre Archirafi ma źródła wody mineralnej i choć rozlewnia w porcie została zamknięta już w latach

siedemdziesiątych, dla moich ciotek pojęcie *acqua di Torre* wciąż wiele znaczyło. Z bocznej ściany starej rozlewni nadal wystawały rządkiem mosiężne krany, z których mieszkańcy Torre za darmo mogli pobierać wodę mineralną.

– I jak smakuje? – zapytałem uprzejmie, kiedy Poldi po raz pierwszy w zachwytach opowiedziała mi o publicznej stacji napełniania wody, jakby to była fontanna z płynną czekoladą.

– Oczywiście obrzydliwie! A co myślałeś? Ale chodzi o lokalny patriotyzm.

Wujek Martino, który z zawodu był sprzedawcą skarbców i kas pancernych dla banków, co było zajęciem dość lukratywnym, i który Sycylię zna jak mało kto, bite cztery tygodnie woził Poldi wzdłuż i w poprzek wyspy między Syrakuzami a Taorminą, w poszukiwaniu odpowiedniego domu. Ciotki zdołały przynajmniej przekonać Poldi, by zawęziła poszukiwania do rejonu w promieniu maksymalnie godziny jazdy samochodem z Katanii. Żaden dom nie spełniał jednak oczekiwań Poldi, w każdym znajdowała coś, do czego mogła się przyczepić, skrytykować albo wydrwić. A przy tym kierowała się w gruncie rzeczy tylko jednym, za to dość ezoterycznym kryterium.

– Wiesz – szepnęła mi – to całkiem proste, ja to czuję od razu. Są dobre miejsca o dobrych wibracjach i złe miejsca o złych wibracjach. Pośrodku, musisz wiedzieć, nie ma nic, to jest w pewnym sensie cyfrowe, jak struktura binarna szczęścia.

– Jak co???

– Oj, nie przerywaj mi ciągle. Ja od razu czuję, czy miejsce jest dobre czy złe. To może być miasto, dom, mieszkanie, wszystko jedno. Czuję to od razu. Energię. Karmę. Czy lód wytrzyma, rozumiesz? To się czuje.

Niestety, nie poczuła tego w przypadku żadnego domu, który wyszukały dla niej ciotki. Lód nie wytrzymał, co powoli zaczynało dawać się we znaki nawet wujkowi Martino, który generalnie z każdą godziną spędzoną za kółkiem robił się coraz bardziej rześki, nie uznawał klimatyzacji, nawet w sierpniu z zasady nie pijał wody, ani łyeczka, za to palił mniej więcej tyle, ile oddychał.

Pamiętam wakacyjne wycieczki z wujkiem Martino, kiedy z powodu pierwszego poparzenia słonecznego musiałem zrobić sobie przerwę od plaży. Wycieczki! Dwunastogodzinne przeprawy przez piekło Dantego w powietrzu przypominającym płynne szkło, bez wody i ochłody, w kompletnie

zadymionym fiacie regata. Kiedy opuszczałem boczną szybę, *sirocco* przypiekał mi twarz żywym ogniem i tarł jak papierem ściernym. Wołałem już oddychać dymem papierosowym. Wujek Martino gadał do mnie bezprzerwy. Nawijał o historii Sycylii, o pochodzeniu najlepszych pistacji, o lordzie Nelsonie i siostrach Bronté, o życiu w średniowieczu, o królu Sycylii Fryderyku II, rynku Vucceria w Palermo, wędrówkach tuńczyka i trzebieniu łowisk przez japońskie trawlerzy, a także o mozaikach z katedry w Monreale. Komentował transmisje Radia Radicale z włoskiego parlamentu. Perorował o cyklopach, Grekach, Normanach, Arabach, generale Pattonie, Luckym Luciano i żółtych jedwabnych apaszkach. O jedynym możliwym sposobie przyrządzenia *granity*. O aniołach, demonach, Trinacrii, prawdzie o Kafce i komunizmie oraz o zależnościach wzrostu i skłonności kryminogennych w obrębie męskiej populacji Sycylii. Żelazna zasada mówiła: im mniejszy mężczyzna, tym bardziej niebezpieczny, i większe prawdopodobieństwo, że jest mafiosem. Wujkowi bynajmniej nie przeszkadzało, że ledwie go rozumiałem. Mój włoski był szczątkowy. Poza paroma przydatnymi przekleństwami i słówkami *che schifo*, *allucinante*, *birra*, *con panna*, *boh*, *beh* i *mah* – zestaw podrzędny słownictwa młodzieżowego na plażę – praktycznie nie istniał. Wujek Martino zupełnie się tym nie przejmował, nawet kiedy w końcu zabrakło mi sił nawet na to, by dać jakikolwiek znak życia. Po prostu jechał dalej, paląc, trajkocząc, z każdą godziną młodszy i bardziej rześki, jak jakiś sycylijski Dorian Gray. W przerwach, w tych rzadkich momentach, w których milkł na krótko, by zapalić kolejnego MS, wypowiadał imię swej żony:

– Teresa.

Tak po prostu, zniecka, jakby była gdzieś w pobliżu, w bagażniku albo pod tylnym siedzeniem, a on musiał powiedzieć jej coś ważnego.

– Teresa!

Na tę osobliwą formę miłosnego zaklęcia nie należało odpowiadać, ciotka Teresa zaś zapewniła mnie kiedyś, że słyszy go za każdym razem, gdy wujek ją przywołuje, obojętnie, jak jest daleko.

Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się pod prowincjonalnym bankiem w jakiejś wypalanej słońcem dziurze, gdzie ja wreszcie dostawałem colę, a wujek Martino wypijał *caffé* z dyrektorem banku, zawierał transakcję albo przykładał rękę do zablokowanych drzwi skarbcza, na co te otwierały się w cudowny sposób. Wujek w ogóle znał parę sztuczek, do których zaliczało

się między innymi zbieranie grzybów. A przy okazji pokazywał mi okultystyczne freski świątynne w ośmiokątnych romańskich kościółkach, chłodne, tajemne korytarze w arabsko-normańskich zamkach i nieprzyzwoite sztukaterie w barokowych pałacach. Ot, co akurat odkrył podczas swych wояży po Sycylii.

Nikt nie znał Sycylii lepiej niż mój wujek Martino, ale znalezienie odpowiedniego domu dla Poldi stanowiło wyzwanie nawet dla jego tubylczego doświadczenia i znajomości terenu, ba – dla całej jego życiowej mądrości.

– Przez pierwsze dni moja taktyka polegała na tym, żeby skruszyć Poldi – wyznał – zmiękczyć ją, żeby rychło zdecydowała się na jakiś dom w pobliżu. Upał, jazda samochodem, frustracja: idealna taktyka w wojnie pozycyjnej. Ale twoja ciotka jest po prostu niezniszczalna, nie do pokonania. Jak czołg. Jęczy i złorzeczy, pot cieknie jej spod peruki jak z nieszczelnej beczki, ale nie popuszcza. Twarda z niej sztuka. Madonna, próbowałem wszystkiego.

– I jak w końcu znaleźliście ten dom?

– Przez przypadek.

Milczał i palił, palił i milczał. A ja czekałem. To też był rodzaj wojny pozycyjnej. U wujka taktyka ta sprawdzała się zawsze, bo on z natury chce gadać, nie potrafi inaczej, jak nieustannie nadawać.

– Psiamać! No dobra, słuchaj. To był ostatni dzień, popołudnie, odbębniliśmy pięć domów, ja na skraju rozpaczy, nie wiem, co robić, potrzebuję *caffè*. Więc zjeżdżam najbliższym zjazdem z *provinciale*.

– Na Torre Archirafi.

– Mówię, przypadek. Nawet nie mieliśmy tam żadnego domu na oku. Zatrzymaliśmy się dosłownie tylko na *caffè* w tym małym barze, wiesz, tym ze smutną signorą przy kasie. Wszczynam pogawędkę z jakimś jegomościem, rozmawiamy o tym, o owym. A Poldi? Już zaczyna się wiercić, już gdzieś ją niesie. Ale ja nie zamierzam dać się poganiać, potrzebuję chwili oddechu, zamawiam jeszcze jedną *caffè* i gawędzę sobie z tym miłym panem. Poldi nie wytrzymuje, wypada z baru i... znika.

– Znika? Poldi? Jak to znika?

– Madonna, w znaczeniu przenośnym, oczywiście! Po prostu nie wraca. Po jakimś czasie zaczynam się denerwować i idę jej szukać.

Zgasił papierosa, wytrząsnął z paczki kolejnego, zapalił.

– Ale jej nie znajdujesz – próbuję nakierować go z powrotem na właściwe

tory.

– Jakby zapadła się pod ziemię. Zagaduję księdza, który właśnie nadchodzi z naprzeciwka, opisuję mu Poldi. A jego świątobliwość, cały w zachwytach, już wie, o kogo chodzi. Ach, miła signora Poldina z Monaco di Baviera! Moje nazwisko oczywiście też już zna, całe drzewo genealogiczne, wie, że szukamy domu, i pokazuje mi stary dom pośrodku uliczki, przy której stoimy. I co ja widzę? Ruina, mówię ci, rozwalająca się ruina, tylko koty, jaszczurki, janowiec i duchy. Wchodzę do środka i widzę, jak zaaferowana Poldi biega między ścianami z lawy wulkanicznej, mierzy krokami pomieszczenia, potupuje, jakby sprawdzała grunt. Na mój widok woła: „Łód wytrzyma! To jest to! To dobre miejsce! Widziałeś, jak się nazywa ta ulica? Dobre wibracje, czysta pozytywna energia!”. Jej słowa. „To jest mój dom!”, wykrzykuje. Wszelki opór zbyteczny, znasz ją przecież.

– A ten dom był w ogóle do kupienia?

– Żartujesz? Nie słyszałeś, co mówiłem? – Wujek złożył ręce jak do modlitwy i potrząsnął nimi z ożywieniem. – Ru-i-na! Oczywiście do ściany była gdzieś przyklejona przedpotopowa kartka z napisem „Na sprzedaż” i numerem telefonu. Właściciel nie mógł uwierzyć w swe szczęście, kiedy Poldi do niego zadzwoniła. Resztę znasz. Jak by mnie kto pytał, to przepłaciła, za takie pieniądze mogłaby ci zrobić na piętorku porządną łazienkę.

Nie wiem, czy ciotka Poldi przepłaciła za dom przy Via Baronessa, i jest mi to obojętne. Wspaniałomyślnych ludzi nie da się oszukać, a Poldi jest najbardziej wspaniałomyślną osobą, jaką znam. Nigdy w życiu nie pozwoliła sobie czegoś podarować, nigdy nie domagała się, by coś sprzedano jej taniej. Każdemu, kto jej pomagał, dobrze płaciła, rzemieślnikom, *spazzino* i Valentino, a w restauracji zawsze dawała sute napiwki. Nie żeby szastała pieniędzmi na prawo i lewo, nie miała ich przecież zbyt wiele, ale mamona nigdy nie była dla niej ważna.

Faktem jest, że kupując dom, Poldi trafiła w dziesiątkę, co potwierdził mój kuzyn Ciro, który jest architektem i na takich sprawach się zna. Odpowiadając życzeniom i skromnym zasobom finansowym Poldi, w ciągu kolejnego roku odrestaurował dom przy Via Baronessa i wyposażył go tak, jak chciała. Istotnie był to piękny, proporcjonalny dom. Położony w drugiej linii od morza, nie za mały, nie za duży, trzypiętrowy, z barokowym balkonem, niewielkim *cortile* i wspomnianym już tarasie na dachu, z którego roztaczał się spektakularny widok na morze i wulkan. Wciśnięty w cienistą uliczkę na tyłach

nabrzeżnej promenady, jaśniał odcieniami lila i słonecznej żółci, z zielonymi okiennicami i kanciastą mosiężną tabliczką, która z daleka obwieszczała, kto mieszka przy Via Baronessa 29: Isolde Oberreiter. Moja ciotka Poldi. A na poddaszu co parę tygodni także jej siostrzeniec z Niemiec. Jakoś od samego początku stanowiłem część inwentarza, na równi z afrykańskimi bożkami z hebanu i porcelanowym pudłem naturalnej wielkości.

Kiedy rok później dom był gotowy do zamieszkania, a monachijskie mieszkanie – pomijając duchy wspomnień – puste, wóz meblowy wyruszył w stronę Alp, Apeninów i Etny. Stare alfa romeo Poldi, wyładowane bagażami i zatankowane do pełna, czekało na Westermühlstraße na swoją ostatnią wielką podróż. No i na mnie. Bowiem ze względu na paniczny lęk Poldi przed lataniem oraz na to, że tak długa jazda samochodem w pojedynkę i na trzeźwo w jej przypadku nie wchodziła w grę, ciotki zmusiły mnie, abym to ja zawiózł Poldi z Monachium do Torre Archirafi.

– Przecież sam decydujesz o swoim czasie i jesteś niezwiązany – wyjaśniła mi przez telefon ciotka Caterina, głos rozsądku w naszej rodzinie. – A pisać równie dobrze możesz u nas, może nawet tu będzie ci lepiej.

Co miało znaczyć: i tak jesteś bezrobotny, uchylasz się od pracy, nawet dziewczyny nie masz, chociaż mężczyźni w twoim wieku już dawno mają pozakładane rodziny, więc równie dobrze możesz się objąć u nas, może będzie z tego coś dobrego.

I ostatecznie tak się stało.

Między Monachium a Torre Archirafi czekała mnie jednak jeszcze trzydziestoczterogodzinna jazda alfą z lat o osiemdziesiątych, wyposażoną w silnik o zbyt dużej mocy i pałąki przeciwkapotażowe, której Poldi za cholerę nie chciała wymienić na bardziej praktyczną pandę i którą i tak jeździła zbyt rzadko, jako że do prowadzenia auta trzeba przecież być trzeźwym.

– Moglibyśmy pojechać do Genui, a potem przytulnie załadować się na prom do Palermo – zaproponowałem nieśmiało, ale Poldi tylko popatrzyła na mnie z politowaniem. Mój błąd. Powinienem był wiedzieć. Jeśli istniało jakieś słowo, którym gardziła z całego serca, to „przytulnie”.

– No wiesz, skoro to cię przerasta...

– Nie, w porządku – wydusiłem i potoczyliśmy się przed siebie. Nigdy nie przekraczając setki, przepełziliśmy przez przełęcz Brenner, spłynęliśmy pomalutku w dół buta, w ślimaczym tempie minęliśmy Mediolan, Florencję,

Rzym i Neapol, cały czas autostradą aż do Reggio di Calabria, o świcie na promie między Scyllą a Charybdą pochłonęliśmy pierwsze *arancini di riso*, w Mesynie zgubiliśmy drogę i właśnie tam Poldi uparła się, że ostatni odcinek do Torre pojedzie sama. Docisnęła gaz do dechy i astmatyczny silnik alfy zawył. Kiedy przybyliśmy do Torre, ucałowałem ziemię i podziękowałem Matce Bożej za ratunek i ponowne narodziny.

– Wszystkiego najlepszego – wystękałem. Był to bowiem dzień, w którym moja ciotka Poldi skończyła sześćdziesiąt lat.

Wujek Martino i ciotki co parę dni wpadali do Torre, by doglądać Poldi. Ciotki miały bowiem swój własny projekt: utrzymać Poldi przy życiu tak długo, jak to możliwe, a przynajmniej pobudzić w niej choć minimalny apetyt na życie. Dla Sycylijczyków radość z życia opiera się na dwóch filarach: na dobrym jedzeniu i rozmowach – a właściwie sporach – o dobrym jedzeniu. Wujek Martino na przykład codziennie odwiedzał swoją świątynię, czyli targ rybny w Katanii. Tak naprawdę nie było to wesołe miejsce, tylko coś w rodzaju giełdy, gdzie spięci mężczyźni, w najwyższym stopniu skupieni, krążyli wokół straganów z rybami, sprawdzając jakość oferty oraz ceny, licząc na część brzuszna tuńczyka albo na to, że któryś z rybaków przybędzie trochę później z miecznikiem, kiedy już wszyscy zaopatrzą się w ryby i będzie można kupić go po niższej cenie, i to świeższego niż u kogokolwiek innego. Cała ta procedura to nie igraszka i trwa parę godzin. Wujek z ciotką Teresą chadzał też na grzyby pod Etnę. Po chleb jeździł za Etnę, a po jajka do pewnego warsztatu samochodowego koło Lentini, gdzie zmutowane kury składały jaja z dwoma żółtkami. *Granitę* jadło się tylko u Ciprianiego w Acireale, *cannoli alla crema di ricotta* tylko u Savii przy Via Etnea w Katanii. Kiedy raz pochwaliłem *pasticcerię* Russo w Santa Venerina za marcepan, wujek tylko warknął z pogardą – i od razu pojechał tam ze mną, by na miejscu zbadać sprawę, a potem z uznaniem wyrazić się o mojej inteligencji. Czereśnie musiały być z S. Alfio, pistacje z Bronte, a ziemniaki z Giarre, dziki koper włoski z pewnego skrywanego w tajemnicy starego pola na pokładach lawy, gdzie przy odrobinie szczęścia można było znaleźć też wielkie jak talerze boczniaki, o ile Terranova nie splądrowali go wcześniej. *Arancini di riso* jadało się tylko u Urny w San Giovanni la Punta, zaś pizzę w Il Tocco za zjazdem z *provinciale*, zaraz za stacją Esso. Smaczne mandarynki to tylko te z Syrakuz, a figi wyłącznie od ulicznego handlarza w San Gregorio,

skądkolwiek pochodziły. Jeśli w ogóle jadło się rybę poza domem, to jedynie u Don Carmelo w Santa Maria la Scala. Tam również podawali najlepszą *pasta al nero di seppia*. Życie było skomplikowane, kraj dławiony kryzysem i korupcją, mężczyźni wciąż do czterdziestki albo do ślubu mieszkali u rodziców, bo nie mogli znaleźć pracy – ale w sprawach kulinarnych nigdy nie szło się na kompromis. I to właśnie podobało się Poldi w Sycylii, jako osobie ciekawej świata i rozkochanej w rozkoszach zmysłów. Jej zdaniem wujek nie znał się tylko na winie, bowiem i on, i ciotki pili je niechętnie. W ogóle na Sycylii mało się pije, najwyżej łyczek do kolacji, to wszystko. Początkowo stanowiło to pewien problem dla Poldi, do momentu, gdy odkryła dział win w Hipersimplify, a później poznała Gaetano Avolę i jego winnicę w Zafferana. Ale tu zbytnio wybiegam naprzód.

Ciotka Poldi zaczynała dzień od prosecco na przebudzenie. Po nim wypijała espresso z prądem, a potem aplikowała sobie porządny strzał prądu bez espresso. Czasami, kiedy przyływy melancholii były wyjątkowo dotkliwe, wybierała się na spacer do Praioli, na małą, odludną, kamienistą plażę. Było to magiczne miejsce, z wodą jak przejrzysty płynny kobalt, poprzecinaną grudami lawy, wygładzonymi przez morskie pływy i przypominającymi rdzawe jaja dinozaurów. Zwykle była tam całkiem sama. Dopiero w środku lata na plażę ściągali rodziny, obładowane radiodbiornikami, koszami piknikowymi, lodówkami, dmuchanymi akcesoriami i parasolami przeciwsłonecznymi, zostawiając po sobie śmietnik. W październiku plaża zaczynała przypominać wysypisko śmieci, a zimą ulegała oczyszczeniu przez sztormy. Ciotka Poldi zanurzała czasem stopy w przejrzystej wodzie, wrzucała do morza jakiś wyjątkowo piękny okaz jaja dinozaura w darze dla wujka Peppe, składała dłonie i mówiła: „*Namaste, życie*”. A potem dodawała: „A pocałujcie wy mnie wszyscy w dupę”.

O jedenastej przychodziła pora na pierwsze piwo pszeniczne, które wypijała przy dźwiękach rozkręconej na cały regulator *Glorii* Umberto Tozziego, który swym zawołaniem mógłby doprowadzić do obłędu nawet syreny w Cieśninie Mesyńskiej.

Kiedy odwiedzało nas moje kuzynostwo, ryczeliśmy do wtóru, tylko zamiast „Gloria” wyliśmy „Poldi”. Było to coś w rodzaju naszego hymnu.

Dziwne, ale sąsiedzi nigdy się na to nie skarżyli. Jeszcze dziwniejsze było to, że od pierwszej chwili pokochali Poldi, zanosili jej do domu zakupy,

wykonywali drobne naprawy, chodzili z nią do urzędów i zapraszali na karty. Nieważne, jak bardzo sponiewierało ją życie – w jej towarzystwie każdy czuł się dobrze. Sąsiedzi mówili na nią „donna Poldina”.

Sąsiadami po lewej byli signora Anzalone z mężem, oboje już trochę starsi. Dom po prawej był własnością *dottore* Branciforti, doradcy podatkowego z Katanii, który zjawiał się tu najwyżej na weekendy (wraz z kochanką), tudzież w miesiącach letnich (wraz z rodziną). Na końcu ulicy mieszkał Elio Bussacca, właściciel *tabacchi* na rogu. To on naraił ciotce Valentino.

W pierwszych tygodniach po przeprowadzce wszystko przebiegało zgodnie z planem. Ciotka, zapełniwszy swoje cztery ściany starymi meblami, rustykalnymi szafami, kolekcją antycznej broni po ojcu, afrykańskimi bożkami z hebanu i porcelanowymi bibelotami, przepijała na zmianę to w stronę morza, to w stronę wulkanu. Kiedy zwracała się ku Etnie, z szacunku dla wielkiego kopciciela zapalała jednego MS, czyli jak mawiali Włosi, *morto sicuro*, popijając kielonkiem brandy.

Skwar zdawał się spływać po niej jak rosa po liściu lotosu, choć pot aż się kroplił pod jej peruką.

No właśnie – peruka.

Nosiła ją, odkąd sięgam pamięcią. Potężne, czarne monstrum, które w zależności od panującej mody przybierało różną formę i wznosiło się na głowie ciotki niczym burzowa chmura. Jak głosi rodzinna legenda, nikt jeszcze nie widział, co się pod nią kryje. Nawet wujek Peppe wypowiadał się na ten temat nader oględnie. Przypuszczam, że Vito Montana w swoim czasie dostąpił zaszczytu zajrzenia pod świętość ciotki, ale i on zachowywał w tej kwestii dyskretne milczenie.

Zaraz w pierwszą niedzielę po przeprowadzce Poldi zaprosiła ciotki, kuzynów, kuzynki oraz mnie (wciąż odpoczywałem po podróży w jednym z pokoi gościnnych na poddaszu) na pieczeń wieprzową w sosie piwnym, knedle i kapustę. W południe. W połowie lipca. Na Sycylii. Na powitanie podano w szklankach martini, którym mógłby się urznąć nawet fiński marynarz. Podczas gdy Poldi doprawiała sos do pieczenia, wlewając łyk piwa na przemian do garnka i w siebie, my, jak pingwiny na sztormie, tłoczyliśmy się pod markizą w małym rozgrzanym patio. Chociaż trzeba przyznać – pieczeń pachniała wybornie. Kiedy Poldi, złana potem, z głową rozpaloną do czerwoności, wyniosła na patio monstrualnych rozmiarów mięsiwo, w panice

zerwałem się z miejsca.

– Schowaj się do cienia, ciociu!

Ale ona jak zwykle tylko popatrzyła na mnie z politowaniem.

– Chłopcze, czy ty uważasz, że przyjechałam na Sycylię, żeby siedzieć w cieniu? Ja pragnę słońca, takiego prawdziwego, z mocą! *Il sole!* Gdyż albowiem we Włoszech słońce jest facetem, tak samo jak morze i wulkan, i w końcu dla tych trzech facetów tu przyjechałam! Usiądźcie wreszcie, a ja przyniosę knedle.

Pieczeń była jak poezja, *la fine del mondo*, nawet przy czterdziestu stopniach w cieniu. Moi kuzyni, którzy z natury rzeczy dość sceptycznie podchodzili do niemieckiego jedzenia, ociągali się wprawdzie, ale po pierwszych ostrożnych kęsach wtranzalali, aż im się uszy trzęsły. Tylko modrej kapusty nie tknęli, jak zwykle. W każdym razie upał nikogo nie zniechęcił do jedzenia.

– A powiedz, jak ty właściwie zamierzasz wrócić do Niemiec? – zwróciła się do mnie ciotka Poldi prosto z mostu.

Wzruszyłem ramionami.

– Za jakiś czas zarezerwuję sobie bilet na samolot.

Pokręciła głową, jakbym powiedział coś głupiego.

– Nie podoba ci się w pokoju gościnnym na pięterku?

– No, podoba.

– Pisziesz?

– Ujdzie.

– A można by coś przeczytać?

To było dokładnie to pytanie, którego nienawidziłem.

– Wiesz, ciociu, w tej chwili raczej nie, bo tekst niejako jest w toku. *Work in progress*.

Podczas podróży w przypiływie lekkomyślności opowiedziałem jej o swoim autodestrukcyjnym projekcie: zamiarze napisania wielkiej, epickiej, niemiecko-sycylijskiej sagi rodzinnej obejmującej trzy pokolenia. Powieści grubaśnej, jędrnej, soczystej, erudycyjnej, pełnej zwrotów akcji, błyskotliwych obrazów, osobliwych postaci, zarośniętych łotrów, eterycznych piękności, z nagością, meandrami miłości, szelmostwami, skwarnymi dniami i aksamitnymi nocami, pełną historycznych równoległych wątków. No, po prostu wielkie dzieło, mój bilet do światowego sukcesu. Głupio tylko, że ani trochę nie posuwałem się naprzód. Totalna blokada, spięcie, syzyfowa praca

już na pierwszych metrach. Wszystko to wyznałem między przełęczą Brenner a Mesyną, a ciotka tylko kiwała głową, bo na porażkach to ona się znała.

– Bo wiesz, tak sobie pomyślałam, że jeśli ci się na piętunku podoba, to możesz zostać. Ewentualnie przyjeżdżać częściej, w sensie, regularnie. Żeby pisać i zbierać materiały. No i podszkoliłbyś włoski.

Jęknąłem.

– Wielkie dzięki, ale stawiasz mnie pod jeszcze większą presją.

Z jakiegoś powodu ciotka nie odpuściła.

– Ja nie rozumiem, czego ty chcesz! Masz tam, na górze, własną łazienkę, masz spokój. Możesz przychodzić i wychodzić, kiedy zechcesz, a gdyby coś ci wyszło w kwestiach *amore*, to zawsze możesz ją tu przyprowadzić.

Jeszcze tego brakowało. Moje ciotki oczywiście natychmiast przyklasnęły z zachwytem, bo dzięki temu na miejscu byłby ktoś, kto miałby oko na ciotkę Poldi. Kiedy w następną niedzielę ciotka Teresa zaprosiła mnie na obiad, wiedziałem już, że wszelki opór jest bezcelowy. Pomyślałem, że przynajmniej będę mógł delektować się porażką, spoglądając na morze. Dobrze i to. I tak raz w miesiącu na koszt ciotek przylatywałem z Niemiec, pomieszkiwałem na poddaszu domu przy Via Baronessa, a wieczorami ze zdumieniem słuchałem, jak lekko zawiana ciotka opowiada o postępach w śledztwie w sprawie zabójstwa Valentino.

Rozdział 2



OPOWIADA O VALENTINO, PEWNYM BARDZO PRYWATNYM PROJEKCIE FOTOGRAFICZNYM CIOTKI POLDI, POPOŁUDNIU W TORRE ARCHIRAFI I SMUTNEJ SIGNORZE COCUZZY. O ZATROSKANIU POLDI I O TYM, JAK O MAŁY WŁOS NIE ZOSTAJE PRZYGNIECIONA PALMĄ. O TYM, JAK POLDI PRZYWŁASZCZA COŚ SOBIE W ACIREALE I WKRÓTCE POTEM ODKRYWA MAŁY, ZA TO DOBRZE STRZEŻONY RAJ, Z KTÓREGO ZNIKA LEW.

Valentino był cichym chłopcem, niespełna dwudziestolatkiem drobnej budowy. Jednym z tych Sycylijczyków, u których ujawniało się arabsko-normańskie dziedzictwo Sycylii. Czarne kręcone włosy, oliwkowa cera, szeroki nos, szerokie usta, niebieskie oczy.

– Śliczny chłopak – orzekła z uznaniem Poldi. – Taki sam czaruś jak niegdyś Peppe. Aż człowiek grzeszy w myślach.

Bo – możecie wierzyć lub nie – Poldi, pomimo swoich sześćdziesięciu lat i tuszy, wciąż budziła zainteresowanie płci przeciwnej, przynajmniej sądząc po tym, jak patrzyli na nią miejscowi mężczyźni. Odkąd pamiętam, zawsze była z niej wielka szelmutka, nie zasypiała gruszek w popiele, a do mężczyzn, zwłaszcza tych w szykownych policyjnych uniformach, czuła wręcz niepohamowany pociąg. Zmiarkowałem to, gdy pewnego razu pokazała mi swoje albumy z kolekcją policjantów. Poldi miała jedno hobby: zajmowała się fotografowaniem przystojnych policjantów z całego świata. A że trochę tego świata zwiedziła, przez minione trzydzieści lat zdołała zapełnić obleczoną w wyprasowane mundury męskością pięć opasłych albumów, od Alaski po Australię, od Belgradu po Buenos Aires. Każda fotografia była opatrzona datą, a liczne również imieniem, bo zdarzało się, że Poldi poznawała stróżów porządku nieco bliżej. Pozowali jej do zdjęcia wytatuowani Maorysi

w śnieżnobiałych szortach, brodaty Sikh w nieskazitelnym khaki, wyszczerzeni nowojorscy konni gliniarze w lustrzanych okularach. Parada wyprasowanych kantów, wąsów i tężyzny fizycznej. Kanadyjscy *mounties* w płomiennoczerwonych galowych mundurach, wąskobiodrzy Szkoci w czerni i bieli, krótkonodzy Boliwijczycy w oliwkowej zieleni i szykownych beretach, nostalgiczne chłopaki z Syberii w futrzanych czapach – ciotka Poldi miała ich wszystkich. Najchętniej fotografowała jednak *vigili urbani*. Dobrą połowę kolekcji stanowili włoscy policjanci drogówki w białych rękawiczkach, a niekiedy nawet w białych hełmach tropikalnych.

– Najprzystojniejsi, musisz wiedzieć, są w Rzymie. Zdecydowanie najprzystojniejsi. Bez porównania, niedościgniony ideał. A każdy ma w sobie grację niczym Nuriejew. Każdy ruch, każdy gest to absolutna doskonałość, nie mówiąc o mundurze. I tylko sobie nie myśl, że którykolwiek z nich się uśmiechnie. Uśmiechy zachowują na po służbie, wiem, co mówię. Ale popatrz tutaj, przedwczoraj odkryłam w Taorminie ten wspaniały okaz.

Ciotka w każdą środę jeździła do Taorminy, do szkoły językowej prowadzonej przez Michele, przyjaciela mojego kuzyna, Ciro. Środa była w związku z tym jedynym dniem tygodnia, kiedy ciotka pozostawała trzeźwa. Wprawdzie całkiem nieźle radziła sobie po włosku, ale jej to nie wystarczało.

– Po co tak się stresujesz? – zapytałem kiedyś. – Jak na kogoś, kto i tak chce się zapić na śmierć. – To było bardzo niezręczne z mojej strony, tak bez ogródek nazywać po imieniu to, co podejrzewały moje ciotki.

– A co to za idiotyczne pytanie? – naskoczyła na mnie. – Dopóki nie opanujesz *passato remoto*, chłopcze, nie masz prawa mędrkować. Słyszysz?

W każdym razie Poldi sfotografowała w Taorminie pewnego wyjątkowo szykownego *vigile*, którego przy okazji chciała poznać bliżej. Wprawdzie ze swoją starannie przystrzyżoną siwą bródką i niewielkim brzuszkiem nie wyglądał już całkiem świeżo, ale za to nosił mundur z godną pozazdroszczenia arogancją przystojnego głaba, któremu mama wciąż prasuje koszule.

Ale wróćmy do Valentino. On kompletnym głabem nie był, choć oczywiście nadal mieszkał u rodziców. Tylko że nie miał ani wykształcenia, ani regularnej pracy. A przy tym, jak prędko przekonała się Poldi, wcale nie był głupi. Jak wielu młodych Sycylijczyków jakoś sobie radził, mając się różnych prac, i nosił się z myślą emigracji do Niemiec. Dla Sycylijczyka emigracja na kilka dziesięcioleci to bułka z masłem. Spakuje walizkę, *bacio*, *addio* – i w drogę. To łatwiejsze niż wypad tanimi liniami lotniczymi

w odwiedzinach do kuzyna w Niemczech. Ale to tylko taka dygresja.

Valentino pomagał Poldi przy niewielkich naprawach, które okazały się konieczne zaraz po zakończeniu remontu domu. Nie żebym miał coś przeciwko kuzynowi Ciro, ale jeśli chodzi o dach, to jego ludzie odstawili totalną fuszerkę. Kiedy chciałem zmienić żarówkę w łazience na górze, z abażura chlusnęła na mnie Niagara deszczówki. To cud, że nie kopnął mnie prąd.

Valentino potrafił podłączać lampy, wbijać kołki w ściany, wymieniać klimatyzację i robić zakupy w Hipersimply. Chłopak o rozlicznych talentach. Poldi prędko polubiła go z całego serca. Nawet pomagała mu wkuwać niemieckie słówka. Tyle że akcent, który sobie przy tym przyswajał, nastroczyłby mu pewnych kłopotów, gdyby zechciał się udać w rejony na północ od Aschaffenburga. Ale z wyjazdu do Niemiec i tak nic nie wyszło, bo na początku sierpnia Valentino nagle zniknął bez śladu.

Poldi czekała na niego cały dzień, gdyż obiecał, że zatroszczy się o zapchany odpływ. Ciotka nie żywiła urazy do nikogo, nawet jeśli ów ktoś wystawił ją do wiatru. Ale gdy nazajutrz i kolejnego dnia Valentino się nie odezwał i nie odbierał telefonów, początkowo trochę się dziwiła, potem rozłościła, a na koniec zaczęła martwić. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, jak mało o nim wiedziała.

W gruncie rzeczy znała tylko jego nazwisko. Candela.

I nawet nie miała pojęcia, gdzie mieszkał.

Signora Anzalone w ogóle nie zauważyła jego zniknięcia, a signor Bussacca tylko wzruszył ramionami.

– *Boh!* A gdzie ma być? Pewnie poznał jakąś dziewczynę. Wróci.

Jego słowa jakoś nie uspokoiły Poldi. Nie chciała w nie uwierzyć.

– Kiedy widział go pan ostatnio?

Bussacca pomyślał chwilę.

– Wczoraj? Nie, to musiało być przedwczoraj. Albo w poniedziałek. Tak, w poniedziałek. Kupił paczkę lucky strike'ów i doładowanie do komórki za pięćdziesiąt euro.

Poldi przypominała sobie. Valentino pomógł jej wnieść na taras ciężką donicę z drzewkiem cytrynowym, po czym rozpieczętował nową paczkę papierosów, zdrapał kod z nowej karty telefonicznej i aktywował komórkę.

– Pamięta pan może, jakiego operatora była *scheda telefonica*?

– TIM. Inne się skończyły.

Poldi przypomniała sobie niebiesko-czerwoną kartę i zdziwiła się, bo

Valentino zawsze doładowywał komórkę kartą czerwono-białą. A w poniedziałek miał nawet nowiutką komórkę. Tak jej się rzuciło w oczy.

– Czemu zmienił operatora? – zdziwiła się głośno, ale signor Bussacca skwitował jej pytanie ponownym „*Boh!*”, co jest włoską skróconą wersją zdania „Nie mam zielonego pojęcia”.

– No więc dokąd idziemy, kiedy chcemy się czegoś dowiedzieć? – zapytała mnie później Poldi i niemal od razu odpowiedziała na swoje pytanie: – Idziemy do wodopoju. Gdyż albowiem wszystkie zwierzęta spotykają się przy wodopoju, te małe i te duże. Drapieżniki i ofiary, wszystkie ciągnie do wody, a człowiek wcale nie jest inny. A co, pytam się ciebie, jest wodopojem w Torre Archirafi?

– Eee... źródło wody mineralnej?

Poldi westchnęła.

– W przenośni!

– Bar?

– *Cento punti!* – Ciotka Poldi pociągnęła łyk.

W barze *Gelateria Cocuzza* Poldi od dawna była osobą znaną, ponieważ każdego popołudnia przychodziła na morwową *granitę* oraz brioszkę. Wypachniona, w białym kaftanie, z dramatycznym cieniem na powiekach, hojnie maźnięta różem i ustrojona w złote sandałki, przybijała do baru niczym wycieczkowiec do prowincjonalnej mariny. Zawsze o piątej, gdy domy zaczynały się otwierać po długim, skwarnym popołudniu i cała wieś wybierała się na *passeggiata*. A odbywało się to następująco: ponieważ nie było sklepów, po których można by chodzić, miejscowi robili rundkę po *lungomare* i zaraz skręcali do klimatyzowanego baru, niczym komety, które za bardzo zbliżą się do Słońca.

I nic dziwnego, gdyż z baru od rana do nocy – z wyjątkiem wtorków – wiało cudowną, polarną, wzbudzaną przez dwa wentylatory bryzą, niosącą obietnicę wanilii, mleka migdałowego i kawy zaprawionej aromatami identycznymi z naturalnymi, które wywoływały dreszcz rozkoszy u każdego, kto nie był z kamienia. Na zewnątrz, na placu, trwało rozedrgane sycylijskie letnie popołudnie, a w środku, pod pomrukiem wentylatorów i klimatyzacji, wibrowała Arktyka, sprawiając, że mokre plamy pod pachami ulatniały się, a sierpniowy upał ulegał zapomnieniu na czas spożywania *gelato*. W witrynie, tuż obok świeżych ciastek z kremem, ozdobionych poziomkami, ciasteczek migdałowych, *cornetti*, brioszek i owoców z marcepanu, piętrzyły się

połyskujące, kremowe góry w ośmiu różnych smakach. A na samym końcu lady pachniały nadziewane poduszeczki z ciasta francuskiego, złote rożki *arancini*, *pizzette* i *tramezzini*. Za ladą, skryte głęboko pod aluminiowymi pokrywami, drzemały *granita* i butelki lodowatego mleka migdałowego. Krótko mówiąc: wszystkie pokusy świadczące o istnieniu dobrego Boga.

Wrażenie to jednak zniknęło, gdy wchodziło się do baru i spoglądało w oczy signory Cocuzzy, siedzącej przy kasie z wyrazem tak bezbrzeżnego smutku na twarzy, że aż serce się krajało. Ile mogła mieć lat? Nikt dokładnie nie wiedział. Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt? Sto? Może wysuszona i cherlawka kobieta była tylko duchem owianym słabą wonią wieczności i kulek na mole. Poldi zdołała dowiedzieć się tylko, że dziesięć lat temu zmarł jej mąż. Za to jej dwaj dorośli synowie za ladą, pogrążeni w sierpniowym letargu, z wyregulowanymi brwiami i ramionami pokrytymi tribalami, z przestępczymi fryzurami, odziani w koszulki piłkarskie, sprawiali wrażenie zdrowych i krzepkich.

Signora Cocuzza nigdy się nie uśmiechała i prawie nigdy nie mówiła. Tylko wbijała ceny w kasę, podawała paragony, zmuszając się przy tym do nikłego grymasu, a potem znów patrzyła w przestrzeń, jakby każdy akt kasowania odbierał jej ostatnią iskrę życia. Coś takiego budziło ciekawość i dlatego Poldi ciągnęło do baru nie tylko ze względu na pyszną *granitę*. Signora Cocuzza, Poldi dostrzegła to od pierwszego spojrzenia, musiała być kiedyś piękną kobietą. Ale widać było również, że w tej cherlawej postaci szalał wielki ból, a na bólu to moja ciotka się znała.

– Przepraszam, signora, czy widziała pani ostatnio Valentino? Albo słyszała coś o nim? – Pytanie bardzo powoli docierało do świadomości signory Cocuzzy, która cały czas wyciągała ku Poldi rękę z paragonem za *granitę*. – Valentino Candela, zna go pani przecież – ciągnęła niewzruszenie Poldi, odbierając paragon. – Od trzech dni jakby zapadł się pod ziemię, nicpoń jeden. Pojawił się tutaj? Bo może niepotrzebnie się martwię, ale człowiek myśli swoje.

Signora Cocuzza ledwie dostrzegalnie pokręciła głową, jakby sam ten gest kosztował ją niewyobrażalny wysiłek.

– Przykro mi – wyszeptała.

Poldi, by nie naciskać, przeszła ze swym paragonem do lady, ale signora Cocuzza jeszcze nie skończyła.

– Donna Poldina... – tchnęła ledwie słyszalnie.

Poldi, zaskoczona, że signora nieoczekiwanie zwraca się do niej po imieniu, natychmiast doskoczyła z powrotem do kasy. Smutna signora wydobyła z kieszeni fartucha długopis, z takim trudem, jakby ważył tonę, i skreśliła coś na odwrocie świstka. Adres w Acireale.

– Rodzice – szepnęła i podała świstek Poldi.

Ciotka pomyślała chwilę. Na końcu języka miała pytanie, skąd signora Cocuzza zna ten adres. Postanowiła jednak nie drążyć, podziękowała, zwróciła signorze paragon i zmieniła zamówienie.

Było, jak mówiłem, popołudnie. Sierpniowe popołudnie. A to oznaczało po pierwsze, że nadal było gorąco, a po drugie, że Poldi nie była już całkiem trzeźwa. Mimo to, z kilogramem *gelato* w ładnie zapakowanym w papier w kwiatki styropianowym pojemniku, leżącym na siedzeniu pasażera, skierowała swoją alfę do Acireale. Cel nie był daleko, właściwie tuż za rogiem, ale kręta, wąska *provinciale*, okolona z obu stron starymi, wysokimi murami z lawy wulkanicznej, dała Poldi, zważywszy na jej stan, mocno do wiwatu. Ciotka co rusz musiała unikać zderzenia z pędzącymi z naprzeciwka furgonetkami, wiozącymi cytryny. Tuż przed Santa Tecla z podjazdu hurtowni ogrodniczej wypadła ciężarówka załadowana sporymi palmami i drzewkami oliwnymi. W ostatniej chwili Poldi udało się zahamować. Kierowca ciężarówki zatrąbił na nią wściekle, wyjechał na szosę i pomknął przed siebie. Zasapana Poldi przez chwilę siedziała w wozie na poboczu i gapiła się w dużą bramę z neonem „PIANTE RUSSO”.

O mały włos nie przywaliły mnie palmy, pomyślała, kręcąc głową. A to by namieszało.

Chociaż nie znała Acireale, od razu znalazła adres na obrzeżach miasta. W ogóle w każdym miejscu na świecie orientowała się znakomicie, od Dżakarty po Limę, miała bowiem jedną niezrównaną metodę: ciągle pytała o drogę. Co sto metrów przystawała, nie bacząc na to, czy ktoś za nią trąbi, i zagadywała pierwszą lepszą osobę. Procedura ta była odporna na mylne informacje żartownisiów i Poldi z precyzją nawigacji zawsze najkrótszą drogą trafiała do celu.

Maria i Angelo Candela nie mieli jeszcze pięćdziesiątki, a mimo to wyglądali staro. Bezrobotni od czterech lat, żyli z zasiłku i z tego, co przynosił Valentino. Zajmowali małe mieszkanko, w którym unosił się zapach papierosów, cebuli i zwątpienia, Poldi jednak od razu dostrzegła nowiutki

plazmowy telewizor. Rodzice Valentino nawet nie byli zdziwieni, kiedy znienacka stanęła w ich progach.

– Valentino dużo o pani opowiada, donna Poldina – powiedziała Maria i prędko rozdzieliła przyniesione *gelato* na trzy miseczki. – Można powiedzieć, że już się znamy.

– A gdzie się podział Valentino?

Candelowie wymienili zaniepokojone spojrzenia, co nie uszło uwadze Poldi.

– Nie wiemy – odparł cicho Angelo. – Trzy dni już się nie odzywa.

– Często mu się to zdarza?

Zgodnie pokręcili głowami, zjadając łyżeczkami lody, zanim zdążą się całkiem roztopić. Albo żeby nie musieli mówić, stwierdziła w duchu Poldi.

– I nie domyślacie się, gdzie może być?

Ponownie zaprzeczyli. Plastikowe łyżeczki postukiwały o szkło. Poldi jakoś im nie wierzyła. Z namysłem oblizwała swoją łyżeczkę. Lody czekoladowe i pistacjowe zmieszały się ze sobą, smakowały teraz słodko, gorzko i słono. Jak łzy i zawiedzione nadzieje, pomyślała Poldi. Jak wszystko na raz, jak zawsze w tym kraju.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – wysiliła się na swój najlepszy włoski. – Nie chcę wtrącać się w czyjeś prywatne sprawy. Ale widzę przecież, że państwo się niepokoją. Ja też się niepokoję. Bo... może on ma jakieś kłopoty.

Na słowo „kłopoty” oboje drgnęli. Coś głęboko we wnętrzu Marii jakby się uwolniło i wydostało udręczonym westchnieniem na powierzchnię.

– I wtedy – opowiadała mi później ciotka Poldi – po tym westchnieniu wiedziałam już, że Valentino naprawdę wplątał się w wielkie tarapaty. Bo na tarapatach i westchnieniach to ja się znam. Najwyższy stopień zagrożenia, rozumiesz. Wtedy dotarło do mnie, że jego rodzice już przestali wierzyć, że wróci. I że nic więcej mi nie powiedzą. *Omertà* i te rzeczy, wiesz. No i włączył mi się taki program. Że muszę znaleźć Valentino. Bo czas nagli. I tylko dlatego podwędziłam ten mały odłamek mozaiki.

Poldi zdecydowanym ruchem odłożyła na bok łyżeczkę i popatrzyła na Marię.

– A mogłabym zobaczyć jego pokój?

– Dziękujemy za lody, signora Poldi – powiedział Angelo formalnie. – Powinna pani już pójść.

Maria rzuciła mężowi ostre spojrzenie i wstała.

– Ale przedtem oczywiście może pani zobaczyć jego pokój.

Pokój Valentino wyglądał jak każdy inny pokój młodego mężczyzny mieszkającego jeszcze u rodziców. Niepościelone łóżko, rozrzucona niedbale bielizna, antyczny laptop z podłączonym kontrolerem do gier, na ścianach plakaty z Ferrari, gwiazdami piłki nożnej i rozebranymi dziewczynami. Pachniało kulkami na mole i trawką. Na parapecie po zewnętrznej stronie okna krzewił się imponujący okaz konopi indyjskich.

Podczas gdy Poldi rozglądała się uważnie, Maria stała w progu, jakby obawiała się zakłócić spokój duchom zamieszkującym ten pokój.

– To gatunek konopi, których nie można palić – powiedziała Maria. – On je trzyma tylko dla ozdoby, bo takie ładne.

Poldi wiedziała swoje. Na komodzie odkryła podręczniki do nauki niemieckiego, japońskie mangi i rząderek małych kolorowych kamyczków z mozaiki, które połyskiwały w promieniach słońca. Jasne kawałki terakoty, lśniące glazurowaną powierzchnią po jednej stronie, nie większe niż opuszek palca. Na samym końcu leżał żółty kryształ, z rodzaju tych, jakie można czasem znaleźć pod Etną. Trzycentymetrowy romboidalny graniastosłup, wyrosły na porowatym kamieniu. Ładna rzecz. Poldi wzięła go do ręki, a kiedy odłożyła, na jej palcach został zapach siarki. Zrobiła komórką zdjęcie małej kolekcji. I myk, ani się obejrzała, a jeden z glazurowanych odłamków znalazł się w jej kieszeni. Owszem, nie powinna, ale to był impuls. Rodzaj jakiegoś genetycznego programu, jak mi wyjaśniła. Trzeba bowiem wiedzieć, że ojciec ciotki Poldi był nadkomisarzem policji kryminalnej w Augsburgu. W komisji do spraw zabójstw. Georg Oberreiter, może niektórzy jeszcze pamiętają, to ten, który swego czasu rozwikłał sprawę Nöldena. I chociaż Poldi przez całe życie usiłowała odciąć się od rodziców, domu i całego tego podmiejskiego augsburskiego zaduchu, to jednak jabłko nie pada daleko od jabłoni, a rodzina Oberreiterów nie jest tu żadnym wyjątkiem. Poldi po prostu była naznaczona.

Maria odprowadziła ją do drzwi.

– Jeszcze raz dziękuję za lody. Jeśli usłyszemy coś o Valentino, od razu do pani zadzwonię.

– Może wpadnie pani kiedyś do mnie, pogadamy chwilę – zaproponowała ciotka. – Sprawiłoby mi to wielką radość.

Maria pokręciła głową i ponownie westchnęła, w sposób, w jaki wzdycha tylko matka, która wie, że nie może pomóc swemu dziecku.

– Pracował czasem dla Russo – szepnęła. – W *vivaio*, wie pani?

Poldi przypomniała sobie ciężarówkę z palmami, która o mały włos nie rozjechała jej na placek. *Piante Russo*.

– Ma pani na myśli tę dużą plantację drzew ozdobnych przy *provinciale*?

– Tak. Koło Femminamorta.

Femminamorta.

W głowie Poldi uwolnił się kolejny okruch wspomnień. Drobniutki, prawie podziurawiony przez zapomnienie, zawinął, wzbił się do góry i jak płatek śniegu bezgłośnie opadł na obraz dnia, kiedy Valentino był u niej po raz ostatni. Na obraz podenerwowanego Valentino, który wtaszczył pół worka cementu schodami na dach, by załatać przeciekający kawałek. Obraz trochę za bardzo przygnębionego Valentino, jak sobie teraz przypomniała, który palił za dużo, aktywował nowiutką komórkę na kartę TIM i powiedział, że musi jeszcze pojechać w jedno miejsce. Do Femminamorta.

– Może mi pani powiedzieć, gdzie to jest?

Jedno było pewne: niełatwo było znaleźć to miejsce, bowiem Femminamorta nie była ani miejscowością, ani restauracją, wskutek czego nie było żadnych prowadzących do niej drogowskazów, była za to nieoficjalną nazwą majątku ziemskiego położonego przy *provinciale*, tuż obok ogromnej plantacji ogrodniczej Russo. Ponieważ jednak mury ze skały wulkanicznej wzdłuż drogi nie pozwalały zajrzeć na posesję, tablicy z nazwą nie było, a Poldi nie widziała nikogo, kogo mogłaby zapytać o drogę, zmuszona była krążyć w tę i z powrotem, aż zauważyła niewielki wjazd. Teren plantacji przecinała długa na kilkaset metrów polna droga, sprawiająca wrażenie drogi nie do pokonania. Za kamiennym ogrodzeniem bzycały zraszacze i warczały koparki, które przewoziły z miejsca na miejsce wyrosnięte palmy. Podążając za opisem Marii, Poldi poprowadziła wymęczoną alfę przez setki dziur i wybojów do starej, dziko porośniętej bugenwillą łukowatej bramy, wspartej na dwóch kolumnach. Na jednej z nich królował ponury kamienny lew, trzymający w łapach herb z liliami. Brakowało lwa na drugiej kolumnie.

Za bramą zaś rozpościerał się mały raj.

Femminamorta.

Nieco podupadła sycylijska wiejska willa z osiemnastego wieku, zbudowana z tufu wulkanicznego, pomalowana na różowo i wielokrotnie zamalowywana, niemal w całości porośnięta bugenwillą i jaśminem, położona pośrodku subtropikalnego ogrodu, pełnego palm, krzewów oleandra,

hibiskusa, drzew morelowych, cytrynowych i awokado. W tle zaś, wcale nie tak daleko, z rozpostartymi skrzydłami, niczym mroczny anioł stróż – pyszniła się Etna.

Nigdzie nie było widać żywej duszy, okiennice były pozamykane, tylko obok wyblakłego zegara słonecznego na piętrze willi było otwarte jedno okno.

Poldi zaparkowała alfę.

– *Permesso?* – Bez odpowiedzi.

Spróbowała głośniej:

– *PERMESSO...?* Halo?

Nic.

Trudno. Poldi postanowiła przynajmniej przejść się po zaklętym ogrodzie. Wiatr cicho szeleścił palmami, rozmigotane promienie słońca oświetlały dom i ogród. Poza tym nie było nic widać ani słyszać, zupełnie jakby to miejsce dopiero musiało zostać przebudzone do życia. Być może śmiechem, Poldi bowiem od pierwszej chwili widziała, że to dobre miejsce. Że lód tu wytrzyma.

Na tyłach domu suszyła się bielizna. Poldi właśnie znów chciała zawołać, gdy zniecka została zaatakowana przez ogromnego rozjuszonego gąsiora. Ptaszyko z rozpostartymi skrzydłami wyskoczyło spod sznura z praniem i przypuściło szturm na Poldi, która z braku kija, trzymała gąsiora na dystans wyłącznie bawarskimi przekleństwami.

– Pójdiesz ty, durna psia mać! Wynocha stąd, ty pokrako zafajdana! Ta, sycz sobie, sycz! Jeśli myślisz, że się ciebie wystraszę, to się naciąłeś, ty kulfonie krzywonogi, bo ja się twoich popapranych samczych popisów nie boję! Słyszysz?

Gąsior syczał, ciotka bluzgała. Atak, odwrót, syczenie, przekleństwa.

– *Mon dieu!* Kto tam? – Z piętra rozległ się głos. Kobieta mówiła po włosku z francuskim akcentem.

– *Moi!* – wykrzyknęła ciotka w odpowiedzi.

Gąsior uspokoił się momentalnie.

Na górnym tarasie pojawiła się zwiewna młoda kobieta. Błada cera, wytarty golf z podwiniętymi rękawami, okulary słoneczne, krótkie ciemne włosy, rozwichrzone, jakby dopiero wstała z łóżka.

– Marzenie każdego francuskiego reżysera palącego papierosa za papierosem – wyjaśniła mi później Poldi. – Jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Żywy stereotyp. Czysty destylat nerwowej, szalenie kapryśnej, nieznośnej

samotnej, diabelnie erotycznej i czytającej Sartre'a francuskiej piękności.

– Nie, no jasne – powiedziałem. – Chcesz powiedzieć: nic dla mnie.

– Bosz, co ty zawsze taki wrażliwy jesteś!

– Naprawdę zawołałaś „moi”?

– Pewnie. Tak spontanicznie załapałam jej akcent, nie musiałam się zastanawiać.

Tymczasem młoda kobieta zawołała z zachwytem:

– Ach! *Êtes-vous français?*

– Nie! – odparła Poldi po włosku, zerkając na pokojowo już nastawionego gąsiora. – Ale niech pani tego nie mówi temu gęsiemu macho!

Kobieta na tarasie roześmiała się perliście i zeszła na dół. Gąsior oddalił się na swój posterunek.

– *Mon dieu*, jest naprawdę przerażający, nieprawdaż? Myślę, że pobiera od psów haracz za ochronę. – Mówiła po włosku płynnie, ale z silnym francuskim akcentem. Przez chwilę lustrowała Poldi, po czym ponownie się roześmiała, zupełnie jakby te krótkie oględziny wypadły ku jej wielkiemu zadowoleniu. Wyciągnęła rękę. – Valérie Raisi di Belfiore. Proszę mi mówić po prostu: Valérie.

– Isolde Oberreiter. Po prostu Poldi.

– Cóż to za zabawny język, którym pani przed chwilą mówiła?

– Bawarski.

– Ach, jest pani Niemką!

– To trochę bardziej skomplikowane.

– Po pani włoskim w ogóle tego nie słyhać. Ale, *mon dieu*, jestem ostatnią osobą, której to oceniać. Mieszkam tu od dwudziestego roku życia i wszyscy mi powtarzają: „Proszę się nie martwić, signorina, za parę miesięcy pani włoski będzie dużo lepszy”. – Znowu się zaśmiała. W ogóle śmiała się równie często, jak wtrącała: „*mon dieu*”. Pod wpływem impulsu chwyciła Poldi za rękę, jakby była jej dobrą znajomą.

– *Alors*. Co my tak stoimy! Ma pani ochotę napić się kawy? Opowie mi pani, jakie przychylne prądy wyrzuciły panią na ten brzeg.

Valérie zaprowadziła Poldi do domu. Panowały w nim chłód i cień, pachniało kurzem, książkami, kulkami na mole i jaśminem, którego obfite pęki stały w rozlicznych wazonach. Czas nagle zwolnił, jakby musiał brnąć przez pachnący olej. Poza odległym szczekaniem psa ze świata z zewnątrz nie docierały żadne dźwięki. Również w środku różowa willa sprawiała

wrażenie, jakby wypadła poza czas, sfatygowana przez stulecia, lecz wciąż zachowana niemal w oryginalnym stanie. Posadzka była wyłożona jasną terakotą i czarnym bazaltem. W niektórych miejscach spod wytartych dywanów błyskały kolorowe mozaiki. Na sufitach migotały kwietne ornamenty, spłowiałe nimfy tańczyły z kochankami faunami, pośród tropikalnych krajobrazów krążyły pawie, żurawie wędrowały nad zamglonym pejzażem i plamami z grzyba. Ogromne ośmiornice, delfiny i migotliwe barbaty przemierzały mityczny ocean, zaludniony rusałkami i syrenami, zza Etny spoglądał na moją oniemiałą ciotkę lubieżny satyr.

– A niech to dunder świśnie! Pocałujcie wy mnie wszyscy w dupę! – wykrzyknęła po bawarsku Poldi. I dodała po włosku: – Ten dom to magiczne miejsce! – Bo na miejscach magicznych i przeklętych ciotka znała się wyśmienicie.

Valérie odstawiła dzbanek z espresso i pokazała Poldi jeden z pokoi dla gości, w którym niegdyś mieściła się domowa kaplica. Z łukowatego i zaatakowanego przez grzyb sklepienia wprawdzie sypał się tynk, ale pośród gołych placków nadal świeciły freski przedstawiające sceny z rajów i wygnanie Adama i Ewy.

– W zeszłym roku gościłam tu pewnego różdżkarza, Niemca, który oświadczył, że nigdzie dotąd nie wyczuwał tak silnej pozytywnej energii.

W całym domu wisały ponure portrety olejne dawnych właścicieli Femminamorta. Melancholijni młodzi mężczyźni, starcy o chytrym spojrzeniu i wypudrowane orientalne piękności, zasnurowane gorsetami i jedwabnymi sukniemi.

– *Voilà*, moi przodkowie ze strony ojca, z rodu Raisi di Belfiore! – wyjaśniła Valérie. – Burbonowie, tchórze, matki i dziwkarze, wizjonerzy, bohaterowie i poeci, święci i upiory – nikogo wśród nich nie zabrakło. Aż w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym zostali wywłaszczeni przez Garibaldię i wyrywkowo straceni przez fizylierów.

Poldi pokiwała głową. W końcu ze dwadzieścia razy oglądała *Lamparta* z Claudią Cardinale i Alainem Delonem.

– „Jeśli chcemy, by wszystko pozostało tak jak jest, wszystko musi się zmienić” – zacytowała słowa z filmu.

Dla ocalałych członków rodu Belfiore zmiany polegały jednak na tym, że biednieli z pokolenia na pokolenie. Aby przeciwdziałać ruinie, stopniowo sprzedawali ziemię i – *mon dieu!* – imali się mieszczkańskich zawodów.

– Pewnie niektórzy z nich wciąż tu straszą – zauważyła Poldi, zapatrzona w portret jakiegoś szczególnie nieszczęśliwie spoglądającego przodka.

– *Mon dieu*, i to jak!

Ponieważ niemiecko-bawarsko-włoski gość nie ukrywał zachwytu domem, Valérie pokazała Poldi piwniczkę z winem. Zatęchła suterena o łukowatym sklepieniu kryła w sobie potężną prasę do winogron z antycznej dębiny, murowane zbiorniki na moszcz i stare drewniane beczki, które pomieściłyby wyprostowanego dorosłego.

– Właśnie tutaj różdżkarz wykrył ośrodek pozytywnej energii.

– Ale wina dawno już się tu nie robi. – Poldi wskazała zakurzone beczki, graty i materace składowane za prasą. – Ładne marnotrawstwo pozytywnej energii.

– *Mon dieu!* – zgodziła się Valérie. – Kiedyś wszędzie tu uprawiano winorośl. Raisi di Belfiore zamieszkiwali Femminamorta tylko raz w roku, w czasie winobrania. Pod koniec dziewiętnastego wieku miało miejsce trzęsienie ziemi i pół dachu uległo uszkodzeniu. Mój prapradziadek natychmiast opuścił dom ze strachu, że się zawali, i nigdy więcej do niego nie wszedł. *Mon dieu*, przez sto lat nikt nie przekraczał progu tego domu. Aż w latach siedemdziesiątych mój ojciec sprawdził mury i stwierdził, że budynek jest kompletnie bezpieczny. Trzęsienie ziemi naruszyło tylko tynki, nic więcej.

– A wino?

Valérie pokręciła głową.

– Po *risorgimento* Belfiore pozbywali się krok po kroku wszystkiego, byle tylko nie pracować.

Poldi dowiedziała się jeszcze, że Valérie dostała tę niewielką posiadłość w spadku po ojcu, który tuż po jej narodzinach zostawił jej matkę.

– Kochali się i nienawidzili. Taki ogień namiętności potrafi strawić każdy związek.

– *Amour fou* – stwierdziła Poldi, bo na tym również się znała, i pomyślała o moim wujku.

– Ojca prawie nie znałam, ale kiedy dowiedziałam się o spadku, pomyślałam sobie, że najwyższy czas go poznać. Nauczyłam się więc włoskiego i przyjechałam tutaj. Ale, *mon dieu*, miałyśmy przecież napić się kawy!

Wysiedziane, przykryte wypłowiałymi tkaninami skórzane meble

w salonie ustawione były wokół kawowego stolika, na którym piętrzyły się stare foliały i szcztane książki w kieszonkowych wydaniach. Wszędzie były książki. Na stołach, regałach i w witrynach oraz w starej bibliotece, która, jak wyjaśniła Valérie, pochodziła z późnego dziewiętnastego wieku.

Valérie podała lepkie ciastka do obrzydliwego espresso, które Poldi dla poprawy smaku nieco zaprawiła zawartością swej piersiówki. Valérie wzięła pięć łyżeczek cukru. Poldi lubiła ją coraz bardziej.

Femminamorta, jak dowiedziała się po chwili, była wszystkim, co z wielkiego majątku zostało rodzinie Raisi di Belfiore. By utrzymać dom i jakoś związać koniec z końcem, Valérie wynajmowała nieużywane pokoje turystom.

– Teraz i tak większość ziemi dookoła należy do Russo.

Poldi nadstawiła uszu.

– Zna go pani?

– *Mon dieu*, owszem. Od lat próbuje mnie poderwać i wycygnąć ode mnie Femminamortę.

– To on nie jest żonaty?

– Rozwiedziony. Ma dorosłą córkę, która wkrótce wychodzi za mąż. – Valérie się zaśmiała. – Nasze relacje właściwie są dość stabilne. Chociaż w ostatnim czasie Russo sięga po dość drastyczne środki. Widziała pani lwa przy bramie?

– Tak. Brakuje jego bliźniaka.

– No właśnie, brakuje, *mon dieu!* Russo wprawdzie zaprzecza, ale ja oczywiście wiem, że to jego sprawka. Wyraźne ostrzeżenie, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu. – Wstała raptownie. – Ale co ja tu się pani użalam. Chce pani obejrzeć inne pokoje, zanim pani się zdecyduje? Może pani zostać tak długo, jak zechce, co do ceny na pewno się dogadamy.

Poldi przypomniała sobie, z jakiego powodu tu jest, i zrozumiała, że zaszło jakieś nieporozumienie.

– Właściwie to ja szukam Valentino. Valentino Candela, mówi pani coś to nazwisko?

Valérie wpatrywała się w nią przez chwilę, jakby musiała ustawić ostrość. W jej spojrzeniu zaszła nagła zmiana.

– Naturalnie – odparła ostrożnie. – Valentino. Ładny chłopak. Pracuje dla Russo, ale czasem pomaga mi też w gospodarstwie i ogrodzie.

– Trzy dni temu zniknął.

Valérie była wstrząśnięta.

– *Mon dieu!* Teraz, kiedy pani to mówi, myślę, że rzeczywiście nie widziałam go od dłuższego czasu.

– Mnie powiedział w poniedziałek, że wieczorem będzie zajęty tutaj, w Femminamorta.

Valérie pomyślała chwilę, a potem kategorycznie pokręciła głową.

– Nie, jestem tego całkiem pewna.

Poldi pokazała jej kawałek mozaiki, który zwinęła z domu Candelów.

Valérie oddała go jej, wruszając ramionami.

– Bardzo ładne. Ale co to ma wspólnego z Valentino?

Poldi obracała kamyk w dłoni.

– Nie wiem. – Ożywiona przez kawę, brandy i dużą dawkę pozytywnej energii, wpadła na pewien pomysł. – Ale chętnie zapytam o to signora Russo osobiście. Najchętniej zaraz, bez zapowiedzi.

– Wątpię, czy panią przyjmie. – Kobieta nagle znów się uśmiechała. – Ale chętnie pokażę pani skrót do budynku zarządcy.

Prowadząca lekko w górę wąska ścieżka przecinała ogród Valérie i mijała niewielki sad migdałowy, ciągnąc się dalej wzdłuż boiska do gry w piłkę i ogródka warzywnego. Poldi wyraźnie mogła już rozpoznać warowny budynek koloru piaskowca ze znakiem firmowym Russo, za nim rosące szpalerem palmy, a jeszcze dalej Etnę, za którą powoli zachodziło słońce, barwiąc unoszący się z niej dym odcieniami rózu i fioletu. Mimo to wciąż jeszcze było gorąco. Wyszędłszy z chłodnego domu, Poldi oblała się potem, który upstrzył jej biały kaftan szarymi plamami. Ciotka nie była dobrą piechurką, przeklinała upał i kurz, który rujnował jej klapki i tyłak ubiór po kolana. Na domiar złego z naprzeciwka wypadły psy, dwa ujadające kudłate kundle. Ciotka Poldi lubiła psy, szczególnie takie kundelki, jazgotliwe i z przodozgryzem. Na ich widok po prostu nie mogła się powstrzymać, klaskała w dłonie i szczebiotała „nocionocionocio?”. Co w psim języku oznaczało „tak, możesz mnie spokojnie obskakiwać, pal licho twoje brudne łapy!”. Rozjazgotanych psiaków nie trzeba było długo zachęcać – z entuzjazmem pozostawiły na kaftanie ciotki grube, czarne plamy z wulkanicznej ziemi, próchnicy i kurzu. Zanim Poldi zdążyła je przekląć, wesoło odbiegły w poszukiwaniu szcurów i innych przygód.

W holu palmowego imperium Russo zakurzona, spocona i umorusana

ciotka od razu została przechwycona przez dwóch ochroniarzy w czarnych sportowych spodniach i koszulkach polo, a następnie wyproszone.

– Bardzo nam przykro, signora. Musi pani mieć umówione spotkanie, bez terminu nic nie da się zrobić, signor Russo jest bardzo zajęty, nie, bez terminu to *naprawdę* niemożliwe, nie, nawet jeśli przyjechała pani specjalnie z Niemiec, proszę wysłać faks albo uzgodnić telefonicznie termin z jednym z naszych konsultantów, konsultant odwiedzi panią niezobowiązująco i przygotuje odpowiednią ofertę, ale może pani wszystko wygodnie zamówić online, miłego wieczoru, signora.

– A nie mówiłam – westchnęła Valérie, kiedy Poldi jak niepyszna wróciła do Femminamorta.

Oba psiunie – Oscar i Lady – szalały w najlepsze dokoła, podgryzając się nawzajem w ogony. Poldi, zła i spragniona, wgramoliła się do alfy. Strasznie chciało się jej piwa, które ugasiłoby szalejące w niej na wyścigi frustrację i palące pragnienie.

Valérie podeszła do bocznej szyby.

– Naprawdę myśli pani, że Valentino przydarzyło się coś złego?

– Nie wiem – wydusiła wycieńczona Poldi. – Chcę go tylko znaleźć, zanim będzie za późno, rozumie pani?

Valérie skinęła głową.

– Russo zatrudnia ponad setkę ludzi. Czemu akurat on miałby wiedzieć, gdzie się podział jakiś dorywczy pracownik?

Poldi naprawdę bardzo chciało się pić. Potrzebowała piwa. Albo dwóch. Albo czegoś mocniejszego. I to szybko. Przemyślała jednak pytanie Valérie.

– Wie pani, jak to jest, kiedy budzi się pani rano i coś panią niepokoi? Jakaś ledwie wyczuwalna zmiana temperatury, wiatr, który powiał z innego kierunku, światło, które zyskało jeden cień więcej. Coś się podkrada, lód, na którym pani stoi, chrzęści cicho. Może miała pani zły sen, który miał panią ostrzec, ale już pani o nim zapomniała. Został tylko ten niepokój, towarzyszący pani przez cały dzień i podszeptujący niewyraźne słowa. – Valérie wpatrywała się w Poldi. – Chcę przez to powiedzieć...

Młoda kobieta zbyła ją gestem.

– Myślę, że zrozumiałam. Czy zechciałaby pani dotrzymać mi dziś wieczorem towarzystwa na małej niezobowiązującej *serata*? Dostałam zaproszenie od kuzyna mego ojca, straszliwego nudziarza. Ale jego żona, Carmela, fantastycznie gotuje. Od niedawna prowadzi nawet program na

Canale Cinque, w którym prezentuje wyrefinowane wersje tradycyjnych sycylijskich dań.

– A nie ma żadnego faceta, który da sobie oderznąć mały palec, by pani towarzyszyć?

– *Mon dieu!* – roześmiała się Valérie. – Chyba mimo wszystko wolałabym pójść z przyjaciółką. Poza tym... Russo również został zaproszony.

Poldi nagle się rozpromieniła.

Serata nie przebiegła jednak zupełnie niezobowiązująco, bowiem gospodarz, Domenico Pastorella di Belfiore, zwany krótko Mimì, okazał się wielkim wielbicielem Hölderlina.

Rozdział 3



OPOWIADA O SPOTKANIU POLDI Z HÖLDERLINEM I ZUBOŻAŁYMI POTOMKAMI SYCYLIJSKICH BURBONÓW ORAZ O TYM, CO BYŁO DO JEDZENIA. O TYM, JAK POLDI W PRZYPLÝWIE MELANCHOLII ZALEWA SIĘ W PESTKĘ. A KIEDY TRZEŻWIEJE, DOKONUJE NIEWESOŁEGO ODKRYCIA I DZWONI POD ZŁY NUMER.

Kiedy tuż przed dziewiątą Valérie przyjechała do Torre po Poldi, by zawieźć ją do Acireale, miała na sobie przylegającą czarną sukienkę bez ramion, a do niej sportowe buty. Poldi, świeżo wykąpana, natapirowana i delikatnie poperfumowana, zdecydowała się na zwiewną, czerwoną fantazję z jedwabiu w złote smoki, z odważnym dekoltem, która dzięki emaliowanemu wisiorowi z symbolem yin i yang zyskała dodatkowy wysmakowany akcent. Co, trzeba dodać, wcale nie było konieczne, ale mniejsza o to, w końcu Poldi była kostiumolożką i powinna wiedzieć, w czym rzecz.

– Pierwsza zasada dla kobiet w biznesie mówi, że jak przychodzi co do czego, zawsze spódnica, zawsze dekolt! – wyjaśniała mi później.

– Aha – jęknąłem, nie do końca przekonany.

– Ja ci dam „aha”. W końcu byłam kostiumolożką w studiach filmowych Bavaria, to wiem. A w ogóle zapamiętaj sobie raz na zawsze, ty, z tym twoim nudziarskim stylem à la jeansy i koszulka polo w kolorze *navy blue*, w życiu obowiązuje zasada: *always overdress*. Rozumiesz? *Always overdress!* Tak mi podpowiedział swego czasu Karl Lagerfeld. Bo stara teatralna reguła mówi: subtelność w ubiorze oznacza słabość. Zapamiętaj to sobie.

Myślę, że nie życzyła mi źle. Nawet wtedy, gdy obdarowała mnie indyjskimi krawatami ze spadku po wujku Peppe. Tyle że pod względem stylu nadawaliśmy na zupełnie innych falach.

– Ale w koszulce polo jest się zawsze dobrze ubranym! – broniłem się. –
Cytuję tatę.

– Tak, z tym że twój ojciec, chłopcze, naprawdę miał styl i osobowość.
Ona naprawdę dobrze mi życzyła.

Valérie prowadziła fiata pandę jak bolid Formuły 1. Z włączonymi długimi światłami pędziła krętą *provinciale*, pro forma trąbiąc przed każdym zakrętem, hamulce zaś zdawała się mieć za wynalazek dla osób o słabych nerwach. Moja ciotka Poldi, jako że nie była całkiem trzeźwa, za to dość wygłodniała, kurczowo trzymała się siedzenia i uchwytu przy drzwiach, próbując spokojnie oddychać.

– Ród Pastorella to jedyna odnoga klanu Belfiore, która po roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym nie zubożała – objaśniała Valérie wesoło jak skowronek. – Wuj Mimì nie przepracował w normalnym zawodzie ani jednego dnia, nie musiał. Za to od trzydziestu lat pisze książkę o Hölderlinie.

– O, masz ci los – jęknęła Poldi.

Valérie nazwała swego wuja *leone di cancello* – lwem na bramie, czyli kimś, kogo w Niemczech nazwano by papierowym tygrysem. Poldi, zaprzątnięta staraniami, by nie stracić przytomności, zrozumiała tyle, że pradziadek Mimiego zdołał jakoś wytargować u Garibaldiego, że Pastorella utracą jedynie połowę swych dóbr. Co odpowiadało mniej więcej powierzchni bawarskiego powiatu Freising, łącznie ze wszystkimi pałacami znajdującymi się na jego obszarze. Od tamtej pory Pastorella di Belfiore żyli ze sprzedaży swych nieruchomości. Tutaj kawałek ziemi, tam winnica, tu willa, tam domek, tu hektar, tam hektar. Było wszak w czym wybierać. Według obliczeń Valérie sama nieprzebrana ilość ziemi i willi powinna wystarczyć jeszcze na jedno pokolenie, potem jednak *finito l'amore*. Ponieważ Mimì i Carmela nie mieli dzieci, nie musieli myśleć o skończoności naturalnych zasobów. Mimì o wiele chętniej myślał o Hölderlinie. Jeszcze chętniej o nim perorował. A już najchętniej z niespodziewanymi gośćmi z Niemiec. Ale wtedy Poldi jeszcze o tym nie wiedziała.

Podróż skończyła się w centrum Acireale, tuż za katedrą, pod niepozornym, wysokim i oblepionym reklamami oraz ogłoszeniami o różnych jubileuszach i rocznicach murem z żelazną bramą bez ozdób. Wąska ślepa uliczka była wyłożona kocimi łbami z wulkanicznego bazaltu, niewiele szersza od samochodu i słabo oświetlona nielicznymi latarniami sodowymi. Nie było to miejsce, po którym Poldi spodziewała się barokowego przepychu.

Valérie nacisnęła dzwonek przy bramie, która od razu otworzyła się automatycznie. A to, co znajdowało się za nią, zaparło Poldi dech w piersi.

Zaraz za wjazdem rozpościerał się niewielki park z akuratnie przystrzyżonymi żywopłotami, rabatami kwietnymi i podświetlanymi tańczącymi fontannami.

– Mimì lubi opowiadać, jak to Goethe nocował tu raz podczas swej włoskiej podróży i napisał potem wiersz. Proszę nie pytać który. Ale Mimì z pewnością pani powie.

Oświetlona ledowymi reflektorami aleja pieczołowicie skarłowaciających drzewek gorzkiej pomarańczy prowadziła do barokowej willi zbudowanej na planie litery U, także oświetlonej niebieskawymi reflektorami. I jakby tego było mało, po obu stronach wejścia płonęły wielkie pochodnie. Poldi nie mogła się nadziwić ukrytej lokalizacji pałacu. Jednak w przeciwieństwie do Femminamorta miejsce to emanowało mniej więcej takim urokiem jak parking pod Hipersimply. Poldi nie sądziła, by Goethe rzeczywiście kiedyś się tu zatrzymał i napisał wiersz. Najwyżej ten nieudany, *Do kruchości*.

*Widzisz tę pomarańczę?
Na drzewie wisi wciąż
Marzec już przeminął
I kwiaty nowe idą.
Podchodzę do drzewa
I mówię: „Pomarańczo,
Dojrzała pomarańczo,
Słodka pomarańczo,
Potrząsam, muskam, potrząsam,
O, spadnij na łono me!”¹*

Ale to nie duch Goethego unosił się w domu Pastorella, tylko duch Hölderlina. Poldi natknęła się nań już przy wejściu. Kątem oka dostrzegła cień, który niemal bezszelestnie wystrzelił ku niej z mroku.

Jak mówiłem, moja ciotka lubiła psy.

Z jednym wyjątkiem: nie lubiła tych o gładkich mordach, skośnych ślepiach, uszach jak u nietoperza. Tych połyskujących czarno kłębow mięśni na długich łapach. Dla Poldi stanowiły uosobienie perfidii.

Doberman wyrósł przed nią jak spod ziemi. Spory samiec z wielkimi

jajami sięgał Poldi niemal do piersi i warczał na nią złowrogo. Było to ostrzeżenie, tak wstrząsająco jednoznaczne, że krzyk uwiązł jej w gardle. Wydała z siebie piskliwy charkot i stanęła jak wryta, zamieniając się w słup soli.

Valérie zareagowała podobnie. Już po sekundzie jednak otrząsnęła się i nakrzyczała na dobermana.

– Ty bydlaku! A kysz, *Olderlin!* A kysz! Won stąd!

Doberman ani myślał jej słuchać. Wręcz przeciwnie: jeszcze groźniej wyszczerzył swe nieskazitelne zębiska i spiął się do skoku ku gardłu. Poldi nie miała wątpliwości, że to jej koniec. I przeszło jej przez myśl, że perspektywa ta jednak jest do dupy.

– A marskość wątroby to nie? – wyrwało mi się, kiedy opowiadała mi o tym później.

– Oj tam, co ty tam wiesz. Gadasz już jak Teresa. A o bólu to ty nie wiesz nic.

– No to mów, słucham.

– Nie, nie słuchasz, tylko się wtrącasz i mądrzysz, już jako dzieciak taki byłeś. Wiesz, co kiedyś powiedział mi twój ojciec? Że to szczęście, że nie mówisz lepiej po włosku, bo zagadałbyś wszystkich na śmierć.

– To czemu, przepraszam bardzo, tu siedzimy?

– Bo nadzieja umiera ostatnia – wyjaśniła ciotka Poldi.

I tak wróciliśmy do tematu. Do umierania. Nadziei. Hölderlina.

– Hölderlin! Siad!

Odsiecz nadeszła w postaci siwowłosego dżentelmena w trzyczęściowym garniturze, o delikatnych dłoniach, afektowanych ruchach, mówiącego szeptem. Po niemiecku.

– „Seid gegrüßt, ihr Zufluchtsvolle Schatten, / Ihr Fluren, die ihr einsam um mich ruht; / Du stiller Mond, du hörst, nicht wie Verleumder lauren, / Mein Herz, entzückt von Deinem Perlenglanz”².

– No, też właśnie o tym pomyślałam – zauważyła jadowicie Poldi.

Hölderlin jednak zareagował na te wersy jak na gromowładny głos Jowisza, zredukował warkot z poziomu dziesiątego do trójki, położył po sobie uszy nietoperza i przysiadł grzecznie na swych ogromnych jajach.

– Wybaczcie, proszę, dzieci – wyszeptał gospodarz i poklepał dobermana po łbie. – Hölderlin przechodzi właśnie fazę burzy i naporu! A przy tym ma tak delikatną duszę.

Mimì przelotnie cmoknął Valérie w oba policzki i skierował całą swą uwagę na Poldi, a właściwie na jej dekolt.

– Pani to zapewne donna Isolde – przywitał ją po niemiecku i pocałował w rękę. – Jestem nadzwyczaj uradowany.

– Poldi. Po prostu Poldi – zadeklarowała ciotka, powoli odzyskując rezon.

– Ależ jakie to niewyszukane imię jak na taką... – Mimì aż musiał przełknąć – ...zjawiskową piękność, signora. Skąd pani jest?

– Torre Archirafi. Via Monachium.

– Ach! Monachium leży niedaleko Tybingi, nieprawdaż?

– To jakby tuż za rogiem.

Mimì popatrzył na nią promiennie i nadstawił jej ramię.

– Lubi pani Hölderlina?

Poldi zerknęła z ukosa na dobermana, który właśnie oddalał się lekceważącym truchtem.

– No cóż, mieliśmy raczej trudne relacje.

– Proszę mi zaufać, donna Isolde, otworzę przed panią nowy kosmos.

Nie troszcząc się o Valérie, Mimì wprowadził ciotkę Poldi do domu i przedstawił jej swoją żonę. Carmela była dobre trzydzieści lat młodsza, ale Poldi nie miała co do tego całkowitej pewności, bowiem wyraźnie „zrobiła” sobie to i owo, gdyż zdarty nosek, lekko nabrzmiałe wargi i dołeczki nieco kłóciły się z jej klasycznie grecką twarzą. Poza tym miała perfekcyjnie wypielęgnowane dłonie i figurę wskazującą na wielką dyscyplinę. Kobieta przy każdym gościu odchyłała mały palec, tak jak należy, podzwaniając przy tym całą orkiestrą bransoletek, łańcuszków i kolczyków. Poldi jakoś inaczej wyobrażała sobie kucharkę w akcji.

Co za dzień!, pomyślała i z ulgą dostrzegła młodego Marokańczyka w czerwonej liberii, snującego się wokół z tacą pełną kolorowych *aperitivi*, jakby musiał jej bronić. Poldi skierowała się wprost ku niemu, wlała w siebie pierwsze dwa drinki, wzięła trzeciego na zapas i od razu poczuła się odświeżona i posilona, gotowa sprostać temu, co przyniesie wieczór.

Zachwycony swym niespodziewanym niemieckim gościem o niesamowitym biuście, Mimì prowadził ją dokoła, poklepywał po dłoni, zaglądał w dekolt i szeptem przedstawiał niespełna tuzinowi gości, którzy zebrali się w salonie wokół stołu. Większość z nich była już po osiemdziesiątce, pochyleni starcy w szarych garniturach i drobniutkie, elegancko ubrane wiekowe panie. Poldi przyszyły na myśl suszone figi

i kandyzowane owoce. Całą uwagę skupiła jednak na mężczyźnie na wprost, który nie spuszczał z oczu Valérie.

Ciotka Poldi zupełnie inaczej wyobrażała sobie Italo Russo. Raczej jako obleśnego mafiosa jak z filmu czy telewizji, z brzuszkiem, wąsikami i wypomadowanymi włosami, bez marynarki i w szelkach. Wujek Martino wyjaśnił jej, że niedbały ubiór jest typowym elementem mafijnego stylu i że bossowie Cosa Nostra przywiązywali wielką wagę do tego, by traktować swą powierzchowność w sposób skrajnie nonszalancki. Ja jednak sądzę, że to tylko mit, będący pozostałością po czasach powojennych.

W rzeczywistości Poldi znalazła się na wprost przystojnego, opalonego pięćdziesięciolatka w jeansach i pomarańczowej koszulce polo, niemal bez brzuszka, za to z ogoloną czaszką i jasnymi, rozbieganymi jaszczurczymi oczkami, widzącymi wszystko i emanującymi wyluzowaną pewnością siebie. Zupełnie jakby ta willa wraz całą jej zawartością należała do niego. Albo wkrótce miała należeć. Poldi nie mogła się powstrzymać i wyobraziła go sobie w policyjnym mundurze. Pozostali goście i Mimì traktowali go ze szczególnym szacunkiem. Jeden zachowywał się wręcz przesadnie: czterdziestoparoletni mężczyzna, który już bardziej odpowiadał stereotypowi mafiosa – śniady, niedokładnie ogolony, z łupieżem na kołnierzyku koszuli. Przez cały czas ciamkał grissini i orzeszki, dłubał paznokciami w zębach i podążał za Russo jak piesek.

– Co to za obleśny typ? – szepnęła Poldi do Valérie.

– Corrado Patanè. Przedsiębiorca budowlany z Riposto.

– A czemu tak włazi Russo do tyłka?

Valérie wzruszyła ramionami.

– Prawdopodobnie obiecuje sobie jakiś kontrakt, jeśli Russo będzie dalej ekspandował. Obleśny, ale niegroźny.

Poldi to nie przekonało. Instynkt podpowiadał jej coś innego. Mimo to przecisnęła się między oboma mężczyznami i wyciągnęła rękę do Russo.

– Cóż za zbieg okoliczności, że się tu spotykamy! Okazuje się, że wcale nie musiałam się mierzyć z pana brutalnymi goryłami, żeby z panem porozmawiać!

Russo przytrzymał jej rękę i popatrzył jej badawczo w oczy.

– Przykro mi, jeśli spotkały panią nieprzyjemności. Ale mamy bardzo surowe przepisy dotyczące bezpieczeństwa.

– Żeby nikt wam nie pokradł palm?

Russo uśmiechnął się.

– W jakiej sprawie chciała pani ze mną rozmawiać?

– Chciałam tylko się dowiedzieć, gdzie jest Valentino. Valentino Candela. Pracuje czasem dla pana.

– Wiem. To pani jest tą signorą z Niemiec, której Valentino robi zakupy, prawda? Cieszę się, że mogę poznać panią osobiście. Valentino bardzo panią podziwia.

– Ach, opowiadał panu o tym? Więc pewnie wie pan również, gdzie się podziwia.

Russo zachował całkowity spokój. Nawet mrugnięciem nie zdradził nerwowości.

– Muszę panią rozczarować. Valentino od trzech dni nie pojawił się w pracy. Brygadzysta pytał o niego jego rodziców, ale oni też nie wiedzieli, co się z nim dzieje. W porządku, skoro nie chce pracować – jego decyzja, nikt go nie zmusza.

– To zabrzmiało tak, jakby pan był obrażony.

Russo uśmiechnął się znowu.

– Valentino to młody chłopak z wielkim potencjałem. Gdyby tylko był trochę bardziej sumienny.

I na tym, wydawało się, zakończył rozmowę, bowiem zwrócił się ponownie ku Patanèmu, który stał obok Poldi i obserwował ją nerwowo.

– To może wie pan, gdzie można znaleźć drugiego lwa z bramy Femminamorta – dodała Poldi, lecz i to pytanie nie wyprowadziło Russo z równowagi.

Mężczyzna zwrócił się do Valérie:

– Zniknął pani lew, *signorina*? To bardzo przykre!

I na tym sprawa się zakończyła, bowiem Carmela klasnęła w dłonie.

– Możemy zaczynać, dzieci!

Goście momentalnie rzucili się do krzeseł, jakby wybuchła masowa panika. Mimì ujął Poldi za rękę i galanteryjnie poprowadził ją do końca stołu.

– Proszę zostać u mego boku, donna Isolde. Muszę pani opowiedzieć o mojej biografii Hölderlina.

Poldi zauważyła, że Patanè omal nie odepchnął jednej ze starszych jejmości, byle móc siedzieć obok Russo.

Ciotka chętnie kontynuowałaby rozmowę z Russo, ale przez kolejne dwie godziny nie miała okazji do głębszych dociekań. Podano bowiem do stołu.

A menu było następujące:

Risotto ai fiori d'arancio

Timbalo di pasta ripieno di ragù

Frittata di masculini

Caponata

Sorbetto di olio d'oliva

Involtini di pesce spada

Sarde a beccafico su Finocchio selvatico

Cassata della nonna

Formaggi e profumi della Sicilia

Dwaj Marokańczycy w liberiach niezmordowanie wnosili półmiski, wazy i talerze, jakby mogli czerpać z jakiegoś podziemnego, nigdy niewysychającego źródła wspaniałości. Poldi wspomniała własną mordęgę przy jednej tylko pieczeni wieprzowej i poczuła podziw dla Carmeli, która przyrzadziła to wszystko, a jednak wciąż wyglądała świeżo jak kwiat pomarańczy o poranku.

Jak wspomniałem, gości było dwanaścioro, ale jedzenia dla trzydzieściora. Wina jednak jak dla czworga, co wywołało u Poldi pewne niezadowolenie. Z przyjemnością zaobserwowała jednak, że czworonogi Hölderlin tkwił z mordą wciśniętą w krocze Russo i się nie ruszał. Russo też nie.

– Mam dobermanów od pięćdziesięciu lat – objaśnił szeptem Mimì. – I każdego z nich nazwałem Hölderlin.

– To też jakaś forma nieśmiertelności – wyrwało się Poldi.

Valérie o mały włos się nie udławiła.

Mimì zaklaskał w dłonie.

– Brawo, donna Isolde! Wreszcie dusza, która rozumie mnie na wskroś.

Tym samym przerwana została tama skromności i dystygowanej powściągliwości. Forza Hölderlin. Hölderlin *rules the waves*. Przechylny w stronę Poldi jak przeciążona dżonka, wniebowzięty Mimì przez cały wieczór trajkotał o swym idolu z Tybingi, recytował hymny, patriotyczne wiersze i *Hyperiona*, perorował o – rzekomym jego zdaniem – obłędzie poety, o latach spędzonych przez niego w pokoju na wieży w Tybindze oraz kryjącym się za tym – o czym również był przekonany – spisku wolnomularzy.

– Mogę udowodnić, donna Isolde, że Hölderlin objawia w swych wierszach pradawną tajną wiedzę. Zakodowaną, naturalnie. Hölderlin nie tylko był największym poetą niemieckim, ale i geniuszem kryptologii. Jestem o krok od odszyfrowania kodu i tym samym ujawnienia prawdy, która wstrząśnie światem.

– Jest gdzieś jeszcze wino? – zawołała desperacko Poldi, zastanawiając się, co ona tu, do diabła, robi. Mimì pytował bez chwili przerwy. Po pozostałych gościach widać było ulgę, że mogą się całkowicie skupić na jedzeniu. Valérie dziobała w swoim talerzu i starała się ignorować Russo, który z kolei przez cały czas obserwował ją z przeciwległej strony stołu. A ponieważ Poldi tą kapką wina nie mogła porządnie dać w gaz, rozmyślała o tym, co takiego mogło zajść między tym dwojgiem. Patanè z kolei ani na sekundę nie spuszczał wzroku z Russo, wyglądał na spiętego, jakby gotował się do skoku. Mlaskał, żuł, przełykał, wzdychał, obzerał się i bekał bez przerwy, z nikim nie rozmawiał i nawet nie zadawał sobie trudu, by choć udawać uprzejme zainteresowanie innymi gośćmi.

Ponieważ z braku wina u Poldi jakoś nie chciał się wykształcić rausz, ciotka najpierw popadła w melancholię, a potem w ciężkie przygnębienie. Jej serce przykrył znajomy cień, niczym ciężka, aksamitna kotara, pod którą można było zasnąć lub się udusić. A najchętniej i jedno, i drugie. Poldi myślała o swoim Peppe, o Johnie, o domu w Tanzanii, o wszystkich ludziach, rzeczach i nadziejach, które utraciła. O tych niezliczonych razach, gdy w coś się wmieszała i rozpieprzyła w drobny mak. Myślała o Valentino, który najprawdopodobniej leżał teraz u boku jakiejś dziewczyny. I uznała, że ten dzień jest niczym więcej jak jedną wielką, zasraną stratą czasu. Słyszała obok siebie głos Mimiego, który powstał z miejsca i wyrecytował wiersz Hölderlina. Najpierw po niemiecku, a potem we włoskim tłumaczeniu: „Das Angenehme dieser Welt hab‘ ich genossen, / Die Jugendstunden sind, wie lang! wie lang! verflossen, / April und Mai und Julies sind ferne, / Ich bin nichts mehr, ich lebe nicht mehr gerne!”³.

I to chwyciło Poldi za duszę. Trafiony, zatopiony. Poczula na ramieniu rękę Valérie.

- Poldi? Wszystko w porządku?
- Tak. Jasne. A co ma być?
- Pani płacze.
- Nie, nie płaczę.

– Ależ tak! Cała pani dygocze.

Dopiero teraz Poldi zdała sobie sprawę, że wszyscy się w nią wpatrują. I że Valérie podaje jej chusteczkę.

– Dziękuję – pociągnęła nosem, wydmuchała go hałaśliwie i od razu poczuła się ciut lepiej. Zwróciła się do Valérie: – Czy mogłaby pani zawieźć mnie do domu?

I to był koniec wieczoru. By całkiem o nim zapomnieć, Poldi cały kolejny dzień spędziła w swej zaciemnionej sypialni przy Via Baronessa, leżąc w łóżku z butelką wódki, pijąc i użalając się nad sobą. Słyszała szalejące na zewnątrz dzieci i rajcujących sąsiadów, śmiechy i sprzeczki, terkotanie skuterów i paplanie kwizów w telewizji, słyszała morze i inne dźwięki z wolna mijającego dnia, kończącego się długim, przytłumionym westchnieniem. Nie wyszła na zewnątrz, nie otwierała drzwi, nie odbierała telefonów. Tylko piła i żywiła nadzieję, że jej wątroba i serce rychło zawiodą i wreszcie nastąpi koniec.

Czego nie zrobiły. Pracowały dalej. Wiedziały lepiej.

Po przełajdaczonym dobie kolejnej nocy Poldi dopadła bezsenność. Wątroba pracowała wszak na pełnych obrotach, zachrzaniała niejako na dodatkowej zmianie, by zneutralizować cały ten alkohol. Do tego doszedł przepełniony pęcherz, a punktualnie między trzecią a czwartą w nocy powróciło pragnienie, niczym gniewny, porzucony kochanek. Zazwyczaj Poldi brała pół tabletki diazepamu i spała do popołudnia. Ale nie tego poranka. Obudził ją sen jak nieprzyjemny, metaliczny odgłos, ale nie mogła sobie przypomnieć, o czym był. Tyle tylko, że na jej piersi położył się cień, ciężki i niedający się przesunąć. Niespokojnie obracała się z boku na bok, jednak wypięła tylko wodę i wzięła dwie aspiryny. Rozdygotana, zaparzyła kawę, zjadła dwa tosty, podlała kwiatki w patio, zjadła kolejne dwa tosty. Drżączka i wspomnienie koszmaru nie chciały jej jednak opuścić. O piątej nad ranem, wraz z pierwszym nieśmiałym brzaskiem, nie mogła już wytrzymać, ubrała się i pojechała do Praioli, by wrzucić do morza jakiś piękny kamyk dla Peppe i może popływać trochę przy wschodzącym słońcu.

Nic z tego nie wyszło.

Dostrzegła go już w chwili, gdy parkowała. Cień w półmroku, rozlany na wyszlifowanych do okrągłości wulkanicznych kamieniach. Plama zaledwie, zapomniany przez morze, wyrzucony na brzeg przedmiot. Było słycać tylko

brzęczenie much i leniwe pluskanie fal, jakby nawet morze jeszcze się nie obudziło. I w tym momencie Poldi już wiedziała, co ją wyrwało ze snu.

I co za chwilę zobaczy.

Ostrożnie, ale zdecydowanie balansowała po dużych, okrągłych kamieniach, zbliżając się do leżącej na plaży postaci, jakby nie chciała jej budzić. Był przecież jeszcze taki młody. Młodzi mężczyźni potrzebują dużo snu.

– Valentino? – Jej głos zabrzmiał chrapliwie jak skrzeknięcie kociaka.

Valentino leżał wyciągnięty na wznak. Poldi rozpoznała go od razu po wytatuowanej na lewym przedramieniu *trinacrii*, trójnogiej Meduzie, symbolu Sycylii. Nie mogła go rozpoznać po pięknej, arabsko-normańskiej twarzy, gdyż ktoś strzelił w nią z niewielkiej odległości luparą. Kiedy podeszła bliżej, nad głowy leżącego uniósł się rój much.

Poldi z jękiem opadła na kolana. Tkwiła obok zwłok i kwiliła cichutko, jakby tą prastarą żałobną pieśnią mogła przywrócić mu życie. Żwirowe kamyki uwierały ją bolesnie w kolana, ale ledwie to czuła. Sięgnęła po lewą dłoń chłopca, tak samo zimną, twardą i suchą jak kamienie na plaży.

– No wiesz, Valentino. Czemu nie wspomniałeś ani słowem...?

Poklepała tę jego zimną dłoń i popatrzyła na morze oraz wschodzące słońce, byle nie patrzeć na niego. To nie były jej pierwsze zwłoki, zresztą ciotką niełatwo było wstrząsnąć, ale widok zmasakrowanej twarzy, co zrozumiałe, bardzo ją poruszył. Odwróciła wzrok i spróbowała skupić się tylko na jego dłoni, brudnych paznokciach i znajomym tatuażu.

W końcu przemogła się i popatrzyła na jego twarz.

– I wtedy coś mu obiecałam – wyjaśniła mi później. – To był praktycznie taki automatyzm, wiesz. Uwarunkowany genetycznie.

– Chcesz powiedzieć coś w rodzaju... kryminalistycznego instynktu? – Przypomniałem sobie swoje przerwane studia psychologiczne.

– Nonsens. To instynkt łowcy. – Popatrzyła na mnie. – To albo się ma, albo się nie ma.

Twarz Valentino wyglądała naprawdę strasznie. Ledwie można było rozpoznać oczy, nos i usta: stanowiły krwawą miazgę ze strzępów tkanki i kawałków kości. Ale Poldi dokładnie jej się przyjrzała, pomimo much i wzbierających mdłości. Krew już zaskorupiała. Poldi ostrożnie uniosła głowę chłopaka i delikatnie położyła ją z powrotem. Zawahała się chwilę, przemogła, odetchnęła głęboko – i z determinacją sięgnęła do kieszeni jego

spodni. W lewej znalazła tylko czerwonawe ziarnka piasku. Za to w prawej było trochę bilonu, a pośród monet... malutki kawałek mozaiki, całkiem podobny do tego, który zabrała z jego pokoju. Kobaltowoniebieski, glazurowany odłamek ceramiki wielkości jednocentowej monety. Niewiele myśląc, włożyła monety z powrotem do kieszeni Valentino, odłamek zaś zachowała. Telefonu komórkowego nie było.

Poldi wiedziała, że najwyższa pora zawiadomić policję, ale przedtem przyjrzała się jeszcze otoczeniu zwłok. Dopiero kiedy słońce opadło nad horyzont, na miękkich nogach wróciła do samochodu, gdzie zostawiła komórkę. I wybrała 112.

A to oznaczało, że w swym wzburzeniu wybrała zły numer, gdyż zamiast *polizia di stato*, która miała numer 113 i zajmowała się zabójstwami, zadzwoniła po *carabinieri*, którzy w takich wypadkach byli instytucją nieco mniej właściwą.

Państwo włoskie utrzymuje iście babilońską różnorodność policyjnych struktur: *polizia di stato*, *carabinieri*, *guardia di finanzia*, *polizia penitenziaria*, *corpo dorestale dello stato*, *guardia costiera*, *polizia municipale* (to ukochani przez Poldi *vigili urbani*), *corazzieri* ochraniający prezydenta kraju, *polizia provinciale* i *polizia locale*. Plus rozmaite jednostki specjalne do zwalczania terroryzmu, mafii i do ochrony państwa. Niemal każda z nich podlega innemu ministerstwu. Mało kto jest w stanie się w tym rozeznąć, z wyjątkiem Poldi, oczywiście, z jej bogatym doświadczeniem w dziedzinie mundurowej męskości.

Zakres jurysdykcji *carabinieri*, czyli włoskiej żandarmerii, leży raczej w regionach wiejskich, a oni sami mają opinię zbieraniny wiejskich głupków i imbecyli. Być może jest tak za sprawą ich operetkowych mundurów galowych ze srebrnymi epoletami, szkarłatnymi klapami i monstualnymi kapeluszami trójrożnymi, zwanymi *lucernami*. Kogo nie przyjmą w żadne inne policyjne struktury, ten na pewno zasili szeregi *carabinieri*. Tak się mówi. I dlatego *carabinieri* są ulubionym celem drwin na poziomie kawałów o blondynkach. Takich jak choćby klasyczny dowcip: Dlaczego *carabinieri* zawsze patrolują w trójkę? Dlatego, że jeden umie czytać, drugi pisać, a trzeci pilnuje tych dwóch niebezpiecznych intelektualistów. Boki zrywać. Albo ten: Stoi dwóch *carabinieri* na ulicy. Jeden mówi: „Patrz, martwa mewa!”. Drugi spogląda w niebo i pyta: „Eee... gdzie?”.

Wszystko to naturalnie jest stekiem złośliwych bzdur rozpowszechnianych

przez lud, bowiem policja włoska działa nie mniej profesjonalnie niż, dajmy na to, niemiecka.

Trzeba wiedzieć, że *carabinieri* konkurują z *polizia di stato*. Właściwie jest to piękna, demokratyczna idea, by chronić państwo przed nadmiarem władzy policyjnej, pozwalając jednej policji kontrolować inną. Tyle że w praktyce prowadzi to do korowodów, przepychanek o kompetencje i ciągnących się w nieskończoność procedur. I właśnie do tego doszło na plaży w Praioli. Poldi bowiem zaraz zauważyła swoją pomyłkę i dodatkowo wykręciła 113, by zgłosić znalezienie zwłok.

Dziesięć minut później z piskiem opon nadjechali *carabinieri*. Z alfa romeo wysiadło dwóch funkcjonariuszy w granatowych mundurach z szykownymi czerwonymi lampasami na spodniach. Jeden z nich był już nieco starszy, z pomarszczoną, zatroskaną twarzą, drugi zaś – młodziutki, jakby świeżo zerwany z drzewa, z wyregulowanymi brwiami i idealnym paseczkiem zarostu wzdłuż linii szczęki.

Poldi wycofała się do swojego samochodu i pomachała do nich niemrawo.

– To pani dzwoniła? – warknął starszy.

– Tak. – Poldi pokazała w kierunku plaży. – Nazywa się Valentino Candela.

Młodszy ruszył niepewnym krokiem po kamieniach.

– Niech kolega uważa, żeby nie zdeptać śladów.

Młody policjant nachylił się nad zwłokami, po czym nagle cofnął. Zasłonił dłońmi twarz, odwrócił się i zawołał:

– O, Boże! Madonna, to okropne!

Starszy stał chwilę niezdecydowany, popatrując to na zaszokowanego kolegę, to na kobietę w peruce, która siedziała w starej alfie na monachijskich numerach. Położył rękę na kaburze.

– Signora, proszę wysiąść. Tylko bardzo powoli.

– Słucham?

– Dobrze mnie pani zrozumiała.

– Ale chyba nie sądzi pan...

– Nie będę powtarzał dwa razy! Wysiadać! – jednak powtórzył.

Poldi z westchnieniem wygramoliła się na zewnątrz. Z uniesionymi rękami stanęła obok samochodu, ściskając w dłoni dowód osobisty.

– Proszę się odsunąć od wozu, signora... Dobrze, wystarczy.

– Znalazłam go tak, jak leży.

- Nazwisko?
- Powiedziałałam już: Valentino Candela.
- Nie, pani nazwisko!
- Isolde Oberreiter.
- Niemka?

Młodszy przykuśtykał z powrotem. Poldi zauważyła, że płacze, i zrobiło się jej go żal.

- Tak, Niemka – westchnęła. – Ale zamieszkała w Torre Archirafi.
- Młodszy wlepił w nią wzrok. Starszy zajrzał do alfy.
- Kiedy znalazła pani zmarłego?
 - Pół godziny temu.
 - Co pani robiła sama na plaży o tej porze?
 - Pływałam.
 - Tak wcześnie rano?
 - Jestem Niemką. My tak robimy.

Ten argument przekonał ich obu. Sprawdzili dowód Poldi, litera po literze zanotowali nazwisko oraz numery rejestracyjne. Ciotka właśnie miała zauważyć z irytacją, że najwyższa pora zawiadomić ekipę techników od zabezpieczania śladów, medyka sądowego, a przede wszystkim policję kryminalną, kiedy z wielką prędkością nadjechał fiat *polizia di stato* i cała polka zaczęła się na nowo.

Z samochodu wysiadło dwóch funkcjonariuszy, jeden młody, drugi nieco starszy. Młodszy polazł na plażę, obejrzał zwłoki, odwrócił się, zaszokowany, i wrócił z płaczem. Starszy zaś wszczął sprzeczkę z kolegami:

- Franco! Co wy tu, do diabła, robicie, pajace?
- O to samo mógłbym zapytać ciebie, Pippo.
- Wezwano nas.
- Nas również.
- To pani nas wezwała, signora?
- Tak.
- Widzisz? Możecie się zbierać, gamonie. To nasza sprawa.
- Jaki numer pani wybrała, signora? 112 czy 113?
- Oba.
- OBA???

Zamilkli w osłupieniu.

- No to ładne bagno.

– I co teraz?

Czwórka policjantów wpatrywała się z niepokojem w okaleczone zwłoki Valentino.

– Nie ma problemu – powiedział w końcu starszy z policji państwowej. – Wy byliście pierwsi, my się wycofujemy.

– E, nie tak prędko, Pippo! Możecie przejąć tę sprawę.

– Akurat, patałachy. Marco, zbieramy się!

Starszy z policji państwowej machnął ręką na młodszego kolegę i zaczął się zbierać do odejścia.

– Ona zna ofiarę! – zawołał starszy *carabiniere* i wskazał na ciotkę.

Policjant państwowy obrócił się i popatrzył ostro na Poldi, jakby chciał pokazać, jak powinno się atakować.

– To pani go zastrzeliła, signora?

– Nie.

– To skąd pani wie, kim on jest?

– Poznałam po tatuażu na ręku.

– Aha. A skąd pani zna ofiarę?

– Valentino. Nazywa się Valentino Candela. Pomagał mi w pracach domowych. Zniknął cztery dni temu.

– Aha. A co pani robiła na plaży akurat dziś rano?

– Pływałam.

– Pływała pani?

– Ona jest Niemką.

– Rozumiem.

Milczenie.

– Niezły pasztet, co, Pippo?

– Tak to można nazwać.

– Myślisz to, co ja?

– Tak. Nie widziałem czegoś takiego od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego.

– Dotykała pani czegoś, signora?

– Wzięłam go za rękę.

– Co takiego?

– Trzymałam go za rękę.

– Po co, do diabła, trzymała go pani za rękę?

– Bo... bo było mi go żal.

To w jakiś sposób trafiło do Pippo i Franco. Nie odezwali się ani słówkiem. Palili papierosy, wciąż nie mogąc się otrząsnąć z szoku. Dwaj starsi się naradzali.

– Musimy wezwać ekipę od zabezpieczania śladów i wydział zabójstw.

– Waszych czy naszych?

– Jednych i drugich.

Niezdecydowanie popatrzyli na morze, omijając wzrokiem zwłoki Valentino.

– Co za pieprzone bagno.

– Jak w osiemdziesiątym ósmym.

– Jak się nazywał tamten facet?

– Valentino Candela.

– Nie, ten w osiemdziesiątym ósmym.

– Totò Scafidi.

– Rzeźnik Totò, dokładnie. Straszna sprawa. Też załatwili go luparą.

Morze krwi.

Poldi uznała, że już nie będzie potrzebna. Roztrzęsiona, z lekkim bólem głowy, wróciła do samochodu. Musiała prędko czegoś się napić.

– Czy pani zdaje sobie sprawę, że mogła zatrzeć mnóstwo śladów, signora?

– Zbrodni i tak nie popełniono tutaj – wyjaśniła Poldi, rozdrażniona. – Jak zapewne panowie zauważyli.

– To mógł wiedzieć tylko sprawca! – zawołał młody policjant państwowy o imieniu Marco, a dwaj starsi odruchowo sięgnęli ku kaburom.

– Stać!

– Nie ruszać się, signora!

– Ej, chłopaczku, tylko się tak nie nadymaj – jęknęła Poldi, mamrocząc pod nosem po niemiecku, po czym dodała po włosku: – Jadę do domu, mam tego dosyć. Macie mój adres i wszystko, co trzeba.

– Nigdzie pani nie jedzie!

– Jest pani podejrzana o dokonanie zabójstwa.

– Byli jak echo, ci dwaj – opowiadała mi później ciotka Poldi. – Jak stare zrędlive małżeństwo. Wiesz, czasem to nawet się cieszę, że Peppe i ja nie zestarzeliliśmy się razem. Jak tak patrzę na niektóre pary, to wolałabym od razu wyciągnąć kopyta.

Sięgnęła po whisky, ale odsunąłem butelkę poza jej zasięg.

– Podejrzana o dokonanie zabójstwa – powtórzyłem, żeby odwrócić jej uwagę. – I co było dalej?

– No wiesz, zatrzymali mnie, jełopy jedne, do czasu przybycia kryminalnych. Co w sumie okazało się nawet całkiem korzystne.

– Bo w ten sposób poznałaś Montanę.

– Oj, coś ty taki niecierpliwy! Jeśli przez wszystkie sceny przelatujesz w takim tempie, to potem się nie dziw, że czytelnik się zniechęca, zestresowany. W spokoju siła. W seksie i w sztuce jednakowoż.

– Każda sztuka jest dozwolona, tylko nie nudna – odciąłem się. – Wolter.

Poldi upiła łyczek i popatrzyła na mnie przeciągle.

– Nie wierzysz mi, prawda? Myślisz, że kłamię. Że wszystko to sobie wyssałam z palca.

Nie, wcale tak nie myślałem. A nawet jeśli...

– Podejrzana o dokonanie zabójstwa – powiedziałem.

Rozdział 4



OPOWIADA O TYM, JAK POLDI ZOSTAJE PRZESŁUCHANA PRZEZ COMMISSARIO O PIĘKNYCH OCZACH I UJAWNIA SIĘ JAKO EKSPERTKA OD ŚLADÓW KRYMINALISTYCZNYCH. JAK W TORRE ARCHIRAFI ZACZYNAJĄ KRAŻYĆ PLOTKI, A W POLDI KIEŁKUJE PIERWSZE PODEJRZENIE. O TYM, JAK POMIMO SUBTELNEJ EROTYKI COMMISSARIO OKAZUJE SIĘ TWARDYM ORZECEM. O KŁÓTNI POLDI ZE ŚMIERCIĄ, O PODJĘCIU DECYZJI I PIERWSZEJ WSKAZÓWCE DOTYCZĄCEJ MOTYWU ZBRODNI.

Wkrótce na plaży w Praioli zapanował upał. Poldi siedziała w swoim samochodzie, uwięziona w pęcherzu gorąca, głupoty i policyjnych taśm, i oblewała się potem. Przypatrywała się, jak mężczyźni w papierowych kombinezonach odgradzają taśmami fragment plaży, znaczą skały farbą w sprayu, wtykają w ziemię chorągiewki i robią zdjęcia. Wszystko toczyło się tak powoli, jakby miało miejsce na szczycie Himalajów. Lekarz sądowy wydłubał coś spod paznokci Valentino, zgubił wydłubaną drobinę, poszukał jej gorączkowo, wreszcie znalazł na kamieniach, popatrzył dokoła i pośpiesznie wetknął okruch do szklanej rurki. Poldi westchnęła.

Procedury policyjnego dochodzenia były jej znane od dziecka, dlatego spokojnie czekała na kogoś z wydziału zabójstw, aby wreszcie wyjaśnić nieporozumienie i móc pojechać do domu.

Ale zamiast wydziału zabójstw na miejscu zjawiali się kolejni *carabinieri* i policjanci, którzy mieli za zadanie trzymać na dystans pierwszych gapiów albo tylko gawędzili ze sobą, raz po raz rzucając podejrzliwe spojrzenia w kierunku mojej ciotki. Dojazd do plaży był kompletnie zastawiony radiowozami.

Nikt nie podał Poldi wody, nikt też nie zadawał jej więcej pytań. Nawet

dwaj młodzi policjanci, którzy mieli jej pilnować i na wszelki wypadek odebrali jej kluczyki, pozwolili jej po prostu się pocić, gapiąc się na nią od czasu do czasu.

– Ale fajką to moglibyście poczęstować, chłopcy.

Młodzieńcy wymienili spojrzenia. W końcu, jak skazańcowi, dali jej jednego MS-a.

Poldi zamknęła oczy, wystawiając twarz do słońca. Paliła papierosa, myślała o Valentino i swoich własnych wstępnych ustaleniach. Zgodnie z nimi była w tej chwili ostatnią osobą, która widziała chłopca żywego.

Na jej twarz padł cień.

– Signora Oberreiter?

Otworzyła oczy. Na wprost niej stanął mężczyzna w jasnoszarym garniturze. Jak na jej gust, był może ciut zbyt niski, a na jego twarzy malowała się ponura mina kogoś, kto właśnie rzucał palenie. Miał minimalne załążki brzuszka, ale poza tym wszystko pięknie umięśnione, czarne, nie za krótkie włosy, ostry nos. Twarz greckiego boga, jakby odlana z brązu, z brodą lekko przyprószoną siwizną. Twarz bez śladów zmęczenia. Małe gniewne bruzdy między brwiami, a wokół oczu zmarszczki mimiczne. Dłonie pianisty, drobne, ale silne, z daleko odchylonym kciukiem, co zdradzało siłę woli. A na siłę woli to Poldi się znała.

– Nazywam się Vito Montana, prowadzę dochodzenie. – Mężczyzna okazał legitymację służbową. Poldi rozpoznała starsze paszportowe zdjęcie i słowa „*commissario capo*”. Aha, nadkomisarz. – Chciałbym zadać pani kilka pytań.

– A pan z jakiego klubu, *commissario*?

– Policja państwowa. – *Commissario* wskazał na alfę Poldi. – Też taką kiedyś miałem.

– Nie zamordowałam Valentino.

Montana skinął głową, jakby to od początku było oczywiste.

– Domyśla się pani, kto mógł to zrobić?

Poldi zaprzeczyła i popatrzyła na dłonie Montany.

Kiedy wieczorem opowiadała o wszystkim szwagierkom, ciotka Teresa, pragmatyczna jak zawsze, zapytała:

– Obrączka?

– Zero przecinek zero. A te jego oczy! – westchnęła Poldi. – Jasnozielone i ciągle w ruchu. Ale zupełnie inne niż u Russo. Nie takie... czyhające. Tylko uważne, otwarte, no wiecie, zainteresowane.

Teresa, Caterina i Luisa pokiwały głowami, bo na pięknych oczach to one się znały.

Ale z oczu *commissario* Poldi natychmiast wyczytała też wielkie zmartwienie, pomimo zmarszczek mimicznych, które zadawały kłam jego ponurej minie. Uznała, że musiał mieć pod sześćdziesiątkę, a więc nie był ani trochę za młody. I chociaż, niestety, nie był w mundurze, jedno było pewne: mężczyzna jej się podobał. To był ten moment, w którym w trzewiach Poldi pojawił się swoisty głód, bolesne wrzenie, które prędko rozprzestrzeniło się po całym ciele i objęło je płomieniami.

– Jest pani z Monachium?

– Słucham?

– Czy jest pani z Monachium?

– Eee... tak. Pochodzę stamtąd. Ale mieszkam w Torre Archirafi. Via Baronessa 29. Powinnam przerejestrować samochód. – Dyskretnie poprawiła perukę, zerknęła zezem we wsteczne lusterko i przeklęła się w myślach, że nie nałożyła makijażu.

– Co panią sprowadza na Sycylię?

– Miłość – wyrwało się ciotce.

Montana się uśmiechnął. Wyciągnął mały notes i przerzucił kartkę wstecz. Poldi pożałowała, że nie może już widzieć jego oczu.

– Znała pani Valentino Candelę?

– Czasami załatwiał dla mnie drobne sprawunki.

– I codziennie przychodzi tu pani pływać?

– Dbam o linię. Nie ma się już tych dwudziestu lat... Znaczy, nie, nie codziennie.

– Ale dzisiaj.

Poldi westchnęła.

Montana zanotował coś swymi pięknymi dłońmi świadczącymi o sile woli.

– Dlaczego uważa pani, że zbrodni nie dokonano w tym miejscu?

– Na Boga, chyba sam wiesz... znaczy, wie pan dlaczego!

– No, dlaczego?

– A dlatego, że wokół głowy prawie wcale nie ma krwi. I w ogóle nigdzie. A przy takiej jatce wszystko powinno być skąpane we krwi. Jak z Totò Scafidiem.

– Sądzi pani, że morderstwo ma coś wspólnego ze śmiercią Totò

Scafidięgo?

Poldi westchnęła.

– To tylko taka metafora.

Montana podniósł wzrok znad notesu. Już się nie uśmiechał, ku wielkiemu ubolewaniu Poldi.

– Może zostawi pani metafory, signora. Czy wzięła pani coś, co ofiara miała przy sobie albo co leżało w pobliżu?

Poldi wlepiała wzrok w kobaltowy kawałek mozaiki, który cały czas jak mały klejnot leżał w widocznym miejscu na zakurzonej desce rozdzielczej. Z największym wysiłkiem zdławiła w sobie impuls sięgnięcia po odłamek.

– Nie.

Montana popatrzył w stronę plaży. Zastanawiał się nad czymś.

– Może Valentino został zamordowany bliżej wody, a potem przeniesiony wyżej. Wówczas przyplływ splukałby całą krew.

– Mało prawdopodobne – orzekła Poldi. – Tutaj prawie nie ma pływów, a na ubraniu Valentino nie ma białych śladów po morskiej wodzie.

Montana wziął głęboki wdech.

– Przychodzi tu pani o świcie, żeby popływać, znajduje zmasakrowane zwłoki, po tatuażu rozpoznaje mężczyznę, bierze go za rękę, a następnie dokonuje ogłędzin zwłok w poszukiwaniu śladów.

Poldi nie odezwała się słowem.

Montana rzucił okiem na notatki.

– Valentino zniknął trzy dni temu?

– Cztery, wliczając wczorajszy dzień. Nie było go od poniedziałku.

Montana zapisał „poniedziałek” i zakreślił słowo kółkiem.

– A pani się martwiła.

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo człowiek się martwi, kiedy ktoś, kto jest sumienny i obowiązkowy, nagle się nie pojawia i nie odbiera telefonów.

– Co zaszło między panią a nim?

Oczy oczami, ale Poldi zaczynała mieć tego dosyć.

– Nic nie zaszło! – fuknęła. – Po prostu jestem człowiekiem, którego obchodzą inni. To leży w mojej naturze.

– Przeszukiwanie ofiar morderstw też leży w pani naturze?

– Madonna, czego właściwie pan ode mnie chce, *commissario*?

Commissario patrzył na nią. Przez chwilę. I jeszcze jedną. I jeszcze jedną. Spojrzeniem, które przenikało Poldi na wskroś. W końcu oddał jej kluczyki.

– Dziękuję, signora Oberreiter. Na razie to wszystko. Mam pani adres w Torre.

Ich dłonie zetknęły się na chwilę, kiedy przekazywał jej kluczyki. Poldi przeszedł dreszcz.

– Via Baronessa 29 – wymruczała. – Łatwo znaleźć.

– Mam nadzieję, że w najbliższym czasie nie planuje pani wyjazdów za granicę.

Znowu popatrzył na nią tymi swoimi jasnymi, zatroskanymi, okolonymi zmarszczkami oczami.

Poldi uśmiechnęła się do niego i uruchomiła samochód.

– To by było wyjątkowo głupie z mojej strony, *commissario*.

Kiedy opowiadała mi o tym później, zawołałem z bezbrzeżnym zdumieniem:

– Podrywałaś go! Znajdujesz trupa i flirtujesz z komisarzem! Jesteś po prostu...

– Bezwstydna?

– Nie, megacool.

Poldi uśmiechnęła się, mile połechtana.

– Nojej, musiałam przecież odrobinę poczarować. A policjant z wydziału zabójstw na nic nie reaguje tak silnie, jak na mieszaninę półprawd i subtelnej erotyki.

– A skąd miałaś pewność, że Montana wkrótce się u ciebie zjawi?

– Nojej, przecież od razu załapałam, że to absolutny profesjonalista. Góra dzień, pomyślałam sobie, i będzie wiedział, że szukałam Valentino. A to oznacza co?

Nie miałem zielonego pojęcia.

– Że byłam jedną z ostatnich osób, które widziały Valentino żywego – wytłumaczyła ciotka Poldi. – I że być może wiem więcej niż sam *commissario*.

Jej spekulacje okazały się słuszne.

W ciągu zaledwie kilku godzin nad Torre Archirafi zebrał się gęsty tuman plotek. Trujący aerozol przypuszczeń, pośpiesznie urywanych zdań, półprawd, szeptanych nazwisk, znaczących spojrzeń i wymownego milczenia. We mgle pogłosek nie pojawiło się jednak nazwisko mojej ciotki, co Poldi

przypisywała wpływom przystojnego *commissario*, który najwyraźniej nakazał milczenie całemu aparatowi policyjnemu. Poldi nie łudziła się jednak – wiedziała, że prędzej czy później coś na pewno wycieknie. Ale do tego momentu może mogła zasłyszeć to i owo, skryta pod czapką-niewidką przejętej nieświadomości.

Plotki nie dawały wprawdzie jasnego obrazu, ale każdy w miasteczku w jakiś sposób łączył śmierć Valentino z jego działalnością dla Russo.

– Na-miaz-gę – szepnął jej na ucho signor Bussacca, kiedy następnego ranka poszła po papierosy i „La Sicilia”. – Cała głowa odstrzelona. Masakra. Wszędzie krew, morze krwi.

Tego ranka Poldi nie miała najmniejszej ochoty na plotki. Była drażliwa i nadpobudliwa. Ale jej ciekawość była po stokroć silniejsza od chęci położenia się do łóżka i ignorowania świata.

– Widział pan na własne oczy? – zapytała z udawanym przerażeniem.

– Nie osobiście. – Signor Bussacca musiał się wycofać. – Ale mam dobrego znajomego w szeregach *carabinieri*.

– Straszne! Po prostu okropne! – Poldi otarła pot z czoła. – Był takim miłym chłopcem. Kto mógł coś takiego zrobić?

Signor Bussacca pośpiesznie zerknął na zewnątrz, a później nachylił się w stronę ciotki.

– Mój dobry znajomy, ten z *carabinieri*... Właściwie nie wolno mu o tym mówić, ale... – Chrząknął i zawiesił głos, jakby musiał się upewnić, że ciotka dochowa tajemnicy.

– Ani słóweczka – obiecała szeptem Poldi.

– Oficjalnie śledztwo naturalnie toczy się we wszystkich kierunkach. Ale mój kumpel w sztabie generalnym dał mi do zrozumienia, że są pewne konkretne wskazówki. – Bussacca wyprostował się, jakby już powiedział zbyt wiele.

– Jakie wskazówki?

Uniósł dłonie.

– No, narzędzie zbrodni, donna Poldina! Lupara. To mówi wszystko.

– Chce pan powiedzieć, że Valentino został zamordowany przez cosa nostrę?

Mężczyzna drgnął ledwie dostrzegalnie, jakby ugryziony przez komara.

– Donna Poldina, mafia to wynalazek faszystów z północy.

Poldi pokiwała głową i zastanowiła się chwilę.

– Założmy, tak tylko teoretycznie, że Valentino zlikwidowała jakaś stosunkowo mało znacząca organizacja kryminalna, która tradycyjnie pozbywa się zdrajców i konkurentów obrzynem. Dlaczego miałyby to robić? Był przecież takim miłym chłopakiem.

- *Boh!* – zawołał Bussacca i rozłożył ręce w geście całkowitej niewiedzy.
- Może wcale nie był miły, a może za dużo wiedział.
- Chce pan powiedzieć, że za dużo wiedział o Russo?
- Bussacca powtórnie wzruszył ramionami.
- Ja tam nic nie chcę powiedzieć. Nie rozpuszczam plotek.

Śmierć pojawiła się w jej życiu niespodziewanie i po raz kolejny. A właściwie się pojawił, bo to był on. Zakradł się od tyłu, zawołał „bu!” i chichocząc, przypomniał ciotce Poldi o swej władzy i jej mijającej dacie ważności. Wyskoczył nagle jak diabeł z pudełka, kapryśny dzin, którego objęć tak bardzo wyczekiwała. Pragnąc, by wreszcie opuścił kotarę i zakończył tę łązawą komedię – jej przesrane życie. Uprasza się publiczność o nieklaskanie i niezwłoczne opuszczenie teatru. Taki był plan. By wziąć pokręcone sprawy w swoje ręce i na błogim rauszu, przy szumie morza i dźwiękach *Glorii* prześliznąć się na drugą stronę, gdzie być może czekał jeszcze na nią Peppe.

Lecz Śmierć pojawił się nagle i zaczął ją wyśmiewać.

– To nie fair! – nakrzyczała na niego Poldi.

Machnął ręką.

– Proszę cię, Poldi. Naprawdę myślałaś, że uda ci się mnie wykiwać? Że dasz radę wyprzedzić mnie z prawej strony? Wydawało mi się, że już to sobie wyjaśniliśmy.

– Ale dlaczego Valentino? Co za marnotrawstwo młodości i radości życia!

– Tia. – Śmierć wzruszył ramionami i przebiegł wzrokiem listę rzeczy do zrobienia. – Wszystko odbyło się, jak należy.

Poldi nie mogła pozwolić, by ktokolwiek traktował ją w ten sposób. Nawet Śmierć.

– Możesz mnie pocałować w dupę! – warknęła. – W poprzek, z musztardą i muzyką dętą. Skoro nie dotrzymujesz własnych ustaleń, to ja swoich też nie zamierzam. Słyszysz?

Śmierć przez chwilę sprawiał wrażenie zbitego z tropu. Jeszcze raz sprawdził listę i pedantycznie postukał w podkładkę z klipem.

– Po pierwsze, droga Poldi, nie ma tu nic o ustaleniach. A po drugie...

Więcej nie zdołał powiedzieć, bowiem Poldi wymierzyła mu solidnego kopniaka w dupę. I aby uwierzytelnić rozwiązanie umowy ze Śmiercią na czas nieokreślony przez instancję wyższą, zrobiła coś, co zdarzało się jej niezmiernie rzadko – zmówiła modlitwę.

W niedzielę chodziła wprawdzie do kościoła S. Maria del Rosario, ale nie dlatego, że była wierząca – wręcz przeciwnie. Po prostu lubiła nałogowego palacza *padre* Paolo, a w dodatku posąg Madonny obok ołtarza wyglądał tak rozdzierająco smutno. Uosobienie bólu. Poza tym ciotka Poldi lubiła zapach kadzidła i chętnie śpiewała na całe gardło. Tym bardziej że we Włoszech nie musiała się zżymać na idiotyczne teksty pieśni. No i w ogóle niedzielna wizyta na mszy była po prostu częścią życia społecznego w Torre. Po niej *granita* smakowała lepiej. Pomijając ateizm, Poldi uznała, że tej niedzieli należało zmówić modlitwę za Valentino, który przecież zawsze nosił na szyi łańcuszek z krzyżykiem.

I tak w niedzielę ciotka Poldi zasiadła w pierwszej ławce kościoła, cała na czarno, w koronkowej woalce narzuconej na perukę, niczym wdowa po mafiosie z niskobudżetowego filmu, i prosiła Pana Boga, aby przyjął do siebie duszę Valentino, a wujka Peppe, by jeszcze trochę na nią zaczekał.

Po południu zaś ktoś złożył jej niezapowiedzianą wizytę. Poldi właśnie wieszła na ścianie w sypialni wycięte z „La Sicilia” zdjęcie Valentino, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Montana miał na sobie ten sam garnitur, co poprzednio. Ubranie, tak jak komisarz, sprawiało wrażenie mocno wymiętego, jakby przez ostatnie trzydzieści godzin oboje nie spoczęli.

Poldi, wciąż w czerni, udała zdziwienie i zaprosiła gościa do środka.

– Kawy, *commissario*?

Krótkie wahanie.

– Chętnie.

Podczas gdy Poldi nastawiała w kuchni wodę na kawę, Montana rozejrzał się po mieszkaniu. Zauważył do połowy opróżnioną butelkę brandy, zerknął przelotnie do sypialni i zlustrował afrykańskie hebanowe rzeźby, ozdobne oszczepy i topornie rzezane maski w salonie.

– Często bywa pani w Afryce?

– Nie – skłamała Poldi, bowiem był to rozdział w jej życiu, którego wołała nie poruszać.

Montana omiół wzrokiem kolekcję antycznej broni.

- Piękny arsenał.
- Po ojcu – zawołała Poldi z kuchni. – Lupary nie ma.
- Strzelają jeszcze?
- Co? Naturalnie nie! Wszystkie są urzędowo poblokowane.
- Umie pani strzelać?

– Jako tako. Ale morderca Valentino niekoniecznie musiał być snajperem.
Montana z westchnieniem usiadł na kanapie i natknął się na egzemplarz „La Sicilia” z wyciętym zdjęciem.

- Mogę tu zapalić?
- Może pan tu robić wszystko, co pan zechce, *commissario*.

Poldi słyszała z kuchni, jak Montana zaciąga się i wydmuchuje dym. Czuła, że cały czas ją obserwuje. Wyprostowała się dyskretnie, obróciła swe najpiękniejsze części ciała ku radarowi jego spojrzeń i wyobraziła sobie, że te spojrzenia to jego dłonie.

- Jest pani zamężna, signora?
- Nie! – Jeszcze jedno kłamstwo. – Mój mąż zmarł wiele lat temu.
- O, przepraszam, nie chciałem pani...
- Nic się nie stało. A pan?
- To skomplikowane.

Tak, na tym Poldi też dobrze się znała. Przyniosła z kuchni kawę i małe, błyszczące owoce z marcepanu, które zapobiegawczo kupiła w barze.

– Lubię, jak coś jest skomplikowane. A zatem, jak bardzo jest to skomplikowane?

Montana odchrząknął.

- Kiedy pani się tu sprowadziła, signora?
- Poldi. Po prostu Poldi. Dobry miesiąc temu.
- A już znają panią chyba wszyscy w okolicy. Dokąd bym nie poszedł, pani była tam przede mną.
- Po prostu łatwo nawiązuję kontakty.
- Dość dobrze mówi pani po włosku.
- Chce pan powiedzieć: pomijając akcent? Dziękuję, radzę sobie.
- Kiedy nauczyła się pani języka?
- Ach, uczyłam się całymimi latami. Mój mąż był Sycylijczykiem.
- Pochodził stąd, z okolicy?

Poldi usiadła na kanapie obok Montany, siłą zachowując wymagany dystans.

– To zależy. Urodził się w Monachium i mówił tylko po bawarsku oraz po sycylijsku. Latem często bywaliśmy tutaj u jego sióstr, a ja czasem jeździłam do Włoch służbowo.

Montana z anielskim spokojem palił papierosa. Co jednocześnie podobało się Poldi i nie podobało. Chyba jednak życzyłaby sobie, by w jej obecności był ciut bardziej nerwowy. Przywykła do innych zachowań.

– Narobiła pani niezłego bałaganu, zdaje pani sobie z tego sprawę, signora? Wezwała pani *carabinieri* i policję państwową, a teraz mamy przez to niezłe przepychanki kompetencyjne.

– Myślałam, że to pan prowadzi dochodzenie?

– Owszem, ale teraz muszę ciągle chodzić do tych idiotów i zdawać im raporty. Mniejsza o to, to nie pani zmartwienie.

Zgasił wypalonego do połowy papierosa i wgrzył się w ciemną marcepanową wiśnię, jędrną i kształtną, jakby wymodelowała ją sama natura.

– Mmh! Świeżutka, *pasta reale*! – zawołał.

– Cieszę się, że panu smakuje. W tym domu wprawdzie nie wszystko jest świeże jak poranek, ale za to słodkie. – Ciotka Poldi była mistrzynią subtelnej erotyki. I nie zasypiała gruszek w popiele. – Ale, ale! Ma pan już jakieś ustalenia, *commissario*?

Montana nie śpieszył się z odpowiedzią. Zjadł wiśnię i posłodził kawę.

– Dlaczego nie powiedziała mi pani, że prowadzi własne śledztwo w sprawie Valentino?

– Ach! Bo i tak nic nie udało mi się ustalić. W każdym razie nie więcej niż pan.

– Skąd może pani to wiedzieć?

– Proszę to potraktować jak komplement. Z pewnością był już pan u rodziców Valentino i u Russo, nieprawdaż? Wie pan już, gdzie został zamordowany Valentino? Były jakieś ślady na zwłokach?

Montana zakręcił filiżanką i wychylił resztkę espresso. Koszulę miał lekko rozchyłoną i Poldi dobrze widziała jego opaloną pierś, obficie, ale nie za obficie porośniętą czarnymi włosami, poprzetykanymi gdzieniegdzie pojedynczymi nitkami siwizny, które szeptały do niej kuszące obietnice. Wyobraziła sobie, jak rozpina tę koszulę i podejmuje pierwsze delikatne dochodzenie, ale opanowała się prędko.

– Co z czerwonym piaskiem z kieszeni Valentino? Pochodzi z posiadłości Russo, prawda?

– Więc jednak grzebała pani w kieszeniach ofiary!

– Zajrzałam tylko. Kiedy trzymałam jego rękę. Więc jak?

Montana pokręcił głową i popatrzył na Poldi podejrzliwie.

– Russo coś zataja, nie uważa pan? – ciągnęła niewzruszenie ciotka. – Czy on w ogóle ma alibi na czas zbrodni?

– Myślę, że to pani coś przede mną zataja, signora Oberreiter.

– Poldi. Po prostu Poldi.

Siedziała obok Montany, tak że mogłaby ująć jego dłoń, tę piękną, silną dłoń. Już, już miała wyznać mu prawdę o tych glazurowanych kawałkach mozaiki, uznała jednak, że tylko narobiłaby sobie w ten sposób dodatkowych problemów. Nie żeby ciotka Poldi kiedykolwiek schodziła z drogi problemom, ale było coś jeszcze, co ją powstrzymywało. Instynkt, w formie dominującego w rodzinie Oberreiterów genu, swoistego niepokoju przekazywanego z pokolenia na pokolenie, ogarniającego całe ciało i uporczywie dającego się we znaki zawsze wtedy, gdy wiatr zmieniał kierunek, gdy porządek świata ulegał zachwianiu i domagał się wyprostowania i oświecenia. Ciotka Poldi odczuwała go jako rwanie w brzuchu, nieprzyjemne napięcie skóry – jak po poparzeniu słonecznym, zmianę ogólnego samopoczucia. Prawie jak tęsknotę za dalą, można powiedzieć: tę prastarą tęsknotę, którą da się uleczyć, tylko natychmiast wyruszając w nieznaną, i która pogarszała się, im dłużej zwlekało się z podróżą.

Instynkt łowcy.

Być może Montana to zauważył. Tę gorączkę w oczach mojej ciotki, szczególną formę głodu, którą widział już u niektórych kolegów.

– A zatem nie ma mi pani nic więcej do powiedzenia? – zapytał z naciskiem.

Poldi wychyliła się do przodu i przekleła w myślach za to, że wciąż miała na sobie skrojoną pod szyję sukienkę.

– Nie – wyszeptała ledwie słyszalnie. Czowała zapach wody po goleniu, której użył Montana. Nuty drzewa sandałowego, wetiwerii i tytoniu, i ta bardziej pikantna – jego potu. Mieszanina, która wymagała od Poldi nieludzkiego opanowania.

Montana odchrząknął, ale nie zamierzał jeszcze odchodzić. Sięgnął po gazetę i popukał palcem w miejsce, gdzie brakowało fotografii Valentino.

– Chciałbym jedno wyjaśnić, signora.

– Poldi.

– Proszę się trzymać od tego z dala. Mam już dość kłopotów.

– Chce pan powiedzieć, że przypadkiem poruszyłam gniazdo os i pojawiły się naciski, by zamiótł pan coś pod dywan! – zawołała zelektryzowana ciotka.

– Kto to taki? Russo?

– Wie pani co? – westchnął Montana. – Nienawidzę, jak mi się przeszkadza w pracy. Więc proszę się do tego nie mieszać. Mówię to z całą przychylnością, rozumie pani?

Poldi popatrzyła na niego i skinęła głową.

– Rozumiem.

– Żadnych gierek á la panna Marple, rozumiemy się?

– A tak dobrze byśmy się uzupełniali.

– Czy się rozumiemy? Inaczej będę musiał przyjść znowu.

Te słowa Poldi wzięła za zaproszenie i jednoznaczny sygnał, że w pięknej, owłosionej piersi Montany toczy się straszliwa walka. Pomiedzy demonem nieomylnego, samotnego łowcy przestępców a demonem namiętności. A na demonach i namiętności moja ciotka znała się bardzo dobrze.

– Zrozumiałam – powiedziała z uśmiechem i położyła dłoń na jego dłoni.

– Ale tylko jeśli odpowie mi pan na przynajmniej jedno pytanie. Kto jako ostatni widział Valentino żywego?

Montana cofnął dłoń.

– Jak do tej pory, pani, signora. – Spojrzał na zegarek, podniósł się sztywno i wręczył Poldi swoją wizytówkę. – Gdyby coś się pani przypomniało.

– Skąd ten pośpiech, *commissario*? Jest niedziela! Jeszcze kawy?

– Mam do wyjaśnienia sprawę morderstwa. – W drzwiach odwrócił się i popatrzył na Poldi spojrzeniem, które przenicowało ją na wylot.

– Dziękuję za kawę. I... witamy na Sycylii.

– I to wszystko? – zapytała ciotka Luisa wieczorem. – Pozwoliłaś mu tak po prostu odejść?

– Nojej, miałam pana Adonisa przywiązać czy co? Ale nie martw się, złapał haczyk. Intuicja mi to mówi.

– Naprawdę powinnaś się trzymać od tej sprawy z dala – stwierdziła ciotka Teresa.

– Napytasz sobie biedy – ostrzegła ciotka Caterina.

– Bzdura! – zawołała ciotka Luisa, z natury bardziej przebojowa. – Forza,

Poldi!

Moje ciotki to dzieci wiosny. Wiecznie piękne, wiecznie w kwiecie wieku, troszeczkę nadwrażliwe i zamknięte w sobie, kiedy wieje zimny wiatr, ale tryskające nadzieją i roześmiane przy najmniejszych oznakach odwilży. Ciągłe śpieszące z pomocą, gotowe pocieszać, dawać radość, karmić koty, kochać, używać życia, robić prezenty, dotrzymywać obietnic, wychowywać wnuki, chronić bratową przed nią samą albo ugotować bratankowi wielki talerz spaghetti. Teresa, Caterina i Luisa dorastały w Monachium, ale w latach siedemdziesiątych poznały na Sycylii swych przyszłych mężów i wkrótce wraz z moimi dziadkami przeniosły się z powrotem do ojczyzny. W Niemczech zostali tylko mój ojciec i wujek Peppe, ale obaj już nie żyją. Ze strony ojca przetrwały już tylko ciotki.

Wszystkie trzy są drobne, urodzone pod znakiem Byka – istoty zadowolone i cierpliwe. Rozsmakowane w zmysłach pragmatyczki, ceniące dobre jedzenie, piękne zapachy, harmonię i solidny dobrobyt. Kochają życie. A nienawidzą zmian, niepokoju, niesłowności. Kiedy zbyt im się dopieczce, opuści je, odejdzie przed czasem, zostawi w potrzebie albo rozdrażni jakimiś urojeniami, potrafią się naprawdę rozjuszyć. I wtedy następuje koniec zabawy. Wtedy lepiej zejść im z drogi. Jeśli zaś chodzi o mężczyzn, to wszystkie miały lekką słabość do niesłownych zawadiaków i lekkomyślnych ekscentryków. Wystarczy popatrzeć na wujka Martino, który nie uczestniczył w rozmowie, bo wolał przygotowywać do grilla połowę fauny Morza Śródziemnego, odziany tylko w przedpotopowe szorty.

– Ile właściwie zarabia taki *commissario*, wie ktoś może?

– A jak pachniał?

– I mówisz, że marcepan mu smakował?

– Pal tam lichy wymięty garnitur, najważniejsze są buty, drugie spojrzenie zawsze kieruje się na buty.

– Niepozorna ta jego wizytówka.

– Znałam kiedyś jedną rodzinę Montanów z Lentini, mili ludzie, było wśród nich paru adwokatów.

– Na Boga, wszystko trzeba z ciebie wyciągać na siłę, Poldi!

Ale Poldi myślała akurat o Valentino i o tamtym poranku na plaży, kiedy go znalazła. Kiedy klęczała przy jego zwłokach, trzymała jego zimną dłoń i coś mu obiecała. A mianowicie, że zrobi wszystko, by znaleźć jego mordercę. Myślała też o tym, że ma już pierwsze podejrzenie.

– Tak sobie myślę... – mruknęła, zadumana – ...kto dziś jeszcze morduje luparą!

O tym jednak ciotki już słuchać nie chciały.

– Zawsze wtedy, kiedy wy w tych waszych Niemczech mówicie „Sycylia”, macie na myśli mafię – zawołała z oburzeniem ciotka Caterina. – Macie kompletną obsesję na punkcie mafii. Nie, gorzej, wy kochacie mafię, stawiacie ją w romantycznym świetle, jak wiele innych rzeczy.

– Jakby gdzie indziej na świecie nie było kryminalnych band – dodała ciotka Luisa.

A ciotka Teresa oświadczyła kategorycznie:

– Mafię wynaleźli faszyci z północy, żeby zniesławić południe.

Ale ciotka Poldi nie akceptowała takiego podejścia.

– Idź, bzdury wygadujesz! A dlaczego w każdym wydaniu „La Sicilia” widzę słowo na „m”?

– Tak czy siak, śledztwem w sprawie morderstwa we Włoszech też zajmuje się policja – rzuciła rezolutnie ciotka Teresa.

– Ale przynajmniej mogę mieć pana *commissario* na oku, żeby nie narobił jakichś głupstw.

– À propos głupstw – wtrąciła ciotka Caterina i wskazała oskarżycielsko dużą drewnianą skrzynkę w podwórzu, wypełnioną pustymi butelkami po piwie, winie i wódce. – Wypiłaś to wszystko sama przez ostatni tydzień?

Poldi westchnęła, bowiem teraz już musiała się przyznać. Z ciotkami nie było żartów.

– Nojej, troszkę wypiłam jeszcze przedwczoraj, ale większość wylałam – wyjaśniła z przesadną nonszalancją, ale i lekkim drżeniem w głosie. – Bo... – Chrząknięcie. Westchnienie. I słowa: – Ja już nie piję.

Luisa, Caterina i Teresa wbiły w Poldi pełne niedowierzania spojrzenie.

– Tymczasowo! – dodała prędko ciotka. – Po prostu muszę mieć teraz wolną głowę i świeży oddech.

Zachwyt na całej linii. Ciotki promieniały.

– Jak możemy ci pomóc? – Ciotka Teresa wyprostowała się lekko.

Siostry zawtórowały jej z zachwytem, bo wszystkie trzy, trzeba wiedzieć, były zagorzałymi fankami kryminałów i dzięki telewizji satelitarnej każdej niedzieli oglądały wieczorny odcinek *Miejsca zbrodni*.

– Jak to było? We Włoszech morderstwami zajmuje się policja? – zapytała Poldi.

Teresa zbyła jej sprzeciw szorstkim gestem i odchyliła w bok mały palec, jak zawsze, kiedy chciała podkreślić wagę swych słów.

– Jeśli już nie mogłaś uratować życia Valentino, to przynajmniej my możemy uratować w ten sposób twoje życie – oznajmiła zdecydowanym tonem.

Nie żeby ciotka Poldi prosiła o ratunek, ale wzruszyły ją te słowa. Poza tym rzeczywiście przydałaby się jej pomoc. Przyniosła z sypialni oba kawałki mozaiki i położyła je na stole.

– Skąd mogą pochodzić?

Ciotki bezradnie rzuciły okiem na odłamki.

– Amore! – zawołała ciotka Teresa w stronę podwórza.

Do środka wczłapał wujek Martino, nieco spocony, z powalnymi sadzą dłońmi i papierosem zwisającym z kącika ust. Niezdarnie umieścił na nosie jedno z trzech par okularów do czytania, które zwisały na łańcuszku z jego szyi. Z miną jubilera, któremu zaoferowano kupno jakiejś jarmarcznej tandety, zbadał kawałeczki, zważył je w dłoni, obrócił ku światłu i obejrzał dokładnie ze wszystkich stron.

– To odłamki starych kafelków – wyburczał w końcu. – Dość stare, jak na moje oko. Dzisiaj już nikt nie robi takiej glazury. Ta intensywność koloru! Ten błękit! Myślę, że były częścią podłogi albo ściany. Albo mozaiki.

– I ty to rozpoznajesz? – zawołała Poldi, szczerze zdumiona.

– Hm. – Wujek skinął głową.

– Widziałeś już kiedyś coś takiego?

– Hm.

– A gdzie?

Wujek Martino wzruszył ramionami.

– W starych pałacach i willach. Prostych ludzi nie stać na takie rzeczy. Taka glazura kosztuje dziś majątek.

– Myślałam, że dziś już nikt takiej nie robi.

– Stare, oryginalne, naturalnie! Kogo na to stać, każe sobie wyłożyć podłogi w nowym domu starymi kafelkami. A takie trzeba najpierw ostrożnie wykuć ze starego pałacu.

Poldi nie od razu załapała.

– To znaczy, że są ludzie, którzy sprzedają swoje stare, kosztowne podłogi?

– Sprzedają? To najczęściej towar kradziony ze starych opustoszałych

willi. Zajmują się tym profesjonalne bandy. Niektórzy potrafią ograbić całe piętro w jedną noc.

Następnego ranka ciotka Poldi poszła z tą sprawą do swej nowej przyjaciółki.

– Już się o panią martwiłam! – wykrzyknęła z ulgą Valérie, kiedy Poldi wysiadła z samochodu. – Gdzie się pani podziewała? Sto razy do pani dzwoniłam.

– Nie byłam w zbyt dobrym nastroju – usprawiedliwiła się Poldi.

– *Mon dieu*, wyobrażam sobie. To naprawdę straszne! Czy to prawda, że to pani znalazła na plaży Valentino?

A więc już się rozniosło.

– Skąd pani o tym wie?

– Od Turiego, jednego z robotników Russo. Jego bratanek Alfio jest w szeregach *carabinieri* i był pierwszy na miejscu zbrodni. Znaczy... *mon dieu*, zaraz po pani.

– Czy był już u pani niejaki *commissario* Montana?

– Taki przystojny starszy mężczyzna? Tak, był wczoraj. A czemu?

– No, aż taki starszy to on nie jest. Ale mniejsza o to. Pytał o mnie?

– Owszem. Chciał dokładnie wiedzieć, jak się poznałyśmy. Ale nie sądzę, by panią podejrzewał. Wyglądał raczej... na zainteresowanego, jeśli pani rozumie, co mam na myśli.

– A co z panią?

– Nie sądzę, żeby mnie podejrzewał. – Uśmiechnęła się kobieta.

– Mam na myśli, czy pani uważa, że zabiłam Valentino.

– *Mon dieu*, skąd!

– Przecież pani wcale mnie nie zna.

Valérie popatrzyła na Poldi.

– Donna Poldina, proszę mi wierzyć, podejrzewałabym panią o rozmaite rzeczy. Ale o morderstwo – nigdy.

Poldi wciągnęła powietrze. Lekki wietrzyk szeleścił bugenwillą porastającą pół ściany willi, niosąc słaby zapach rozmarynu i hibiskusa. Poldi obróciła się nieco bokiem i dostrzegła w ogrodzie jednego z miłych kundelków. Ucinał sobie drzemkę pod drzewem awokado. Obróciła się jeszcze trochę i zobaczyła połyskujące w dole morze. Valentino nie żył, ale tu, w tym momencie, wszystko było początkiem, pełnią życia, wszystko na raz

i wszystkiego zbyt wiele, aż do przesady. Sycylia.

– Poldi? *Mon dieu*, chyba pani znów nie płacze?

Ciotka Poldi pokręciła głową.

– Nie. Pomyślałam tylko, że powinniśmy wreszcie przejść na „ty”.

Valérie się uśmiechnęła.

– To może kawy?

Kawa i tym razem smakowała obrzydliwie – spalenizną i gumową uszczelką. Poldi chętnie doprawiłaby ją odrobiną brandy, ale przyrzekła sobie święcie, że w czasie śledztwa zachowa całkowitą trzeźwość. Poszła zatem w ślady swej nowej przyjaciółki i posłodziła kawę pięcioma łyżeczkami cukru. Pomijając bezsprzecznie podłą kawę Valérie, we Włoszech i tak nie piło się kawy tak, jak pokazywały to reklamy w Niemczech. Nie chodziło o kawę jako napój – chodziło wyłącznie o cukier. Kawa była tylko zawierającym kofeinę gorącym nośnikiem aromatu, służącym do rozpuszczenia w niej cukru, dlatego nie potrzeba jej było wiele. Lepiej mniej, za to mocniejszej. Najważniejsze, by była słodka. W niektórych lokalach barista już przed parzeniem mieszał w sitku kawę z cukrem. Dla Sycylijczyków nie było dziwniejszej rzeczy niż espresso bez cukru. No dobrze, dziwniejsze mogły być tylko cappuccino po obiedzie i jazda rowerem po *provinciale*.

Valérie uważnie i wyczekująco przyglądała się ciotce znad filiżanki. Poldi pokazała jej glazurowane odłamki mozaiki.

– Nie brakuje ci przypadkiem pasującej do nich podłogi?

Valérie pokręciła głową, ale chyba zrozumiała.

– Ale brakuje mi lwa.

– Od kiedy właściwie?

Pomyślała chwilę.

– Zauważyłam jego brak w środę. Dlaczego cię to interesuje?

– Nadal przypuszczasz, że to było ostrzeżenie Russo?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– *Mon dieu*...

– Inaczej: ile byłby wart taki lew na wolnym rynku?

– *Mon dieu*, nie mam pojęcia. Parę tysięcy euro? Wyjaśnisz mi w końcu, czemu o to pytasz?

Kundelek spod awokado przeciągnął się i wstał. Rzucił Poldi pełne troski, rozdzierające serce spojrzenie, otrzepał się i odbiegł w swoją stronę, jakby wszystko zostało już powiedziane. Poldi poczuła pod peruką znajome

mrowienie i odetchnęła głęboko.

– Być może mam pewne podejrzenie, dlaczego Valentino musiał zginąć.

Rozdział 5



OPOWIADA O NIEUSTĘPLIWOŚCI POLDI I O TYM, JAK PODĄŻYŁA ZA SWOIM PIERWSZYM PODEJRZENIEM. O TYM, JAK PEWNE DOBRZE PRZEĆWICZONE ZACHOWANIE Z DAWNYCH CZASÓW WALKI Z IMPERIALIZMEM OKAZAŁO SIĘ NIEZMIERNIE PRZYDATNE. O NIEPRZYJEMNYM SPOTKANIU I FOTOGRAFII W TAORMINIE. O ELEGANCKIM GARNITURZE VITO MONTANY I JEGO NIEUSTANNYCH STARANIACH O *BELLA FIGURA*.

– Dlaczego akurat Russo? – zapytała z niepokojem Valérie.

– To przecież oczywiste – odparła Poldi. – Po pierwsze: Valentino przypuszczalnie był członkiem bandy plądrującej wille i pałace. Po drugie: Valentino pracował dla Russo. Po trzecie: Russo chce wyrzucić na tobie presję i dlatego kazał ukraść lwa z bramy.

– To przecież tylko przypuszczenie! Nie mogę niczego udowodnić.

– Ale założmy, że tak było. Wówczas Russo potrzebowałyby do tego zaufanych fachowców. Valentino!

– Ale dlaczego, *mon dieu*, miałby mordować Valentino?

Trzeba przyznać, że pytanie o motyw zbrodni trafiło Poldi w czułe miejsce.

– No cóż... – odparła wymijająco jak rzecznik policji. – W chwili obecnej znajdujemy się we wstępnej fazie dochodzenia.

– My???

– *Commissario* Montana i ja. Czy Russo oprócz córki ma jeszcze syna?

– Nie.

– Ha! Wiedziałam.

– Nie rozumiem, Poldi...

– Posłuchaj, tamtego wieczoru twój wujek Mimì rzucił jedną uwagę. Że

Valentino ma spory potencjał. Russo wyglądał wręcz na zranionego, jakby Valentino go rozczarował. Myślę, że go lubił. Może widział w nim kogoś w rodzaju syna. A gdy przyszywany syn rozczarował go w jakiś sposób, to się wściekł.

– Obawiam się, że chyba trochę się zagalopowałaś, Poldi.

– Poczekaj.

Wszelki sprzeciw był daremny. Poldi zdecydowanym krokiem po raz drugi przemaszerowała przez ogród Valérie na teren sąsiedniego imperium roślin, by zasięgnąć języka u robotników Russo. Niesiona falą kryminalistycznej euforii, jakby przypadkiem przywiana kapryśnym podmuchem wiatru, przechadzała się wśród wytyczonych z pruską akuracją rzędów palm, drzewek oliwnych, bugenwilli, oleandrów i strelicji, witała się z każdym przyjaźnie i o mały włos nie została rozjechana koparką.

– *Mizzica!* – zaklął kierowca po sycylijsku. – *L’occhi su fatti pi taliari!*

Poldi ani nie zrozumiała jego słów, ani nie zrobiły one na niej wrażenia.

– Dzień dobry! Piękny mamy dzień, nieprawdaż? I jaka ładna koparka! Pan pewnie jest tu brygadzystą. Proszę mi powiedzieć, znał pan może Valentino?

Kierowca koparki z wściekłością wrzucił bieg i dodał gazu. Poldi owionęła chmura kurzu, kiedy pojazd minął ją z wielką szybkością.

– Ach, niech pan zaczeka!

Kolejna próba: dwóch młodych ogrodników zajętych przesadzaniem sadzonek palm.

– Dzień dobry! Ależ panowie zwinni. Jak szybko wam idzie, imponujące. Długo już tu pracujecie?

Ogrodnicy bez słowa wpatrywali się w Poldi.

– Znali panowie Valentino?

– Tego z wytatuowaną *trinacrią* na rękę?

– Dokładnie. Valentino Candela. Jak układało się Valentino z szefem?

Zerknęli krótko po sobie i jak na komendę się odwrócili. Odeszli, powłócząc nogami, zostawiając Poldi.

– Halo? Signori! Ależ proszę nie uciekać!

Kolejna próba: starszy ogrodnik zajęty przycinaniem młodych drzewek oliwnych. Poldi spostrzegła, że brakuje mu małego palca u lewej ręki.

– Dzień dobry, przepraszam bardzo, chyba zabłądziłam.

– A czego pani szuka?

– Signora Russo.

– Szefa znajdzie pani pewnie w głównym budynku. Ale będzie pani musiała się umówić, signora.

– Dziękuję, to bardzo miłe z pana strony. Proszę powiedzieć, czy to nie straszne, co się stało z Valentino? Podobno był dla signora Russo jak rodzony syn.

I na tym koniec.

– Signora?

Poldi odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z dwoma ochroniarzami, których zdążyła poznać podczas swej pierwszej wizyty. Teraz obaj mieli na sobie identyczne okulary słoneczne, z rodzaju tych wąskich, które owijają się wokół twarzy i przypominają gadzie ślepie.

– Zechce pani pójść z nami?

– A dokąd, jeśli wolno spytać?

– Na zewnątrz.

– Czy to zabronione zatrzymać się na małą pogawędkę? Śmieszne.

– Znajduje się pani na terenie prywatnym, signora. Proszę nie sprawiać kłopotów.

– Kto tu sprawia kłopoty? Chyba tylko wy dwaj, pajace.

Wyglądali jak bliźniaki. Nie czuli się zbyt komfortowo, ale praca to praca. Jeden z nich postąpił krok naprzód i dotknął ramienia Poldi, bo nakłonić ją do odejścia.

– Proszę, signora.

Ale takie rzeczy nie z moją ciotką! Zadziały wpojone dawno temu odruchy. Poldi wyrwała się gwałtownie i nawrzeszczała na okularników:

– PUSZCZAJ! CO WY SOBIE MYŚLICIE? TO JEST BEZPRAWNE POZBAWIENIE WOLNOŚCI... NA POMOC!... RATUUUUNKUUU!

Przemówiło przez nią skumulowane doświadczenie starej demonstrantki. Wprawdzie w sześćdziesiątym drugim roku była za młoda, by wziąć udział w zamieszkach w monachijskiej dzielnicy Schwabing, ale już od sześćdziesiątego ósmego, jako delikatna szesnastolatka, Poldi nie opuszczała żadnej demonstracji. Chodziła protestować przeciwko tyranii państwa, przeciwko szachowi Rezie Pahlawi, przeciwko ustawom o stanie wyjątkowym i zwiększeniu wydatków na zbrojenia, skandowała za prawami kobiet, wyzwoleniem seksualnym i równością edukacyjną, sypiała z rewolucjonistami, gwiazdami rocka, grzecznymi studentami biologii i późniejszymi terrorystami oraz ministrami. Jeszcze w połowie lat

osiemdziesiątych regularnie brała udział w marszach pokojowych i siedzących protestach przeciwko porozumieniu dwustronnym NATO, pershingom i składowiskom odpadów radioaktywnych, przykuwała się łańcuchami do torów i obrzucała polityków tortami. Jeśli akurat nadarzała się okazja. Można powiedzieć, że moja ciotka Poldi miała pewne doświadczenie z siłami porządkowymi.

Szalała niczym derwisz na haju albo roszpunka po *doppio caffè ristretto* i krzyczała na przemian po bawarsku i włosku. Jej spektakl wywarł odpowiednie wrażenie na obu ochroniarzach, którzy jak skamieniali wpatrywali się z przerażeniem w rzucającą gromy i dziko miotającą się kobietę, niemrawo odpierając jej wściekłe uderzenia.

A wszystko to ku uciesze robotników Russo, którzy szybko zebrali się w miejscu zdarzenia, by niczego nie przegapić. Nikt jej nie dotknął, nikt już nawet nie próbował usunąć jej z terenu plantacji. Wygrała.

Stosunkowo prędko, bo Poldi nie była już szesnastolatką, tylko sześćdziesięciolatką, zasapała się jednak i zmuszona była zakończyć swoje ekscesy. I niejako automatycznie przemieniła się z furiatki w spoconą i lekko zdyszana starszą panią. Zanim bez oporów dała się odprowadzić ochroniarzom, dygnęła jeszcze kokieteryjnie w stronę stojących wokół ogrodników. Ciotka Poldi wiedziała, jak się schodzi ze sceny. Wśród okłasków – oczywiście.

– *Mon dieu*, co tam się działo? – zawołała Valérie, kiedy Poldi, wycieńczona, ale całkiem z siebie zadowolona, wróciła do Femminamorta. – Słyszałam twoje krzyki. A potem... brawa?

Poldi poprawiła perukę i popatrzyła na przyjaciółkę.

– To, moja droga, był dopiero początek. Będę to powtarzać dzień w dzień, tak długo, aż ktoś, do cholery, w końcu ze mną porozmawia.

– Russo był?

– Niestety nie. Ale wszystko jeszcze może się zdarzyć. Słuchaj, nie miałabyś dla mnie szklanki wody? Albo może małego proscchino dla ukojenia nerwów?

– Myślałem, że postanowiłaś więcej nie pić! – zawołałem, kiedy ciotka opowiadała mi o tym później.

– Nojej, jedno prosecco to przecież nie alkohol!

– Eee... nie?

– Skąd! Wyobraź sobie, to jest jak ze Stonesami. Mick i Keith dawali

w gaz i jarali, ile wlezie, ale wszyscy od dawna są czysti, trzeźwi, jedzą grzecznie musli i nie piją żadnego alkoholu. Tylko szampana.

Ciotka Poldi spełniła groźbę i następnego dnia wróciła, powtarzając całą procedurę. Najpierw przespacerowała się po posesji Russo i zagadnęła paru pracowników, którzy jednak nie wykazali chęci do rozmowy, potem nadeszli ochroniarze, Poldi odstawiła swój mały spektakl, a następnie grzecznie pozwoliła się usunąć z posesji. Wszystko odbyło się dokładnie jak dzień wcześniej – z jedną małą różnicą. Tym razem robotnicy rozpoznali ją z daleka, pomachali, zaczekali w napięciu na jej występ, a potem pożegnali ją gromkimi brawami i okrzykami. Poldi łaskawie odwzajemniała pozdrowienia, rozsyłając całusy na wszystkie strony. Tylko Russo się nie pojawił.

Następnego dnia musiała przerwać dochodzenie, bowiem, jak w każdą środę, miała w Taorminie lekcję włoskiego u Michele. Absolutnie nie mogła jej opuścić, a to z dwóch powodów, takich jak:

1. Michele;
2. *vigile*, którego niedawno sfotografowała.

Trzydziestoparoletni Michele był na gust Poldi zbyt młody, ale za żadne skarby świata nie chciała odpuścić sobie możliwości patrzenia na swojego nauczyciela.

Daleko mi do zazdrości. Michele to fajny kumpel, wesoły facet, dobry pedagog i biznesmen. Lubił literaturę i gipsy-swing, zwiedził trochę świata i był introwertykiem. Sęk w tym, że nawet w miarę przeciętny z wyglądu facet przegrywał przy nim z kretesem, co było odrobinę dokuczliwe. Michele wyglądał jak model, jak marzenie rzeźbiarzy Mussoliniego. I tyle – więcej do powiedzenia w tym temacie nie miałem. Nie wybrał sobie swojej powalającej aparycji, nie uczynił z niej zawodu, tylko założył szkołę językową. W jego kursach uczestniczyły (poza Poldi) niemal wyłącznie anorektyczne Skandynawki, które śledząc go maślanym wzrokiem, każdy jego gest interpretowały erotycznie. Tak przynajmniej to sobie wyobrażałem.

Tak czy siak, Poldi nigdy nie opuszczała środowych zajęć. W przerwie na lunch urządziła sobie małą przechadzkę po taormińskiej starówce w poszukiwaniu sfotografowanego ostatnio policjanta drogówki, którego chciała bliżej poznać. Nie znalazła go jednak. Za to natknęła się na Italo Russo i Corrado Patanègo. Pograżeni w rozmowie, siedzieli przy małym stoliku w barze Wunderbar przy Corso Umberto i wertowali teczkę z jakimiś zdjęciami.

Poldi nie musiała długo się namyślać, by wiedzieć, co robić. Kontrolę nad sytuacją przejęły jej instynkty. Zwinnie przecisnęła się przez tłum turystów w stronę baru, od tyłu zakradła się w pobliże stolika mężczyzn i usiadła za nimi, nieco po skosie, by mieć na nich dobry widok, ale tak, by Russo nie mógł jej widzieć. Nie obawiała się, że zostanie rozpoznana przez Patanègo, gdyż ten w skupieniu wpatrywał się w swojego towarzysza.

Ze swojego miejsca Poldi nie widziała, co zawiera teczka. Postanowiła spróbować dyskretnie cyknąć swoim małym cyfrowym aparatem parę zdjęć w nadziei, że obróbka na komputerze ujawni więcej szczegółów. W filmach tak właśnie było. W tym celu musiała jednak wstać. A to z kolei zasygnalizowało pewnej niemieckiej parze w praktycznej odzieży funkcyjnej, że właśnie zwalnia się stolik. Rzucili się naprzód, pozostawiając za sobą kilwater poruszenia, przesuwanych krzeseł i rzuconych na boki przeprosin. Przepychając się obok stolika Russo i Patanègo, mężczyzna zahaczył plecakiem o krzesło i mało go za sobą nie pociągnął. Poldi, ledwie schowawszy aparat do torebki, zdążyła ponownie usiąść, by zobaczyć, jak Patanè zrywa się z miejsca i oblewa kawą teczkę z dokumentami. Zaklął, niemiecki turysta wybąkał pod nosem przeprosiny. Nic się nie stało. Głupio tylko, że w tym samym momencie Patanè odkrył obecność Poldi. I natychmiast ją rozpoznał. Przez chwilę się w nią wpatrywał, po czym szturchnął Russo i wskazał na nią.

Z wyjątkiem przelotnego grymasu zaskoczenia Poldi nie zauważyła na twarzy Russo najmniejszych emocji. Popatrzył na nią i podszedł do jej stolika.

– Ostatnimi czasy nasze drogi dość często się krzyżują, signora.

– Niestety, jednak o wiele za rzadko – wyszczebiotała Poldi.

– A przy tym zadaje sobie pani tyle trudu, by zrobić na mnie wrażenie, nieprawdaż?

– I co, zrobiłam? Wrażenie?

Russo nagle zmienił ton:

– Czego pani ode mnie chce, signora?

– Tylko kilka odpowiedzi w kwestii Valentino.

– Muszę panią rozczarować, signora. Muszę też prosić panią, by zaprzestała swych występów na moim terenie. W przeciwnym razie...

– W przeciwnym razie co?

Russo sapnął.

– Sierpień jest bardzo upalny, signora. A lód dość cienki.

- Hę? – zawołałem, kiedy ciotka opowiadała mi o tym.
- To były jego słowa.
- A co to, przepraszam bardzo, miało oznaczać?
- Rany, czy to nie jest oczywiste? To przecież jawna groźba!
- Raczej zawołowana, i to w dwie warstwy tiulu.
- Po prostu brakuje ci wycucia. Ja tam od razu załapałam, że wyraźnie grozi mi śmiercią. I jak wkrótce się okazało, miałam rację.

Poldi wiedziała od ojca, nadkomisarza Georga Oberreitera, że powodzenie każdego śledztwa spoczywa na dwóch filarach: notatkach i tablicy korkowej. Również od ojca wiedziała jednak, że nic tak nie zagraża powodzeniu śledztwa, jak pierwsze hipotezy, których prowadzący zbyt długo się trzyma, chociaż fakty od dawna sugerują inny kierunek. Klasyczna pułapka na niedoświadczonych lekarzy, mechaników samochodowych, paleontologów i komisarzy policji kryminalnej. Naukę o ryzyku pierwszej hipotezy Poldi dobrze sobie przyswoiła, ale dopóki nie miała w ręku nic lepszego, uparcie i niewzruszenie podążała za swoim pierwszym podejrzeniem.

Przede wszystkim jednak założyła nowy notes, w którym zaczęła zapisywać każdą wskazówkę, każdy trop, każde nazwisko, numer telefonu, każdy drobiażdżek – po prostu wszystko. Najważniejsze informacje przenosiła na czysto na fiszki i wraz z fotografiami, wycinkami z gazety i mapą Sycylii przypinała do pustej ściany w sypialni. Wszystko, co jej zdaniem jakoś się ze sobą wiązało, łączyła nitkami kolorowej włóczki. W ten sposób plątana niejasnych tropów, zeznań, przypuszczeń i relacji coraz gęściej porastała sypialnianą ścianę – niczym osobliwy grzyb, samodzielny organizm, który szeptał do Poldi niezrozumiałe słowa, kiedy kładła się spać i budziła. Ciotka nie miała najmniejszych wątpliwości, że w końcu, pewnego dnia, organizm ów zdradzi jej w sposób jednoznaczny, kto zamordował Valentino. Zanim to jednak nastąpi, należało hojnie karmić żywą istotę na ścianie, dociekać, zadawać pytania, mieć otwarte oczy, wytrącać innych z równowagi i robić dużo szumu. Na tym ostatnim ciotka Poldi znała się całkiem dobrze.

Wujek Martino przeczesywał internet i archiwa lokalnych gazet w poszukiwaniu wzmianek o kradzieży dzieł sztuki i przedmiotów z budowy, znosząc sterty materiału, który Poldi skrupulatnie przypinała do ściany. Kiedy wieczorami wpatrywała się w nią, spoglądała w otchłań plądrowanych w wielkim stylu willi i pałaców, otchłań, która groziła pochłonięciem połowy Sycylii. Poldi, choć w miarę możliwości unikała niebezpiecznego słowa na

„m”, doszła do jednego wniosku: za tym wszystkim musiała stać dobrze naoliwiona kryminalna maszyna. Z Russo na czele.

Problem polegał na tym, by dopasować jakoś do tej hipotezy zawartość teczki, bowiem ze zdjęcia zrobionego małym cyfrowym aparatem Poldi nie potrafiła wyczytać nic sensownego. Mój kuzyn Samuele, syn ciotki Luisy, pracujący jako sprzedawca komputerów, machnął lekko czarodziejską różdżką komercyjnego programu do obróbki zdjęć. Tutaj powiększył, tam wyostrzył, tu dodał trochę kontrastu, tam rozświetlił cienie. I – pling! – proszę, już można było z grubsza rozpoznać, co oglądali Russo i Patanè. Z grubsza, bo fotografia nadal była usiana pikselami, jak zdjęcie galaktyki położonej na końcu świata, i wymagała od oglądającego dość rozwiniętej wyobraźni. Choćby Poldi bez końca wpatrywała się w nią i obracała na wszystkie strony, nie potrafiła rozpoznać żadnych lwów, mozaik, willi czy antycznych skarbów kultury. Wyglądało raczej na to, że teczka otwarta była na jakimś dokumencie zawierającym ilustrację. Jego treść była nieczytelną papką. Poldi przypuszczała, że trójkolorowy obrazek mógł być schematem konstrukcji lub diagramem. Albo czymś zupełnie innym.

– Japierdolę – burknęła rozczarowana Poldi i przypięła zdjęcie do ściany sypialni. A ponieważ nie chciała być niewdzięczna wobec wynalazków techniki, dodała: – *Namaste*, aparacie fotograficzny.

Poldi była bowiem święcie przekonana, że wszystkie rzeczy na świecie mają duszę. Dla mojej ciotki nie istniały przedmioty martwe, tylko nieme. Lepiej zatem obchodzić się z nimi z szacunkiem, bo czasem potrafiły się odpłacić zdumiewająco hojnie.

Zawołowane groźby jeszcze nigdy przed niczym nie zdołały powstrzymać mojej ciotki. Dlatego zaraz następnego dnia wyruszyła na teren posiadłości Russo i zaczęła wypytywać pracowników. Kiedy widzieli Valentino po raz ostatni? Jakie relacje łączyły go z szefem? Czy ktoś w ostatnim czasie nie zachowywał się w sposób podejrzany? Jej poczynania, jak poprzednim razem, zwieńczone zostały miernym sukcesem.

– Wie pani, signora, nam nie wolno z panią rozmawiać – z ociąganiem wyjaśnił jej przefiltrowanym dialektem stary Turi, ten bez małego palca. – Szef kategorycznie zakazał. Zresztą my i tak nic nie wiemy. Żaden z nas. Ten biedaczysko, Valentino, to był dobry chłopak i takim chcemy go zapamiętać. Dlatego proszę, signora, niech pani da nam robić, co do nas należy, i pójdzie do domu. To naprawdę byłoby najlepsze dla nas wszystkich.

Poldi oczywiście chciała drążyć dalej. Ale zanim zdążyła przycisnąć biednego Turiego, dostrzegła na jego twarzy nagłą panikę. Zdumiewająco zwinnie, jak na swą tuszę, okręciła się na pięcie, po czym zobaczyła pędzące w swoim kierunku dwa łaciate brązowe cienie. I nie były to sympatyczne kundelki Oskar i Lady, tylko dwa czworonogie potwory. Zanim zdążyła wydać z siebie krzyk, dopadły ją, skoczyły i przewróciły na ziemię. Ciotka, jak ścięte drzewo, padła na wznak między przycięte drzewka oliwne, odprowadziła wzrokiem swą perukę, która wysokim łukiem pofrunęła ku niebu, a potem tuż przy swej twarzy ujrzała dwie wściekle ujadające, złe mordy.

Zszokowana, tylko patrzyła na wilczury. Przez chwilę i jeszcze jedną. A potem wrzasnęła na całe gardło, ze wszystkich sił, zbierając całą przepełniającą ją wściekłość i strach.

– BYDLAKI PIERDOLOOONE!!!

Owczarki nieszczęśliwie się tym przejęły. Dalej ujadały, nie cofając się ani o milimetr. Gdy tylko ciotka próbowała się poruszyć, kłapały zębami w powietrzu.

– Hans! Franz! *Aus!* – Ostra komenda, wydana po niemiecku z silnym włoskim akcentem. Kolejna włoska osobliwość: ludzie lubią wydawać tu komendy psom po niemiecku. Do dziś nie wiem, skąd to się wzięło.

Psy postawiły uszy na sztorc i odstąpiły od Poldi, co dało jej wystarczająco dużo czasu, by usiąść i pójść za pierwszym impulsem – poszukać ręką peruki i pośpiesznie umieścić zakurzony obiekt na głowie. Zdążyła w samą porę, tuż zanim padł na nią cień Russo.

– Znów się widzimy, signora.

Wyglądał tak spokojnie, jak kasjer w budce pobierający opłaty za korzystanie z autostrady, sprawiał wrażenie wręcz znudzonego. Poldi próbowała wstać, ale ze względu na chore kolano nie zdołała się podnieść. Musiała w upokarzający sposób uklęknąć przed Russo i przybrać pozycję na czworaka. Na jego znak dwóch ludzi w końcu jej pomogło. Hans i Franz dalej warczały wrogo.

– Wczoraj chyba nie wyraziłem się dość jasno – podjął Russo, kiedy Poldi stanęła przed nim zdyszana.

– Przed policją też odgrywa pan taki show? – wydusiła z siebie.

– Dobrze, że mi pani o tym przypomina. Muszę koniecznie zadzwonić do *carabinieri* i zgłosić wtargnięcie na moją posesję osoby niepowołanej. Nie zdziwiłbym się, gdyby coś zniszczono lub ukradziono.

– I co, myślisz, że ze strachu narobię w gacie, zakuty łbie? – naskoczyła na niego Poldi w bawarskim dialekcie.

– Miłego dnia życzę, signora. – Russo odwrócił się i cmoknął, na co wilczury natychmiast potruchtały do domu.

Poldi poprawiała perukę, usiłując odzyskać godność i opanowanie. Miała poczucie, że zyskała sobie wroga.

Pies mu mordę lizał.

Tego samego popołudnia zjawił się u niej Montana.

– Zdradzi mi pani, po co to było?

Był niezadowolony, wręcz zły. Poldi uznała, że było mu z tym o wiele bardziej do twarzy niż z przepełnionym skrucą spojrzeniem. W ogóle niezadowolenie dużo bardziej pasowało do granatowego garnituru, granatowej koszuli, okularów przeciwsłonecznych w stylu aviator i wypucowanych butów typu budapester. Montana nie był już ani trochę wymięty, za to naładowany złością i *italianità*. Nawet upał nie robił na nim wrażenia. Wystroił się – to pierwsze przemknęło jej przez myśl, kiedy otworzyła drzwi. Drugie skojarzenie nadawało się już tylko dla osób pełnoletnich.

– Mówiłem, że ma się pani trzymać od tego z dala! – grzmiał dalej Montana. – Śledztwo w sprawie morderstwa to nawet u nas, na Sycylii, sprawa policji i nikogo innego!

Poldi posłała mu głębokie, znaczące spojrzenie.

– Skończył pan?

Montana odetchnął głęboko.

– Nie, jeszcze długo nie!

– W takim razie powinien pan wejść do środka, stoi pan w palącym słońcu. Kawy?

– Ja nie żartuję, donna Poldi – ciągnął Montana, jednak podążył za nią. – Sprawia mi pani same kłopoty. Utrudnia pani dochodzenie.

– W jakim sensie?

– Nie rozumie pani? Jeśli Russo się poskarży, to poskarży się na najwyższym szczeblu. Szef *carabinieri*, *colonello* La Rosa, to jego dobry znajomy.

– Ale przecież pan reprezentuje *Polizia di Stato*!

– Właśnie w tym sęk! *Colonello* oczywiście od razu zadzwoni do mojego komendanta z pretensjami, że co to za porządki, że jakaś Niemka prowadzi prywatne śledztwo w sprawie Candeli i w dodatku nęka porządnych

obywateli, łamiąc przy tym prawo. Mój komendant i *colonello* śmiertelnie się nienawidzą, dlatego każda okazja, by dopieć drugiemu, jest dobra. Mój szef, oczywiście wściekły za tę lewatywę, dzwoni do mnie, opiernicza i grozi, że odbierze mi sprawę, jeśli nie zrobię z tym porządku.

Poldi podała Montanie kawę i podetknęła butelkę whisky.

– Kapkę?

– *Dai!* – warknął Montana.

Poldi, zadowolona z użytego przez niego trybu rozkazującego w drugiej osobie liczby pojedynczej, napełniła filizankę do espresso, po czym sama też uraczyła się odrobiną trunku.

Montana wychylił kawę jednym haustem.

– Rozumiem – powiedziała ciotka. – Boi się pan, że wyleci z policji. Albo że odbiorą panu sprawę.

Montana zaśmiał się krótko.

– Bzdura. Nie boję się! Nie wylecę. I nikt nie odbierze mi sprawy. Dobrze by było! Tej sprawy i tak nikt nie chce. Ale nie zamierzam świecić oczami przed kolegami jak jakiś idiota, któremu można grać na nosie.

Montana podsunął Poldi pustą filizankę, a ona natychmiast wlała do niej whisky.

– Ach, teraz rozumiem! Nie chce pan utracić *bella figura!*

Wychylił duszkiem zawartość.

– Dokładnie tak.

To było najgorsze, co mogło się przydarzyć Włochowi, a już zwłaszcza Sycylijczykowi. Kryzysy gospodarcze, wybuchy wulkanu, skorumpowani politycy, emigracja, mafia, śmieci i spustoszone łowiska ryb w Morzu Śródziemnym – wszystko to można było jakoś przeżyć dzięki fatalizmowi i *bella figura*. Grunt, by nigdy nie mieć *brutta figura*, a już przenigdy *figuraccia*. *Bella figura* to główne credo mieszkańców tego kraju. Do podstawowego wyposażenia Włocha należą zadbane, dyskretnie modny wygląd, dobre buty i odpowiednie okulary przeciwsłoneczne. Ale mieć *bella figura* to przede wszystkim zawsze robić dobre wrażenie i nigdy nie wychodzić na głupka. Dla Włocha to nie jest opcja – to mus. Nie wywiniesz się z tego, a to oznacza, że nie wolno ci wprawiać w zakłopotanie bliźnich. Niecierpliwość jest nie na miejscu, bezpośrednia konfrontacja – żenująca. Rachunkami z restauracji dzielimy się z przyjaciółmi, nie popełniamy gaf, nigdy nie przyjmujemy gości w zabałaganionym albo, nie daj Boże, źle

posprzątanym mieszkaniu, nie zadajemy intymnych pytań, do ludzi z wyższym wykształceniem zwracamy się per *dottore*, przynosimy deser, gdy ktoś zaprasza nas na kolację, i wszystko pięknie zjadamy do czysta, choćbyśmy mieli pęknąć. Ufamy sile piękna i stosowności i staramy się uczynić świat lepszym miejscem. Czasami nawet to się udaje.

Ciotka Poldi i *commissario* stali na wprost siebie, dzierżąc w dłoniach filiżanki niczym małe szlabany bezpieczeństwa. Poldi tylko patrzyła wyczekująco na Montanę. *Commissario* pojął.

Pojął, że to on pierwszy musi wyjść jej naprzeciw.

– Na ciele Valentino zabezpieczyliśmy różne ślady. Więcej powiedzieć nie mogę. – Poldi skrzywiła się z dezaprobatą. – Na podeszwach butów była ziemia oraz ślady pyłku janowca – dodał. – Ale janowiec rośnie na całej Sycylii. Sprawdzamy jeszcze, skąd pochodzi ziemia.

– To znaczy, że nie z plaży.

– Pracujemy nad tym.

– A co z tym czerwonym piaskiem?

– Nie jest z okolicy, bo nie zawiera cząstek ziemi wulkanicznej.

– Jakies przypuszczenia?

Montana wzruszył ramionami.

– Sycylia jest duża.

– A co z raportem z obdukcji?

Pokręcił głową.

– Nie było śladów walki. Valentino po prostu został zastrzelony z niewielkiej odległości.

– A jego komórka? – Montana znów pokręcił głową. Poldi pomyślała chwilę, po czym stwierdziła: – Okay. Obiecuję panu, że nie będę więcej nękać Russo.

– Że nie będzie pani się mieszać do tej sprawy, to miała mi pani obiecać!

Poldi nie podjęła tematu.

– Proszę za mną – powiedziała za to. – Chcę panu coś pokazać.

Zaprowadziła gościa do sypialni, przed swoją ścianę. Tym samym przemyciła subtelną aluzję, przejawiającą się w delikatnym zapachu róż, którym spryskała uprzednio swoje łóżko.

Montana, wciąż trzymając pustą filiżankę do espresso, jęknął, kiedy zobaczył wszystkie te zdjęcia, wycinki z gazet i włóczkowe nitki.

– To musi się skończyć, signora!

Poldi popukała palcem w zdjęcia Valentino i Russo, połączone grubą, czerwoną włóczką.

– Jestem pewna, że Valentino odwalał dla Russo jakąś brudną robotę. Na przykład... – przejechała palcem wzdłuż zielonej nitki prowadzącej do innego zdjęcia – ...kradzież lwa z bramy Femminamorta. Może gryzło go sumienie z tego powodu i chciał z tym skończyć. Stał się niewygodny, więc musiał zginąć.

– To jakaś kompletnie naciągana teoria! – zawołał poirytowany Montana.

– To nie wszystko! – Poldi wskazała ziarniste zdjęcie teczki z dokumentem. – Wczoraj, zupełnie przypadkiem, byłam świadkiem, jak Russo i ten Patanè naradzali się nad czymś w Taorminie. Siedzieli nad tym czymś! Jak pan myśli, co to może być?

Montana popatrzył na fotografię. Początkowo z irytacją, potem jednak własnoręcznie zdjął ją ze ściany i przyjrzał się dokładnie.

– A więc? – ponagliła go ciotka.

Oddał jej zdjęcie.

– Moim zdaniem to fragment jakiejś mapy topograficznej.

Jakby Poldi sama na to nie wpadła.

– Dokładnie! – zawołała. – A jakiej okolicy?

– Bo ja wiem. Czego to niby dowodzi? Ma pani może jeszcze jeden wydruk tego zdjęcia?

– Może pan wziąć ten.

Montana schował fotografię z taką miną, jakby była wizytówką namolnego przedstawiciela handlowego.

– Proszę posłuchać, Italo Russo cieszy się nieposzlakowaną opinią. Jest jednym z głównych pracodawców w tej okolicy. I w ogóle hojnie sponsoruje liczne placówki i projekty socjalne.

– Typowy mafioso – skonstatowała Poldi. – I proszę mi tu nie wyjeżdżać z tym, że mafia to wymysł faszystów z północy.

Montana z westchnieniem oddał jej filizankę.

– Muszę iść. Obiecała mi pani coś.

– Bez obawy, *commissario*. Jestem żywo zainteresowana pana *bella figura*.

Po ataku psów dotrzymanie obietnicy danej Montanie nie było dla Poldi niczym wielkim. Z drugiej strony, jej śledztwo utknęło w miejscu. Zatrzymało się jak stara winda. Poldi czuła się tak, jakby musiała wyhamować samochód

pędzący na pełnym gazie. Wskazówka Montany też niewiele jej dała. W bibliotece gminnej w Riposto znalazła wprawdzie dziesiątki tomów z mapami topograficznymi, ale kiedy na próżno przekopała sterty map, poddała się. Tym bardziej, że wcale nie było powiedziane, iż dana mapa przedstawia bliższą okolicę.

W nadziei, że Montana pojawi się u niej pod jakimś pretekstem z nowymi wskazówkami, kolejne dni ciotka spędziła na czekaniu. Ale Montana nie przyszedł ani w niedzielę, ani w poniedziałek – ba, nawet nie zadzwonił. Zamiast niego odezwał się Mimì Pastorella di Belfiore. Chociaż znów mówił po niemiecku, ciotka nie od razu rozpoznała przez telefon jego szepczący głos.

– Ależ signora Isolde! Przecież z takim ożywieniem wymienialiśmy się poglądami na temat Hölderlina!

W tym momencie w głowie Poldi z nieprzyjemnym zgrzytem zapadła klapka.

– Eee... Tak, jasne.

– Uważam, że powinniśmy jak najprędzej podjąć nić naszej wspólnej pasji, nie sądzi pani?

Poldi lekko oblała się potem.

– Ojej... Co pan proponuje?

– To może dziś wieczorem, donna Isolde?

– Nie, naprawdę strasznie mi przykro, signor Pastorella...

– Mimì. Proszę zwracać się do mnie po imieniu, donna Isolde.

– Strasznie mi przykro, Mimì, ale dziś wieczorem mam już zobowiązania rodzinne.

– Rozumiem. W takim razie jutro. Chciałbym pani coś pokazać.

– Obawiam się, że to również niemożliwe, Mimì. Nie będę mogła przez cały przyszły tydzień. A w kolejnym tygodniu będzie mi jeszcze trudniej. Wszystko mam zajęte. – Mimì zamilkł, Poldi słyszała tylko jego cichy oddech. Zaczęła nawet się obawiać, że może dobiła go swą odmową. – To może zadzwonię do pana, kiedy będę miała czas? – zaszczębiotała, siląc się na szczególnie pogodny ton.

– Proszę tak zrobić, donna Poldina – odezwał się, jeszcze słabszym i cichszym głosem niż uprzednio. – Czekam na pani telefon.

Poldi odłożyła słuchawkę, wytrącona z równowagi.

– Na litość boską! Tego mi jeszcze brakowało! – zawołała i jakby to telefon był winien temu wszystkiemu, fuknęła na aparat: – Tylko żeby mi drugi

raz nie dzwonił! Ma dzwonić tylko wtedy, jeśli to będzie Montana! Słyszysz?

Montana jednak nie zadzwonił. Nastąpiły ciężkie dni. Pragnienie nigdy nie wydawało się Poldi bardziej dotkliwe, skwar bardziej uciążliwy, życie bardziej skomplikowane, kolejny krok trudniejszy. Panowała jednak nad sobą. Nie piła, choć wymagało to od niej tytanicznego wysiłku.

W tych dniach chętnie wspięłaby się na swój taras na dachu, by spoglądać stamtąd na morze i zapalić jednego razem z Etną. Niestety, kolano znów dawało się jej we znaki, sprawiając, że wchodzenie po schodach było prawdziwą torturą. Przykleiła zatem do drzwi kartkę z napisem „Sono al bar” i zasiadła w barze Cocuzza, popijając lodowate mleko migdałowe i kopiąc papierosa za papierosem.

– *Namaste*, życie – westchnęła, popatrując na morze, po czym skinęła głową smutnej signorze. – Japierdole.

Była zajęta tylko czekaniem na wieczór, na Montanę, na jakiś znak, na natchnienie, na cokolwiek. Przynajmniej nie czekała już na śmierć, a to dobry początek.

Rozdział 6



OPOWIADA O TYM, JAK POLDI NA POGRZEBIE VALENTINO ZADZIERA Z NIEPRZEKUPNYM FUNKCJONARIUSZEM PAŃSTWOWYM I DOKONUJE PEWNEGO ODKRYCIA. O NIEDZIELNYM GRZYBOBRANIU, NA KTÓRYM POLDI DOKONUJE DWÓCH KOLEJNYCH ODKRYĆ, PO CZYM PRZEŁAMUJE SIĘ I POWRACA WE WSPOMNIENIACH NA RUPPERTSTRASSE W MONACHIUM.

Montanę zobaczyła dopiero we wtorek – na pogrzebie Valentino. Nie była wprawdzie zaproszona, ale na szczęście signora Anzalone w sprawie pogrzebów zawsze była na bieżąco.

Cmentarzyk znajdował się na przedmieściach Acireale, niedaleko autostrady, pośród ogrodów cytrynowych, nieużytków i nielegalnych wysypisk śmieci. Pojedyncze cyprysy i palmy pięły się w niebo nad ułożonymi z kamienia murami oklejonymi starymi reklamami. Poldi rzuciło się w oczy, że jest wśród nich wyjątkowo dużo ogłoszeń wróżbitów i chiromantów.

Dotarła na parking pod cmentarzem. Garstka żałobników zgromadziła się już przed wejściem do kaplicy, przypominającej mały, prowincjonalny i odrobinę zbyt okazały dworzec. Poldi wydało się to należyte. Z rozczarowaniem skonstatowała natomiast, że Montany nie ma wśród zebranych. Russo też nie. Ale odnalazła wzrokiem rodziców Valentino, którzy wraz z *padre* gorączkowo perswadowali coś starszemu mężczyźnie, uparcie kręcącemu głową. Najwyraźniej był jakiś problem.

Poldi założyła czarną sukienkę oraz woalkę dla lepszego kamuflażu i właściwie zamierzała dyskretnie trzymać się na uboczu, by z detektywistycznym profesjonalizmem z oddali obserwować wydarzenia. Ale coraz bardziej ożywiona dyskusja, do której włączali się głośno coraz liczniejsi przybyli, obudziła jej ciekawość. Kiedy podkraśniała się bliżej,

zrozumiała trzy po trzy, że rzecz rozbija się o brak *marca da bollo* na pozwoleniu na pochówek.

Zasada była równie prosta, co efektywna. Urzędowe opłaty uiszczano we Włoszech za pomocą znaczków skarbowych, naklejanych na odpowiednich dokumentach. Owe *marca da bollo* kupowało się w *tabacchi*, włoskich odpowiednikach kiosków, w których oprócz papierosów można było nabyć również kupony totolotka, naklejki kolekcjonerskie, bilety komunikacji, prasę, artykuły papiernicze, gumę do żucia, plotki oraz przydatne informacje o sąsiadach.

Taki właśnie znaczek skarbowy ozdobił dokument, którym wymachiwał teraz przed nosem starszego pana ojciec Valentino. Był to jednak niewłaściwy znaczek, bowiem zamiast wymaganej opłaty w wysokości dwudziestu trzech euro i pięćdziesięciu centów uiszczono tylko szesnaście euro. Z powodu siedmiu euro pięćdziesięciu centów zarządca cmentarza odmawiał Candelom wstępu na cmentarz. Nic nie dało się zrobić, stary uparcie kręcił głową i zasłaniał się przepisami. Oczywiście ktoś już wyruszył do najbliższego *tabacchi* po brakujące znaczki, ale jak poszedł, słuch o nim zaginął.

Upał tęzał, dyskusja z zarządcą też robiła się coraz gorętsza, a im była gorętsza, tym bardziej stary upierał się przy swoim. Z jakiego powodu – pozostawało to jego słodką tajemnicą – blokował dostęp do cmentarza niczym trojańska straż. Logiczne chyba, że moja ciotka Poldi nie mogła stać bezczynnie i się temu przyglądać.

– Dobry człowieku – wtrąciła, zwracając się do zarządcy – z pewnością da się znaleźć jakieś rozsądne rozwiązanie.

Stary popatrzył na nią, jakby była cyklopem Polifemem, a on nimfą Galateą. Ale może tylko zbił go z tropu jej niemiecki akcent.

– Muszę przestrzegać przepisów! – powtórzył z rozdrażnieniem. – Przykro mi.

Chciał się odwrócić, ale Poldi chwyciła go i zatrzymała. Grupa żałobników tymczasem otoczyła go wianuszkiem. Ucieczka była praktycznie niemożliwa.

– Widzi pan, signor – ciągnęła Poldi – ja pana rozumiem. Pochodzę z Niemiec, a tam cieszyłby się pan absolutnym szacunkiem. Wykonuje pan wspaniałą robotę. Nie, mówię poważnie. Przepis to w końcu przepis! Tylko widzi pan, Niemcy to zimny kraj. Tam, jeśli chodzi o pochówek, dzień w jedną czy w drugą stronę nie robi różnicy. Ale tutaj, na Sycylii, słońce praży nas

wszystkich niemiłosiernie, wszak właśnie dlatego Fryderyk II Hohenstauf wychwalał Sycylijczyków jako wynalzców humanitarności. My w Niemczech możemy o tym tylko pomarzyć. Wszystkim jest gorąco. Mnie jest gorąco, panu jest gorąco, biednym rodzicom Valentino jest gorąco. I Valentino, który czeka w swojej trumnie na to, by wreszcie udać się na wieczny odpoczynek, też jest gorąco. Wolę sobie nie wyobrazać, jakie święto celebują w tej chwili bakterie gnilne w jego sztywnym ciele. Przecież pan w gruncie rzeczy wcale nie chce się z nami użerać. Robi pan tylko swoją robotę, a my nie uiściliśmy pełnej opłaty. To my jesteśmy problemem, który rujnuje panu zasłużoną przerwę obiadową. A przecież wcale nie chcemy odrywać pana od *pranzo*. Wręcz przeciwnie, prosimy, by pomógł pan nam w tym, byśmy przestali być pana problemem. Naprawdę mamy się tu chandryczyć, aż wszystkim nam słońce wypali mózgi, a gazy gnilne rozsądzą trumnę Valentino? A może w końcu znajdziemy jakieś pragmatyczne rozwiązanie w imię humanitaryzmu i dobra, których pozazdrościliby nam Niemcy?

Zapadła cisza. Wszyscy wlepiali wzrok w Poldi. Ten i ów kiwał głową, ocierał czoło, dało się słyszeć „*ecco!*” lub „*bravo!*”.

Zarządca cmentarza był lekko zbity z tropu przemową Poldi, w końcu jednak zwyciężyła osa, która ugryzła go tego ranka.

– Nie – powiedział. – Musicie czekać, aż ktoś wróci ze znacznikiem skarbowym. I basta.

Żałobnicy odpowiedzieli oburzonymi okrzykami, starego zdawało się to jednak nie ruszać. Bezceremonialnie zaczął przepychać się przez tłumek. I wtedy Poldi załapała krew. Wysupłała z torebki pięćdziesiąt euro i ponownie dopadła zarządcę.

– Posłuchaj mnie, chłoptasiu! – wysyczała po bawarsku, wciskając mu do ręki banknot. – Już ja dobrze wiem, czego chcesz, baranie golony. Masz, weźmiesz to i spokój ma być. Słyszysz?

Była to absolutnie zabójcza i niezawodna kombinacja: bawarski plus łapówka. Efekt okazał się jednak przeciwny od zamierzonego. Uparty zarządca zakrzyknął z oburzenia, rzucił banknot na ziemię, przydeptał go butem i wybuchnął tyradą w sycylijskim dialekcie. Znieważony, zraniony, dotknięty do żywego, splugawiony i skalany odwrócił się i zaczął torować sobie drogę do swej budki. Mleko się wylało, dyplomacja zawiodła na całej linii. Nawet skumulowany gniew ludu i groźba szturm na cmentarz nie zdołały skłonić go do zmiany zdania. Po prostu zaryglował cmentarną bramę i zniknął w swojej

kanciapie.

Dochodziło południe, niebo przypominało polerowaną stal, nad parkingiem drgało rozgrzane powietrze. Poldi sapała pod woalką. W każdej chwili spodziewała się, że czara goryczy się przepełni i wybuchnie rewolta, a zarządca cmentarza zostanie zlinczowany. Ale przygnębieni żałobnicy jakby pogodzili się z losem. Matka Valentino wyglądała jak skamieniała, *padre* ocierał pot z czoła, umilkły ostatnie rozjuszone głosy. Może po prostu było za gorąco. Sycylijskie południe dławilo gniew, zamieniając go w fatalizm. Po krótkiej naradzie postanowiono przenieść trumnę wraz z wieńcami w cień figowca rosnącego nieopodal wejścia na cmentarz i czekać na powrót krewnego ze znaczkami skarbowymi.

Poldi miała poczucie, że posunęła się za daleko. Że może wszystko dokumentnie spartoliła. Chciała pobiec za staruchem, ale czyjaś silna dłoń ją przed tym powstrzymała.

– Wystarczy, signora Poldi. – Montana. Wyrósł przed nią jak spod ziemi, znów w szarym, wymiętym garniturze policjanta i przeciwsłonecznych pilotkach. Poldi była tak zaskoczona jego widokiem i zelektryzowana dotykiem, że zapomniała języka w gębie. – Ja to załatwię – dodał.

Przyglądała się, jak rozmawia ze starym przez okienko. Zarządca początkowo tylko uparcie kręcił głową, w końcu Montana okazał mu legitymację służbową i o coś zapytał. Wówczas urzędnik ustąpił. Burknął pod nosem, Montana coś zanotował i w końcu stary otworzył bramę. Wśród aplauzu żałobników komisarz zamienił kilka słów z rodzicami Valentino i *padre*, po czym wreszcie można było złożyć Valentino do grobu.

– Jak bohater w błyszczącej zbroi – powiedziała Poldi, doganiając Montanę na cmentarzu.

Uśmiechnął się szeroko i obejrzał za siebie, czy ktoś przypadkiem nie słucha. A potem rzucił mimochodem:

– W pokoju Valentino znaleźliśmy pieniądze.

– Co?

– Prawie dziesięć tysięcy euro. W plastikowej torbie za szafą.

Poldi gapiła się na niego z niedowierzaniem.

– Więc jednak potraktował pan poważnie moje przypuszczenia co do kradzieży.

– Ja tylko jestem skrupulatny. Jego rodzice rzekomo o niczym nie wiedzieli. Nawet im wierzę, w przeciwnym razie pieniądze na pewno by tam

nie było.

– Dziesięć tysięcy?

– Hm.

– Może na coś zbierał.

– Można to i tak określić. Same nowe banknoty w czterech numerowanych transzach, każda po najmniej dwa tysiące.

– Japierdołę.

– Słucham?

– Gratuluję, kochanieńki. A wszystko tylko dlatego, że tak panu dopiekłam. Co się mówi? – Nic. Przynajmniej Montana nic nie powiedział. Poldi szturchnęła go lekko. – No już, niech pan powie! Małe magiczne słówko. *Dai!* To nie takie trudne.

Montana westchnął.

– Dziękuję.

– Wisi mi pan przysługę – rozpromieniła się Poldi i zniżyła głos do szeptu: – A teraz pewnie chce pan się rozejrzeć, czy zleceniodawca Valentino nie przyjdzie na jego pogrzeb.

– Albo ten, komu był winien te pieniądze. Kto wie.

– Podejrzewa pan kogoś?

Montana ponownie obdarzył ją szerokim uśmiechem.

– To prawda z tym Fryderykiem II Hohenstaufem? Co mówił o Sycylijszykach?

– Poczciwy Fryderyk na pewno przyznałby mi rację. – Machnęła ręką.

– Więc skłamała pani.

– Charytatywnie. Poza tym to nie było kłamstwo, tylko retoryka.

– Okłamała pani funkcjonariusza państwowego. Usiłowała go pani posmarować. Mógłbym wziąć to do siebie.

– Czyżby pan ze mną flirtował, *commissario*?

Montana popatrzył na nią przez szkła przeciwsłonecznych okularów. Już się nie uśmiechał. Jego twarz przybrała twardy i nieprzenikniony wygląd, jak niebo w południe.

– Proszę tego więcej nie robić, Poldi. I niech mnie pani nigdy nie okłamuje. Nigdy.

Nie czekając na odpowiedź, zostawił swoją ciotkę i odbił w bok, by lepiej obserwować żałobników. Poldi zaś przekląła się w duchu za swoją interwencję.

Ostatnia podróż Valentino zakończyła się przy trypoziomowym grobowcu z niszami. W najwyższym rzędzie ziała kwadratowa dziura, którą grabarz miał zamknąć kamienną płytą, gdy tylko trumna Valentino na zawsze zniknie w niszy. Było niewiele wieńców, a wśród nich jeden od Piante Russo w imieniu całej załogi. Ceremonia przebiegła, jak na gust Poldi, zbyt szybko, zbyt mało uroczystie, zupełnie jakby wszyscy chcieli jak najszybciej zamurować Valentino i o nim zapomnieć. Wprawdzie Poldi wiedziała, że to nie było tak, ale nagle ją to zdeprymowało. A ponieważ była już rozstrojona szorstkimi słowami Montany, nie mogła powstrzymać łez. Opłakiwała Valentino, który zasłużył na coś więcej niż taka śmierć i taki pogrzeb. Opłakiwała swojego wujka Peppiego i wszystkich ludzi, którzy opuścili ją zbyt wcześnie i niezasłużenie. Troszeczkę opłakiwała też samą siebie.

Kiedy w końcu wzięła się w garść i porządnie wydmuchała nos, zauważyła wysokiego, rudowłosego mężczyznę, którego wcześniej nie widziała. Dołożył do wiązanek niewielki bukiet kwiatów, a potem pośpiesznie oddalił się w stronę wyjścia. Był poparzony od słońca i nosił ciemne okulary. Nie był Sycylijczykiem, zgadywała Poldi. Oszacowała, że zbliżał się do pięćdziesiątki. Chętnie zrobiłaby mu zdjęcie, ale w tych okolicznościach wydało się jej to niestosowne. Spostrzegła jednak, że za rudzielcem poszedł Montana.

– Kim jest ten mężczyzna? – zapytała którąś ze stojących obok ciotek Valentino.

– Widzę go pierwszy raz w życiu. – Kobieta pokręciła głową.

Poldi pomyślała chwilę i podążyła za Montaną. Kiedy wyszła na parking, *commissario* stał już przy swoim wozie i zapalał papierosa.

– Kto to był? – zapytała.

– Nie mam pojęcia – odburknął Montana.

– Widział pan tablice rejestracyjne?

Pokręcił głową.

– Odjechał taksówką.

– Taksówką?

– Może pani wierzyć lub nie, ale od jakiegoś czasu są u nas taksówki. Może kiedyś będziemy mieli nawet światło elektryczne. – Był rozdrażniony. Przydeptał wypalonego do połowy papierosa, pożegnał się zdawkowo i wsiadł do samochodu, zostawiając Poldi.

– Bęcwał! – zawołała za nim. Jej serce przygniatał ciężar wielki niczym

Etna.

Ciotkom nie umknęło, że Poldi nie posuwa się naprzód w sprawie Valentino i znów walczy z melancholią. W niedzielę ciotka Teresa i wujek Martino wpadli, by zabrać Poldi na grzybobranie. W ramach projektu Radość z życia. Chodziło o to, by wyjechać na łono natury, na powietrze, poruszać się trochę i naturalnie nazbierać grzybów!

Ciotka Teresa i wujek Martino praktycznie co weekend jeździli pod Etnę na grzyby. Zwykle razem z sąsiadami – rodziną Terranova z parteru, z którą łączyło ich nie tylko trzydziestoletnie sąsiedztwo, ale i zazarta rywalizacja o największe i najpiękniejsze okazy.

Jak twierdził wujek Martino, nigdzie na świecie nie ma większej różnorodności gatunków grzybów jadalnych – i oczywiście nigdzie nie ma większych – niż na nieskończonej żyznej glebie pochodzenia wulkanicznego na stokach *Mongibello*, czyli Etny. Zapasy zamrożonych grzybów ciotki Teresy zdawały się to potwierdzać. Podobno nawet występujący na całym świecie trujący borowik szatański tu był smacznym grzybem jadalnym. Nie próbowałem. Ciotka Poldi również, bo nie lubiła jeść grzybów. A zbierać tym bardziej. W ogóle ciotka miała nieco na bakier z naturą, była raczej mieszcuchem. Dawniej co najwyżej jeździła z wujkiem nad Staffelsee pokapać się i poopalać, bowiem jezioro było tak ciepłe jak Morze Śródziemne. Chociaż właściwie już wtedy, na tamtym odległym i boleśnie zakończonym etapie swego życia, Poldi wolała przesiadywać w ogródku piwnym z widokiem na jezioro niż na ręczniku rozłożonym na piasku.

Mimo to dała się namówić, tym bardziej że Montana milczał, a z każdym kolejnym dniem bez telefonu od niego jej melancholia powracała z większą mocą. Niczym kurz, który kładł się w zakamarkach jej serca, tworząc zwartą warstwę wspomnień, żalu i przygnębienia.

Ciotka Teresa wiedziała o tym. Wiedziała również, jak wymieść z zakamarków ten szczególny rodzaj kurzu. Grzyby miały jedynie zagrać rolę smacznych statystów w dramaciku o magii życia, który ciotka Teresa i wujek Martino wystawiali w każdy weekend, w każdy dzień swego żywota.

Spektakl, jak każde prywatne przedsięwzięcie na Sycylii, rozpoczął się z opóźnieniem. Dwie godziny plus x. Sycylijczycy na płaszczyźnie zawodowej potrafią być absolutnie punktualni i po prusku niezawodni – ale gdy umawiają się prywatnie, obowiązuje orientalne rozciągnięcie pojęcia czasu. Jakby te godziny musiały zostać ofiarowane surowemu Bogu, który mierzy długość

życia każdego człowieka wedle hojności, z jaką ów śmiertelnik trwonił czas życia innych. Poza tym każdy rozsądny Sycylijczyk i tak dolicza do umówionej godziny co najmniej dwie godziny. Poldi jednak nie była jeszcze na tym etapie.

O ósmej, zgodnie z umową, siedziała – pachnąca, natapirowana i trzeźwa (nie licząc małego *prosecchino* na obudzenie) – gotowa do wyjazdu. Ponieważ wyprawiała się na łono natury, włożyła lniany komplet khaki w stylu kolonialnym. Szerokie spodnie, top w lamparci deseń i odpowiedni żakiet z mundurowym kołnierzem i kieszeniami, gdzie nie spojrzeć. Do tego dobrane kolorystycznie rzemykowe sandały, a jako kobiecy akcent – zwarty pęk kolorowych łańcuszków w etnicznym stylu na szyi. Była białą Masajką, kimś w rodzaju bawarskiej Tani Blixen, i była gotowa na grzybobranie.

Gdy jednak Marino i Teresa przyjechali po nią – o jedenastej – miała nie tylko dość grzybobrania, ale w dodatku w jej żyłach krążyły dwa pszeniczne piwa, spożyte dla ukojenia nerwów. Co ciotka Teresa spostrzegła natychmiast.

– Myślałam, że już nie pijesz!

To nie było pytanie. To był wyrzut.

– A ja myślałam, że przyjedziecie po mnie o ósmej – odcięła się Poldi zadziornie. – W czym tym razem był problem?

Ciotka Teresa westchnęła.

– Poszedł po gazetę.

– I nie było go trzy godziny?

– Potem jeszcze wyszedł z psem na spacer.

– Ale przecież zaraz i tak pójdziemy na spacer!

– Potem szukał okularów do czytania.

– Chcesz powiedzieć, że szukał jednej ze stu dwudziestu par, walających się po całym domu?

– Potem musiał zawieźć Marco na lotnisko.

– A w drodze powrotnej wstąpił na targ rybny i kupił trochę miecznika? – Poldi powoli zaczynała rozumieć.

– Figi – westchnęła Teresa. – W niedzielę targ rybny jest zamknięty.

– Ojej, co za szczęście!

Martino zaparkował fiata na końcu Via Baronessa. Wtedy Poldi zobaczyła na horyzoncie następne wyzwanie. Totti. Tryskający humorem mieszaniec, nazwany tak na cześć legendarnego piłkarza reprezentacji grającego w AS Roma. Klasyczny uliczny burek, jakich pełno na świecie w slumsach i favelach, drzemiących na zakurzonych wiejskich drogach i wężących po

podwórzowych śmietnikach: beżowy z czarną mordą, ogromnymi uszami, ogromnymi łapami i złotym sercem. Siedział sobie grzecznie na tylnym siedzeniu za wujkiem. Kiedy zobaczył Poldi, z radości dostał szału, zaczął skakać i szczekać jak opętany.

– Możesz siedzieć z przodu – zaproponowała ciotka Teresa.

Poldi nie miała serca przyjąć oferty, skoro ta żywa istota tak bardzo się cieszyła z jej obecności. Pokornie wcisnęła się na tylne siedzenie obok Tottiego, pozwoliła się oblizać i wyszaleć na sobie, aż pies się uspokoił i wyczerpany bezmiarem radości ułożył na jej kolanach. Wreszcie można było ruszyć.

Po drodze ciotka Poldi wszędzie widziała rozwalające się wiejskie budynki na pustkowiu.

– Do kogo należą te domy?

– Do Burbonów – odparł wujek Martino. – A właściwie do nędznych resztek burbońskiej arystokracji. Nie dajcie się zwieść: za kulisami wielkiego świata za sznurki nadal pociąga arystokracja. Chociaż większość z nich ledwie może utrzymać te pełne przepychu pałace, wille i wiejskie domy.

Poldi wszystko to już wiedziała. Pomyślała o Valérie i zadała sobie pytanie, nie po raz pierwszy zresztą, czy nie była zbyt ufna w stosunku do swej nowej przyjaciółki.

Wujek Martino bez chwili przerwy perorował o sprawach, które Poldi już знаła. Trajkotał o tym, jak to całe bandy specjalizują się we włamaniach do opustoszałych budynków, by łupić mozaiki, freski, kamienne posadzki, posagi, a także lwy przy bramach, a potem sprzedawać je za bezcen, by jacyś dentyści, właściciele nocnych klubów i Niemcy mogli zdobić nimi swoje bezgustowne domy przy plaży. W końcu z zaciętrzewieniem podjął swój ulubiony temat – a mianowicie upadek Sycylii – i było mu obojętne, czy rozmówca jest z nim obeznany czy nie. Aż ciotka Teresa nakrzyczyła na niego, żeby się zamknął, bo od tego gadania zaczyna ją boleć serce. Na co wujek, zgodnie z niezmiennym scenariuszem ich czterdziestoletniego pożycia małżeńskiego, wykrzyczał, że nie da sobie zamknąć ust nikomu – ani jej, ani skorumpowanym politykom, ani CIA, ani nawet Tottiemu, który w międzyczasie wesoło włączył się w dyskusję. I tak Martino płynnie przeszedł do swego drugiego ulubionego tematu, czyli mafijnych powiązań Andreottiego, Craxiego, Berlusconi i tak dalej. Aż w końcu wszyscy zamilkli z wyczerpania i wujek mógł w ciszy powiedzieć z zadowoleniem: „*amore*”.

I znów wszystko było dobrze.

Poldi ukradkiem połknęła dwie aspiryny, po czym dalej gapiła się przez okno, próbując ignorować szwagra, szwagierkę i psa. Przelotnie musnęła ją jedna myśl, jak kometa mknąca po nocnym niebie – rozbłysła i zgasła, pozostawiając jedynie delikatne zadrapanie w postaci wspomnienia. Poldi zrozumiała nagle, że coś przeoczyła. Być może coś ważnego. Ale mimo najlepszych chęci nie potrafiła powiedzieć, co to było. Wygrzebała swój notes i przerzuciła zapiski w poszukiwaniu ukrytej wskazówki. Nic. Nic poza nikłym śladem otarcia, mgnieniem jakiejś myśli, która być może nigdy nie wróci. A to niepokoiło Poldi ponad miarę, tak bardzo, że pragnęła już tylko wrócić do domu, by móc się skoncentrować.

O tym jednak mogła w tej chwili zapomnieć, gdyż w końcu dotarli do grzybowego lasu.

Szukanie grzybów pod Etną nie jest trudne, gdyż za konkurencję ma się tylko rodzinę Terranova i czasem okolicznych chłopów. Nieliczni Sycylijczycy, których ciągnie do dębowych lasów na stokach wulkanu, zadowolają się cienistym miejscem na skraju drogi, gdzie można zatrzymać samochód, urządzić piknik, a następnie zostawić po sobie dokumentny śmietnik i odjechać. Nikt nie wchodził w las głębiej niż na dziesięć metrów. Nawet Martino, który przecież miał samochód.

Wujek, jak zwykle, odbił z drogi, skręcił w las i jechał tak długo, aż fiat utknął w poszyciu. Tam wysiedli: ciotka Poldi, ciotka Teresa, wujek i Totti. Wkroczyli w cień, ciszę i chłód stuletnich dębów, rozprostowali kości, zaczerpnęli głęboko powietrza, po czym westchnęli „Ach!” i „*Che bello!*”. Dokładnie tak, jak się robi, gdy staje się w miejscu pierwotnym, niemal nietkniętym ludzką ręką. Dęby rosły rzadko, z dala od siebie, ich korony otwierały się rozłożysto ku niebu. Przypominały zastępy pradawnych istot, zwołanych głosem mającym obwieścić im coś ważnego.

Tutaj, wysoko w górze, powietrze było chłodne i wiosenne. Przyjemne południowe światło przez konary kładło się migotaniem na ciepłe, sprężyste leśne podłoże, które tłumilo kroki i zdejmowało ciężar z serca. Niemiecka puszcza w magiczny sposób przeniesiona przez jakiegoś dobrego Boga na sierpniową Sycylię.

Totti natychmiast zniknął wśród dębów w poszukiwaniu królików lub stada owiec, które mógłby przepłoszyć.

– Wczoraj padał tu deszcz – oznajmił Martino. – Znam parę miejsc, gdzie

na sto procent moglibyśmy znaleźć prawdziwki.

Poldi uznała wprawdzie, że „na sto procent” zasadniczo gryzie się z trybem przypuszczającym, ale wołała się nie odzywać.

– Na co mam zwracać uwagę? – zapytała.

Ciotka Teresa wcisnęła jej do ręki koszyk.

– Na grzyby.

Martino, Teresa i Poldi ruszyli przed siebie kordonem przypominającym wachlarz i uzbrojeni w koszyki, zaczęli przeczesywać poszycie. Poldi otrzymała instrukcję, by po prostu zbierać wszystko, co choć trochę przypomina grzyba, a później jej zbiory poddane zostaną fachowym oględzinom. Po kwadransie szwagier i szwagierka oddalili się z zasięgu wzroku i słuchu, a Poldi stwierdziła, że ma serdecznie dosyć grzybobrań. Zwłaszcza w rzemiennych sandałach na nogach. Odkąd stanęła na sycylijskiej ziemi, kategorycznie odmawiała noszenia solidnego obuwia.

Postępując, usiadła pod wielkim dębem, pociągnęła łyceczek z piersiówki i spróbowała skupić się na myśli, która uleciała, na tamtej chwili, która błysnęła tak niespodziewanie i równie niespodziewanie zgasła. Na próżno. Ponuro popatrzyła na szumiące cicho dęby.

– Tak, gapcie się na mnie, gapcie! Namawiajcie się między sobą. W końcu sobie przypomnę, możecie być tego pewne!

Jakby w odpowiedzi rozległo się stukotanie dzięcioła. Dębowy las ją wyśmiewał. Spodobało się to Poldi, która nigdy nie lubiła się mazgać. Roześmiała się do wtóru.

– No, naprawdę, lesie! Dziękuję, już wszystko gra.

Kiedy tak gawędzili sobie miło, parę metrów przed sobą ciotka zauważyła dwa młode dębczaki, rosnące blisko siebie i wyglądające, jakby obejmowały się gałęziami. Postanowiła sfotografować tę zdrewniałą wieczną miłość. Kiedy już wyjmowała swój mały aparat, powróciła utracona myśl: zdjęcie.

– Zdjęcie? – zapytałem, kiedy opowiadała mi o tym później. – A dalej?

– Nic dalej. Po prostu zdjęcie.

– Ale od razu wiedziałaś które.

– No, rany, Stephen Hawking to ja nie jestem. Opowiadałam ci już, jak twój wujek Peppe i ja poznaliśmy Stephena Hawkinga? To był taki miły wieczór, jeju, ale się uśmialiśmy...

– Nie zmieniaj tematu, Poldi! Zdjęcie!

– Nie miałam zielonego pojęcia, jakie zdjęcie. Ale to przynajmniej był

jakiś trop, rozumiesz? Więc od razu przejrzałam na wyświetlaczu kamery wszystko, co ostatnio fotografowałam. I wtedy to odkryłam.

– Zdjęcie.

– Dokładnie.

– Jezu, ale które?

– To z policjantem z Taorminy naturalnie. Wryło mi się niejako w podświadomość. Pozdrowienia od Freuda.

Pokazała mi fotografię. Teraz zobaczyłem to i ja.

– Ale numer! – zawołałem jak rażony prądem. – I co było potem?

– Nojej, potem znalazłam grzyby. Ponieważ nagle osiągnęłam wzmożoną zdolność postrzegania. Gdyby gdzieś w Chinach przewrócił się worek z ryżem, tobym to usłyszała, mówię ci.

Bowiem gdy Poldi z wdzięcznością złożyła dłonie, skłoniła się i powiedziała „*namaste*, lesie”, zorientowała się, gdzie usiadła. A usiadła pośrodku największej populacji prawdziwków, jaką kiedykolwiek widział półcień dębowego lasu. Prawdziwe monstra, nie grzyby, z kapeluszami wielkimi jak berety. Szczęście początkującego.

Wujek i ciotka zwątpili do reszty, kiedy zastali Poldi czekającą na nich w samochodzie z koszykiem wypełnionym po brzegi. Frustracja ich była tym większa, że sami nie znaleźli ani jednego grzyba. Zero. Null. Niente.

– Terranova musieli być tu o świcie – burknął wujek Martino i zdeprymowany dokonał przeglądu zbiorów Poldi. Nie było wątpliwości: wszystkie okazy były pierwszorzędnej jakości prawdziwkami. – Nie ma innego wytłumaczenia. Przecież dobrze znam miejsca, w których rosną – skwitował.

– *Amore!* – westchnęła ciotka Teresa.

– Fart nowicjusza – zapewniła go Poldi i podsunęła podłamaną parze swój koszyk. – Proszę! Ja i tak nie lubię grzybów.

Teresa i Martino mieli jednak swój honor. Odmówili niemal opryskliwie, przymuszając Poldi do zatrzymania gigantycznych grzybów, i poradzili, by przyrządziła je na kolację, podsmażone na maśle, wraz z porządną porcją makaronu. Ewentualnie by zamroziła resztę.

I tak bujali się przez całą drogę powrotną.

– Weźcie przynajmniej połowę.

– Nie, to twoje zbiory, więc zatrzymasz je dla siebie.

– Tylko parę. Proszę!

- Nie, ty je znalazłaś, są twoje.
- Daję je wam.
- Nie możemy ich przyjąć.
- Madonna, nie bądźcie śmieszni!
- Więc uważasz, że jesteśmy śmieszni, tak?

Nie pomogły ani protesty, ani apelowanie do rozsądku, ani „*amore*”, ani nawet złorzeczenia. Martino tylko sfotografował koszyk, by dokuczyć Terranovom, ale ciotka Poldi musiała zatrzymać wszystkie prawdziwki, choć już od samego ich zapachu dostawała mdłości, nie mówiąc o wskrzeszeniu paru mrocznych wspomnień z dzieciństwa.

Co miała począć z tymi niechcianymi skarbami? Oddała je. Pod wpływem nagłego impulsu zaoferowała je smutnej signorze Cocuzzy. I proszę, stał się cud – signora Cocuzza nie tylko nie odmówiła, lecz podziękowała z uśmiechem, który można by uznać za łagodnie uradowany. Mały upominek już wkrótce miał się zwrócić z potrójną nawiązką, ale tego Poldi naturalnie nie mogła jeszcze wiedzieć.

Kiedy wreszcie znów była sama w domu, podeksycytowana, natychmiast wyjęła album z kolekcją policjantów i przez lupę obejrzała zdjęcie pięknego *vigile*. Nie było wątpliwości: na drugim planie widniał Valentino.

– Japierdołę! – Poldi nie mogła uwierzyć, że wcześniej nie dostrzegła chłopaka. I dlaczego w ogóle nie zauważyła go wtedy w Taorminie. Mogła to wytłumaczyć tylko tym, że blask, jakim emanował wspaniały okaz policjanta, na chwilę przyćmił wszystko inne, ograniczając jej postrzeganie do tego jednego punktu – zjawisko występujące poza tym wyłącznie u lwic polujących w Serengeti.

Za to Valentino najwyraźniej zauważył Poldi, bowiem patrzył prosto w jej obiektyw. Niestety, ostrość nie pozwalała na rozpoznanie większej liczby szczegółów, ale ciotka była pewna, że chłopak wygląda na spłoszonego i przyłapanego na gorącym uczynku. Był spięty. Być może ze względu na towarzyszącą mu osobę. Bowiem Valentino nie był sam. Siedział przy stoliku kawiarni przy Porta Messina ze znacznie starszym od siebie mężczyzną. Rude włosy, poparzona od słońca cera, ciemne okulary, biała koszulka polo. Mieszkaniec Europy Środkowej. Więcej rozpoznać się nie dało, ale Poldi nie miała wątpliwości, że to ten sam mężczyzna, którego widziała na pogrzebie Valentino. Mr. X, jak go ochrzciła, zdawał się podążać wzrokiem za ruchem głowy chłopaka i również patrzył w obiektyw. Poldi usiłowała przypomnieć

sobie tamten moment. To było w środę, dwa dni po zniknięciu Valentino. Właśnie tego dnia podjęła pierwsze poszukiwania, co ją wystraszyło, tym bardziej że przeoczyła chłopaka akurat wtedy, gdy go szukała. I wszystko przez pięknego policjanta. A może przez to, że tamtego popołudnia chciała jak najprędzej wrócić do domu, położyć wysoko nogi i ze szklaneczką martini wielkości XL czekać na nadejście wieczoru? Przypomniała sobie, że kiedy pośpiesznie przecinała szeroką ulicę za Porta Messina, by dotrzeć na przystanek, z którego kursowały busiki na wielopiętrowy parking, myślami krążyła głównie wokół martini. Pamiętała samochody, trąbiące i rozpychające się, na zatłoczonej przed Porta Messina wylotówce na Castelmole. Właśnie wtedy, w tym chaosie, odkryła policjanta, *vigile* z gwizdkiem i w białych rękawiczkach, i wyszarpnęła z torebki aparat, od razu naciskając wyzwalacz. Wszystko to odbyło się trochę gorączkowo, w czystym odruchu. I zamiast, jak zazwyczaj, zatrzymać się, by jeszcze chwilę podziwiać pięknego policjanta i jego choreografię, od razu pognęła na przystanek autobusowy. A wszystko to przez czekające w domu martini on ice.

Na zdjęciu uchwyciła Valentino i Mr. X w luce między dwoma samochodami. Na kawiarnianym stoliku coś leżało, ale Poldi nawet przez lupę nie mogła dojrzeć co to takiego. Również Samuele, któremu zaraz w poniedziałkowy rano zaniósł cyfrowy oryginał, nie zdołał wycisnąć z fotografii nic więcej.

Im intensywniej wpatrywała się w Valentino, tym bardziej była pewna, że na zdjęciu wygląda na przerażonego. A co dopiero Mr. X! Ten zdawał się świdrować Poldi wzrokiem niczym drapieżny ptak polną mysz. Miała wrażenie, że w jakiś upiorny sposób śledził ją nawet wtedy, gdy przesuwiała fotografię. Zdjęcie przyciągało ją jak magnes, nie mogła się od niego oderwać. Do późnej nocy siedziała nad nim z lupą, skanowała każdy jego milimetr, aż w końcu zaczęły ją piec oczy. Położyła się do łóżka z dziwnym uczuciem, że być może przypadkiem sfotografowała mordercę Valentino. A to oznaczało, że mogło jej grozić niebezpieczeństwo.

Poldi ogarnął strach. Zaczęła się zastanawiać, czy Mr. X mógł ją rozpoznać na pogrzebie. Wszak miała twarz zasłoniętą woalką i trzymała się blisko rodziny Valentino. Z drugiej strony dość znacznie wyeksponowała swoją osobę, ścierając się z zarządcą. Moja ciotka nie jest jednak typem człowieka, którego łatwo zapędzić w koziego róg – w Tanzanii przeżywała wszak nie takie numery. Zrobiła zatem coś, co robiła zawsze, gdy ogarniał ją strach:

wściekła się. Ogarnęła ją furia. A kiedy tak się zaciętrzewiała w swej złości – chwyciła byka za rogi i bez wahania stawiała czoła problemowi. W tym wypadku oznaczało to, że musiała znaleźć Mr. X, zanim on odnajdzie ją. Przemogła się i niewiele myśląc, wysłała do Montany esemesa z zaproszeniem na kolację przy świecach. Przy czym, oczywiście, unikała sformułowania „przy świecach”.

„Mam coś dla Pana. Kolacja o 21.00?”.

Bitą godzinę wpatrywała się w wyświetlacz komórki, czekając na odpowiedź. I w końcu...

„OK”.

Poldi uznała, że Montana mógłby okazać odrobinę więcej entuzjazmu, mimo to wszczęła przygotowania godne sztabu generalnego, bowiem na kolejne błędy w tej sprawie nie mogła sobie pozwolić.

Wezwanie *commissario* na kolację i zaprezentowanie mu w pełnej krasie dekoltu oczywiście służyło śledztwu i było całkowicie profesjonalne. Podobnie jak czerwona suknia bez ramion, w której Poldi przyjęła Montanę.

– Słuchaj, co ci mówię – wyjaśniała mi później. – Żelazna zasada, jeśli chodzi o karierę, spędzanie wolnego czasu i camping mówi...

– Wiem – przerwałem jej. – Kiedy przychodzi co do czego, odsłaniaj skórę.

– Pokazuje się po prostu to, co się ma, obojętnie, kobieta czy mężczyzna.

– A co poradziłabyś mnie? Zakładając oczywiście, że w moim przypadku w ogóle nie szkoda byłoby czasu i atłasu?

Poldi poddała mój wygląd krytycznym oględzinom.

– Robi ci się brzuszek. Nie zaszkodziłoby trochę sportu. Umiarkowana wielkość mięśni nigdy nie jest zła. Jeśli chodzi o męskie nogi, to krótkie spodnie są tabu, z wyjątkiem plaży. I dlaczego tak krótko strzyżesz te piękne włosy? Pozwól im rosnąć, żeby kobieta mogła snuć fantazje, jak wsuwa dłonie w czarne kędziory. Łapiesz? Poza tym masz ładne przedramiona i silne dłonie, zupełnie jak twój ojciec i Peppe. Od łokci w dół możesz pokazywać wszystko, to cieszy oko.

Dobre i to, na początek.

Montanie za to nic nie trzeba było objaśniać. No, ale w końcu on jest Włochem i wie, co się nosi na jaką okazję. Zupełnie jakby przeczuwał, co się święci, zjawił się punktualnie i cały w zabójczej czerni. Wsuwane buty bez skarpet, luźne azjatyckie lniane spodnie, do tego przylegająca koszula, noszona

na wierzch, odrobinę tylko opięta na brzuchu, za to podkreślająca muskularną pierś. Kołnierzyk oczywiście głęboko rozpięty, a rękawy podwinięte równiutko do łokci, tak by Poldi bez przeszkód mogła oglądać owłosienie na jego piersi i jedwabiste futerko na nienaganych przedramionach. Ze swą oliwkową cerą i brodą wyglądał jak Odyseusz goszczący z krótką wizytką u Kirke, tyle że w dwudziestym pierwszym wieku. Tak oceniła go Poldi, z całych sił walcząc ze sobą, by nie rzucić się na niego już na progu i go nie schrupać. Ale nie, nachyliła się tylko lekko i podsunęła mu policzek do obowiązkowego przyjacielskiego całusa.

Ku jej rozczarowaniu Montana nie skorzystał z okazji, tylko podał jej mały, opakowany jak prezent pakunek ze złotą wstążką.

– *Gelato* na deser. Od Ciprianiego.

– Jak miło! – zawołała Poldi nieco kwaśno.

– Ach, i... jeszcze to. – Montana trzymał mały bukiet białych róż i gałązek oliwnych. Jakby potrafił zajrzeć na samo dno duszy mojej ciotki. Trzeba bowiem wiedzieć, że właśnie bukiet białych róż z ogrodu pałacu w Nymphenburgu i gałązek oliwnych Poldi miała w dłoni podczas swych zaślubin w urzędzie stanu cywilnego przy Ruppertstraße, gdy przysięgała wierność mojemu wujkowi. Od tamtej pory ten skromny florystyczny melanz Bawarii i Sycylii był jej ulubioną kompozycją kwiatową, przypominającą ciotce Pepponego, miłość, namiętność, i w ogóle rozświetlającą mroczne czasy.

– Skąd pan wiedział? – wyszeptała, zmieszana, biorąc bukietecik.

– *Boh* – odparł z lekkim zakłopotaniem Montana, a wieczór potoczył się swoim torem.

Rozdział 7



OPOWIADA O BYCIU MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM ORAZ O INNYCH FAZACH UWODZENIA. O TYM, JAK MONTANA PUSZCZA PARĘ Z UST I PRZEZ CHWILĘ DAJE SIĘ PORWAĆ ZAZDROŚCI I NAMIĘTNOŚCI. O TYM, JAK POLDI ZNAJDUJE POCIESZENIE W ZNAJOMYCH RAMIONACH, URZĄDZA POŚCIG ZA MR. X I PO RAZ KOLEJNY STAJE W TAORMINIE TWARZĄ W TWARZ Z PRZESZŁOŚCIĄ.

Commissario przyjął zaproszenie z ociąganiem i lekkim niepokojem, jak na początku września opowiadała mi Poldi.

– Nie ze względu na mnie – wyjaśniła – lecz z obawy o jedzenie. To Sycylijczyk z krwi i kości. Niemieckie piwo jeszcze jakoś przejdzie, ale niemieckie jedzenie? Madonna, uchowaj!

Ku wielkiej uldze Montany Poldi zrezygnowała tego wieczoru z bawarskich przysmaków: serowej pasty *obatzda*, kapusty i tym podobnych dań, i podała klasyczną sycylijską potrawę: *pasta alla Norma*. Przyrządziła ją na bazie *sugo* z pomidorów, zrobionego własnoręcznie przez ciotkę Teresę, smażonych w głębokim tłuszczu bakłażanów z ogrodu signory Anzalone i *ricotta salata*, którą wujek przywiózł z Noto. Trzeba bowiem wiedzieć, że *ricotta salata* kupuje się w Noto, i tylko w Noto. Do tego pyszne *nerello mascalese* z okolic Etny, a na deser przyniesione przez Montanę *gelato*. Wszystko, czego potrzebuje człowiek, by spędzić wieczór doskonały.

Poldi, nastrojona optymistycznie dzięki kwiatom, nie zamierzała od razu iść na całość, wieczór bowiem był długi i dzielił się na trzy fazy.

Faza pierwsza: kroki budujące zaufanie.

Faza druga: wymiana informacji.

Faza trzecia: część nastrojowa i dalsza wymiana.

– Mógłby pan otworzyć wino, Vito?

Odkorkowywanie butelki – kolejna okazja do podziwiania jego pięknych przedramion. Podczas gdy Poldi mieszała *sugo*, Montana napełnił kieliszki.

– Za co wzniesiemy toast? – zapytała.

– Za prawdę.

– Za prawdę!

Stuknęli się szkłem. Poldi tylko umoczyła usta, bowiem, jak wspominałem, wieczór był jeszcze młody. Również Montana wypił jedynie łyżeczek, a potem przyglądał się jej, gdy gotowała.

– Dobry rocznik – stwierdził.

– Dziękuję. Na pewno zna się pan na winie.

– Ujdzie. Ma pani piękny dom.

– Proszę się czuć jak u siebie. Nie chce pan usiąść? Może pan też zapalić, jeśli ma pan ochotę.

– Jeśli to pani nie przeszkadza, wolę patrzeć, jak pani gotuje.

Najwyraźniej również i on nie śpieszył się z wypytywaniem, jakie informacje ma dla niego Poldi. Faza pierwsza przebiegała optymalnie.

– Nie przeszkadza mi to ani trochę, drogi Vito. Ale skoro tak, musi pan mnie trochę zabawiać.

Wzruszył ramionami.

– W jaki sposób?

– Proszę opowiedzieć mi o sobie. I pozwolę sobie przypomnieć, że wypiliśmy za prawdę.

Montana westchnął.

– No dobrze, niech pani pyta.

– Czy jest pan żonaty?

Zbędne pytanie, mające służyć jako rodzaj wstępu.

– Rozwiedziony od czterech lat. Moja była żona mieszka w Mediolanie. Jest adwokatką. Mamy dwójkę dzieci, Martę i Diego. Córka studiuje medycynę w Rzymie, syn maszynoznawstwo w Mediolanie.

Poldi zakodowała imiona.

– Więc tu, na Sycylii, jest pan całkiem sam!

Montana westchnął.

– To skomplikowane.

– Ach, racja. Mówił pan o tym. – Poldi roześmiała się swoim gardłowym śmiechem i nastawiła *penne rigate*, bowiem *pastę alla Norma* przyrządza się

na bazie penne. – Więc co pana sprowadziło na Sycylię?

Commissario westchnął po raz kolejny, ale tym razem było to westchnienie z głębi duszy, które wymalowało na jego twarzy znajomy już, chmurny cień.

– Rok temu karnie przeniesiono mnie tutaj.

Poldi odwróciła się ku niemu, zaskoczona. Nie musiała pytać dalej, bowiem Montana znów wzruszył ramionami i sam podjął temat:

– Pochodzę z tych okolic. Dokładnie z Giarre. Po wojsku od razu poszedłem do szkoły policyjnej w Mediolanie. Sycylijczykowi nie jest łatwo w tym mieście. Już choćby ze względu na dialekt. Dla nich zawsze jesteś Afrykańczykiem. A oprócz tego dyżurnym idiotą, złodziejem, krętaczem i leniem. Mimo to jakoś się przebiłem, nauczyłem się normalnego włoskiego i odzwyczaiłem od dialektu. Ale nie chcę pani zanudzać historią mojego życia...

– Drogi Vito, proszę mi wierzyć, jeśli zacznę się nudzić, zauważy pan to. A teraz może pan zanieść makaron na stół i zapalić świece.

Wcisnęła mu do ręki talerze, a potem obserwowała, jak zapala świece – jak wszystko, co robił, również i to wykonał z pełnym skupieniem i uwagą. Poldi wyobraziła sobie, co jeszcze mógłby wyczyniać swymi dłońmi z taką uwagą i koncentracją. I na nowo musiała się pohamować, by pozostać tu i teraz.

– Przepyszne! – zachwycił się Montana po pierwszym kęsie.

– Biada panu, jeśli powie pan: „jak u mamy”.

Uśmiechnął się szelmowsko.

– Moja matka była przypuszczalnie jedyną Sycylijką, która nie umiała gotować. A moja żona... no cóż.

– Pana rodzice jeszcze żyją?

Montana chrząknął.

– Zmiana tematu.

Ach! Poldi domyśliła się, że dotknęła wielkiej, zabliznionej rany, jednej z wielu. Podobało jej się to. Uniosła kieliszek.

– Za Sycylię i Sycylijczyków.

Montana pokręcił głową.

– Nie, za Sycylię bez Sycylijczyków.

Pijąc, Poldi cały czas patrzyła na Montanę, a *commissario* nawet nie mrugnął, zupełnie tym niespeszony.

– Zrobiłem w policji państwowej całkiem niezłą karierę – podjął. – W latach osiemdziesiątych przez jakiś czas byłem w jednostce specjalnej powołanej do walki z mafią w Rzymie. A potem wróciłem do Mediolanu, do komisji do spraw zbrodni.

– Brzmi niezłe. Co więc się stało?

– Nadepnąłem na odcisk pewnemu politykowi, prowadząc śledztwo w sprawie morderstwa w środowisku prostytutek. To był senator, przedstawiciel bardzo starej i szacownej lombardzkiej dynastii przedsiębiorców, z powiązaniem sięgającym do rzymskiej kurii. I bum, na pięć lat przed emeryturą nagle znów stałem się bezczelnym sycylijskim gówniarzem. Z różnych stron zaczęto mnie anonimowo denuncjować, oczerniać, pomawiać i mobbować, aż na koniec zostałem kompletnie sam.

– Mieli przeciwko panu coś konkretnego?

Montana splótł palce obu dłoni, wykonując odwieczny włoski gest bezsilności.

– Ach, wie pani, po tylu latach w policji zawsze coś się znajdzie, to nieuniknione. Tu jakaś mała przysługa, tam nie całkiem kryształowy układ – drobiazgi, bez których śledczy nie poradzi sobie w bagnie kłamstw, korupcji i milczenia. Nie chcę niczego upiększać, oczywiście, że parę razy splamiłem sobie ręce. Popełniałem błędy. Ale ostatecznie niemal zawsze udawało mi się schwycić sprawcę.

Poldi pomyślała o ojcu, Georgu Oberreiterze, którzy przez ponad czterdzieści lat służby nigdy nie splamił sobie rąk i nie popełnił żadnego błędu. Ale ojciec rzadko mówił o swojej pracy. Nagle zaczęła się zastanawiać, co w ogóle o nim wie.

– Doskonale to rozumiem.

– Nie, nie wydaje mi się, żeby pani rozumiała. Nie chcę się tłumaczyć, ale problem, jaki miał ze mną ów senator, polegał na mojej nieprzekupności. Tja, a kiedy człowiek zostaje zupełnie sam, sprawy nagle zaczynają się toczyć bardzo prędko. Pan senator pociągnął za parę sznurków i ani się obejrzałem, jak zostałem przeniesiony na Sycylię, do Acireale. Uziemiony na kompletnym zadupiu. Wie pani, co to znaczy? – Poldi pokręciła głową. – To najwyższa kara. Mogli przecież wysłać mnie na wcześniejszą emeryturę. Ale nie, przenieśli mnie. Nie tylko już prawie się nie widuję z dziećmi. Nie tylko zamknęli mnie ponownie w tym prowincjalnym smrodku, z którego uciekłem cztery dekady wcześniej. Nie, jest jeszcze gorzej: znów jestem obcy. Outsider

z północy. Sycylijczyk, który miał się za kogoś lepszego – i umoczył sprawę. Ni pies, ni wydra. Zesłaniec. Nieudacznik. Ktoś, komu nie można ufać. Ktoś na straconej pozycji. Koledzy mnie unikają, nie mogę liczyć na niczyje wsparcie, a w sprawie Valentino drepczę w miejscu. Przesłuchując świadków, napotykam na ścianę milczenia. Nie żeby specjalnie mnie to dziwiło, jestem Sycylijczykiem, wiem, o co w tym chodzi, ale to wkurzające. Doprowadza mnie do szału.

Wszystko to Montana opowiedział mojej ciotce całkiem szczerze, starając się usilnie patrzeć w jej oczy, a nie w dekolt.

Poldi sprzątnęła talerze i przyniosła *gelato*. Pistacja i czekolada. Brzmi niewinnie, ale to typowo sycylijska kombinacja, równie barokowa i pełna przepychu, jak cała kuchnia Sycylii. Kuchnia – jak ta kraina – przesycona aromatami, cudami, sensacjami. Spektakularna podróż po podniebieniu, nawet w tak zwyczajnej potrawie, jak *pasta alla Norma*, w której słodczych pomidorów łączy się ze słoną ricottą i lekką goryczką grillowanych bakłażanów. Słodczy, sól, gorycz, ostrość – kuchnia sycylijska nie uznaje kompromisów i jedną potrawą pobudza wszystkie zmysły. Takie właśnie muszą być *gelato*. Słodkie jak szeptana obietnica, pistacja słona jak morska bryza, czekolada gorzkawa, z lekko ostrą nutą, jak pożegnanie z kochankiem po upojnej nocy.

Czyli dokładnie to, czego chciała ciotka. I kiedy pozwalała, by Sycylia w zmrożonej pigułce rozplýwała się na jej języku, wyobraziła sobie Montanę w roli podobnie barokowego dania. Słodkiego, słonego, gorzkiego, ostrego – chłodnego i topniejącego.

– W dodatku w śledztwo wcina mi się jedna Niemka, sprawiając, że wychodzę na idiotę – podjął na nowo gość. – Najchętniej po prostu rzuciłbym w diabły tę sprawę. Niech sobie na niej łamią zęby imbecyle *carabinieri*. Tylko że ja takich rzeczy nie robię, nie rzucam niczego ot tak. Taka stara przypadłość. Więc znów tkwię między młotem a kowadłem. A teraz... – westchnął – jestem tu, u pani.

Poldi skinęła głową ze współczuciem. Montana podobał się jej coraz bardziej. I to w sposób, który już dawno uznała za niemożliwy. Jestem pewien, choć naturalnie mogę powtórzyć tylko to, co opowiedziała mi ciotka, że cała płonęła. Wyobrażam ich sobie, jak oboje, moja ciotka Poldi i Vito Montana, siedzą w domu przy Via Baronessa 29. Jak ze skupieniem mieszają swoje roztopione *gelato*, łączą ze sobą pistację i czekoladę i popijają resztką wina,

tylko po to, by nie musieć już nic mówić, bo nagle każde słowo mogło zaważyć na jubilerskiej wadze, bo lody były już niemal płynne, a oni sami nie wiedzieli, do czego to wszystko ich doprowadzi, więc może lepiej, by nie doprowadziło do niczego. Tak to sobie wyobrażam.

– Rozumiem pana, Vito – powiedziała w końcu ochryple Poldi i położyła dłoń na ramieniu Montany. – Bo na byciu między młotem a kowadłem to ja się znam.

Montana wyjął papierosa.

– Mogę?

– Ależ proszę, Vito!

Poldi przyglądała się, jak ze zwykłym skupieniem zapala papierosa, jak w milczeniu zaciąga się parę razy, patrząc przy tym na nią badawczo. Rozumiała, że nadal widzi w niej element sprawy. Najwyższy czas, by przejść do fazy drugiej.

– Czy udało się panu ustalić, kim był ten rudowłosy mężczyzna na pogrzebie?

Montana pokręcił głową.

– Taksówkarz okazał się niewielką pomocą. Rudzielec wsiadł w Acireale koło katedry i tam też kazał się potem odwiedzić. Niewiele mówił, ale taksówkarz jest pewien, że to cudzoziemiec. Zgadywał, że Amerykanin, ponieważ dał suty napiwek.

– A ja zgaduję, że rodzina Valentino też nie miała zielonego pojęcia, kim był i dlaczego przyszedł na pogrzeb. Chociaż złożył na grobie kwiaty.

Montana skinął głową.

– Za to mamy nowe wieści z laboratorium.

Poldi wyprostowała się jak rażona prądem.

– Aha?

– Ci idioci w Mesynie nie śpieszyli się zbyt, podobno połowa pracowników jest na urlopie, ale wszystko wskazuje na to, że Valentino przed śmiercią został odurzony.

– Nie!

Montana był całkowicie spokojny.

– Wynik analizy nie jest jednoznaczny, ale laboratorium w Mesynie znalazło w moczu Valentino śladowe ilości flunitrazepamu.

– Koktajl gwałtu... – wyszeptała Poldi.

– Można to dostać też w formie tabletek, wówczas nazywa się to pigułką

gwałtu. Działa bardzo szybko i aż do siedmiu godzin.

– Więc sprawca najpierw odurzył Valentino, a potem go zastrzelił?

Montana zgasił papierosa. Poldi zauważyła, że zawsze wypala tylko do połowy.

– Niech mi już pani powie, co dla mnie ma, Poldi.

– Madonna, nie możemy w końcu przejść na ty? Vito?

Nikły uśmiech.

– Więc co dla mnie masz, Poldi?

Moja ciotka dobrze się przygotowała. Sięgnęła do szuflady pod stołem, wyjęła fotografię i położyła ją przed Montaną.

Wpatrywał się w zdjęcie, nie dotykając go.

– Kiedy zostało zrobione? – Jego głos nagle zabrzmiał szorstko jak popękany łupek.

– W środę przed śmiercią Valentino.

– I nie wspomniałaś mi o tym przez cały ten czas?

– Na Boga, Vito, dopiero wczoraj rzuciło mi się w oczy, że na zdjęciu są ci dwaj!

Montana popatrzył na nią, skonsternowany.

– Ale przecież ich sfotografowałaś!

Poldi przewróciła oczami.

– Mój Boże, ja fotografowałam *vigile*! A że Valentino i Mr. X też są na zdjęciu, zauważyłam dopiero wczoraj.

– *Vigile*? Ale po co?

– Ach, Vito, to długa historia. I w ogóle nie ma o co być zazdrosnym. To jak, co ty na to?

Commissario milczał. Wziął zdjęcie w dwa palce i przyjrzał mu się dokładnie.

– To prawda, Vito! – przysięgała Poldi. – W tamtym momencie w ogóle ich nie zauważyłam. Ale popatrz, z jakim przerażeniem na mnie patrzą. A jeśli przypadkiem sfotografowałam mordercę Valentino?

Montana uniósł wzrok i popatrzył na moją ciotkę.

– To co?

– To mogę się znajdować w niebezpieczeństwie.

– To dlatego mnie zaprosiłaś?

Sól, gorycz, ostrość – wszystko to nagle znalazło się w jego głosie i było Poldi zupełnie nie w smak.

– Mogłabym posłużyć za przynętę. – To miał być żart. Ale jej słowa wcale tak nie zabrzmiały. Zabrzmiały desperacko.

Montana chwilę pomyślał. A potem wstał i wziął zdjęcie.

– Dziękuję za kolację. Zadzwoń do ciebie.

I to był koniec fazy trzeciej. *Commissario* tak szybko zebrał się do wyjścia, że Poldi nie zdążyła nawet wstać z krzesła. Na miękkich jak mozzarella nogach podążyła za swoim gościem. Dorwała go przy drzwiach.

– Vito! Ale zaczekaj! To przecież śmieszne!

Popatrzył na nią.

– Śmieszne, mówisz?

– Nie. Tak. Znaczy...

To było wszystko, co zdążyła powiedzieć. Montana bowiem, jedną nogą już na ulicy, na której unosił się zapach jaśminu i kocich szczyń, pochylił się nagle, przyciągnął do siebie Poldi i pocałował ją. Całował tak rozpaczliwie i chciwie jak tonący, i tak łagodnie jak letni deszcz. Takiego zdania była moja ciotka. Całował ją długo, ona zaś bez wahania odwzajemniła pocałunek. Czowała jego zapach, czowała jego oddech, czowała jego dłonie na swoim karku i biodrach, czowała jego pierś przy swojej – i dużo więcej.

To było to. Słodycz. Definitywnie słodycz, uznała Poldi. Po raz pierwszy od długiego czasu czowała się znów kompletna, pełna, żywa, u celu. Jednak kiedy chciała wciągnąć Montanę z powrotem do domu, uwolnił się od niej delikatnie.

– Dobranoc – powiedział cicho i ochryple.

I odszedł.

Poldi została z chaosem w głowie.

– Może był tylko... no, nieśmiały – zasugerowałem ostrożnie, kiedy opowiadała mi o tym we wrześnie.

– Nieśmiały? Montana? Zwariowałaś?

– A może po prostu nie był jeszcze na to gotów.

– Ha! A co to niby ma znaczyć?

– W sensie.... pod względem związku. Nie on jeden. Może po prostu wszystko potoczyło się dla niego za szybko. No bo wiesz, może ty go... w jakiś sposób...

– No, wyduś to z siebie!

– ...przytłoczyłaś. Emocjonalnie.

Ciotka Poldi popatrzyła na mnie z bezgranicznym zdumieniem.

– Ty chyba zdajesz sobie sprawę, dlaczego nie masz dziewczyny, prawda? Bo nie masz pojęcia o kobiecych uczuciach. Zero. Jak słyszę, co ty wygadujesz... Przyłoczyłaś! To przecież on mnie pochwycił w ramiona! Obezwładniony swą namiętnością. Poczułam to, ten ogień, tę wznoszącą się magmę jego wulkanu, a na tym to ja się znam. A że potem tak mnie zostawił, to była zimna kalkulacja. Bo był zazdrosny o zdjęcie *vigile*.

– Namiętność i kalkulacja? – ośmieliłem się zaoponować. – Jak to do siebie pasuje?

– Rany, yin i yang. Id i superego, rozumiesz? Rdzeń kręgowy i kresomózgowie. Ten mężczyzna jest komisarzem policji kryminalnej, zapamiętaj to sobie, to najwyższa postać człowieka. Perfekcyjna synteza rozumu i uczuć.

– Aha.

– Nie musisz mi tu tak przemądrzale mówić „aha”, ja swoje wiem, na tym to ja się znam. Japierdolę. Ależ byłam wściekła, nie wyobrażasz sobie. Tak po prostu mnie zostawił pod drzwiami, kozioł lodowcowy jeden, bez serca. A ja tej nocy zabrałabym go w magiczną podróż, pełną cudów i przygód. – To było więcej, niż chciałem wiedzieć. Zakasłałem, zmieszany. – A teraz się spieszyłeś, co? Właśnie dlatego masz taką blokadę ze swoją powieścią, bo zawsze odwracasz wzrok, jak boli. Bo się boisz uczuć.

– Tja... Późno się zrobiło. Dobranoc, Poldi.

– Siedź, gdzie siedzisz. Spójrz na mnie. Co widzisz? – Westchnąłem. – No mów, co widzisz?

– Ciebie, Poldi.

– Rany, pod wierzchnią powłoką!

Popatrzyłem na ciotkę – odzianą w kaftan w stylu etno, z odrobinę przekrzywioną peruką i makijażem egipskiej piosenkarki popowej. W ręku trzymała prawie pustą szklaneczkę whisky, choć już nie piła.

– Rozczarowanie?

Pokręciła głową.

– Głębiej.

– Ból. Miłość. Tęsknotę.

– A co jest ich przyczyną?

Wzięłam głęboki wdech.

– Na drugim miejscu: Montana.

Zmarszczyła brwi.

– Aha. A na pierwszym?

– Sycylia. Ból wywołany tym, że Sycylia odwzajemnia twą miłość mniej entuzjastycznie, niż myślałaś. I tęsknota za tym, by w końcu dotrzeć do celu. Bo na tym to *ja* się znam.

Ciotka Poldi wypięła ostatni łyk, nie odrywając ode mnie wzroku. Takim spojrzeniem, jakby jeszcze mieli być ze mnie ludzie. Tak mi się przynajmniej wydawało.

– Śpij dobrze.

Wzięła krótki zamach, dźwignęła się z kanapy i chwiejnie potoczyła w stronę sypialni.

Było oczywiste, że ciotka Poldi czuła się zraniona. I nic dziwnego. Zwłaszcza że *commissario* nie odezwał się następnego dnia. Ciotki, zagorzale kibicując Poldi, w geście solidarności nie szczędziły Montanie przytyków za ten brutalny faul. Jednomyślnie orzekły, że w życiu komisarza musi być inna kobieta. Oczywiście on, który tak igra z uczuciami Poldi, nie jest jej wart, ale gdyby Poldi jednak się przemogła i dała mu drugą szansę, to na dłuższą metę osiągnęłaby trwały sukces. Na sto procent, pomyłka wykluczona.

– Forza Poldi! – zawołała ciotka Luisa. – Która kobieta może się z tobą mierzyć?

– Młoda? – zakrakała ponuro Poldi.

– Bzdura! – zaprotestowała Caterina. – Masz piękną cerę, jędrną pupę i poczucie humoru.

– Akurat. Jestem stara i gruba.

– Jesteś kobietą pełnokrwistą. W kwiecie wieku.

Poldi przewróciła oczami.

– *Amuri!* – ciotka Teresa zawezwała wujka Martino. – Powiedz Poldi, jaka jest!

– Najpiękniejsza ze wszystkich Isold.

– Brawo! I masz.

Ale szczerą, prawdziwą pociechę przyniósł Poldi dopiero señor Bacardi. Robiła to z nim sour, daiquiri on the rocks, z colą i tonikiem. Na kwaśno, na słono, na słodko i na gorzko. Poldi nawet w alkoholowym zamroczeniu przekornie wyznawała Sycylii swą miłość. Tylko że alkohol to niepewna deska ratunku w oceanie żalu nad sobą.

– Przez jakiś czas cię unosi, ratuje przed utonięciem, nie szczędzi optymizmu, a potem wciąga, bulbulbul, w głęboką toń. – Poldi wiedziała,

o czym mówi.

Co ostatecznie uratowało ją przed utonięciem? Miłość? Apetyt na życie? Nic z tych rzeczy. Instykt łowcy. Kryminalistyczny pęd. Zdjęcie Valentino z Mr. X.

Nazajutrz po nocnym opilstwie, na kacu, spragniona, bez apetytu i nie w humorze, sprawdziła wiadomości na automatycznej sekretarce. Nadal nie było wieści od Montany, nagrały się tylko zaniepokojone Valérie i ciotki.

Montana nie odzywał się też przez kolejne dni, ale Poldi miała swoją dumę. Chciała rozwiązać sprawę tego morderstwa choćby po to, by się odegrać. By Montana wyszedł na idiotę: jedna wielka *figuraccia*.

Błada i wciąż nieco rozstrojona, pokazywała w całym miasteczku komórkę ze zdjęciem na wyświetlaczu. W *tabacchi*, w barze, u sąsiadów. Wyglądało jednak na to, że nikt nie znał rudzielca.

– W *Twarzach zbrodni* na Canale Cinque pokazywali kiedyś tego psychologa z policji – szepnęła jej konspiratorsko signora Anzalone. – Mówił, że mordercy zawsze wracają na miejsce zbrodni. Po prostu nie potrafią inaczej. Pchają ich poczucie winy, ciekawość i pycha.

Trafiony – zatopiony, pomyślała Poldi, nie mogąc uwierzyć, że sama na to nie wpadła. Uważała jednak za mało prawdopodobne, by Mr. X pojawił się na plaży w Praioli. Prędzej już można by się na niego napatoczyć w Taorminie, zwłaszcza że wyraźnie nie unikał ludzi. Poldi natychmiast zadzwoniła do Teresy. Naturalnie wiedziała, że porządną obserwację – obojętnie, obiektu czy osoby – zawsze prowadzi się we dwójkę. Czworo oczu widzi więcej niż dwoje, jednego śledzącego zawsze można było zgubić, a poza tym samotność groziła porażającą nudą. Nuda zaś, jak wiedziała Poldi, zawsze miała w bagażu alkohol.

– Chcesz obserwować całą Taorminę? Jak ty to sobie wyobrażasz?

– Chodziłoby głównie o Corso. Ale i inne, nazwijmy to, hotspoty.

– Przez całą dobę?

– Oczywiście, że nie. Rozdysponuję was na trzy zmiany, po cztery godziny każda. Więcej nie damy rady.

– A co z Martino?

– Taka obserwacja to nie jest zajęcie dla kogoś, kto nie potrafi usiedzieć w spokoju przez dziesięć minut. A poza tym...

– Tak, wiem. A jak ty chcesz wytrzymać dwanaście godzin?

– Rany, przecież ja mam czas.

- Ale nie Luisa, ona musi pracować.
- Na pół etatu. Mogłaby przejąć wieczorną zmianę. Może nawet poznałaby kogoś.
- Przestań! Wiesz przecież, jaki Franco jest zazdrosny. A kto w tym czasie będzie pilnował psów Cateriny i odbierze małą Carmelę z przedszkola?
- Martino?
- Do chrzanu ten twój pomysł, Poldi.
- To jest pomysł do kawy, Tereso. I do cytryny. Pistacji. Mleka migdałowego. Pomysł do *insalatadimare*.

Szwagierka przełknęła głośno ślinę, raz jeszcze rozważając w myślach całą sprawę.

- Perfekcyjnie. Terranova z zazdrości zzielenieją jak te ich sztuczne kwiatki!

Nie było potrzeby pytać o zdanie dwóch pozostałych sióstr, bowiem, jak mówiłem, to ciotka Teresa wodziła u nas prym, a ciotki, jak wspominałem, były wielkimi miłośniczkami kryminałów.

Taormina, położona malowniczo wysoko nad poziomem morza, była jednym z ulubionych przez turystów miejsc na Sycylii. Gościli tam Goethe, Oskar Wilde i Thomas Mann, później gwiazdy filmowe, takie jak Greta Garbo, Marlene Dietrich i Elisabeth Taylor. W środku miasta znajdował się rzymski amfiteatr, który nosił mylną nazwę *Teatro Greco*. Latem odbywały się tu świetne festiwale filmowe i koncerty, wystawiano też balet. Zawsze jednak istniało pewne ryzyko, że show światowej sławy gwiazdzie skradnie Etna, bowiem *Mongibello* był doskonale widoczny przez lukę pośrodku sceny. W dziewiętnastym wieku do Taorminy, by leczyć chorobę płuc, przyjechał niemiecki fotograf, Wilhelm von Gloeden. Uwieczniał wiejskich chłopaków na tle antycznych kolumn – w zalotnych pozach, powabnie umalowanych i ubranych najwyżej w wieniec laurowy. Reprodukcje tych zdjęć można kupić w Taorminie na każdym rogu i to właśnie na nich wyrosła liberalna sława miasteczka, które wciąż było ulubionym miejscem społeczności gejowskiej.

Nazajutrz przed południem Poldi i Caterina, która przejęła pierwszą zmianę, zasiadły na ulicy przed Mocambo. Poldi wybrała nieco mniej wyeksponowane miejsce – nie całkiem z przodu, ale i nie z tyłu – w cieniu. Uzbroidła się w ciemne okulary i miała dobry widok na *piazza* i *corso*. Przez pierwszą godzinę była odrobinę spięta, popijała kawę za kawą, by nie przeoczyć żadnego mężczyzny przechodzącego obok baru. Po godzinie czuła

się kompletnie wycieńczona, a jej kark zeszywniał z napięcia. Jednocześnie stwierdziła, że Caterina, w szykownych okularach przeciwsłonecznych, była zupełnie wyluzowana. Siedziała z nogą wdzięcznie założoną na nogę i spokojnie, płynnie obracała głową jak anteną radaru, bez pośpiechu i na pozór zupełnie obojętnie. A mimo to nikt nie umknął jej uwagi.

– Pozycja drugiej godziny, ten z plecakiem.

– Za niski.

– Na jedenastej. Właśnie wychodzi ze sklepu.

– Za młody... Powiedz, jak ty to robisz?

Caterina wzruszyła ramionami.

– Przypomnij sobie, jak to było, kiedy byliśmy nastolatkami. Kiedy nie chcieliśmy, żeby chłopacy się zorientowali, jak dokładnie ich lustrujemy.

– Ale ja zawsze chciałam, żeby się zorientowali.

– Wyluzuj, Poldi.

Łatwo powiedzieć. Po jakimś czasie Poldi załapała jednak, w czym rzecz, praktycznie stapiając się z otoczeniem i naśladowując radarowe spojrzenie Cateriny. Głupio tylko, że w płynącym przez Corso nieskończonym strumieniu twarzy, głosów i pozowanych fotek nie pojawił się Mr. X. Rodziny Niemców w spodniach rybaczkach, obdarci młodzieńcy w japonkach i z plecakami, pary angielskich homoseksualistów, amerykańskie nastolatki z kubkami kawy, rozwydrzone dzieciaki szalejące na *piazza*, kosmopolityczne Hiszpanki o przenikliwych głosach, poparzeni słońcem zadowoleni Holendrzy, grupki gawędzących ze sobą starszych panów, bladzi księża z aktówkami, tubylcy w pośpiechu i biznesmeni zupełnie nieśpiesznie. Jakby ta poruszana osobliwymi siłami pływów, mamrocząca i szurająca butami rzeka między Porta Messina a Porta Catania pulsowała, zmieniała bieguny, meandrowała w boczne uliczki, przesuwiała się leniwie między straganami ulicznych malarzy i wylewała na Piazza Duomo, gdzie cykano zdjęcia, konsumowano kanapki i kontemplowano widok. A wszystko to bacznie obserwowały i komentowały moje ciotki.

W międzyczasie, niemal co godzinę, popiskiwała komórka Poldi, wypływając esemesy od Montany. „Zadzwoń”. „Gdzie jesteś?”. „Możemy porozmawiać?”. „Proszę, odezwij się”. Był to ten rodzaj wiadomości, który łamał serce Poldi i uzmysławiał jej niedwuznacznie, w czym rzecz. Że nastąpił koniec, zanim w ogóle cokolwiek się rozpoczęło.

Z gorzkim posmakiem w ustach wykasowała wszystkie wiadomości

i zablokowała numer Montany. Wtedy poczuła się odrobinę lepiej.

Koło południa Caterinę zastąpiła Teresa, a wieczorną zmianę przejęła Luisa. Cienie przesunęły się na drugą stronę ulicy. Poldi i jej asystentki zmieniały kawiarnie, by nie rzucić się zbyt w oczy. Pływały z prądem po Corso, wstępując to tu na lody, to tam na *panino*, sok pomarańczowy, mrożoną herbatę, kawę, ciastko. Na wszystko, byle nie na alkohol. Nawet na małe *prosecchino* czy ciupeńkie *limoncello* o zachodzie słońca. Ciężka to była walka, ale Poldi trwała w niej dzielnie. Jej plan zakładał, że nie tknie alkoholu i znajdzie Mr. X.

Tylko że Mr. X nie chciał kooperować.

Poldi oczywiście wiedziała, że sukces obserwacji opiera się na dwóch filarach: cierpliwości i wytrwałości. Że trzeba się stać jaszczurką, która, dobrze zamaskowana, godzinami tkwi nieruchomo na kamieniu, by w końcu zniecała rzucić się na ofiarę.

Dobre było to, że Poldi ponownie odkryła swojego *vigile*, ale zupełnie nie była już nim zainteresowana. Wręcz przeciwnie, teraz wydał się jej mniej atrakcyjny, wręcz nadęty, sztuczny i głupi. Nie to, co Montana. *Vigile* nie dorastał mu do pięt.

Ach, właśnie! Montana! Kiedy powracała do niego myślą, za każdym razem z jej serca uwalniał się małeńki odłamek bólu, niczym lawina otoczków, z długim westchnieniem pędząca po alpejskim stoku ku dolinie.

– Zapomnij o nim – powiedziała ciotka Luisa. – Rozejrzyj się, ile tu przystojnych mężczyzn w kwiecie wieku.

Poldi machnęła ręką.

– Sami geje.

– Rany, widzę przecież, jak na nas patrzą.

– Tak, patrzą na ciebie, Luiso.

– Tak myślisz?

– Jesteś seksowna – potwierdziła poważnie Poldi. – Właściwie kompletnie się nie nadajesz na dyskretną asystentkę.

– Jak Franco to usłyszy, to oszaleje! – rozpromieniła się Luisa. – Poldi, wiesz, jak długo o tym marzyłam? Żeby trochę wyjść między ludzi, pogadać, przeżyć jakąś przygodę, może nawet poflirtować tu i tam. – Wzięła Poldi za rękę i ścisnęła mocno. – To cudowne, że tu jesteś!

Ale jedna jaskółka nie czyni wiosny, a nawet najlepsza obserwacja nie wyczaruje Mr. X. Po trzech dniach pracy na zmiany w Taorminie zapał ciotek

zaczął słabnąć i nawet Poldi powoli miękła.

Gdy późnym wieczorem wracała do domu i bez siły opadała na kanapę, w jej głowie kłębiły się myśli. Myślała o pewnym *commissario*, o Valentino, o słowach Luisy, o mapie topograficznej, o Mr. X, o Valérie i Russo, a nawet o swoich rodzicach. Sentymentalne myśli o utraconych szansach, zmarnowanym życiu i sknoconych pożegnaniach. W takim stanie zastał ją list z Tanzanii, który – bez czytania – spaliła w popielniczce. A potem, następnego wieczoru, na Corso Umberto zniecka pojawił się Montana.

Poldi właśnie uiszczala rachunek, jak zwykle dając suty napiwek, więc przez moment skupiła uwagę na czymś innym. Tak to bowiem jest z obserwacją – człowiek raz odwróci wzrok i właśnie wtedy coś się dzieje. Kiedy podniosła oczy, stał przy jej stoliku – w swoim wymiętym szarym policyjnym garniturze. Jego twarz znaczyły promienie zachodzącego słońca i zły humor, jakby wyczarowane psikusiem złośliwego dzina. Wyciągnął rękę do ciotki Luisy i się przedstawił. A Luisa musiała powstrzymać się z całych sił, by nie ozłocić go uśmiechem. Nie mogła wszak, tak bez pozwolenia Poldi.

– To ja was na chwilę zostawię – zdołała wydusić bez uśmiechu i oddaliła się pośpiesznie, na odchodnym obrzucając *commissario* badawczym spojrzeniem.

Montana usiadł na krześle, które zwolniła. Żadnego całuska, żadnych słów powitania.

– Co tu robisz, Poldi?

– Właśnie chciałam cię zapytać o to samo. Jak mnie w ogóle znalazłeś?

Montana wzruszył ramionami.

– Namierzyłem twoją komórkę.

Poldi na moment zatkało.

– To ja nadal jestem podejrzana?

– Dlaczego nie odbierasz telefonów? Dlaczego nie odpisujesz na moje wiadomości?

Poldi popatrzyła na niego.

– Bo nie mamy nic do omówienia, Vito. A poza tym byłam zajęta, mój drogi.

Montana wyglądał na jeszcze bardziej wymiętego niż przed chwilą.

– Co tu robisz, Poldi?

– Siedzę sobie. Nie wolno?

– Cały dzień?

– Nie. Tylko w tym momencie.

Pokręcił głową.

– Poldi, umawialiśmy się.

– Tak, wielkie dzięki za przypomnienie i arrivederci – rzuciła ciotka po niemiecku, żeby policjant zrozumiał tylko ostatnie słowo.

– Co?

– To znaczy umawialiśmy się w sprawie Russo. I dotrzymuję słowa. Wiesz już, kim jest Mr. X?

Montana pokręcił głową.

– A ty?

Poldi wstała z jękiem.

– Późno już, muszę wracać do domu. – A ponieważ nie mogła się powstrzymać, a Montana był taki zmięty, pogłaskała go przelotnie po głowie. – Powodzenia, Vito-między-młotem-a-kowadłem.

– Zadzwoń! – rzucił Montana. I nawet obdarzył Poldi uśmiechem.

– Zobaczymy.

Nie oglądając się za siebie, Poldi opuściła kawiarnię. Po drodze zgarnęła ciotkę Luisę, która sterczała przed wystawą nieopodal.

– No, przystojny – szepnęła Luisa.

– Nie chcę o tym mówić.

– Naturalnie. Ale i tak jest przystojny.

– Luiso!

– Tylko mówię.

Poldi wzięła się w garść. Pojechała z Luisą na parking, zapłaciła w automacie za postój, znalazła swoją alfę, jeszcze przez chwilę posiedziała za kierownicą i dopiero wtedy troszkę sobie popłakała. Tylko troszkę, gdyż w głębi serca moja ciotka nie lubiła się nad sobą uzalać. Czasami po prostu trudno to pokonać. Tak, nawet mojej ciotce Poldi. Uroniła więc kilka łez, a Luisa przez cały czas trzymała ją za rękę i powtarzała:

– Rany, Poldi!

Dzień później Mr. X nadal się nie pokazał, za to wieczorem moją ciotkę dopadła przeszłość w postaci dawnego znajomego: całego w czarnej skórce, ciemnych okularach, z pierścionkami na wszystkich palcach. Był sam, nikt go nie rozpoznał, nikt nie domagał się autografu – po prostu spacerował sobie po Corso, odkrył moją ciotkę i uradowany przysiadł się do niej i Luisy.

– Rany, Ringo! – zawołała wzruszona Poldi, kiedy już go rozpoznała.

I padła mu w ramiona.

– Momencik! – przerwałem jej podejrzliwie, kiedy podczas mojej wrześniowej wizyty opowiadała mi o wszystkim z najdrobniejszymi szczegółami. – Jaki Ringo?

– No rany, Ringo Starr przecież.

– Chyba nie masz na myśli *tego* Ringo Starra?

– Sama się zdziwiłam, że mnie rozpoznał po tylu latach. Od razu do mnie podszedł, jakby to było zaledwie wczoraj, kiedy jedliśmy kurczaki z nim, z jego Barbarą i Peppem. To tacy mili, dobrzy i serdeczni ludzie.

Gapiałem się na ciotkę.

– Nie wierzę ci.

– To sobie nie wierz.

– I co chciał ten Ringo Starr?

– Nic. Pogadać trochę. Dowiedzieć się, co tam u mnie, co u Peppego. Nawet nie wiedział, że Peppego nie ma już na tym świecie. Rany, zupełnie straciliśmy się z oczu. No i chciał wiedzieć, co robię na Sycylii. Od razu zaczął flirtować z Luisą, filut jeden. A potem zaprosił nas obie na swój koncert open-air następnego dnia w *Teatro Greco*. Backstage, oczywiście.

– Oczywiście.

– I powiedział jeszcze, że zaprasza nas do swojej posiadłości w Surrey, gdybyśmy miały powyżej uszu raj. Tam panują takie wspaniale ponure, zimne i wilgotne zimy. *Wonderfull*, wróbelku, odparłam mu na to, *we will let it through our heads*. A jak myślisz, co zrobiłam potem?

– Pokazałaś mu zdjęcie Mr. X.

– *Cento punti!* I wyobraź sobie, że Ringo go rozpoznał.

Rozdział 8



OPOWIADA O KOMISARZU PRZYPADKU ORAZ O TYM, JAK POLDI Z JEGO POMOCĄ USTALA TOŻSAMOŚĆ MR. X. POLDI MUSI SIĘ PRZEŁAMAĆ, I TO PARĘ RAZY Z RZĘDU. I NIE TYLKO POLDI. ZA TO ZOSTAJE POU CZONA O ZASADACH AERODYNAMIKI, MOŻE POTRZYMAĆ MONTANĘ ZA RĘKĘ, ZJEŚĆ PAMPUCHA, A POD KONIEC DNIA MIEĆ WSZELKIE POWODY DO ZADOWOLENIA.

Jednym z najskuteczniejszych śledczych w całej historii kryminalistyki od czasów Edypa, co wiedziała Poldi, był komisarz Przypadek. Nie było takiej sprawy, w której się nie pojawił, prędzej czy później każdy potrzebował jego usług. Poldi lubiła wyobrazić go sobie jako niedbale ogolonego flejtucha, któremu nadal mama pierze bieliznę. Sportowe buty, stare jeansy, sprana bluza z kapturem, nerdowskie okulary – taki wieczny chłopiec. Niesolidny kolega bez ambicji, no, chyba że chodzi o jego work-life-balance. Odwalał niezbędną robotę w swojej kanciapie na końcu jakiegoś korytarza, gdzie unosił się zapach środków czystości i zwietrzałej kawy, gdzie tymczasowo przechowywano rupiecie i akta, a czasem o nim zapominano. Komisarz Przypadek na wszystko się zgadzał, o ile nie był nękanym przez innych i mógł na pół gwizdka odbębnić swoje. Z rzadka pokazywał się na odprawach lub naradach, na obowiązkowych ćwiczeniach na strzelnicy, nie mówiąc o pracy w terenie. Wolał przytulne ciepłko. Byle bez stresów. Naciskany, stawał okoniem. Kiedy przykładowo na początku sprawy ktoś wcisnął mu do przejrzenia jakieś akta, mógł być pewien, że komisarz Przypadek zawali całe dochodzenie. Przez niego interwencje z użyciem broni palnej kończyły się katastrofą. Komisarz Przypadek miał problem z respektowaniem autorytetów. Był humorzasty i miał złośliwe poczucie humoru. Jedynak, przypuszczała

Poldi. Nic dziwnego, że nie był zbyt lubiany przez kolegów, którzy niezmordowanie gromadzili fakty i ślady, ciężko harując na to, by jego osoba okazywała się zbędna. Biorąc pod uwagę jego abnegackie nastawienie do pracy, właściwie już dawno powinno się go zwolnić, nie zważając na status funkcjonariusza państwowego. Głupio tylko, że kolega Przypadek mógł się pochwalić sporymi sukcesami. Wbrew cherlawej aparycji potrafił uderzyć znienacka, za to precyzyjnie, umiał rozplątywać supły, łączyć wskazówki i ujawniać to, co ukryte. Potrzebowano go i on o tym wiedział. Z drugiej strony nie skarżył się, gdy na koniec koledzy stroili się w jego piórka – pod tym względem był całkiem wyluzowany. Ostatecznie zwykle korzystał ze starannie przygotowanego przedpola. Nie oczekiwał też podziękowań, najwyżej małego *namaste*. A Poldi mu tego nie skąpiła.

Namaste, komisarzu Przypadek. *Namaste*, Ringo.

Ringo przebywał w Taorminie już od tygodnia, w związku z koncertem i clipem, który kręcił. Stosownie do swej sławy zatrzymał się w Timeo, najlepszym hotelu w mieście. I właśnie tam, w holu luksusowego hotelu, Ringo widział rozmawiającego z kimś Mr. X. Początkowo rozpoznał właśnie tego kogoś i ominął go szerokim łukiem, po tym, jak ów ktoś poprzedniego dnia zagadnął go i wcisnął mu swoją wizytówkę. Właśnie dlatego Ringo zapamiętał Mr. X. A ponieważ Ringo zamiast od razu ją wyrzucić, wetknął ją niedbale do kieszeni i o niej zapomniał, mógł ją przekazać mojej ciotce. Wizytówkę Corrado Patanègo.

– Halo, halo! – zawołałem, nie kryjąc entuzjazmu.

– Zdziwiłeś się, co? Na loterii wygrywa tylko ten, kto kupi los.

– A ty naturalnie od razu poleciałaś do Timeo i o niego zapytałaś.

– Logiczne. Mogłam tylko przewidzieć, że nie udzielają informacji o gościach, buce malowane. Nie chcieli mi nawet powiedzieć, czy Mr. X w ogóle jest gościem hotelu.

– Montanie by powiedzieli.

– Owszem, też o tym pomyślałam.

– A co stało na przeszkodzie?

To było jasne: дума, oczywiście. Moja ciotka wszak obiecała sobie, że tę sprawę rozwikła sama, żeby z przyjemnością pokazać Montanie, do czego jest zdolna. Do diabła z nim!

Poldi wiedziała jednak również, że nie może za bardzo prowokować losu. Komisarz Przypadek był humorzystycznym typem, w dodatku lubił wcześniej

kończyć robotę. Dobrze, że przynajmniej jej nieustępliwość w prowadzeniu obserwacji została nagrodzona. *Namaste*, komisarzu Przypadek. *Namaste*, Ringo. Tylko co teraz?

Naturalnie mogła po prostu pójść do Patanègo i prosto z mostu zapytać go o Mr. X. Przez zaskoczenie być może otrzymałaby nawet szczerą odpowiedź. Było jednak bardziej prawdopodobne, że Patanè w żywe oczy się wyprze znajomości z Mr. X i tego, że kiedykolwiek go widział. W końcu Poldi miała w ręku tylko wspomnienie spotkania w biegu, przekazane jej przez dawnego znajomego, i to wspomnienie sprzed paru dni. Poza tym Ringo też nie był już młodzieniaszkiem, a ze względu na swoje powszechnie znane, choć odległe o parę dekad doświadczenia z konsumpcją substancji poszerzających świadomość, nie był też do końca wiarygodny. W gruncie rzeczy Mr. X nadal był fantomem.

A także, być może, mordercą Valentino.

A Poldi być może groziło niebezpieczeństwo.

Oczywiście mogła wziąć na siebie ryzyko, udać się do jaskini Iwa i poczekać w Timeo na Mr. X. Ale Poldi nie była typem człowieka, który przejmował się dumą i próżnością, jeśli gra toczyła się o coś naprawdę ważnego. Rozwikłanie sprawy miało najwyższy priorytet. Nawet jeśli w tym celu musiała się przełamać. A na tym Poldi dobrze się znała.

Z westchnieniem odblokowała w komórce numer Montany i wysłała wiadomość:

„Możesz przyjść do Timeo? To ważne”.

Pling-plong-pling, odpowiedź nadeszła od razu.

„Teraz?”.

Na co moja ciotka odpowiedziała:

„Proszę!”.

Następnie Poldi odesłała do domu ciotkę Luisę i zaczęła na Montanę. Niecałą godzinę później, siedząc w głębi holu na miękkiej kanapie, zobaczyła, jak wchodzi do hotelu i rozgląda się krótko. Przez chwilę kontemplowała ten widok, po czym pomachała w stronę Montany, czując jednocześnie znajome rwanie w całym ciele. Coś jakby napięcie skóry tuż przed poparzeniem słonecznym. Zwiastun szczególnego bólu, za którym tęskni się w samotne noce.

– Złożyłeś jakieś śluby czy co? – zapytała go, kiedy przysiadł się do niej.

– Czemu?

– Że będziesz nosił na służbie ten okropny szary garnitur tak długo, aż cały

w strzępach spadnie ci z tyłka.

Montana skrzywił twarz w kwaśnym uśmiechu.

– Po to mnie wezwałaś?

– Nie. – Poldi wyprostowała się nieco i możliwie jak najzwięźle zrelacjonowała mu swoje najnowsze ustalenia. Montana ani razu jej nie przerwał, tylko od czasu do czasu marszczył czoło, kiedy Poldi opowiadała o Ringo. Potem bez komentarza wstał i podszedł do recepcji. Poldi przypatrywała się, jak pokazuje wypomadowanemu bucowi legitymację służbową, na co buc defensywnie unosi dłonie i z żalem kręci głową, jak Montana mówi jeszcze coś, co wyraźnie nie podoba się bucowi, jak poproszony zostaje manager, jak palce śmigają po klawiaturze, a potem, w sposób całkowicie magiczny i niebiurokratyczny, z drukarki wyłowiony zostaje wydruk, który buc z obrażoną miną dyskretnie wręcza *commissario*.

Montana dał Poldi znak, że jeszcze przez chwilę będzie zajęty i wykonał jeden telefon. Przez cały czas krążył przy tym po holu. Poldi przypatrywała mu się, stwierdzając, że obserwowanie go, nawet w tym wiecznie wygniecionym garniturze, sprawia jej przyjemność. Po chwili *commissario* podziękował rozmówcy i wrócił do mojej ciotki.

– Mam dwie wiadomości: dobrą i złą. Dobra jest taka, że wiemy, kim jest ten mężczyzna. To niejaki doktor Frank Tannenberger. Z Monachium.

Monachium. Akurat Monachium. Zaskoczonej Poldi wyrwało się z piersi westchnienie.

– Odleciał do domu przedwczoraj – ciągnął Montana.

– A zła wiadomość?

Skrzywił się żałośliwie.

– Niezłe bagno. Facet jest wyższym urzędnikiem... – rzucił okiem na wydruk meldunku hotelowego – ...Bayerische Staatskanzlei. – Niemal połamał sobie język, czytając. – Co to jest?

– To taki urząd rządu Bawarii.

– Czemu rządu? Myślałem, że Bawaria to region.

– Zwariowałaś? Jesteśmy wolnym państwem. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy w każdej chwili odłączyć się i rządzić niezależnie. Wolne państwo Bawaria, mówiąc federalistycznie i westernowo, jest odbezpieczonym coltem przyłożonym do piersi Bundesrepublik.

– Aha. W każdym razie ten doktor Tannenberger regularnie przebywa służbowo w Taorminie i zawsze zatrzymuje się w Timeo. Stały klient na

państwowym garnuszku.

– I gdzie tu niezłe bagno?

– Nie rozumiesz? Jeśli zechcę go przesłuchać, będę musiał złożyć wniosek o pomoc prawną. I wniosek o delegację. Czy ty masz pojęcie, ile z tym biurokracji? To może trwać tygodniami. A wszystko przez jakąś mętłą wskazówkę byłego beatlesa i jednej Niemki, która przez krótką chwilę była podejrzana o dokonanie zabójstwa, a potem bez przerwy przeszkadza w prowadzeniu śledztwa. Madonna, przecież w prefekturze mnie wyśmiejają! Poza tym to jest urzędnik państwowy, tylko wetknąłbym kij w mrowisko. I to z moją przeszłością, po tej sprawie z senatorem. Tak, wielkie dzięki!

Poldi popatrzyła na Montanę.

– Ten człowiek być może zamordował Valentino.

Montana wziął głęboki oddech.

– Jutro skontaktuję się z władzami niemieckimi. Tamtejsza policja zajmie się przesłuchaniem tego doktora Tannenbergera.

Poldi z dezaprobatą pokręciła głową.

– A gdybyś tak po prostu poleciał do Monachium, żeby zadać panu Tannenbergerowi parę pytań?

– Tak po prostu, bez zapowiedzi? A jeśli go tam nie ma?

– Masz internet w swoim smartfonie?

– Eee... tak. Czemu?

– Daj mi aparat. – Poldi wzięła od Montany komórkę i wpisała w wyszukiwarkę „dr Frank Tannenberger Bayerische Staatskanzlei”. – Mamy go! – zawołała. – Nasz pan Tannenberger, formerly known as Mr. X, jest dyrektorem działu do spraw europejskich w bawarskiej Staatskanzlei. A skoro szef osobiście regularnie lata na Sycylię, to zapewne chodzi o jakiś duży projekt. Facet musi składać raporty przed jakąś komisją, więc zaraz po przylocie raczej nie wsiada w kolejny samolot. Mówię ci, ten człowiek już siedzi grzecznie w swoim biurze z widokiem na królewskie ogrody.

– Nie da rady – odparł Montana. – Włoski policjant nie może tak po prostu prowadzić dochodzenia w Niemczech. A szczególnie wtedy, gdy chodzi o niemieckich urzędników rządowych.

– Jako osoba prywatna? Niby co miałyby stać na przeszkodzie?

– To byłoby szaleństwo. Żadne z moich ustaleń nie mogłoby zostać użyte jako dowód w sądzie. Wręcz przeciwnie, jeśli ten Tannenberger będzie utrzymywał, że mu groziłem, to po sprawie. I po mnie. To byłoby niezłe bagno.

– Powtarzasz się, Vito. Czyli co chcesz przedsięwziąć?

Montana skrzyżował dłonie w geście, mającym pokazać, że jest związany siłą wyższą.

– Pozostaje mi droga służbowa.

Poldi zastanowiła się chwilę.

– Cóż – powiedziała w końcu, wstając – pewnie masz rację. Odczekajmy trochę.

– Dokąd idziesz?

– Do domu. Późno już.

– Myślałem... że może pójdziemy się czegoś napić.

Nie żeby Poldi również nie przyszła do głowy taka myśl, ale z pewnych powodów musiała pozostać trzeźwa. Poza tym nagle zaczęło jej się spieszyć.

– Innym razem. Naprawdę jestem zmęczona. I boli mnie głowa.

– Podwieźć cię?

– Nie trzeba. Zaparkowałam w *Parcheggio Lumbi*. – Nachyliła się i delikatnie dwukrotnie cmoknęła Montanę w policzek. – Dobranoc.

Vito przytrzymał ją i zmierzył podejrzliwym wzrokiem.

– Poldi?

– Vito?

– Co się dzieje?

– Nic. Naprawdę jestem zmęczona. Mógłbyś mnie puścić?

Już w samochodzie, zaraz po wjeździe na autostradę, Poldi zadzwoniła do Luisy, która pracowała w biurze podróży.

– Na jutro przed południem? – zawołała zbaraniała Luisa. – Czy ty wiesz, która jest godzina?

– Proszę, mogłabyś spróbować, Luiso?

– A co z twoim...

– Trudno. Muszę się przełamać.

Ciotki Luisy nigdy nie trzeba było długo o coś prosić, choćby było nie wiem jak późno.

– Zaraz oddzwonię. Tylko jedź ostrożnie.

Zanim Poldi dojechała do Torre Archirafi, Luisie udało się dokonać w internecie wszystkich rezerwacji. Choć trzeba powiedzieć, że tanio nie było. Poldi przełknęła z niepokojem ślinę, kiedy Luisa powiedziała jej, ile będzie kosztował bilet na samolot. Mała emerytura ledwie wystarczała Poldi na życie, a skromne oszczędności chciała zostawić na niezbędną pilnie

naprawy w domu albo na czarną godzinę. Trudno, tego lata nie sprawi sobie nowych sandałków. Śledztwo było ważniejsze.

Samolot startował o dziewiątej. Lotnisko w Katanii już dawno się obudziło, pachniało naftą lotniczą, kawą i *cornetti*, bucząc piosenkę o tęsknocie za światem i domem. W strefie przylotów rozpychały się i tłoczyły całe rodziny, przybyłe powitać krewnych z Niemiec, Belgii, Anglii i Danii. Gdy tylko automatyczne drzwi się rozsuwały, ukazując choćby małą szparę, natychmiast ktoś próbował się przecisnąć do środka, by pomóc Alfio i Alessi przy taśmie bagażowej. Niemieccy turyści na wyjeździe edukacyjnym, odziani w praktyczną odzież funkcyjną, stali grzecznie w kolejkach do odprawy i kręcąc z dezaprobatą głowami, przepuszczali sycylijskich staruszków, obładowanych tak wielkimi walizami, jakby wybierali się na emigrację. Przed kontrolą bezpieczeństwa malował się obraz będący symbolem Włoch: krzyki, blokada, zastój. Ktoś – tym razem wyjątkowo nie wujek Martino – próbował przewieźć w bagażu podręcznym zafoliowaną ośmiornicę, jako upominek dla bliskich w Mannheimie, i głośno protestował przed pozostawieniem bestii na miejscu. Ciotka Poldi jęczała.

Mówiłem już, że moja ciotka panicznie bała się latać? Bała się. Nie ufała zasadom aerodynamiki, skomplikowanej technice, a przede wszystkim młodym mężczyznom w kokpicie i ich pełnym namaszczenia, kurewsko bezapelacyjnym komunikatom. Bała się nagłych hałasów i kołysania podczas lotu, bała się monotonnego dudnienia turbin, bała się dziur powietrznych i lądowania. Nienawidziła tego, że mknęła w powietrzu z prędkością dziewięciuset kilometrów na godzinę na wysokości dziesięciu kilometrów, podczas gdy od wolnego spadku dzieliła ją zaledwie cienka warstwa aluminium. Albo od śmierci przez uduszenie. Dwadzieścia lat temu prawie jej doświadczyła razem z Peppem, kiedy w małym prywatnym samolocie ich przyjaciela podczas lotu z Monachium do Katanii nad Alpami nagle spadło ciśnienie w kabinie. Przez kwadrans, rżąc i chwytając łąpczywie powietrze, walczyli o życie w warunkach jak na szczycie Annapurny. Od tamtej pory Poldi unikała samolotów jak diabeł święconej wody. Ale czasem i na diabła spadnie kropelka. Czasami Poldi musiała się przełamać, a przełamywanie to zwykle wspomagała środkami na uspokojenie. Ponieważ jednak tym razem musiała zachować jasność umysłu, znieczulenie nie wchodziło w grę. Pozostawało jej tylko mieć nadzieję, że jakiś miły sąsiad z siedzenia obok zlituje się nad nią i potrzyzyma ją za rękę. Poldi i Peppe też trzymali się wtedy za ręce – na ośmiu

tysiącach metrów nad poziomem morza. Przez cały czas. Tak to jest. Trzymanie za rękę nawet kompletnie obcą osobę może i nie zdusi śmiertelnego strachu, ale pomaga.

Poldi miała na sobie, odpowiednio do okazji, kombinezon w zgaszonym odcieniu granatu i szpilki. Do tego pasujący żakiet w stylu mundurowym, bo przecież kochała mundury, a poza tym jej zamiarem było delikatne zastraszenie. W swych wielkich okularach przeciwsłonecznych wyglądała jak przygasła gwiazda filmowa, żyjąca nadzieją, że ktoś ją jeszcze rozpozna i szeptem wypowie jej nazwisko. Była troszkę podekscytowana. Oczywiście z powodu czekającego ją lotu, ale też ze względu na spotkanie z przypuszczalnym mordercą Valentino. No i przez Monachium. Zastanawiała się, czy to nie jakiś znak, że już po trzech miesiącach wraca na swoje dawne tereny łowieckie, sama, z pustymi rękami. Tak jak wtedy, gdy wracała z Tanzanii, roztrzęsiona, z pustką na koncie oraz w sercu. A skoro już o znakach mowa: kiedy z kartą pokładową odwróciła się od okienka odprawy, wyrósł przed nią Montana. Poldi wlepiła w niego spojrzenie, jakby objawił się jej sam archanioł Michał, bowiem *commissario* nawet bez ognistego miecza w dłoni wyglądał tego ranka jak osoba wzbudzająca wielki respekt. Był odziany w granaty, białą koszulę i krawat. Do tego ciemne półbuty typu budapester i oczywiście okulary pilotki. Wyglądał jak gliniarz, który eskortuje świadka koronnego na proces stulecia. Był w złym humorze i zdecydowany na wszystko. Jednym słowem: seksowny jak diabli. Tak uznała moja ciotka.

– Rany! – wyrwało się jej.

– Naprawdę myślałaś, że pozwolę ci samej spotkać się ze świadkiem w *moim* dochodzeniu?

– Skąd wiedziałaś, że...

Montana odciągnął zbaraniałą Poldi z kolejki do okienka odprawy.

– Po twoim wzroku i po tym, jak powiedziałaś „odczekajmy trochę”.

To się Poldi spodobało.

– A co z drogą służbową, wnioskiem o delegację i całym tym ambarasem?

– Pies im mordę lizał. W końcu już i tak jestem karnie przeniesiony.

To też spodobało się Poldi. W ogóle podobała jej się myśl, że podczas lotu będzie trzymać za rękę Montanę.

– Forza Montana! – zawołała z zachwytem, ale jemu nie było do śmiechu.

– Najchętniej zaaresztowałbym cię tu i teraz i kazał odtransportować do domu. Ale niestety nie mogę zabronić ci lecieć do Monachium. Więc słuchaj,

układ jest taki: to ja, i tylko ja, będę rozmawiał z Tannenbergerem, a ty będziesz tylko trochę tłumaczyć. Poza tym ani słówka.

Poldi popatrzyła na Montanę jak nauczyciel na rzecznika samorządu uczniowskiego, który w lutym domaga się skrócenia lekcji z powodu upału, i pokręciła głową.

– Nonsens – powiedziała i prędkim krokiem ruszyła w kierunku kontroli bezpieczeństwa. – Idziesz, Vito?

Na pokładzie Poldi przede wszystkim zatroszczyła się o to, by mogli usiąść obok siebie. Od razu też chwyciła Montanę za rękę.

– Boję się latać – wyjaśniła. – A ty przez najbliższe trzy godziny dopilnujesz, żebym nie zwariowała.

I dopilnował. Przez cały lot mocno trzymał jej spoconą dłoń, objaśniając jej każdy najmniejszy objaw życia samolotu.

– Teraz włącza się napęd turbinowy... Jesteśmy pchani z powrotem na drogę kołowania... Kiedy samolotem szarpnie, oderwiemy się od ziemi... Pas jest wystarczająco długi... Chowa się podwozie... Pilot wsuwa sloty i klapy... Spójrz tam, Etna! I widać Torre! Osiągnęliśmy wysokość przelotu, dlatego pilot trochę zmniejsza ciąg... Dziur w powietrzu nie ma... Skrzydła nie są popsute, to są lotki.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Mam licencję pilota.

Poldi wlepiła w niego wzrok, jakby wyznał jej, że jest agentem MI6.

– Masz. Licencję. Pilota.

– Chętnie cię kiedyś zabiorę.

– Tja, możesz o tym zapomnieć, signor Tajemniczy. – Pokręciła głową w bezgranicznym zdumieniu. – Licencja pilota!

À propos tajemnic.

– Jeśli chodzi o tamten wieczór... – podjął niespodziewanie Montana.

– Nie chcę wiedzieć – przerwała mu natychmiast Poldi. – Powiedziałeś, że to skomplikowane, i tak to zostawmy.

– Jesteś zła?

– Nie, czemu? Przecież jesteśmy dorośli.

– Nie jesteś ciekawa?

– Ja? Ani trochę.

– Jeśli okłamiesz mnie jeszcze raz, puszcze twoją rękę.

To też spodobało się Poldi. Że Montana ma poczucie humoru. Że potrafi

schlebić jej bez kadzenia. Choć nie miałyby nic przeciwko kadzeniu, w niewielkiej dawce.

– Zamknij się i wyjaśnij mi jeszcze raz to z tymi dziurami powietrznymi, dobrze?

Z lotniska w Monachium pojechali kolejką na dworzec główny, a potem metrem na Odeonsplatz. Zajęło im to dość czasu, by Poldi mogła ochłonać po locie i zredukować poziom stresu. Był ciepły dzień z błękitno-białym niebem, idealnym do skopiowania i pokolorowania.

Montanę zdumiały tłumy ludzi w ulicznych kawiarniach i ogródkach piwnych.

– Jak wy, Niemcy, dbacie o gospodarkę, skoro nikt tu nie pracuje?

– Podoba ci się Monachium?

– Mm. Jak długo tu mieszkałaś?

– Prawie całe życie. Dwa życia. Albo trzy. W końcu przestałam liczyć.

– Jak kot, tak? Pokażesz mi potem, gdzie było twoje mieszkanie?

– Nie.

Poldi mimo wszystko podobał się sposób, w jaki Montana interesował się Monachium. Nie miejscem, w którym odbywał się Oktoberfest, nie zakupową metropolią, tylko byłym ośrodkiem jej życia. Fakt ten napełnił ją odrobiną dumy i nastroił pojednawczo, w końcu miasto jej stąd nie wygoniło, tylko stało się dla niej za ciasne. Postanowiła, że kiedyś opowie o tym Montanie, gdyby jeszcze był zainteresowany. I może kiedyś się przełamie i raz jeszcze wsiądzie na pokład samolotu, by pokazać mu swoje ulubione miejsca. W sumie miła wizja.

Stanęli przed podłużnym budynkiem Bayerische Staatskanzlei.

– To tutaj?

– W całym przepychu i wspaniałości.

– Spróbujmy szczęścia. – Montana zdecydowanym krokiem ruszył w stronę głównego wejścia.

– Nie tak prędko – powstrzymała go Poldi. – Mamy numer komórki tego faceta?

Montana wręczył jej wydruk z Timeo i Poldi wybrała numer podany na formularzu meldunkowym.

– Tak? – po trzecim sygnale odezwał się niecierpliwy głos.

– Pan Tannenberger?

– Kto mówi?

Rozmówca był wyraźnie poirytowany.

– Nazywam się Oberreiter. Właśnie przyleciałam z Sycylii. W Timeo niestety się rozminęliśmy.

– Skąd pani ma mój numer? I o co w ogóle chodzi?

– O Valentino. Tak, dobrze pan wie, był pan przecież na jego pogrzebie. W związku z jego śmiercią pojawiło się parę pytań, które chętnie bym panu zadała.

Przez chwilę w słuchawce panowało milczenie.

– Jakich pytań?

– Wolałabym omówić to z panem osobiście. I najlepiej od razu, zanim da pan nogę do Panamy czy innej Kuby.

– To niemożliwe. Nie mam czasu.

– Za pięć minut przy głównym wejściu, dobrze? Jeśli pan nie przyjdzie, to jednak będę musiała pójść na policję.

Mężczyzna odchrząknął.

– Gdzie pani jest?

– Przed budynkiem Staatskanzlei. Dobrze się składa, prawda?

– Przyjdzie? – zapytał Montana, kiedy Poldi się rozłączyła.

– Za pięć minut.

– Co mu powiedziałaś?

Poldi popatrzyła na niego promiennie.

– Simsalabim.

Rudzielec pojawił się, zanim minęło pięć minut. Poldi natychmiast go rozpoznała. Pomachała do niego, jakby chodziło o spotkanie z kolegą w przerwie obiadowej. Tannenberger miał na sobie ciemny biznesowy garnitur, w którym, zdaniem Poldi, wyglądał na większego niż na pogrzebie. Na widok Montany osłupiał, ale zanim zdążył cofnąć się do budynku, Poldi podreptała mu na spotkanie.

– Witam, panie doktorze! – przywitała się wesolutko jak skowronek. – Miło, że jednak znalazł pan czas. Moje nazwisko Oberreiter, mieliśmy przed chwilą przyjemność. A to *commissario* Montana z policji państwowej w Acireale. Prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Valentino.

– Myślałem, że porozmawiamy bez policji.

– Ależ rozmawiamy! *Commissario* Montana jest tu zupełnie prywatnie. Gdyby nie był, już wiedzieliby o tym pana zwierzchnicy. A zatem teraz wszystko zależy od pana.

Tannenberger z wahaniem uściśnął dłoń *commissario*, ale pozostał czujny. Poldi zauważyła, że nie nosi obrączki, za to na jego nadgarstku widniał szpanerski Officine Panerai. Raczej nie był to zegarek typowego urzędnika. Kosztował z dziesięć tysięcy euro.

– A kim *pani* jest? – Tannenberger ponownie zwrócił się do Poldi.

– Powiedzmy, kimś w rodzaju tłumaczki *commissario* Montany.

– Co to niby znaczy: „kimś w rodzaju”?

– She was a friend of Valentino – wtrącił Montana, by w końcu dojść do słowa.

– Rany, lepiej nie mogłam tego ująć! – zawołała Poldi. – Sfotografowałam was obu tuż przed śmiercią Valentino, przypomina pan sobie? W kawiarni w Taorminie.

Tannenberger zerknął za siebie, na budynek Staatskanzlei, jak na oceaniczny parowiec, który za chwilę wyruszy w wielką podróż, nie zabierając go na pokład. Potem rzucił okiem na zegarek.

– Mam pół godziny. Chodźmy do królewskich ogrodów.

Więcej nie odezwał się ani słowem, dopóki nie znaleźli wolnej ławki w cieniu starego kasztanowca. Wtedy natychmiast, niepytany przez Montanę, zaczął opowiadać, zaś Poldi tłumaczyła jego słowa:

– Najpierw wyjaśnijmy sobie jedno: nie zamordowałem Valentino. W dniu jego śmierci byłem w Monachium, można to bez trudu sprawdzić. Mam nawet świadków na ten wieczór. Prosiłbym jedynie o dyskrecję, to wszystko. Żyję w stałym związku. – Zaczekał, aż Poldi przetłumaczy to oświadczenie Montanie, i zanim policjant zdążył o coś zapytać, ciągnął dalej: – Pamiętam, że zrobiła pani zdjęcie. To był mój ostatni wieczór z Valentino. Następnego ranka musiałem wracać do Monachium. Valentino był trochę zdumiony, kiedy panią zauważył. Chciał za panią pobiec, ale go powstrzymałem. – Zamilkł na moment, jakby te wyjaśnienia kosztowały go wiele wysiłku, i znów zaczął, aż Poldi skończy tłumaczyć. – Proszę sobie wyobrazić – podjął – jak bardzo wstrząsnęła mną śmierć Valentino. Jakby ktoś wyrwał mi z piersi serce. A mimo to nie wolno mi go opłakiwać. – Zadrżał nagle, ale zaraz się opanował. Poldi przeczuwała, co za chwilę usłyszy. – Poznałem Valentino jakieś pół roku temu, kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Taorminy w sprawach służbowych. Pracował na przyjęciu jako kelner. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Przynajmniej z mojej strony. Jeśli chodzi o Valentino, to nigdy nie udało mi się zgłębić jego uczuć. – Znów urwał.

Popatrzył na Montanę. – Co jeszcze chce pan wiedzieć?

– Kto zabił Valentino?

– Nie wiem. Dowiedziałem się o jego śmierci dopiero wtedy, gdy wróciłem na Sycylię. To było dzień przed jego pogrzebem.

– Od kogo pan się dowiedział?

– Od pana Patanègo.

– Co pana z nim łączy?

– Startuje w przetargu unijnym na budowę międzynarodowego centrum kultury w Taorminie, które ma być współfinansowane przez Bawarię.

– A co łączyło pana Patanègo z Valentino?

– O ile dobrze zrozumiałem, Valentino pracował dla niego dorywczo. W każdym razie to on nas sobie przedstawił. Bardzo nieprzyjemny i uciążliwy człowiek. Nie ma szans na wygranie przetargu, ale nieustannie bombarduje mnie rozmaitymi zaproszeniami i „okazyjnymi warunkami” zakupu domów i działek w pierwszorzędnym lokalizacjach. Ale u mnie to tak nie działa.

– W jakim charakterze Valentino pracował dla Patanègo?

– Tego nie wiem. Imał się różnych zajęć. Miał smykałkę. Chciał wyjechać do Niemiec i coś tu stworzyć.

Tak, Poldi przypominała to sobie. Pamiętała lekcje niemieckiego z Valentino, jego ambicję, optymizm.

– Nie wystraszyło to pana? – zapytała. – Skoro żyje pan w stałym związku.

– Niczego innego sobie nie życzyłem. Taka jest prawda. Szalałem na jego punkcie. Wyjaśniłbym to z moim partnerem.

– Ale pan tego nie zrobił.

Tannenberger milczał.

Montana skinął głową, kiedy Poldi przetłumaczyła mu ten fragment rozmowy. Zdawał się mu wierzyć.

– Czy podczas waszego ostatniego spotkania Valentino wydawał się panu jakiś inny? – zapytał.

– Tak. Był podenerwowany. Ale nie chciał powiedzieć, co się dzieje. Tylko tyle, że musi jeszcze załatwić parę spraw, zanim będzie mógł wyjechać do Niemiec.

– Jakich spraw?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Mówił coś o starych mozaikach? – zapytała Poldi. – Albo lwach przy bramie?

- Jakich lwach?
- Przy bramie. Rany, no wie pan, takie kamienne figury przy wjeździe do barokowych willi.
- Tannenberger pokręcił głową.
- Nic takiego sobie nie przypominam.
- Miał pan wrażenie, że w coś się wplątał? W coś nielegalnego?
- Trochę tak. Jak wspominałem, nie chciał o tym mówić...
- Ale? – nacisnęła Poldi.
- Raz rzucił coś w tym stylu. Że coś znalazł. I że ktoś dużo zapłaci za milczenie.
- No proszę. Co takiego znalazł? Kto miał zapłacić?
- Tego nie chciał zdradzić. Powiedział tylko, że mam się nie martwić.
- Więc pan się nie martwił.
- Boże drogi, czego pani chce? Kochałem Valentino! Oczywiście, że się martwiłem. Ale co miałem zrobić?!
- Mógł pan iść na policję, kiedy usłyszał o jego śmierci – rzekł Montana.
- Tannenberger milczał. Pisnęła jego komórka. Zerknął na wyświetlacz i odrzucił rozmowę.
- Muszę iść. Ma pan jeszcze jakieś pytania?
- Być może będę musiał przesłuchać pana oficjalnie – wyjaśnił Montana.
- A właściwie moi niemieccy koledzy. Gdyby w najbliższym czasie coś się panu przypomniało... – Wręczył mu swoją wizytówkę. – Obojętnie co. Co powiedział lub zrobił Valentino. Nawet drobiazgi. Cokolwiek. Proszę do mnie dzwonić.
- Względnie do mnie – wtrąciła Poldi. – A ja przekażę wiadomość *commissario*. Mój numer ma pan w pamięci. Isolde Oberreiter.
- Jasne. – Tannenberger wziął wizytówkę i wstał. Pośpiesznie uścisnął rękę Poldi i Montanie. Widać było, że pragnie już tylko odejść z powrotem do bezpiecznego biotopu Staatskanzlei.
- Ale wtedy Poldi coś się przypomniało.
- Jeszcze jedno! – zawołała za nim. – Ma pan numer komórki Valentino?
- Oczywiście. Ale od naszego ostatniego spotkania nie udało mi się dozwonić na żaden z dwóch numerów.
- Poldi wyczuła, że Montana spina się u jej boku, jakby ktoś raził go prądem.
- Proszę podać mi oba numery.

Pięć minut później nieszczęśliwy Tannenberger znów siedział w swym biurze, zaś Poldi i Montana nadal tkwili na ławce w parku. Był piękny dzień, może nawet piękniejszy niż przed paroma minutami. Podczas gdy Poldi płaowała się w triumfie swego sukcesu, Montana rozmawiał przez telefon z prefekturą w Acireale.

– Tano, musisz namierzyć i sprawdzić dla mnie jeden numer. Masz coś do pisania? – Podyktował koledze drugi numer z karteluszką, który trzymał w dłoni. – Powtórz! ... Dobrze. Potrzebuję wszystkiego. Aktualna pozycja, ostatnie połączenia, wiadomości, wszystkie komórki, w których się logował od dnia przed zabójstwem Valentino Candeli do dzisiaj... W Monachium, ale dziś wieczorem wracam... Nie pytaj jak głupi, tylko rób, co mówię... Cholera, Tano, to sobie załatw nakaz! To jest ta druga komórka, której cały czas szukamy... Wyjaśnię ci jutro. Zadzwoń od razu, jak tylko będziesz coś miał... A, Tano... tylko nie zawał sprawy, to ważne, okay?

Rozłączył się i uśmiechnął szeroko.

– Ten mały wypad może jednak się opłacił.

– Nie, Vito. Chciałeś powiedzieć: Jak dobrze, że poleciałaś ze mną, Poldi. Dziękuję, bez ciebie nie zrobiłbym wielkiego kroku naprzód.

Montana zapalił papierosa, pozwalając, by znaki dymne wzniosły się ku monachijskiemu niebu, po czym popatrzył na Poldi.

– Co zrobimy z tym popołudniem?

To nie do końca było to, co chciała usłyszeć Poldi. Wyczytała jednak w tym pytaniu pewien obiecujący podtekst, który, w połączeniu z niewielkim triumfem i pięknym błękitno-białym niebem, wprowadził ją w podniosły nastrój i obudził apetyt – na pieczeń wieprzową i na życie.

– Słodko czy słono? – zapytała.

– Jedno i drugie.

Poldi oszacowała, że skowronek, który właśnie zaświergolił, ma rozmiar buta co najmniej czterdzieści sześć.

Po pieczeni, pampuchu, czyli klusce na parze, i dwóch jasnych pełnych musieli wracać na lotnisko. Franco wprowadził się nie odezwał, ale jakoś nie niepokoiło to Montany. Ku uciechu Poldi *commissario* był dużo swobodniejszy, wręcz rozhukany, opowiadał policyjne anegdoty i wypytywał o jej kolejne monachijskie życia. I choć zainteresowanie jej przeszłością nie wydało się ani trochę udawane, to rozumiała, że Montana otacza się niewidzialną zasłoną uroku i wesołości. Miły miraż utkany z lekkości i aluzji,

delikatny, a jednak nie do przebycia. Nie dotknął jej ani razu, nawet przelotnie czy niechcący. Trzymał dystans, sam też wznosił wokół siebie barierę, wielką i głęboką niczym nocne morze, zbyt przerażającą, by pokonać ją jednym susem. Albo jednym pocałunkiem. Tak właśnie myślała Poldi, a to z kolei nastrojało ją odrobinę melancholijnie.

Na pokładzie samolotu jednak Montana natychmiast spełnił swój rycerski obowiązek – ujął dłoń mojej ciotki i zaczął jej objaśniać fizykę lotu, meteorologię oraz procedurę lądowania.

Kiedy tuż po dziewiątej wylądowali w Katanii, Poldi miała wrażenie, że była w podróży całą wieczność. Więcej: cieszyła się, że wraca do domu.

Do domu.

Skoro już o tym mowa.

– Podrzucić cię do domu? – zapytał Montana, kiedy wyszli z budynku terminalu niczym para bezradnych turystów, którym zaginął bagaż.

– Przyjechałam samochodem.

– To na razie.

– Na razie.

– Zaparkowałam z tyłu.

– Ja nie.

– To był piękny dzień.

Poldi nie mogła już znieść tej pełnej dystansu uprzejmości.

– Dasz mi znać, co z tą komórką?

– Naturalnie. Zadzwonię do ciebie.

Bacio z lewej, *bacio* z prawej, Montana chciał odejść, nie mógł tego okazać bardziej jednoznacznie. Poldi odprowadziła go wzrokiem, kiedy śpieszył w stronę parkingu. Nie, nie śpieszył – uciekał.

Odszukała na innym parkingu swoją alfę i wróciła do Torre. Była zmęczona, chciała tylko wrócić do domu i napić się piwa. Albo dwóch. Co za dzień. Co za przepiękny, pokręcony, zasrany dzień. I jakby tego było mało, dwukrotnie skręciła nie w ten zjazd, co trzeba, nie mogła znaleźć *tangenziale*, musiała się przebić przez zakorkowaną Katanię i pojechać krętą *provinciale*.

Kiedy wreszcie skręciła w Via Baronessa i wysuwała z torebki klucze od domu, dostrzegła, że pod drzwiami ktoś stoi.

– To znowu ty – powiedziała, podchodząc bliżej.

Montana zdawał się dygotać, jakby toczyła się w nim jakaś walka, która prawie go rozrywała.

– Dziękuję, że poleciałaś ze mną – wydusił. – Dziękuję, że...

Nie zdołał skończyć. Bo mojej ciotce tego już było za wiele – w końcu ją też niemal rozrywały namiętność i pragnienie, i melancholia, i skutki lotu. Chwyciła w dłonie głowę Montany i pocałowała go. Namiętna i głodna życia, spragniona miłości, tak bardzo tu i teraz. Z ulgą wyczuła, że nie cofnął się ani nie zawahał. Dreszcz przebiegł jej ciało, a potem poczuła w ustach dymny smak jego języka, na piersiach jego dłonie, a nieco niżej – niewiarygodną, skumulowaną, gorączkową, cyklopową, niegodną żadnego przymiotnika *sicilianità*. Dysząc, otworzyła drzwi, wciągnęła *commissario* do domu, rozebrała go, a potem zaholowała do sypialni. Tam, tak to sobie wyobrazam, pośród westchnień, warknięć i subtelnych, wydawanych na bezdechu odgłosów żądz, statek ich namiętności odbił na pełnych żaglach od brzegu, pociąg pożądania opuścił dworzec, Montana skoczył na głęboką wodę, a Poldi skoczyła na Montanę. Wspólnie, tak to widzę, gnani prądami tellurycznymi ich naładowanych, choć nie całkiem już młodzieńczych ciał, wyruszyli tej nocy w erotyczną odyseję. Odkrywali ukryte kontynenty, mgliste wzgórza, amazońskie rzeki, rozpadliny, jamy, wulkany i sawanny. Przekraczali smagane sztormem oceany, mijali się z pasatem, przybijali do piaszczystych zatok i odpływali dalej. Dotarli na skraj świata i wrócili. Tak w każdym razie to sobie wyobrazam. Tylko jedno na pewno nie było im dane tej nocy: sen.

Rozdział 9



OPOWIADA O OPRESJACH NARRATORA Z WŁÓKNAMI SYNTETYCZNYMI I PIKANTNYCH DETALACH PEWNEJ MIŁOSNEJ NOCY. POLDI PLANUJE OPERACJĘ POD PRZYKRYWKĄ I SZUKA ODPOWIEDNIEJ PRZYNEŹY. PRZY VIA BARONESSA NASTĘPUJE ZMIANA DEKORACJI, CIOTKA CATERINA PROWADZI ROZMOWĘ DEKORATORSKĄ, TOTTI POKAZUJE SIĘ CHARAKTERU, A PATANÈ MA CYKORA. POLDI PRZEMILCZA MONTANIE PEWNE ZNALEZISKO I NIE CHCE ROZMAWIAĆ O ZWIĄZKU. A TO NIE SĄ JEDYNE ZŁE WIADOMOŚCI.

Na początku września, tak jak ustaliliśmy z ciotką, wróciłem do Torre, by kontynuować pracę nad moim rodzinnym eposem. Tudzież by roztrzaskać się na nim niczym rozbitek w szalupie roztrzaskuje się o skały wśród szalejącego sztormu. Dotychczas nie posunąłem się zbyt daleko, ale miałem już przynajmniej pierwszy rozdział. Mój pradziadek Barnaba właśnie został kopnięty przez osła, wskutek czego doznał objawienia, w którym diabeł rozkazał mu udać się do Monachium i rozwinąć tam prężny handel hurtowy owocami południowymi. Był 1919 rok, rok historyczny, który zamierzałem hucznie wskrzesić intensywną kwerendą i zdumiewająco precyzyjnymi opisami codzienności. Głupio tylko, że w Torre cały czas był taki powolny internet. Jak kiedyś pisano powieści bez Google'a i Wikipedii? W każdym razie w mojej sadze miało się jeszcze sporo wydarzyć, zanim Barnaba, nie znając ani słowa po niemiecku, wyruszy na emigrację. Musiał uprowadzić łódką swą ukochaną, oszałamiająco piękną i tajemniczą Eleonorę, zrobić jej dziecko i ją poślubić. W tej właśnie kolejności. Rodzice Eleonory musieli zginąć w straszliwy sposób – obligatoryjna „backstory-wound”. Z nieba spadnie deszcz żab, a Barnaba zostanie uwiedziony przez nieziemsko piękną cyklopkę Ilarię. Taki element magiczno-fantastyczny koniecznie chciałem

wbudować w fabułę, ponieważ prawnuczka Ilarii bez mała stulecie później miała uwieść przystojnego, ale nieśmiałego, skromnego i kochającego jazz, poza tym jednak dość bezbarwnego bohatera i prawnuka Barnaby, wskutek czego ów protagonista mógł przestąpić próg mitycznego świata równoległego. Coś w tym stylu.

Przybyłem zatem do Torre z garstką luźnych wątków fabularnych, rozsypałem je nerwowo, rozłożyłem przed sobą i poukładałem według kolorów i długości – po czym stwierdziłem, że nie mam pojęcia, jak upleść je w żywą opowieść. Wątki nie dały się nawet porządnie sfilcować, były bowiem wykonane z syntetyków. Nic dziwnego zatem, że rozpaczliwie wyczekiwałem wieczoru, kiedy ciotka Poldi wreszcie pozwoliła na konsumpcję whisky, zaktualizowała moją wiedzę w sprawie Valentino i nie szczędziła pikantnych szczegółów na temat swojego związku z Montaną. Przy czym ona sama ledwie umoczyła usta w swoim drinku.

Mojego ostatniego wieczoru w Torre w końcu przeszła do opisu swej miłosnej nocy z Montaną.

– Oszczędź mi szczegółów – jęknąłem.

– Rany, jaki ty jesteś pruderyjny! – zawołała. – Guccio ci oszczędzę. Tylko się nie wykręcaj, w końcu opowiadam ci to wszystko nie jako siostrzeńcowi, lecz jako autorowi. Więc w gruncie rzeczy jak lekarzowi. Albo księdzu, rozumiesz? – Poprawiła perukę. – Vito od razu wiedział, co zrobić ze swoimi dłońmi. A delikatne były te jego dłonie, wygłaskał mnie nimi aż do ekstazy. A potem znów chwyciły, że aż krzyknęłam. Z błogości i rozkoszy, w sensie. Czyste szaleństwo. Od razu dało się wyczuć, że ma pewne doświadczenie, jeśli chodzi o kobiece ciało. Gdzie mnie nie dotknął, tam płonęłam. I nie tylko z dłońmi był taki sprawny. Zawsze powtarzam, że komisarz policji kryminalnej to najwyższa postać człowieka, także pod względem seksualnym. Rany, tej nocy miałam w swym łóżku bestię, dzikie zwierzę, mitologiczny żywioł. Oczywiście vice versa. Już ja wiedziałam, za jakie sznurki pociągnąć. Byliśmy nienasytzeni. A on wykazał się – trzeba przyznać – wyjątkową wytrzymałością, jak na mężczyznę w jego wieku. Od razu widać zalety zdrowej diety śródziemnomorskiej. Pół godzinki przerwy, jeden pocałunek czarodziejskiej wróżki i jego *pesciolino* na nowo zamieniał się w okazałego miecznika. Jeju, co za wspaniałe widoki, kiedy tak leżał przede mną niczym Odyseusz wyrzucony na brzeg przez fale. Nagi i bezbronny, pomijając ten oszczep miłości, ten...

– To naprawdę mi wystarczy, Poldi. Poważnie.

Badawcze spojrzenie.

– Bo jestem stara czy bo jestem twoją ciotką?

– Bo... zbaczasz z tematu. Wróćmy, proszę, do sprawy Valentino.

– Gdzie niby zbaczam?

Jedno jednak mnie interesowało.

– A perukę to miałaś wtedy na głowie czy nie?

– Co to za idiotyczne pytanie?

– Miałaś czy nie?

– I kto tu zbacza? To jak, chcesz usłyszeć, co było dalej w sprawie Valentino czy nie?

Wyobrażam sobie Poldi i Montanę jako cząsteczki w akceleratorze losu. Najpierw pędzą po stałych orbitach, coraz szybciej i szybciej, a potem – bum! Wielki wybuch. Czarna dziura. Boska cząstka. Przesunięcie wymiarów.

Być może właśnie dlatego rano po tamtej pamiętnej nocy nad Torre Archirafi panował dziwny spokój. Jakby zaklinował się jakiś wymiar x, jakby nocna erupcja pożądania i libido przy Via Baronessa wstrząsnęła i wycieńczyła całe miasteczko.

Być może właśnie dlatego moja ciotka i Montana nie mówili zbyt wiele tego poranka. Być może tylko za sprawą zażenowania, z jakim spotkali się nago przy świetle dnia. Być może jednak wciąż ich coś dzieliło, niewypowiedziane i groźne. Montana wziął prysznic, ubrał się, wypił kawę i oznajmił, że musi lecieć do prefektury na poszukiwania komórki Valentino.

Gdy Poldi została sama w domu, który nagle wydał jej się o wiele cichszy niż zazwyczaj, usłyszała szum. Na zewnątrz szumiało morze, a wewnątrz szumiała jej krew. Słyszała, jak pulsuje w jej żyłach, jak jej serce pompuje przez ciało życie i pożądanie, w każdy zakątek, niezmordowanie. Słyszała dzieci bawiące się za drzwiami. Na Via Baronessa terkotał trójkołowiec Ape *spazzino* – zamiatacza ulic – a signora Anzalone trzaskała drzwiami. Poldi, zmęczona i szczęśliwa, została jeszcze przez chwilę na kanapie, wsłuchując się w życie tam, na zewnątrz, i tu, w środku, wciąż czując zapach Montany, wciąż czując go w sobie i na całej skórze. Piękne uczucie.

I z tym pięknym uczuciem Poldi zastanowiła się, co ma dalej robić ze *swoim* dochodzeniem. Bo nawet po ostatniej nocy wciąż jeszcze traktowała je jako *swoje* dochodzenie. *Swoją* sprawę, którą musiała rozwikłać. I rozwikła.

Oczywiście mogła zaczekać na ustalenia Montany w sprawie komórki

Valentino. Lecz nie chciała. Chciała być o jeden krok dalej niż *commissario*. W końcu los nie bez powodu wetknął jej w ręce wizytówkę Corrado Patanègo. Przedsiębiorcy budowlanego. Uznała za oczywiste, że Patanè musiał być bezpośrednim zleceniodawcą Valentino. Należało mu to tylko udowodnić. A jak? Na przykład za pomocą operacji przykrywkowej, czyli sfingowanego zakupu podłogowej mozaiki. Albo lwa na bramę.

Zdawała sobie, naturalnie, sprawę, że po ich ostatnich, ciut niefortunnych spotkaniach nie może tak po prostu zadzwonić do Patanègo i poprosić o ofertę sycyliianizacji swego domu. Tutaj trzeba było postępować w sposób bardziej wyrafinowany. Sprytnie ukartować intrygę. Pozyskać jego zaufanie. Znaleźć odpowiednią osobę, która odegra rolę prowokatora. Pytanie tylko...

W tym momencie zadzwoniła ciotka Luisa, którą aż zatykało z ciekawości, jak poszło w Monachium. Przy czym słowa „Monachium” użyła raczej jako wstydlivej metafory.

– Nie, wprost nie mogę uwierzyć! – zawołała z zachwytem, kiedy Poldi zrelacjonowała jej noc spędzoną z Montaną. – Chcę wiedzieć wszystko!

– No to wpadnijcie po południu. Tylko żebyście nie zzieleniały z zazdrości! – powiedziała Poldi i dodała, tknięta genialnym pomysłem: – I niech koniecznie przyjdzie Caterina!

Ciotka Caterina, środkowa z trzech sióstr mojego ojca, stanowiła klasę samą w sobie. Wprawdzie wzrostem była najmniejsza, ale nikt nie mógł jej przeoczyć. Nie musiała podnosić głosu, nosić butów na obcasie, zwracać uwagi eleganckim ubraniem. I tak była raczej praktyczną osobą. To, co czyniło ją wyjątkową, to jej postawa. Ciotka Caterina miała kręgosłup ze stali nierdzewnej. Na starym zdjęciu z lat siedemdziesiątych, do którego pozuje z wujkiem Bernardo, wygląda jak gwiazda filmowa. Wyprostowana niczym struna, w czerwonej koktajlowej sukience, z nogą na nogę, uśmiecha się łagodnie, wpatrując się przy tym w obiektyw, jakby właśnie o coś pytała i zdecydowanie oczekiwała odpowiedzi. Wciąż była piękna, ale śmierć Bernardo, wiek, odpowiedzialność za rodzinną firmę oraz troska o dzieci i wnuki pozostawiły na niej ślady. Nie tylko na jej postawie. Zawsze dostawała to, czego chciała. Zawsze. Weźmy na przykład wujka Bernardo, jej wielką miłość. Był prostym, milkliwym mężczyzną, stolarzem, którego mój dziadek choleryk nie akceptował jako zięcia. Ciotka Caterina poślubiła go mimo to i razem stworzyli niewielką wytwórnię mebli Mancuso Mobili. Eleganckie, porządne, czasem może odrobinę zbyt strojne meble zgodne

z sycylijskim smakiem, które przez długie lata świetnie sprzedawały się za granicą. Od czasu śmierci wujka Bernardo interesy prowadził mój kuzyn, Ciro, ale żadnej ważnej decyzji w przedsiębiorstwie nie podejmowało się bez ciotki Cateriny. Była idealną przynętą.

– To absolutnie nie wchodzi w grę! – oświadczyła, gdy po południu Poldi wyłuszczyła jej swój plan.

Wszystkie ciotki zebrały się przy małym bezalkoholowym *croдино* w patio, gdzie panował cień, odpowiedni by świętować erotyczne sukcesy Poldi. Z tego powodu wujek Martino musiał zostać w domu.

– No weź, zaczekaj chociaż, aż poznasz wszystkie szczegóły!

– Nie musisz mówić dalej, Poldi, ja się na to nie piszę. To niebezpieczne, niezgodne z prawem, i w ogóle się nie uda. Nie chcę więcej o tym słyszeć. Basta!

Poldi z westchnieniem uniosła dłonie.

– To ja to zrobię! – zawołała z zachwytem Luisa, smagnięta surowym spojrzeniem Cateriny i Teresy. Ciotka Luisa była beniaminkiem w rodzinie, a dla sióstr zawsze tą najmłodszą. – Rany, ale czemu nie?

– Bo zbyt łatwo można cię owinać wokół palca – wyjaśniła sucho Poldi, a pozostałe dwie ciotki pokiwały głowami. – Ile błakających się po ulicy kundli i kotów przygarnęłaś przez ostatnie lata, tylko dlatego że tak żałośnie patrzyły?

– Osiem – przyznała z zakłopotaniem Luisa. – Nie, dziesięć, razem z Luną i Maksiem.

Teresa i Caterina przewróciły oczami.

– Byłabyś zbyt łatwym celem w takiej misji, przykro mi – oznajmiła Poldi, jakby była brzydkim, grubym szefem w jakimś szmirowatym serialu o policjantach. – Poza tym zbyt łatwo cię przejrzeć.

– Mnie? Od kiedy?

– Od zawsze – westchnęła Teresa.

W patio zaległo milczenie. Ciotki popijały łyżkami *croдини*. Teresa rzuciła wzrokiem na Caterinę.

– Chyba żartujesz – powiedziała Caterina.

Nie żartowała.

– Ja nie mogę, ze względu na serce – wyjaśniła Teresa.

Caterina westchnęła. Upiła łyżek i w końcu rzekła:

– No dobrze, wyjaśnij wszystko jeszcze raz, Poldi.

– Ryzyka praktycznie nie ma – podjęła natychmiast Poldi. – Zadzwoń do Patanègo, przedstawisz się i powiesz, że masz jego numer od doktora Tannenbergera i że chciałabyś udekorować swój dom starymi kafłami i antycznymi elementami.

– *Mój dom?*

– No mój, oczywiście! Patanè przecież nie wie, że to ja tu mieszkam. Kiedy połknie haczyk, przyjmiesz go tutaj, każesz sobie pokazać, co ma do zaoferowania, i poprosisz o kosztorys. Powiesz, że chciałabyś też mieć takiego pięknego, starego kamiennego lwa na bramie. A gdy poda jakąś cenę, trochę się potargujesz, bo jak nie, to może coś podejrzewać.

– A potem?

– Nic potem. Potem zaczekamy. Jeśli Patanè zgodzi się na dostawę, a u Valérie zniknie drugi lew, to go mamy. Resztą zajmie się Vito i od razu klikną kajdanki.

– Ale ja złamię w ten sposób prawo.

– Rany, nie! Oczywiście zapytasz go najpierw, skąd pochodzą te wszystkie skarby. Patanè naturalnie będzie miał na podorędziu jakieś wytłumaczenie, że wszystko jest w najlepszym porządku. I nikt już nie będzie mógł o nic się do ciebie przyczepić.

– Myślisz?

– Oczywiście.

– A gdzie ty będziesz przez cały ten czas?

– W barze Cocuzza. Jeśli będziesz potrzebowała pomocy, zaraz przybędę. Caterina nadal nie była przekonana.

– Wszyscy będziemy czekać w barze – dodała ciotka Teresa. – Martino też. A Totti zostanie z tobą w domu.

– I to ma mnie uspokoić, tak?

– Ja bym to zrobiła – zaoferowała się ponownie Luisa.

Poldi zignorowała ją i popatrzyła na Caterinę.

– Nie mam lepszego planu.

– Jest idiotyczny. Absolutnie bezsensowny.

Poldi przytaknęła:

– Kompletnie niedorzeczny, wiem.

– To kiedy mam do niego zadzwonić?

W okamgnieniu Poldi chwyciła telefon i podała go Caterinie wraz z wizytówką Patanègo.

– Najlepiej od razu.

Pod czujnym okiem sióstr i szwagierki Caterina wzięła telefon, wyprostowała się odrobinę, głęboko nabrała powietrza i wykręciła numer. Poldi usłyszała w słuchawce sygnał, a potem poirytowane:

– Pronto?

– Dzień dobry, z tej strony Caterina Mancuso z firmy Mancuso Mobili. Czy signor Patanè? ... Znakomicie. Signor Patanè, dostałam pana numer od mego drogiego przyjaciela i partnera w interesach, pana doktora Tannenbergera z Monachium... Tak, dokładnie. Polecił mi pana. Powiedział, że jeśli ktokolwiek może mi pomóc, to tylko pan. Wspomniał również, oczywiście w zaufaniu, że jeśli chodzi o przetarg na centrum kultury w Taorminie, jest pan wśród faworytów... – Poldi dała jej znak, żeby zbytnio się nie wychylała. Ale Caterina nie zwracała na nią uwagi i niewzruszenie ciągnęła: – Firma Mancuso Mobili nabyła niedawno dom w Torre Archirafi, który chcemy w przyszłości wykorzystać jako showroom. W tym celu musimy dokonać przebudowy. Chciałabym urządzić go z wykorzystaniem starych podłóg i paru barokowych elementów dekoracyjnych – jak w małym palazzo, w takich wnętrzach dobrze prezentowałyby się kolekcja naszych mebli. Jest pan zainteresowany?

Najwyraźniej był. Poldi wprawdzie nie rozumiała, co mówił, ale jego głos wręcz ociekał chciwością i wazeliną.

– Cieszę się – odparła Caterina spokojnie i z opanowaniem. – W takim razie, powiedzmy, jutro przed południem, o jedenastej?

– I już? – zapytała z niedowierzaniem Poldi, kiedy Caterina odłożyła słuchawkę.

– Tylko nie mów, że cię to dziwi.

Poldi uśmiechnęła się i uniosła kieliszek.

– Nie, właściwie to nie. Byłaś wspaniała. No to mamy go na łbie. Na zdrowie!

Następnego dnia punktualnie o jedenastej Poldi, Teresa, Luisa i Martino siedzieli w barze Cocuzza, dzielnie walcząc z nerwowością przy użyciu kawy, *cornetti* i *granity*. Wpatrywali się w leżący na stoliku telefon Poldi i analizowali poszczególne esemesy Cateriny z Via Baronessa:

„Jeszcze go nie ma”.

„I ciągle nie ma”.

„Gdzie on się podziewa?”.

„Dzwoni do drzwi!”.

Następnie rozpoczęła się operacja „Wilczy dół”. Poldi przewidując odkręciła tabliczkę ze swoim nazwiskiem przy drzwiach i teraz miała ją w torebce. Przygotowała też z grubsza dom na wizytę Patanègo, odwieszając do szafy wszystkie ubrania i chowając leżące na wierzchu listy, dokumenty i zdjęcia, a przede wszystkim zdjęła wszystko ze ściany w sypialni, i zatarła każdą wskazówkę, mogącą zdradzić tożsamość prawdziwej mieszkanki domu przy Via Baronessa 29. Właściwie wszystko musiało się udać.

Właściwie.

Minęła dwunasta. Potem trzynasta. Napięcie rosło. Poldi co minutę sprawdzała komórkę, ale Caterina zamilkła na dobre. Raz pisnął telefon, ale był to esemes od Montany:

„Mam coś. Kiedy się zobaczymy?”.

Poldi odpowiedziała od razu:

„Wpadnij dziś wieczorem”.

A Montana dwuznacznie:

„Mógłbym i teraz...”.

Poldi pomyślała chwilę i odpisała:

„Ale ja nie”.

Wprawdzie zabrzmiało to bardziej szorstko, niż chciała, ale ciotka była dość zdenerwowana Cateriną i nie chciała blokować linii. Kiedy o wpół do drugiej nie mogła już wytrzymać i chciała wrócić do domu, Caterina w końcu zadzwoniła. W jej głosie pobrzmiwało coś niepokojącego.

– Poszedł, możecie wracać.

– Wszystko w porządku, Caterino?

– Chodźcie już, no!

Zapłacili i pędem wrócili do domu. Merdający, wesoły Totti już w progu obkoczył ich i wylizał. Caterina robiła wrażenie całkowicie nienaruszonej, żadnych złamań ani szram. Poldi rozejrzała się podejrzliwie w poszukiwaniu śladów walki. Nic.

– Mów, jak poszło?

– Połknął haczyk – oznajmiła Caterina. – Ale potem wydarzyło się coś dziwnego.

Ale po kolei, bowiem relacja ta przypomina odrobinę grę w głuchy telefon. Znam ją tylko z ust Poldi, a ona – z ust Cateriny.

Zgodnie ze słowami tej ostatniej Patanè pojawił się

z czterdziestopięciominutowym spóźnieniem oraz cierpką aurą zapachu potu i zimnego dymu papierosowego. Caterina mimo to przyjęła go zgodnie z zasadami dobrego wychowania, nie okazując niechęci, zaprosiła go do środka, zaproponowała *caffè* oraz wodę i pozwoliła, by Patanè wścibsko i podejrzliwie jak kot u weterynarza rozejrzał się po parterze.

– Jak zareagował Totti? – chciał wiedzieć wujek Martino.

– Totti to kompletna porażka – przyznała Caterina. – Nawet oblizał Patanèmu rękę, a potem uciekł do cienia i więcej się nie pojawił.

I to byłoby tyle, jeśli chodzi o stróżowskie zalety Tottiego. Wujek jednak był nader zadowolony z tego sprawdzianu, nienawidził bowiem psów wartowniczych. W ogóle wujek Martino był zagorzałym i niepoprawnym filantropem, pacyfistą i slowfoodzistą. Ale znów odbiegam od tematu.

Zgodnie z relacją ciotki Cateriny nieufność Patanègo ustępowała wyjątkowo powoli. Niczym jesienna mgła, znikająca opornie pod promieniami listopadowego słońca. Chciał wiedzieć, od kiedy Caterina ma ten dom, na co ona wcisnęła mu bajeczkę, jak to firma Mancuso Mobili niedawno odkupiła posiadłość od pewnej szurniętej Niemki, która źle znosiła klimat Sycylii i wróciła pośpiesznie do swej ojczyzny – stąd umeblowanie, które naturalnie wkrótce ma zostać w całości usunięte. Tak to sobie wymyśliła Poldi. Patanè łyknął historyjkę, ale całkowicie odtajał dopiero po tym, jak Caterina wyczerpująco opisała mu rzekome plany ekspansji Mancuso Mobili, parokrotnie wspominając przy tym swego partnera w interesach i dobrego przyjaciela, doktora Tannenbergera. Z wielkimi ceregielami i gestykulacją godną wielkiego maga Patanè rozpostarł przed Cateriną teczkę ze zdjęciami prezentującymi rozmaite płytki podłogowe, mozaiki, kamienne figury, sztukaterie, a nawet całe klatki schodowe, które mógł zorganizować. Wszystko oczywiście całkowicie legalnie. Sztukaterie pochodziły podobno z rozwalających się willi i *palazzi*. Były to ruiny, które, jak zapewnił, wkrótce zostaną rozebrane. Dlatego to dla niego tak niezmiernie ważne, by uratować choć ułamek tej wspaniałej sycylijskiej sztuki rzemieślniczej osiemnastego i dziewiętnastego wieku i umieścić w miejscach, w których będzie mogła żyć dalej. W jego oczach był to w gruncie rzeczy rodzaj przekazania nieruchomości ze śmiercią mózgową organu do transplantacji.

Całość, rzecz jasna, nie była tania, Patanè nie zamierzał tego ukrywać, ale o konkretnych sumach nie chciał mówić. Na razie. Najpierw Caterina miała w spokoju obejrzeć katalog, podczas gdy on przejdzie się po domu, by

wyrobić sobie ogląd i zebrać inspiracje. Bowiem, jak się wyraził, „dom musi do niego przemówić i powiedzieć na ucho, czego mu potrzeba”.

Kiedy Patanè węszył po domu jak pies tropiący narkotyki podczas kontroli celnej, ciotka Caterina miała dość czasu, by dokładnie obejrzyć wszystkie zdjęcia, a niektóre nawet sfotografować komórką. Lwa na bramę wśród oferowanych obiektów jednak nie znalazła. W pewnej chwili usłyszała, jak Patanè wchodzi po schodach na taras. Wkrótce pośpiesznie zbiegł na dół – ciotka ledwie zdążyła schować smartfon. Patanè nagle zaczął sprawiać bardzo nerwowe wrażenie, był wręcz wystraszony. Chwycił teczkę, pożegnał się prędko i wyszedł, jakby go kto gonił.

– Dziwne, prawda? – zakończyła relację ciotka Caterina. – I wtedy od razu do was zadzwoniłam.

– I nic więcej nie powiedział? – zapytała Poldi.

Caterina pokręciła głową.

– Tylko tyle, że ma nagłą wizytę u dentysty i że się odezwie. I poszedł.

Poldi popatrzyła na schody prowadzące na dachowy taras. Ze względu na chore kolano dawno tam nie zaglądała.

– Poza tym to jest teraz twoje królestwo – powiedziała mi wspaniałomyślnie podczas mojej ostatniej wizyty. – Muszę respektować twoją prywatność. I tak wolę posiedzieć na promenadzie.

Teraz jednak zaciekawiło ją, co takiego mogło wywołać u Patanègo nagły ból zębów.

– Sprawdźmy – rzuciła i z wysiłkiem wspięła się na górę, a za nią Teresa, Caterina, Luisa, Martino i Totti.

I odkryła lwa.

Poldi nieźle zmyła mi potem głowę, dlaczego, na litość boską, przez cały czas nie pisałem nawet słówka. Tylko że ja jakoś nigdy nie skojarzyłem lwa na tym dachu z brakującym lwem z Femminamorta. Przysięgam! W gruncie rzeczy właściwie go nie zauważyłem. Kiedy po raz pierwszy po przeprowadzce Poldi przyjechałem na tydzień do Torre, a było to w sierpniu, byłem zbyt zajęty swoją powieścią, czyli lamentowaniem, przeżywaniem porażek i obgryzaniem paznokci. Poza tym rzadko bywałem na tarasie, bo w ciągu dnia było tam za gorąco, a wieczorami wolałem słuchać na dole opowieści Poldi. W ogóle to wziąłem lwa za schodami za element, który od zawsze zdobił dom. Zwłaszcza, że był przymocowany zaprawą murarską do muru okalającego taras.

– Ale przecież nie w tym miejscu! – biadoliła Poldi w bezgranicznym zdumieniu, kiedy później udzielała mi reprimendy. – Na Boga, przecież musiało ci się chyba rzucić w oczy, że to jest całkowicie bezsensowne miejsce na lwa. Bo po pierwsze, tam nie ma żadnej bramy, a po drugie nikt go tam nie widzi!

Cóż mogłem powiedzieć. Miała rację. Zmieszany, wzruszyłem ramionami.

– Wiesz co? – westchnęła. – Zanim napiszesz choćby jedną linijkę, otwórz oczy i uszy, i w ogóle wszystkie zmysły, i wpuść do środka odrobinę życia. – Z tymi słowy dołała mi whisky. Moja ciotka Poldi.

Brakujący lew z Femminamorta stał zatem przy tarasowym murku, trochę schowany za schodami i przytwierdzony na stałe cementem. Spoglądał na Poldi, nachmurzony i trochę z pretensją. W przeciwieństwie do mnie ona rozpoznała go natychmiast.

Jak się tam dostał?

Było tylko jedno wytłumaczenie: Valentino.

Poldi przypomniała sobie, że ostatniego dnia zostawiła chłopaka na cały dzień samego w domu, żeby naprawił przeciekający dach. Przypomniała sobie też wypełniony do połowy worek z cementem, który przyniósł.

– Wtedy musiał przymocować lwa. W każdym razie rozrabiał cement.

– Ale dlaczego nic nie powiedział? – zapytała ciotka Teresa.

Zdaniem Poldi było tylko jedno rozsądne uzasadnienie.

– Rany, po prostu chciał schować lwa na dachu. Wiedział przecież, że ja prawie nigdy nie wchodzę na górę. A w tamtym czasie w ogóle nie znałam jeszcze Valérie. Poza tym Valentino raczej nie przewidywał, że wkrótce zostanie zamordowany. Przypuszczam, że chciał tylko przechować lwa przez jakiś czas.

– Ale po co? – zapytała ciotka Teresa.

– Rany, żeby go sprzedać, oczywiście!

Poldi bowiem jednego była pewna na mur-beton: że Valentino ukradł lwa. Pytanie tylko, na czyje zlecenie.

– Przecież to jasne! Patanè! – stwierdziła ciotka Caterina.

Poldi jednak miała wątpliwości, ponieważ kamienny lew nie widniał w katalogu przedsiębiorcy. I nagle przyszło jej do głowy podejrzenie, które jednak na razie zachowała dla siebie.

– To co teraz robimy z tym lwem? – zapytała ciotka Luisa.

– Nic – odparła Poldi. – Na razie zostanie tam, gdzie jest. I nikomu ani

słowa.

– A co z Montaną?

Dobre pytanie.

Poldi postanowiła póki co nie mówić Montanie o lwie. Wprawdzie nie było jej to w smak, bowiem zawsze chciała być szczerą wobec mężczyzn, z którymi sypiała, ale z drugiej strony dzięki temu może naprawdę wyprzedzi Montanę w śledztwie. A poza tym co za różnica, czy dowie się o tym dzień wcześniej czy dzień później? Niezależnie od tego zamierzała jednak poinformować nazajutrz Valérie. Uznała, że ostatnio zbyt długo zaniedbywała przyjaciółkę. Valérie na pewno ucieszy się z powrotu lwa.

Zgodnie z umową *commissario* pojawił się na Via Baronessa wieczorem, bez *gelato*, za to z bukietem czerwonych róż. Wyraźnie nie przychodził prosto z pracy, bowiem pachniał żelem pod prysznic, a zamiast szarego garnituru miał na sobie czarne chinosy i czarną koszulkę polo. Był to styl ubioru, za którym Poldi zbyt nie przepadała, ale ponieważ Montana był Włochem, a strój był czarny, przymknęła oko. Przycięła róże, wstawiła je do wazonu, a potem wciągnęła Montanę do sypialni i go rozebrała.

– Głodny jesteś? – zapytała, kiedy parę namiętych westchnień później dzielili się w łóżku papierosem.

Montana pokręcił głową.

– Daj spokój, nie trzeba.

– Oczywiście, że jesteś głodny. Przyrządzę coś.

– Nie, naprawdę nie. Ja... – odchrząknął.

Poldi zrozumiała.

– Musisz iść?

– Niestety. Dostałem telefon z prefektury.

– Aha. Ale na schadzke zawsze jest czas.

– Nie bądź na mnie zła, proszę.

– Kto jest zły? Służba to służba, a wódka to wódka.

Montana jęknął i usiadł na łóżku.

– Rozumiem – powiedziała Poldi. – Gadam jak twoja żona.

– Była żona. Poldi, posłuchaj...

– Na litość boską, tylko nie rozmawiajmy o naszym związku! – zaprotestowała moja ciotka. – Wszystko jest w porządku, Vito. Znaleźliście komórkę Valentino?

– Niestety nie – odparł Montana z ulgą, że nastąpiła zmiana tematu. –

Prawdopodobnie leży gdzieś na dnie morza. Ale mamy dane z billingu. Tuż przed śmiercią Valentino sporo się przemieszczał. Jeździł tam i z powrotem. Z grubsza możemy prześledzić jego trasę na podstawie danych ze stacji przekąźnikowych, w których się logował.

– I gdzie logował się po raz ostatni?

– Tutaj. W komórce obejmującej Torre.

– Czyli na plaży w Praioli?

– Tak należy przypuszczać.

– Ale to nie było miejsce zbrodni.

– Właśnie.

– A zatem morderca dopiero tam odkrył komórkę Valentino i zniszczył ją albo wrzucił do morza.

– Tak przypuszczam.

Poldi pomyślała chwilę.

– Z kim rozmawiał przed śmiercią?

– Nie mogę ci tego powiedzieć, Poldi!

Popatrzyła na niego.

– Ach, Vito!

– Tak, tak, wiem. Ale muszę zachować profesjonalizm... W każdym razie nie z Russo. I nie z Tannebergerem. Swoją drogą, kazałem sprawdzić jego alibi. Naprawdę był w Monachium.

– Czyli Valentino rozmawiał z Patanèm.

Montana ponownie pokręcił głową.

– Nie.

– Nie? – zdziwiła się Poldi. – Więc z kim?

Montana zawahał się, a kiedy Poldi zobaczyła jego minę, poczuła gorycz w ustach, jak rano po diabelnej popijawie.

– Vito?

Montana westchnął i się przełamał:

– Z twoją przyjaciółką. Z Valérie Belfiore.

Rozdział 10



OPOWIADA O JADZIE NIEUFNOŚCI, STARYCH BATERIACH, MIGDAŁACH W CUKROWEJ POLEWIE, KICZU, MIŁOŚCI I MAGII PODSTĘPÓW. POLDI CHCE USTALIĆ, KTO ZADZWONIŁ Z TELEFONU VALÉRIE DO VALENTINO, I DOSTAJE NIESPODZIEWANE ZAPROSZENIE. PRZEŻYWA ROZCZAROWANIE W STAREJ ROZLEWNI WÓD MINERALNYCH I POMIMO ORZEŻWIAJĄCEGO KOPA ODDAJE SIĘ MELANCHOLII I REGALEALI. OBSERWUJE, INTERPRETUJE GESTY I W CZARNYCH BARWACH WIDZI PRZYSZŁOŚĆ.

Wyobrażam sobie komórkę Valentino, jak leży gdzieś w rozległej, ciepłej Zatoce Katańskiej na dnie morza. Jak kolebie się na boki w łagodnym prądzie głębinowym, obmacywana przez zaciekawione ośmiornice, które biorą ją za rodzaj raka przeznaczonego do rozłupania. Wyobrażam sobie, jak z biegiem lat komórka obrasta wodorostami i małymi ślimaczkami, a może wręcz zostaje zawojowana przez koralowce. Raczej niewiele przetrwa z plastiku i elektroniki. Wyobrażam sobie, jak wszystko to rozdrabnia się w morskiej wodzie, wraz ze wszystkimi odciskami palców i śladami DNA, ze wszystkimi danymi z pamięci, wszystkimi selfikami, ostatnimi fotkami, współrzędnymi GPS i esemesami. Wszystko rozpuszczone i rozproszone w słonej nieskończoności, w maksymalnej homeopatycznej dawce. Wyobrażam sobie, jak prawda rozpuszcza się bardzo powoli, ale nieodwołalnie.

I wyobrażam sobie Poldi, która tamtej nocy nie mogła zasnąć, z różnych powodów, jednak wszystkie one związane były z prawdą. Z prawdą Valentino, prawdą Montany, prawdą Valérie. Poldi wyobrażała sobie, że prawda jest jak guzik, który w jednym miejscu przytrzymuje kosztowną suknię. Głupio, jeśli nie da się go rozpiąć. Oszaleć można. Nie do zniesienia. Nie do przyjęcia. Po prostu nie do zaakceptowania. Tak uważała Poldi.

Dlatego następnego dnia, z ciężkim sercem i dziesiątkami pytań na języku, pojechała do Femminamorta. Naturalnie nie mogła tak po prostu zapytać Valérie o tamten telefon, bowiem Montana nie mógł jej przecież zdradzać takich informacji. Musiała podejść do rzeczy sprytniej. A na tym, prawdę mówiąc, moja ciotka nie znała się zbyt dobrze.

Przy bramie z osamotnionym lwem została zatrzymana przez młodego mężczyznę w eleganckim garniturze i z ułożonymi na żel włosami.

– Przykro mi, signora, ale nie może pani teraz tędy przejechać.

– A dlaczego, jeśli wolno spytać?

– Zdjęcia do filmu.

To było coś nowego. Ponieważ jednak Poldi była z branży, wykazała się zrozumieniem i nie wdawała w długie dyskusje.

– Ale jeśli zostawię samochód tutaj, to mogę przejść, prawda?

– Oczywiście, signora.

W poprzek wewnętrznego dziedzińca starego wiejskiego domu stało nowiutkie lamborghini aventador, pomarańczowe jak przejrzała mandarynka o zachodzie słońca. Przysadziste, kanciaste paskudztwo wyposażone w siedemset koni mechanicznych, które sam producent reklamował przymiotnikiem „bezlitosny”.

– To mówi wszystko o kierowcach jeżdżących takimi monstrami – wyjaśniała mi później Poldi. – Peppe miał kiedyś przyjaciela, Toni mu było na imię. Wiem, że tego się nie da porównać, ale Toni miał białe porsche. Takie ze specjalnym, pioruńsko drogim, perłowobiałym lakierem. Mówiliśmy na nie: biała sperma. Peppe nawet mu go trochę zazdrościł. Do momentu, gdy Toni dał mu się przejechać. I co zrobił Peppe? Rozpierdolił go. Na trasie B11 między Garchingiem i Mintrachingiem. Bo Peppe rozbijał praktycznie każdy pożyczony samochód. To oznaczało koniec przyjaźni, co rozumiałe. W każdym razie Toni też nosił takie białe spodnie. Biel to był jego kolor. Ja tam zawsze mówiłam: białe porsche, białe spodnie, mózg i fiut wiszą swobodnie. Niepotrzebne mi do tego żadne doktoraty z psychologii, wystarczy spojrzeć. A lamborghini to jest właśnie coś takiego do trzeciej potęgi. Choć z drugiej strony, samochód był tylko z wypożyczalni.

Valérie nigdzie nie było widać. Na lamborghini z wypożyczalni przeżyła się dziewczyna w sukni ślubnej z gołymi ramionami. Pozowała do zdjęć dwóm młodym mężczyznom. Włosi hajtają się jak opętani. Istnieje cały przemysł specjalizujący się w organizowaniu uroczystości weselnych. Podstawą była

oczywiście bogata dokumentacja fotograficzna i filmowa z zastosowaniem Photoshopa. W tym celu wozilo się młodych w jakieś malownicze miejsca, gdzie godzinami pozowali do zdjęć, chodzili w te i wewte po plaży, zaglądali sobie w oczy, całowali się, a potem znów przemierzali plażę. Sportowe wozy i wypasione motocykle stanowiły pewien standard, zaś fotograf weselny był zawodem odpornym na kryzysy, w dodatku niewymagającym spowalniających karierę lat nauki.

Fotograf krążył wokół lamborghini jak hiena wokół stada lwów na pikniku, wymachiwał kamerą, tak że Poldi aż kręciło się w głowie, i zachęcał pannę młodą, by podążała za jego ruchem i nie spuszczała wzroku z obiektywu. Niełatwe zadanie. Dziewczyna nie była modelką, Poldi od razu to rozpoznała po desperacji, z jaką usiłowała naśladować erotyczne wygibasy pańienek z kalendarzy samochodowych. Prawdziwa panna młoda w przesadnej obfitości jedwabiu, tiulu i koronek. Suknia zdawała się spływać kaskadami z jej tułowia i stapiać jak lody migdałowe z pomarańczowym lakierem lamborghini. Nogi dziewczyny niknęły w tkaninie, nadając pannie młodej wygląd syrenki, którą szczęśliwy rybak wyłowił z Zatoki Katańskiej i właśnie prezentował światu.

Szczęśliwy rybak stał nieco na uboczu z друзbami, kumplami i krewnymi. Wyglądał na speszzonego i dumnego zarazem.

Potem przysła kolej na niego. Kazano mu usiąść na masce, obok swej wybranki, i przywołać na twarz nonszalancką minę, co na szczęście kompletnie mu nie wychodziło. Cały ten ambaras bardziej chyba irytował młodą parę, niż sprawiał jej przyjemność. A to z kolei podobało się Poldi.

– *Mon dieu!* – z ogrodu dobiegł głos Valérie. Towarzyszył mu śmiech.

– Gratulacje! Dużo szczęścia i dzieci! – Poldi powinszowała wesoło młodej parze i oddaliła się za dom, gdzie napotkała Valérie gawędzącą beztrasko z Russo i Mimim Pastorellą.

Russo miał na sobie błękitny garnitur z kwiatkiem w butonierce, co wskazywało na to, że był gościem weselnym. Mimì pomimo upału ubrany był w ciemny, staroświecki trzyczęściowy garnitur, który jakiś krawiec wyfrezował chyba sto lat temu z kompaktowej beli materiału. Hölderlin zwinął się w kłębek u stóp pana, gryząc małego plastikowego lwa i od czasu do czasu poruszając nerwowo ogonem. Widok nie uradował mojej ciotki. Wolałaby porozmawiać z samą Valérie. Widząc nadchodzącą Poldi, trójka momentalnie ucięła rozmowę.

– Donna Isolde! – zawołał uradowany Mimì.
– Poldi! *Mon dieu*, właśnie o tobie rozmawialiśmy.
Poldi, stękając, osunęła się na plastikowe krzesło.

– A o czym konkretnie?

Valérie zaproponowała kawę, a potem powiedziała:

– Mimì i signor Russo pytali o ciebie. Ale co ja mogłam powiedzieć, *mon dieu*, nie mam od ciebie żadnych wieści od wielu dni!

– No cóż, właśnie jestem.

To od razu natchnęło Mimiego, by ująć Poldi za rękę i szeptem zacytować Hölderlina. Doberman u jego stóp zastrzygł uszami.

– „So lieb wie Schwabens Mägdelein / Gibt's keine weit und breit, / Die Engel in dem Himmel freun / Sich ihrer Herzlichkeit”⁴.

Mimì przypieczętował te słowa pocałunkiem w rękę Poldi, a ona zostawiła je bez komentarza.

– Kto bierze ślub? – zwróciła się do Russo.

– Moja najstarsza córka.

– O! – Poldi szacowała, że jest młodszy. – Znaczy, to wspaniale. Jest pan pewnie dumny.

Russo uśmiechnął się niezobowiązująco.

– Ten facet jest idiotą. Dentysta z Florencji. I jak wszyscy Toskańczycy nienawidzi Sycylijczyków. Ale trudno, Stella go kocha.

– Dzisiaj wieczorem odbędzie się wielkie przyjęcie – dorzuciła Valérie, zwracając się do Poldi. – Może zechcesz przyjść?

Poldi zobaczyła, jak Russo sztywnieje na swoim krześle.

– Nie, dziękuję – odparła. – To przecież rodzinna uroczystość.

Valérie przeszyła Russo świdrującym spojrzeniem.

– Niekoniecznie – przyznał Russo. – Bardzo bym się cieszył, gdyby nas pani zaszczyciła, signora Poldi. Serdecznie panią zapraszam.

Valérie popatrzyła promiennie na moją ciotkę.

– Proszę, pójdz ze mną!

– Zostawię dla pani wolne miejsce u mego boku, donna Isolde – wyszeptał Mimì. – „Dann umfängt ihr himmlisch Wesen/Süß im Kinderspiele mich,/Und in ihrem Zauber lösen/Freudig meine Bande sich”⁵.

– Me więzy radośnie rozbraja, dziękuję bardzo! – zachnęła się Poldi, kiedy opowiadała mi o tym miesiąc później. – Niezłą miałam zagwozdkę, rozumiesz? Bo jeśli odmówię, Russo się obrazi. Możesz bowiem odrzucić

każde zaproszenie, ale nie zaproszenie na wesele. Tego po prostu się nie robi. Ale jeśli je przyjmę, to przez cały wieczór będę miała na głowie Mimìego. Wraz z Hölderlinem. No i w ogóle, jak ja miałam przetrwać na trzeźwo całe wesele? Z drugiej strony, mówiłam sobie, to mogła być szansa, by wniknąć do wewnętrznego kręgu organizacji, rozumiesz?

– To byłaby dobra okazja, by raz na zawsze zapomnieć o naszych ostatnich niefortunnych spotkaniach – dorzucił Russo.

– W takim razie chętnie przyjdę – zgodziła się łaskawie Poldi.

Russo dostał od fotografa znak, że skończyli, i przyjacielskim całusem pożegnał się z Valérie.

Poldi spodziewała się, że Mimì również nadstawi policzek, ale to nawet nie przyszło mu do głowy. Moja ciotka nie zamierzała jednak odejść, nie wyjaśniewszy uprzednio sprawy z telefonem. I jak zawsze podeszła do niej z właściwą sobie delikatnością.

– Posłuchaj, Valérie, gdzie ty właściwie byłaś tamtego wieczoru przed śmiercią Valentino?

Valérie ani drgnęła, westchnęła tylko krótko.

– Twój przyjaciel *commissario* zadał mi wczoraj to samo pytanie.

– To nie jest mój przyjaciel.

– *Mon dieu*, Poldi, o co ci chodzi? Już powiedziałam *commissario*: nawet z nim nie telefonowałam.

– To prawda, donna Isolde – wtrącił się Mimì. – Byłem tu całe popołudnie.

– To był dzień po kolacji u Mimìego – dodała Valérie. – Nawet chciałam cię zaprosić, ale nie mogłam się do ciebie dodzwonić.

– Tak, nie byłam w szczytowej formie – mruknęła Poldi, przypominając sobie, jak zapłała po okropnym wieczorze z Hölderlinem. – Kto jeszcze tu był?

– Russo wpadł na chwilę z propozycją, razem z Patanèm.

– Jaką propozycją?

Valérie i Mimì wymienili spojrzenia.

– Na dom i działkę, po raz kolejny. Russo zaoferował mi milion.

– Coś podobnego.

Valérie roześmiała się i machnęła ręką.

– Może mi dawać choćby i dziesięć milionów. Ale szybko sobie poszli. Niewykluczone, że w ogrodzie pracował jeszcze Turi. O wszystkim tym powiedziałam już *commissario*. *Mon dieu*, ty poważnie myślisz, że to ja

zabiłam Valentino?

Tym razem to Poldi westchnęła.

– A bo ja wiem? Może byłaś zazdrosna o Tannenbergera.

– A kto to jest? I czemu zazdrosna tak w ogóle?

– Albo Valentino chciał ci odsprzedać twojego lwa, a ty nie chciałaś mu zapłacić.

– Aha. I naturalnie wzięłam swoją luparę, zastrzeliłam go z zimną krwią, a potem zawiozłam na plażę. Sama. Przez kamienną figurę. *Mon dieu!*

Mimì nic już nie mówił. Poklepywał tylko swojego dobermana i obserwował miotającą się w bezradności Poldi jak zabawnego zmokłego kundla na skraju drogi, któremu nie można pomóc. Albo pomóc się nie chce.

Poldi wiedziała od Montany, że rozmowa była krótka – trwała niecałe dwie minuty. Wiedziała też, jaki telefon ma Valérie – toporny przenośny przeżytek z wielkimi przyciskami, który nieustannie jej się zawieruszał, z astmatycznymi bateriami, wystarczającymi na góra trzy minuty. Co wcale jej nie przeszkadzało, ponieważ zazwyczaj i tak dzwoniła z komórki. Poldi zdołała wyciągnąć od Montany, że numer komórki Valérie nie widniał na liście numerów, na które dzwonił Valentino.

Mogło się zatem zdarzyć, że ktoś przebywający w domu niezauważenie zadzwonił do Valentino, zwłaszcza że drzwi zwykle i tak były otwarte na oścież. A jeśli nie, każdy wiedział, że w niszy wotywniej obok drzwi, pod gipsową figurką Matki Boskiej leżał zapasowy klucz. Valérie nie bała się złodziei. Femminamorta – jak wyjaśniła kiedyś Poldi – jest miejscem o silnej pozytywnej energii. Ciotki nie trzeba było co do tego przekonywać, bo na pozytywnych energiach to ona się znała.

– Mimo to – tłumaczyła mi parę tygodni później – zastanawiałam się nad jednym: dlaczego ktoś miałby korzystać z telefonu Valérie? Wyjaśnienie A: bo on, lub ona, nie chciał dzwonić z własnej komórki, gdyż już wówczas miał zamiar zlikwidować Valentino. Wyjaśnienie B: bo on, lub ona, nie miał komórki. Nadążasz?

– Wyjątkowo przenikliwa konkluzja – odparłem. – Czyli Valérie można już skreślić.

– Oj tam! Odkładając na bok kwestię pozytywnej energii, jeśli wpadniesz w szpony podejrzliwości, trudno ją tak po prostu zignorować. Jako śledczy nigdy nie możesz wykluczyć, że nie ma wyjaśnienia C. W tym sęk.

Moja ciotka przeczuwała, że ktoś przez cały czas nieźle robi ją w balona.

A w tym, niestety, miała doświadczenie. Z drugiej strony nie chciała stracić jeszcze jednej przyjaciółki. W ogóle nie chciała już tracić ludzi, którzy zaskarbili jej serce.

– Pamiętasz może, gdzie tamtego popołudnia leżał telefon?

– Kiedy kładłam się do łóżka, leżał na komodzie w korytarzu. Ale miał wyczerpane baterie.

– I pamiętasz to jeszcze?

Valérie wzruszyła ramionami.

– Cały czas są wyczerpane.

Poldi pomyślała chwilę i podjęła dwie decyzje. Po pierwsze: nie pozwoli, by nieufność popsuła jej przyjaźń. I po drugie: nie pozwoli, by dłużej wciskano jej kit.

– Czy mimo wszystko zabierzesz mnie na wesele?

– *Mon dieu*, o czym tym mówisz?

– No wiesz, właśnie cię podejrzewałam.

– Ale na tym przecież polega twoja praca.

– Moja praca?

– Przecież, *mon dieu*, jesteś teraz detektywem, Poldi. Nikogo nie możesz wykluczyć. Wprawdzie dla przyjaciół to przykre, ale ty niewzruszenie podążasz za głosem sprawiedliwości. Jak to brzmi?

Poldi jeszcze nigdy nie patrzyła na to w ten sposób.

– Do bani. Ale podoba mi się.

Ten, kto na myśl o sycylijskim weselu wzdycha z rozmarzeniem, wyobrażając sobie modeli Dolce & Gabbana w różnym wieku, siedzących przy długim stole w oliwnym gaju, przy winie i makaronie, oddających się radosnej grze na mandolinie i śpiewom, podczas gdy świeżo poślubiona para tańczy namiętną tarantelę, ten jeszcze nigdy nie był na sycylijskim weselu. Poldi również nie była i dlatego rzeczywistość uderzyła ją jak maczuga cyklopa. Sycylijskie wesele bowiem odbywa się według następującego schematu: kilkuset gości gromadzi się w *sala di ricevimento*, czyli – w większości przypadków – w wyłożonym gresem baraku różnego przeznaczenia, i zasiada na plastikowych krzeselkach, by przez wiele godzin jeść bez opamiętania. Bo właśnie o to przede wszystkim tu chodzi. Do picia podaje się jedną butelkę wina na cały stół, i to wystarcza, gdyż, jak wspominałem, Sycylijczyk nie pije. Woli jeść, a jeść może przez kilka godzin bez przerwy. Młoda para siedzi samotnie przy osobnym stoliku z widokiem na

całą tę żalospną scenerię, a najpóźniej pół godziny przed północą następuje koniec imprezy. Muzyka? Najwyżej z taśmy. Tańce? Ani dudu. Szampańska zabawa? Zapomnijcie. Sycylijskie wesele jest mniej więcej tak samo zabawne jak zostawanie za karę po lekcjach w szkole. Chodzi głównie o to, by zaimponować krewnym, a przede wszystkim znajomym kontrahentom rodziców młodych, do oporu pasąc ich weselnymi potrawami. Dopiero gdy ci nie są już w stanie nawet stęknąć, misję uznaje się za wypełnioną. Tutaj również obowiązuje zasada *bella figura*. Byłe nie wyjść na takiego, kto nie jest przy forsie, któremu nie wiecie się w interesach, którego przyszłość nie wygląda różowo, nawet gdy ogólny stan gospodarki temu przeczy. Wyznacznikiem zamożności rodziców młodych są *bomboniere* – dawane w prezencie każdemu z gości. Malusie puzderka z porcelany, szkła, a nawet srebra, dostępne na rynku we wszystkich kategoriach cenowych, wypełnione białymi migdałami w cukrze, będącymi tradycyjnym symbolem szczęścia na włoskich weselach. Patrząc na to trzeźwo i po protestancku, były one oczywiście niczym innym jak najgorszym i całkowicie zbędnym kiczem, do niczego niepotrzebnym i w większości przypadków szkaradnym. Ale tu trzeba było myśleć w sposób orientalny, bowiem *bomboniere* są jak panna młoda: słodyczą w przepyszonym opakowaniu. Dokładnie o to chodzi – by podzielić się z gośćmi czymś kompletnie nieprzydatnym i w zależności od punktu widzenia – kiczowatym, a mimo to słodkim i kosztownym. Miłością.

Poldi oczywiście to rozumiała, co w niczym nie poprawiało jej minorowego nastroju, kiedy otwierając i zamykając stylowe srebrne wieczko, obserwowała Russo, który żartobliwie szturchał jakichś ważniaków, dowcipkował, rozdawał całusy, odwzajemniał komplementy, a jednocześnie miał na oku wszystkich, czyli bez mała trzystu gości weselnych. Ignorował jedynie swoją byłą żonę oraz jej nowego męża. Ona jego również.

Poldi przypominała sobie algorytm wujka Martino służący do obliczania prawdopodobieństwa, że napotkany Sycylijczyk jest mafiosem – jeden dzielone przez wzrost – i wyobraziła sobie, że wszyscy goście płci męskiej poniżej metra sześćdziesięciu należą do organizacji Russo. Zabójcy na zlecenie, windykatorky długów, doradcy, łamacze kości, wymuszacze okupów, łapówkarze, złodzieje kamiennych lwów, kurierzy narkotykowi, pracze brudnych pieniędzy i adwokaci. Wyobrażała sobie, jak Russo na boku szeptem wydaje im instrukcje, powierza zadania, dyskretnie ostrzega i feruje wyroki. Ci, którzy nie należeli do tej grupy, na pewno byli w gronie dobrze

poinformowanych, odwracali wzrok, trzymali język za zębami i zatykali uszy. Tak to sobie wyobrażała. I bynajmniej nie napawało jej to strachem, raczej ponurą satysfakcją, że siedzi tu jako jedyna niezłomna obrończyni sprawiedliwości.

– No i przyznaję – zdradziła mi później – to dało mi, powiedzmy, pewnego orzeźwiającego kopa.

Od czasu do czasu krzyżowała spojrzenia z ojcem panny młodej, zdając sobie sprawę, że Russo niemal bez przerwy ją obserwuje. A raczej siedzącą obok Valérie, która trajkotała z Mimim i Carmelą o jakichś rodzinnych sprawach.

Russo urządził uroczystość w halach nieczynnej rozlewni wód mineralnych w Torre Archirafi, zamieniając je – dzięki drzewkom z własnej plantacji – w sztuczny gaj oliwny. Mogłoby to wyglądać całkiem nastrojowo, gdyby drzewka nie stały w czarnych plastikowych donicach, gdyby nie ustawiono równie plastikowych stołów i krzeseł, gdyby całość przeniesiono na zewnątrz albo przynajmniej zrezygnowano z oświetlenia jarzeniówkami. Nic dziwnego zatem, że Poldi znów pogрузыła się we wspomnieniach i melancholii. I to tak bardzo, że wychyliła o jeden lub dwa kieliszki wina za dużo. Nie musiała już przecież siadać za kółkiem.

– Nojej, po prostu przypomniało mi się moje wesele z Peppem – opowiadała, kiedy siedzieliśmy razem we wrześniu. – Nie zaprosiliśmy rodziny, tylko setkę najlepszych przyjaciół, a wesele urządziliśmy w hali hurtowni niedaleko straganu Giovanniego, znajomego Peppiego. To był początek lat osiemdziesiątych i nic ci to wprawdzie nie powie, ale słuchaliśmy wtedy Prince’a i The Police, więc logiczne było, że byli u nas Prince i The Police. Grał też Spider Murphy Gang, wiesz, ci od *Skandal im Sperrbezirk*, leciały *Roxanne* i *Purple rain*. Wszyscy pili na umór, palili trawkę i się śmiali, i śpiewali, i tańczyli, i bzykali się w kiblu – i tak aż do południa. A na drugi dzień wieczorem bawiliśmy się dalej. Tak się świętuje wesela, zapamiętaj to sobie. To jest po prostu kwestia szacunku dla miłości.

I dlatego Poldi przeznaczyła dla młodej pary wyjątkowy prezent, który wręczyła im między pierwszym a drugim daniem głównym: Oszun, boginię płodności plemion Bantu. Małą hebanową figurkę na krótkich nogach, z nabrzmiętym brzuchem, kolorowymi koralikami na szyi i ogromnymi piersiami, które eksponowała ku patrzącemu, podtrzymując je dłońmi. Nie była to tandetna pamiątka dla turystów, tylko prawdziwy antyk, liczący co

najmniej dwieście lat. Młodzi, którzy nie mieli pojęcia, kim była kobieta w peruce i czerwonej sukni, a także po co im taka statuetka, podziękowali grzecznie i dyskretnie zostawili dziwny prezent pod stołem, by na koniec o nim zapomnieć. Nie żebym był przesądny, ale wyobraziłem sobie, jak młoda sprzątaczką znajduje posążek i zabiera go do domu. I jak wkrótce zostaje pobłogosławiona szczęśliwym małżeństwem, zdrowym potomstwem i dożywotnią zamożnością.

Wróćmy jednak do wesela, na którym właśnie podano drugie danie główne. *Sarde a beccafico*, pieczone ruloniki z sardynek, nadziewane pastą z bułki tartej, oliwy, *pecorino*, natki pietruszki i orzeszków pinii. Są pyszne – wyglądają na nieduże i niegroźne, ale już po trzecim człowiek pęka z przejedzenia. Mimo to goście śmiało ładowali na talerze całe góry ruloników. Humory nie mogły być lepsze.

Poza humorem Patanègo. Ten siedział skwaszony z równie skwaszoną kobietą przy jednym ze stołów z tyłu, czyli dość nisko w hierarchii. Poldi zauważyła, że raz po raz podejmuje próby zwrócenia uwagi Russo, które jednak gospodarz uporczywie ignorował.

Wróciwszy do swojego stołu, Poldi bez apetytu zaczęła dłubać widelcem w talerzu, dolewając sobie wina, by łatwiej spływały po niej krasomówcze popisy Mimiego na temat Hölderlina, i snuła ponure teorie o powiązaniach między Russo, Valérie i Patanèm. W pewnej chwili sięgnęła do torebki po długopis, chcąc uporządkować myśli. Nie znalazła jej po prawej, tylko po lewej stronie krzesła, co na moment zbiło ją z tropu, ale przecież już szumiało jej w głowie od wina. Wzięła serwetkę i sporządziła aktualną listę podejrzanych.

RUSSO
PATANÈ
TANNENBERGER
VALÈRIE
HÖLDERLIN MIMI
TURI

– W życiu musisz sporządzać listy – poradziła mi ciotka Poldi parę tygodni później. – Listy są magiczne. Gdyż albowiem zaczynają żyć własnym życiem. Kiedy już zacząłeś, chcą, byś prowadził je dalej i dalej. Odhaczasz

poszczególne punkty, skreślasz, ale nigdy nie kończysz. Lista nigdy nie jest kompletna, zapamiętaj to sobie, dopisujesz jedno, drugie i – hopla! – nagle znajdują się na niej rzeczy, o których wcześniej nawet nie pomyślałeś. A wszystko dlatego, że w którymś momencie zacząłeś pisać. Gdyż, słuchaj teraz uważnie, na tym polega tajemnica pisania: trzeba po prostu wziąć i pisać. Tylko dzięki temu, że na kartce papieru albo na serwetce nagle widnieje niebieskie na białym, napisane słowo wytwarza prawdziwy ciąg. Musisz wiedzieć, że listy to mechanicy podświadomości. Wykazy nazwisk na przykład. Jedno nazwisko nie czyni jeszcze listy, to jasne. Dwa nazwiska też nie. Trzy nazwiska – za mało. Cztery mogą być, ale robią niewystarczające wrażenie. Dopiero wraz z piątym, a najlepiej z szóstym nazwiskiem swoją listę możesz nazwać listą. Przy czym nie może być zbyt długa, bowiem wtedy rozprasza się jak ciepło kaloryfera pod otwartym oknem w styczniu, zapamiętaj to sobie. – Tym samym, otworzyć nawias, moja ciotka mimochodem, precyzyjnie i w paru słowach ujęła wzajemną relację między informacją a entropią. Zamknąć nawias.

Poldi wpatrywała się w sześć nazwisk, które wyzierały ku niej jak z weneckiego lustra podczas okazania. Tannenbergera mogła skreślić od razu, ale pięć pozostałych osób mogło wykonać telefon do Valentino. I cała piątka była tu dzisiaj. Przy jednym z tylnych stolików Poldi odkryła nawet starego Turiego. Miał na sobie równie stary, o wiele za duży garnitur i w skupieniu pochłaniał jeden sardyńkowy rulonik za drugim. Poldi już chciała wstać, by dotrzymać mu towarzystwa, kiedy Valérie szturchnęła ją, wskazując na listę.

– Nie wierzysz mi, prawda? Wciąż myślisz, że mam coś wspólnego ze śmiercią Valentino.

– To dziwne, sama przyznasz, że ostatni telefon, jaki odebrał, został wykonany akurat z twojego numeru. – Poldi chciała dolać sobie wina, ale Valérie odebrała jej butelkę i popukała palcem w serwetkę.

– Naprawdę uważasz, że któreś z nas jest mordercą Valentino?

Poldi zgmiotła serwetkę i wetknęła ją do torebki.

– Masz romans z Russo?

– Co? – zawołała osłupiała Valérie. – *Mon dieu*, skąd ci to przyszło do głowy?

– Cały czas tak na ciebie patrzy. A dziś rano całusek. I tak poufale siedzieliście ze sobą. Naładowane konfliktem relacje moim zdaniem wyglądają inaczej. – Poldi błyskawicznie chwyciła niemal opróżnioną butelkę,

dolała sobie i wychyliła kieliszek jednym haustem.

Valérie wlepiła w nią wzrok. A potem sięgnęła po swoją torebkę.

– Jadę do domu, głowa mnie boli. Baw się dobrze. – I z niezwykłą dla niej szorstkością wstała z miejsca.

– Valérie!

Ale już nic nie dało się zrobić. Nie żegnając się z nikim, Valérie opuściła weselną salę. Poldi rozważała chwilę, czy pobiec za nią i przeprosić. Nagle poczuła się jednak ciężko i staro. Było jej gorąco i trochę kręciło się jej w głowie. Ile wypila? Nie liczyła kieliszków. Chociaż nie mogło być tego wiele, wzięwszy pod uwagę kiepskie zaopatrzenie w napoje.

– Japierdolę – mruknęła i zeskanowała wzrokiem sąsiednie stoliki w poszukiwaniu pełnej butelki wina. Przy okazji zauważyła, że Patanèmu w końcu udało się zagadnąć Russo. Sądząc po gestykulacji, zapewniał właśnie gospodarza o swej niewinności. Russo wyglądał na poirytowanego, coś mu odpowiedział. Zaraz potem obaj wyszli na zewnątrz. Było oczywiste, że Poldi musiała zbadać to dokładniej. Nieco chwiejnie wstała z krzesła i podążyła za nimi.

Zmierzchało już, kiedy wyszła na zewnątrz, lekko oszołomiona winem i melancholią. By pozbyć się zawrotów głowy, wzięła głęboki oddech. Wieczór mruczał do niej serenadą śmiechów, nawoływań i terkotu motorowerów, pachniał dieslem, dymem i morzem i sprawiał, że fasady podupadłych domów żarzyły się malowniczo w świetle sodowych lamp. Piękny wieczór, idealny, by rozpocząć nowe życie. Albo zakończyć stare. Pod starą fabryczną halą, w świetle jarzeniówek i w chmurach komarów wygłupiali się, paląc papierosy, młodzi znajomi zaślubionej pary. Nieco dalej na uboczu, w dyskretnym cieniu, stały w równym szeregu budki toalet, przed którymi utworzyła się niewielka kolejka. Zaraz za nimi parkowały samochody dostawcze firmy cateringowej. Russo i Patanègo nie było widać.

Poldi, niezauważenie i bardzo profesjonalnie, przeszła się wokół hali i w końcu ich znalazła – na skraju słabo oświetlonego pasa między zaparkowanymi samochodami. Gestykulowali żywo, jakby się sprzeczali. Ostrożnie, schylona na tyle, na ile pozwalało jej chore kolano, podkrađła się bliżej, podchodząc do tyłu SUV-a, który krył jej postać lepiej niż sąsiednie cinquecento. Choć wyraźnie słyszała głosy mężczyzn, nie potrafiła zrozumieć ani słowa, bowiem Russo i Patanè kłócili się w dialekcie sycylijskim. A ten, trzeba wiedzieć, ma mniej więcej tyle wspólnego z włoskim, co dialekt

szwajcarski z fryzyjskim. W ogóle różnica między włoskimi dialektami w większości przypadków jest większa niż między niemieckimi. A sycylijski jest więcej niż dialektem. To gardłowa, zalatująca niemal arabskim mieszanka, fonetyczna spuścizna języków wszystkich ludów, które kiedykolwiek zamieszkiwały wyspę. Co znamienne, sycylijski nie zna czasu przyszłego. Za to Sycylijczycy chętnie stosują na co dzień zawiły czas *passato remoto*, który poza tym występuje praktycznie tylko w literaturze. Jest to forma czasowa, której w niemieckim nie ma w ogóle i która opisuje wydarzenia mające miejsce w zamierzchłej przeszłości, zakończone i minione w sposób całkowity i nieodwołalny, koniec, *finito*, po sprawie, *basta*. Sycylijczycy stosują tę formę, na przykład kiedy po południu mówią o minionym obiedzie. Przesłanie jest jasne: żyjemy tu i teraz – i to wyłącznie tu i teraz.

Tak czy owak, Poldi nie rozumiała ani słowa. Za to jednoznacznie pojmowała mowę ciała obu mężczyzn. Russo był wściekły na Patanègo, który tłumaczył się przed nim zapalczywie. W pewnym momencie nawet chwycił go za kołnierz i obsobaczał. Poldi zrozumiała wprawdzie tylko „Afankulutisapakolafacza!”, domyśliła się jednak, że słowa te musiały oznaczać obelgę lub groźbę. I rzeczywiście – kiedy Patanè chciał się wyswobodzić z uchwytu, Russo pchnął go mocno i uderzył pięścią w twarz. Poldi instynktownie schyliła się niżej, nie widziała więc, czy Patanè odwzajemnił cios. Słyszała tylko sapanie ich obu, stłumione przekleństwo, a zaraz potem pośpieszne kroki. Coś upadło obok niej na ziemię. Duży, biało-czerwony płat. Leżał tuż przed nią i się nie ruszał, nie topniał, nie rósł, tylko leżał. Poldi wpatrywała się weń bezradnie, próbując odgadnąć, co to może być. I w końcu znalazła rozwiązanie zagadki: była to zakrwawiona chusteczka. Bez cienia wątpliwości. Zakrwawiona chustka do nosa. Było oczywiste, że moja ciotka nie mogła darować sobie takiego nośnika DNA. Wygrzebała z torebki mały woreczek foliowy z suwakiem – od śmierci Valentino zawsze nosiła przy sobie kilka takich woreczków – by zabezpieczyć chustkę. Niestety obiekt leżał tak daleko. Całe kilometry. Na drugim końcu świata. Poldi chciała wstać, ale nagle zabrakło jej sił. Trudno. Potrzeba matką wynalazków. Podczołgała się na czworakach, pokonując ocean mroku i zawrotów głowy, by w końcu pochwycić przesiąknięty krwią skrawek wiskozy i zapakować go do woreczka. Udało się, gotowe. Mogła odetchnąć.

Zaskoczona nagłym zawrotem głowy, sapnęła, zwymiotowała i przekleła kiepskie wino, zaserwowane przez Russo. Chciała wstać, naprawdę chciała,

ale nie dała rady, bo świat postanowił kręcić się coraz szybciej. Skądś dobiegł ją głos, zobaczyła przed sobą buty. Piękne, wypucowane, czarne męskie półbuty. I to była ostatnia rzecz, jaką zobaczyła. Później zrobiło się ciemno.

Intermezzo historyczno-kulturowe

Kiedy Pan Bóg stworzył świat i całą resztę, z każdego kontynentu pozostał mu mały kawałeczek gliny. Zaczął lepić je ze sobą bezmyślnie i ugniatać, zadowolony z siebie i swego dzieła, po czym z rozmachem cisnął grudkę na nowy świat i – chlast! – stworzył Sycylię.

Na to przybieżeli aniołowie.

– Na miły Bóg – zaszepтали, szeleszcząc z niepokojem skrzydłami. – Panie, stworzyłeś coś pięknego! To raj! Najlepszy ze wszystkich kontynentów!

– I cóż z tego? – zapytał z dumą Bóg. – No i dobrze!

– Ale, Panie – zaszepтали anieli – inne kontynenty będą zazdrosne. Będzie chryja, pokłóca się. To nie będzie dobry początek.

Bóg zrozumiał ich obawy.

– Ojej, to co mam teraz zrobić?

– Potrzebne by było coś dla równowagi – wyszeptali anieli.

I tak Bóg stworzył Sycylińczyków.

Popularny sycylijski dowcip, który opowiedziała mi moja ciotka Poldi.

Rozdział 11



OPOWIADA O NIEPOROZUMIENIU, O SKUTKACH KROPLI GWAŁTU I ROZMAITYCH ODKRYCIACH. POLDI NIE MOŻE ZNALEŹĆ KLUCZA, PRZEPĘDZA NIEPROSZONEGO GOŚCIA I DOKONUJE ODKRYCIA NUMER JEDEN. DOSTAJE OCHRONĘ I UDAJE SIĘ Z CIOTKAMI DO LIDO. TAM DOKONUJE ODKRYCIA NUMER DWA, PRZEPROWADZA POWAŻNĄ ROZMOWĘ W CZTERY OCZY I WKRÓTCE POTEM DOKONUJE ODKRYCIA NUMER TRZY.

Poldi wyprostowała się z wysiłkiem i zobaczyła przed sobą Śmierć. Wyglądał na nieco bezradnego i speszzonego.

– A więc – rzuciła spokojnie Poldi – przysłała na mnie pora.

Śmierć założył okulary do czytania i rzucił okiem na podkładkę z jakimś wykazem.

– Momencik, nie tak prędko. Nie ma cię na dzisiejszej liście. Coś tu... – chrząknął nerwowo – nie wypaliło.

– Owszem, masz całkowitą rację – burknęła zrzędliwie Poldi i poprawiła sukienkę. – Zawsze sobie wyobrażałam, że odejdę z tego świata z nieco większą godnością. Masz, spójrz na moją kieckę, wiesz, ile kosztowała? Ale trudno, jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Zerknęła przelotnie na rozlewnię. Młodzi ludzie przy wejściu, goście w kolejce do toalet, wałęsające się koty – wszystko to jakby zastygło w bezruchu. Nawet światło ulicznych latarni było jakieś twarde i kościste.

– A tak z ciekawości: czy od razu będzie wieczne potępienie czy najpierw czyściec?

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – zapytał Śmierć z irytacją. – Powiedziałem, że coś nie wypaliło! To nie twoja kolej.

– No tak, a co to znaczy?

– Nie ma cię na liście – powtórzył z zakłopotaniem. – Przykro mi.
– Zastrany bajzel, pierdolnik zajebany – zakłęła Poldi. – W dupie mam jakąś listę. Nie żyję i basta!
– Żyjesz, Poldi.
– No to gdzie jestem, przepraszam bardzo? Co to jest?
Śmierć zakasłał.
– Eeee... doświadczenie z pogranicza śmierci?
– Nabijasz się ze mnie, chłopczyku? – Poldi chwyciła Śmierć za chabety i potrząsnęła. Był dość lekki, cherlawy.
– Puść mnie! – jęknął, wymachując podkładką. – Proszę bardzo, mogę cię w każdej chwili dopisać do listy, skoro tak bardzo ci na tym zależy.
Poldi go puściła.
– No. Czyli jednak można. To bierzmy się do roboty. Gdzie mam podpisać?
Śmierć opuścił podkładkę. Wyglądał na skruszonego.
– Nie, nie mogę. Słuchaj, Poldi, to tak nie działa. Krople gwałtu w twoim winie nie miały cię ukatrupić. Ale...
– Ale prawie ukatrupiły? To chciałeś powiedzieć?
Śmierć znów przybrał postawę służbisty.
– Nie jestem upoważniony do udzielania informacji na temat losu.
Poldi zrozumiała.
– Niezłe bagno.
– No. – Żal Śmierci wydawał się szczery. – Naprawdę mi przykro. Tja... to do zobaczenia. – Odwrócił się.
– Ale czekaj! – powstrzymała go Poldi. Widziała, że Śmierć jest wycieńczony. Od zarania dziejów non stop na służbie, nic dziwnego, że w końcu otarł się o wypalenie zawodowe.
– Co znowu?
– Kiedy... kiedy przyjdzie na mnie pora? Tak tylko pytam, z ciekawości.
– Naprawdę chcesz wiedzieć?
– No ba! Skoro już sobie tak miło gawędzimy.
Śmierć zawahał się.
– Ale tylko przez sympatię do ciebie, Poldi – westchnął, po czym ponownie zabrał się za podkładkę i zaczął wertować w papierach.
Poldi nie mogła rozpoznać żadnych nazwisk, ale widziała, że była to wydrukowana dość drobną czcionką lista, uporządkowana według dat. Śmierć

odhaczał długopisem nazwisko po nazwisku. Kartkę po kartce.

I w końcu...

– Ach, mamy cię! Całkiem oficjalnie, uwierzytelnione, podstemplowane i podpisane! Data twojej śmierci to...

I wtedy, niestety, Poldi się ocknęła.

Po fakcie trudno było stwierdzić, kto dolał mojej ciotce do wina kropli gwałtu. I jak potoczył się wieczór po tym, gdy tak raptownie urwał się jej film. Ciotka zdołała go zrekonstruować tylko po kawałku, a i tak wcale nie było powiedziane, że wszystko odbyło się zgodnie z tą rekonstrukcją: czy rzeczywiście odbyły się takie rozmowy, czy prawdziwe były jej obserwacje i czy naprawdę podsłuchiwała, jak Russo i Patanè się kłóć. Jedynym uchwytnym punktem zaczepienia pozostawała zakrwawiona chusteczka w foliowej torebce i ostatnie wspomnienie Poldi – para czarnych męskich półbutów.

Postępując, przeklinając, z łupiącym bólem głowy, Poldi oprzytomniała, leżąc na ziemi obok SUV-a. Nadal trochę kręciło się jej w głowie, była spragniona, a w ustach czuła metaliczny posmak. Mgła niepamięci podnosiła się bardzo powoli. Ale ciotka żyła. Fakt, była trochę zła, że nie poznała ostatecznej daty swej ważności, ale w tej chwili nurtowały ją ważniejsze pytania. Na przykład, co właściwie się stało.

Poldi pamiętała czarne buty i to, że Śmierć wspomniał coś o kroplach gwałtu. I to jej na ten moment wystarczyło.

Podniosła się z jękiem, jak Polifem po oślepieniu przez Odyseusza, wzięła kilka głębokich wdechów, aż łupanie w czaszce nieco zelzało, i rozejrzała się wokół. Wciąż była noc. Rozpoznała budynek starej rozlewni wody mineralnej, który jednak nie był już oświetlony. Wszystko spowijała ciemność, nigdzie żywej duszy, koniec imprezy.

I nikt nie zauważył, że cię nie ma, nikt cię nie szukał, pomyślała z goryczą Poldi. Popatrzyła na zegarek. Minęło wpół do czwartej. Jak długo leżała na ziemi? Nie miała pojęcia. Jedno tylko pojęła: że mogła tu umrzeć i nikogo by to nie obeszło. Cholerne świństwo.

Wciąż jeszcze dość chwiejna na nogach, poprawiła sukienkę, wzięła z ziemi torebkę i popatrzyła na nocne niebo. Gwiazdy zamrugały do niej, a księżyc dygnął kokieteryjnie, zanim zniknął za horyzontem.

– *Namaste*, życie – powiedziała cicho Poldi, mimo wszystko szczęśliwa, że nie było jej na dzisiejszej liście, po czym ruszyła do domu.

Ostrożniutko, krok po kroku, gotując się w środku ze złości i czując jak

zbity pies, poczłapała wzdłuż *lungomare*, przytrzymując się ścian budynków. Miała wrażenie, że była w jakimś obcym miejscu. Nie spotkała ani jednego człowieka, w domach nie paliło się światło, czarne morze leniwie klaskało o skały. Całe miasteczko zdawało się odwracać wzrok w poczuciu winy. Migotało tylko nerwowo latarniami i udawało, że śpi.

– Japierdołę – mruknęła Poldi.

Dotarła na Via Baronessa 29 i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu klucza. Wtedy w rękę wpadł jej woreczek z zakrwawioną chusteczką. Poldi wpatrywała się chwilę w małą torebeczkę, próbując przypomnieć sobie, skąd ją ma. Nie wiedziała. Klucza też nie znalazła. Nawet po wyrzuceniu całej zawartości torby na ziemię pod drzwiami. Klucz zginął.

Dopiero wtedy usłyszała dźwięki. Były to ewidentnie inne odgłosy niż te w jej głowie. Krótkie, rytmiczne uderzenia, niezbyt głośne, ale niedalekie, do tego skrobanie i szuranie. Plok, plok, plok – sypało się na nią z góry coś jak pokruszony tynk, do wtóru powłóczących kroków i lekkiego sapania. Nie było wątpliwości – odgłosy dochodziły z tarasu na dachu.

Poldi zastanowiła się, co robić. Wołać o pomoc, budząc całą uliczkę? Odejść cichaczem i wezwać policję? Nie. Wciąż buzowała w niej wściekłość, a poza tym wiedziała z pewnego źródła, że dziś jeszcze nie jest jej czas. Ktokolwiek wtargnął do jej domu przy użyciu jej klucza, już ona mu pokaże, gdzie raki zimują.

Ostrożnie pociągnęła za klamkę. Zamknięte. Nic nie szkodzi, Poldi bowiem, która często gubiła klucze, podjęła pewne profilaktyczne kroki i przykleiła do tylnej ścianki skrzynki na listy klucz zapasowy. Starając się działać bezgłośnie, zdjęła małą metalową skrzynkę z uchwytu, odkleiła klucz i cicho otworzyła drzwi.

Bez zapalania światła, po omacku i na palcach, dotarła do salonu. Do ściany z historycznymi flintami i dubeltówkami ojca, które podziwiał podejrzliwie Montana. Sięgnęła po muszkiet bawarskiej piechoty z osiemnastego wieku. Była to pozbawiona zbędnych ozdób broń odprzodowa z Fortschauer Armatur, kaliber 19 milimetrów, z kolbą z drewna orzechowego i uszkodzoną lufą. Wszystko to, w połączeniu z licznymi szczerbami i śladami użytkowania, wskazywało, że podczas wojny o sukcesję bawarską broń ta rozszarpała wnętrze, roztrzaskała kończyny i przedziurawiła czaszki licznym pruskim fizylierom. Ojciec Poldi fascynował się bowiem konkretnymi aspektami historii Bawarii. I choć moja ciotka nigdy tak naprawdę nie

podzielała tej namiętności, zachowała jego niewielką kolekcję broni na pamiątkę i ku przestrodze. Wystrzelić z pukawki już się nie dało, bowiem lufę dawno zaspawano i zaczopowano jej wylot stalowym bolcem. Ale był jeszcze bagnet.

Nie zważając na ciemność, ból głowy i mdłości, Poldi zdołała zatknąć bagnet na lufie. Flinta leżała teraz w ręku ciężej, zdawała się budzić z długiego snu i szeptała do Poldi paskudne rzeczy, które chciałyby znów robić. Nie można było brać jej tego za złe, w końcu nie nauczyła się niczego innego, ciężka młodość, złe towarzystwo i tak dalej.

Poldi nie miała jednak zamiaru wykorzystywać muszkietu do nieczystych sprawek, chciała tylko zrobić odpowiednie wrażenie. Skradała się więc, stopień po stopniu, z wycelowaną przed siebie flintą i wciąż kipiącą w brzuchu wściekłością, niczym muszkietier Wittelsbachów, na dach, z którego nadal skapywały perliste dźwięki cichych uderzeń. Płok, płok, płok. Poldi domyślała się już, co tam się dzieje. I zależało jej na tym, by wykorzystać efekt zaskoczenia. Dlatego na ostatnim schodku zatrzymała się jeszcze, wzięła głęboki wdech, policzyła do trzech, a potem wypadła na taras z wrzaskiem:

—
RĘCEDOGÓRYALBOSTRZELAMNIERUSZAJSIĘNAGLEBERUCHY!

A wszystko to, oczywiście, po niemiecku – dla wzmożenia efektu.

Postać, która majstrowała niewielkim dłutem wokół lwa, przymocowanego cementem do podłoża, wrzasnęła z przestachu i obróciła się gwałtownie. Mężczyzna był ubrany w czarny strój, rękawiczki i kominiarkę z rodzaju tych, które noszą motocykliści pod kaskiem.

Poldi zacisnęła dłonie na muszkiecie i wycelowała bagnet we włamywacza.

— Nie ruszaj się! Na kolana! Albo dźgnę! – Polecenie znów wydała po niemiecku, a właściwie po bawarsku, gdyż w chwilach wzburzenia włoski nie spływał z jej ust tak gładko, a uznała, że w jej sytuacji dukanie może osiągnąć cel przeciwny od zamierzonego.

Włamywacz ani drgnął. W gruncie rzeczy słusznie, bowiem polecenia: „nie ruszaj się” i „na kolana” trochę sobie przeczyły. A kiedy człowiekowi grożą strzelbą, to ten nie chce popełnić najmniejszego błędu.

Dla pewności Poldi powtórzyła wszystko po włosku.

— Na kolana, powiedziałam! Ręce do góry! No już! – komenderowała, przywołując z pamięci to, co miała w repertuarze po latach oglądania

kryminałów w telewizji. Tyle że jej słowa nie zrobiły na intruzie szczególnego wrażenia. – Rzuć dłuto! Ściągnij maskę! – Dla podkreślenia wagi swych żądań zrobiła energiczny wykrok, jakby chciała nadziać intruza na bagnet. – Huah!

Dopiero to podziałało. Włamywacz wypuścił z dłoni dłuto i podniósł rękę. Zanim jednak Poldi zdążyła coś dodać, odwrócił się i przesadził barierkę tarasu. A właściwie przetoczył się przez murek, bo nie wyglądał na szczególnie wysportowanego.

– Stać albo strzelam! – wrzasnęła na całe gardło Poldi.

Włamywacz klapnął na sąsiedni taras należący do *dottore* Brancifortiego. Poldi usłyszała zdławiony krzyk. Kiedy przechyliła się przez murek, zobaczyła, jak włamywacz dźwiga się na nogi ze stękiem i kuśtyka przez taras sąsiada, by po jego drugiej stronie spuścić się w dół po murze porośniętym pnączami.

– Strzelam! – darła się Poldi. – Liczę do trzech i strzelam! Raz. Dwa. Trzy. ... Peng! ... Peng, peng, peng!

– Naprawdę zawołałaś „peng”? – zapytałem, osłupiały, kiedy opowiadała mi wszystko ze szczegółami, które zdołała zapamiętać.

– Oczywiście! Rany, a co miałam zrobić? W tym momencie ja i broń byłyśmy praktycznie jednością, rozumiesz? Włączyły mi się najniższe odruchy, do jakich zdolny jest człowiek. Kresomózgowie na stand-by, działał tylko rdzeń kręgowy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Gdyż albowiem, jak to mawiał Czechow? Jeśli w pierwszym akcie pojawia się strzelba, to najpóźniej w czwartym musi wystrzelić. Zapamiętaj sobie tę radę dla początkującego pisarza. Zresztą to jasne, broń po prostu chce strzelać. No i wystrzeliła. Bogu dzięki, że stara fuzja nie była naładowana, bo jeszcze zabiłabym łotra z zimną krwią. W tym momencie coś się we mnie włączyło, w głębi duszy, wiesz. Coś pierwotnego. Mianowicie...

– Instynkt łowcy. Wiem.

– Dokładnie. I nie musisz przewracać oczami. To jest doświadczenie z pogranicza śmierci. A na tym to ja się znam.

Skinąłem głową. To było w Poldi najlepsze w takich sytuacjach.

– Naprawdę strzeliłabyś, gdyby broń była naładowana? – Trudne pytanie, wiem. Ale jakoś nie chciałem, by Poldi tak łatwo poszło z tym jej koloryzowaniem.

– Chcesz mnie wywieść w pole, co? Faktem jest, że facet, kiedy wykrzyknęłam „peng”, podskoczył. A to oznacza, że nie miał wątpliwości, że

bym to zrobiła.

– I tak ci się wymknął.

– Tak, przejściowo, *professore Turbofurbo*. Tylko przejściowo. Prawda jest taka, że już dawno go miałam.

Oczywiście chciałem poznać szczegóły. Ale moja ciotka tylko ziewnęła i powiedziała, że chce się położyć. Może zniechęciłem ją swoim sceptycyzmem, w każdym razie dalszy ciąg opowieści przesunęła na następny wieczór.

Przez cały kolejny dzień zawzięcie pracowałem nad swoją powieścią. Usiłowałem ogarnąć ją jako swoistą broń, z którą musiałem stać się jednością, by mogła wystrzelić. Łatwo powiedzieć. Moja powieść zachowywała się jak flinta z zaspawaną lufą. Chciała, naprawdę bardzo chciała wystrzelić, chciała trafiać w serca, szarpać nerwy, przenikać skórę i kości – czułem to. Ale za każdym razem wychodziło tylko cherlawe peng. Dobrze przynajmniej, że wplotłem do opowieści broń odprzodową – to z niej mój pradziadek Barnaba, szalejąc ze złości, w pierwszym rozdziale chce zastrzelić białego osła, który właśnie go kopnął. Barnaba przysięga, że będzie prześladował zwierzaka nawet z najgłębszych otchłani piekła. Wciąż kuśtykając, odnajduje go w Acireale i celuje do niego, podczas gdy osioł, nieświadomy zagrożenia, wpatruje się w niego poczciwie. I wtedy nagłe przeobrażenie! Barnaba waha się i waha, przykłada broń i w końcu... nie ma serca wypalić. Załamuje się i błaga osła o wybaczenie. Bardzo emocjonalna i poruszająca scena między człowiekiem a stworzeniem, z bardzo mocnym *payoffem*, tak jak się nauczyłem na seminarium dla pisarzy. Bowiem kiedy szlochający Barnaba chce wrzucić broń do krateru Etny jak Frodo pierścień, rozpoznaje, że na lufie jest grawerunek. Z napisu może rozszyfrować jednak tylko nazwę miasta: M.ü.n.c.h.e.n.

Czyli jednak strzelba wypaliła, dziękuję ci, Czechowie! Podejrzywałem wprawdzie, że następnego dnia wykasuję cały ten fajans, ale najpierw, wieczorem, wyczerpany dziennym urobkiem, padłem na kanapę, na której Poldi z błogością pociągała już gin z tonikiem.

– Na czym to ja stanęłam?

– Na peng.

– Ach, właśnie. – Namysłąła się chwilę. Próbowwała się skupić jak pianista przed pierwszym uderzeniem w klawisze.

Już miałem jej pomóc, kiedy sama podjęła opowieść:

– W międzyczasie cały ten harmider oczywiście zbudził pół miasteczka. Tylko że włamywacz był już daleko...

– I co potem?

– Rany no, potem zadzwoniłam do Montany.

Montana ujął w dłoń muszkiet jak znieczulonego krokodyla i przejechał palcem po ostrzu bagnetu.

– Mogłaś go tym zabić, Poldi – zauważył całkiem słusznie.

– Czy to ma być zarzut? Musiałam przecież jakoś się bronić!

Na zewnątrz już świtało, nowy dzień przesiąkał do miasteczka, zamiatał cienie w uliczkach i wycinał w świetle kontury, kanty i nowe pytania. Z tarasu na dachu na wschodzie można już było rozpoznać linię horyzontu, zza której za chwilę jak złoty pęczek wypuczy się z morskich głębin słońce. Na Via Baronessa jak spłoszone gołębie trzepotały ludzkie głosy.

Moja ciotka domyślała się już, że całe Torre zaraz będzie o wszystkim wiedzieć. Siedziała w wiklinowym fotelu, piła jedno espresso za drugim i przyglądała się kolegom Montany, którzy pędzlami z kalafonią omiatali figurkę lwa. Lew pozwalał na to ze stoickim spokojem, ponuro zaciskając łapy na swym herbie, i przekornie tkwił na murku, jakby postanowił już nigdy więcej nie ruszać się z tego miejsca. Włamywacz podczas próby uwolnienia lwa odłupał mu część tylnych łap i pół ogona. Co za podłość, pomyślała Poldi, przepełniona współczuciem dla dzielnego zwierzęcia.

W zgięciu prawego łokcia, w miejscu, z którego lekarz pobrał jej krew do badania, miała przyklejony plaster. Słaniała się na nogach ze zmęczenia. Pragnęła snu i zapomnienia. I piwa.

Montana oparł muszkiet o barierkę i przysiadł się do Poldi.

– Naprawdę zawołałaś: „peng”?

– Tak mi się wymknęło w ferworze walki. – Nie spuszczała wzroku z Montany, szukając na jego twarzy uśmiešku. Na próżno.

– I nie rozpoznałaś go?

– Przecież był zamaskowany.

– Może po ruchach, głosie?

Poldi pokręciła głową.

– W każdym razie nie był zbyt wysportowany.

– Masz jakieś podejrzenia?

– Cóż, jeśli dodamy jedno do drugiego, to musiał być ten sam, który dołał mi kropli gwału.

Montana skinął głową.

– A co sobie przypominasz?

– Nic. Prawie nic. Czarne buty.

Montana podetknął jej woreczek z zakrwawioną chustką, który dała mu wcześniej.

– Czyje to jest? I dlaczego schowałaś to do torebki?

– Mówię przecież, że nie pamiętam, Vito. Nie mam zielonego pojęcia.

– Jakie jest twoje ostatnie wspomnienie?

Poldi westchnęła.

– Chciałabym się położyć, Vito. Nie miałam najlepszej nocy, wiesz?

– Miałaś dużo szczęścia, Poldi. Gdybyś nie zwymiotowała, byłabyś nieprzytomna o wiele dłużej.

– By nie powiedzieć: zamknęłabym oczy na zawsze, tak?

Montana odchrząknął, a Poldi zrozumiała, że naprawdę się martwi. Podobało się jej to.

– Zobaczymy, co wykaże analiza.

– Może to to samo świństwo, które znaleźliście u Valentino.

– Co niczego by nie dowodziło.

– Ach, Vito.

Technicy kryminalistyczni zaczęli pakować manatki.

Montana wstał.

– Kolega Rizzoli zostanie dziś u ciebie, na wszelki wypadek.

– A ty nie mógłbyś zostać?

Montana obejrzał się, czy koledzy nie patrzą, i wziął Poldi za rękę.

– Ja w tym czasie odnajdę tego drania. Zobaczymy się wkrótce.

Poldi chciało się płakać. Zapewne przyczynił się do tego jej stan, ale było w tym coś jeszcze – zawsze, gdy ktoś mówił do niej: „Zobaczymy się wkrótce”, w gruncie rzeczy miał na myśli: „Nie zobaczymy się nigdy więcej”. Jej zdaniem tę kombinację słów należałoby usunąć z powszechnego użytku, tak samo stwierdzenia: „Dużo tu pięknych rzeczy” i „Dziś wieczorem naprawdę piję tylko piwo”. Miała całą listę podobnych sloganów służących do oszukiwania siebie. Hasło „Zobaczymy się wkrótce” plasowało się na miejscu czwartym; na pierwszym było niedoścignione: „Zmieniłam się całkowicie”.

Wzięła się jednak w garść i nawet udało się jej wyczarować na twarzy nikły uśmiech.

– Schwytaj go, tygrysie!

Godzinę później przybyła ciotka Teresa. Zagoniła Poldi do łóżka i wraz z *assistente* Rizzolim, młodym, puciołowatym posterunkowym, czuwała nad jej snem. Poldi przespała cały dzień i całą kolejną noc. Ciotki zmieniały się przy niej, *assistente* La Rosa zmienił *assistente* Rizzoliego, a ten ponownie La Rosę. Wujek Martino sprowadził pomoc w postaci Tottiego, który ułożył się pod drzwiami sypialni Poldi i nie ruszał się stamtąd na krok. Poldi oczywiście nie miała o tym wszystkim pojęcia. Ani o tym, że Montana wpadł na chwilę i zaraz pognął dalej, ani że odwiedziła ją Valérie, zszokowana nocnymi wydarzeniami i stanem lwa z jej bramy.

– Dostanie go pani z powrotem, kiedy tylko będzie to możliwe, oczywiście – zapewniła ją ciotka Caterina.

Valérie machnęła ręką.

– Nie ma pośpiechu. Ja tylko martwię się o Poldi. Myśli pani, że grozi jej jeszcze niebezpieczeństwo, dopóki jest tu ten lew?

Dobre pytanie.

Ciotki oczywiście obawiały się najgorszego i postanowiły poważnie rozmówić się z Poldi. Ona jednak wyłoniła się z sypialni dopiero następnego dnia, po prawie trzydziestu godzinach snu, jako tako odświeżona, wykąpana, umalowana i w białym kaftanie, jak święta powstała z martwych.

– Nie pogniewałabym się teraz za jajecznicę i duży dzbanek kawy.

Spełniono jej życzenie. A zaraz potem zaproszono ją na poważną rozmowę.

– Musisz z tym skończyć – oświadczyła ciotka Teresa. – Z tym dochodzeniem. To się robi zbyt niebezpieczne.

Poldi popatrzyła kolejno po swoich szwagierkach, potem spojrzała na wujka Martino, na *assistente* Rizzoliego, a na koniec na Tottiego.

– Wszyscy jesteście tego zdania?

Ciotki pokiwały głowami, wujek przytaknął, Totti popatrzył zmartwionym wzrokiem. *Assistente* Rizzoli wykonał ręką obronny gest, sugerując, że nie zamierza się wtrącać.

Grzeczny chłopiec, pomyślała Poldi. Piła kawę i nasłuchiwała odgłosów dochodzących z uliczki.

– Może sprawa już wkrótce zostanie rozwikłana.

– Więc tym bardziej nie ma potrzeby, żebyś dalej prowadziła dochodzenie. Montana niedługo schwyta mordercę Valentino.

– Jasna sprawa – zgodził się *assistente* Rizzoli.

– Montana się odzywał? – zapytała Poldi.

– Wpadł na chwilę. Dowiadywał się o ciebie.

– Coś takiego. Dowiadywał się. I w międzyczasie nikogo nie zaaresztował?

– Poldi! – Teresa zaostrzyła ton. – Nie zajmujesz się już tą sprawą.

– Ach, a kto tak powiedział?

Ciotki patrzyły na nią bez słowa. Wujek Martino i *assistente* powstrzymali się od głosu, a Totti zachował swą zmartwioną minę.

Poldi nie była typem człowieka, który lubi, jak ktoś się wtrąca w jej życie. Wręcz przeciwnie – gdy tylko zwęszyła choćby najmniejszą próbę manipulacji, włączał się w niej upór.

– Co ty na to, Totti? – zwróciła się do psa. Oboje przez chwilę rozmawiali ze sobą bez słów. W końcu Poldi odchyliła się z westchnieniem. – Jaki właściwie jest dziś dzień?

– Niedziela.

– Już niedziela. Rany, jak ten czas leci. A życie przecieka człowiekowi przez palce.

– Nie zajmujesz się już tą sprawą, Poldi – powtórzyła cicho Teresa.

– Przecież wiem. – Poldi machnęła ręką. – Może mi życie niemiłe, ale nie jestem głupia. A jeśli ktoś ma zakończyć moje życie przed czasem, to będę to ja, i tylko ja. – Odetchnęła głęboko, jakby wszystko zostało już powiedziane. Przez chwilę napawała się wyrazem twarzy ciotek, wyraźnie zaskoczonych, że tak łatwo poszła na ustępstwo. – No to co robimy z tak pięknie rozpoczętą niedzielą?

– Jedziemy do *lido*! – zawołała z entuzjazmem ciotka Luisa.

Trzeba bowiem wiedzieć, że ciotka Luisa parę lat temu wspięła się na towarzyski Olimp Katanii. W formie członkostwa w ekskluzywnym *Lido Galatea*. Był to rodzaj wielkoświatowego klubu plażowego, tyle że bez plaży, bowiem całe *lido* zostało zabetonowane na skałach wulkanicznych aż do morza i w gruncie rzeczy stanowiło ogromną, trochę lepszą budę skleconą z desek. Ale przecież na wyspie Sylt wcale nie jest inaczej, więc proszę mi tu nie przewracać szyderczo oczami!

Lido to z reguły prywatny kawałek plaży, gdzie można wypożyczyć leżaki, parasole słoneczne i kabiny. Zazwyczaj mieści się tu niewielka restauracja albo przynajmniej jakiś kiosk, no i oczywiście toalety oraz prysznice. Wszystko to zwykle nie jest drogie, a na pewno po stokroć wygodniejsze niż

leżenie na ręczniku. *Lido*, poza komfortem, ma jeszcze duży plus, jeśli chodzi o *bella figura*. Dlatego większość Włochów ma swoje ulubione *lido* na ulubionej plaży, któremu pozostaje wierna na dobre i na złe jak klubowi piłkarskiemu. Moja ciotka Poldi opowiadała mi kiedyś kawał: Dwóch Sycylijczyków zostaje uratowanych po wielu latach spędzonych na samotnej wyspie. Zdumiony kapitan widzi, że obaj urządzili na niej trzy *lidi*. „Ale czemu trzy?”, pyta osłupiały. „No bo jedno jest dla mnie – odpowiada Carmelo – drugie dla Massimo, a trzecie to to, na które się nie chodzi”.

Kto ma swoje *lido*, wynajmuje na nim też przebieralnię na cały sezon, od Wielkanocy do końca października. Nie potrzeba do tego żadnego członkostwa. Chyba że chodzi o szczególne *lido*, ze wszystkimi bajerami. Takie dla wyjątkowych osób, które wolą przebywać pośród swoich i nie skąpią na to pieniędzy. Takie, które jest otoczone ogrodzeniem dla ochrony przed gapiami, ma strzeżony parking i ochroniarzy. Z możliwością opieki nad dziećmi, młodą i ładną obsługą w kusych szortach i firmowych koszulkach polo. Z parasolkami w drinkach i dostępem do internetu. *Lido*, które pod względem *bella figura* włącza tryb turbo. Takie na przykład jak *Lido Galatea*, nazwane na cześć nimfy, która zawróciła w głowie cyklopowi Polifemowi. W sumie trafna nazwa, bo w *Lido Galatea* głowy nieustannie się za kimś obracały, a poza tym widać było wyjątkowo dużo nimf z cyklopami w dojrzałym wieku. Ciotka Luisa uzyskała członkostwo dzięki szczęśliwemu trafowi i swej nieustępliwości, a także na spółkę z przyjaciółką Ilarią wynajmowała przebieralnię. Najlepsze jednak było to, że wolno jej było przyprowadzać ze sobą gości.

Ciotka Luisa, cała w skowronkach, okazała na wejściu kartę członkowską i przyglądała się z zadowoleniem, jak Poldi, Teresa i Caterina dostają karty gości.

– Jeśli chcesz się czegoś napić, Poldi, znaczy, lemoniady albo granity, to dam ci swoją kartę i zostanie ona obciążona. To bardzo praktyczne rozwiązanie.

– Aha.

Poldi rozglądała się markotnie. Nie miała nic przeciwko temu, żeby trochę się poopalać, z *prosecco* w rękę pomoczyć stopy w morzu, dogodzić sobie. Żywiła jednak głęboką niechęć do wszelkiego rodzaju elit. Ze względu na Luisę powstrzymała się od komentarzy na temat obrzydliwie bogatych cyklopów i nimf, ułożyła się wygodnie na leżaku w pełnym słońcu

i zamarynowała ciało olejkiem kokosowym. Jeśli już, to na całego.

Nikt jednak nie ucieknie od swej natury, a tym bardziej Poldi. Wraz z narastającym nasłonecznieniem powracały jej siły witalne, a im bardziej desperacko usiłowała przypomnieć sobie wydarzenia sprzed utraty przytomności, tym bardziej niebezpiecznie podnosił się poziom jej melancholii, jak stan naładowania akumulatora podłączonego do prądu. Poldi obserwowała z leżaka całą tę obnażoną i nakremowaną krzątanicę, popijając oranżadę i naigrawając się w duchu z niegustownych designerskich bikini, mężczyzn w string-tangach i hałaśliwej dzieciarni, gapiącej się w najnowsze smartfony, piszącej do siebie wiadomości albo eksperymentującej samopas z harpunami swych ojców. Ci z kolei stali w grupkach w płytkiej wodzie, błogo drapali się po kłacie i rozprawiali o kursach giełdowych, talentach kulinarnych swoich matek albo zaletach swych nimf. A kiedy poziom melancholii Poldi przekroczył stan krytyczny, jej cierpliwość się wyczerpała. Moja ciotka dostała małego socjalistycznego napadu.

– Popatrz tylko na nich, na tych bonzów – odezwała się teatralnym szeptem do skonsternowanych ciotek. – To wszystko przestępcy, mówię wam. I jeszcze im się wydaje, że za pieniądze z wyzysku mogą sobie kupić drugą młodość. Banda neokonserwatystów, wielbiących bożka profitu, bez skrupułów poświęcających owoce oświecenia. Wraz z lasem deszczowym, prywatną sferą społeczeństwa i przyszłością Afryki. Państwa, demokracja, Narody Zjednoczone – to przecież ideologiczne straszaki oligarchów i mafiosów. Przecież im chodzi tylko o wspieranie globalnego rynku i narzucenie światu swej woli, żeby mogli zapanować nad ludzkością. A my wszyscy z entuzjazmem tańczymy, jak nam zagrają, rumbę dekadencji i konsumpcji.

No, to dowaliła z grubej rury.

Luisa wpatrywała się w Poldi, zupełnie zdezorientowana.

– Eee... że co?

– Oj tam, już wy mnie dobrze zrozumieliście!

Zadowolona i uspokojona jak bulterier, który właśnie rozszarpał na strzępy ulubiony sweter swojego pana, Poldi powzięła zamiar ochłodzenia się w wodzie. I wtedy pod jednym z parasoli dostrzegła Russo. *Lido Galatea* bowiem, pomimo swej ekskluzywności, wcale nie było takie małe. W niedzielę tłoczyło się tu z paręset osób, nietrudno więc było przeoczyć kogoś znajomego.

Russo najwyraźniej był sam. Rozmawiał przez telefon z ciągle

zmieniającymi się kontrahentami, jednocześnie rozdając na wszystkie strony przyjacielskie skinienia głowy. Widok ten wzbudził w Poldi taką furję, że kurtyna niepamięci uniosła się na moment i odsłoniła scenę jej wspomnień. Na scenie owej ujrzała Russo i Patanègo kłócących się między zaparkowanymi samochodami. No i proszę, jak mizantropia stosowana potrafi wpłynąć na pamięć. Zdecydowana wspomóc swe pogrzebane wspomnienia oczyszczającym wywiadem z Russo. Poldi podźwignęła się z leżaka, jednak w połowie drogi dokonała kolejnego odkrycia. Russo zakończył rozmowę i pozdrowił kogoś na leżaku po lewej. Pozdrowiony uniósł rękę, nastąpiła wymiana kilku miłych słów, skinięto głowami. Dwóch mężczyzn, którzy darzą się wzajemnym szacunkiem. To zawsze budujący widok. Tyle że Poldi widok ten kompletnie zbił z tropu.

Tym drugim mężczyzną był Montana.

Nie był sam. Był z kobietą. Dobre dwadzieścia lat młodsza, miała wysportowane, opalone ciało, czarne bikini i lwią grzywę. Sprawiała wrażenie pewnej siebie i pogodnej. Jak ktoś twardo stąpający po ziemi, kto wyszedł cało z paru życiowych sztormów, potarmoszony wprawdzie, z paroma szramami, ale ciągle piękny, zawsze odnoszący sukcesy. Kobieta, która dostawała to, czego chciała. Być może inteligentna. A nawet z poczuciem humoru. Słowem: był to dla Poldi straszny widok.

Kobieta przeżyła się na leżaku obok Montany, prezentując swe wdzięki – choć moja ciotka uznała, że nie były imponujące – śmiejąc się perliście, gdy Montana coś powiedział, i kładąc mu rękę na udzie. W międzyczasie były też całusy, i to ten ich rodzaj, który rozwiewał wszelką nadzieję, że kobieta mogłaby być jego siostrą lub starą, dobrą przyjaciółką.

Poldi ogarnęły mdłości.

Gruchające gołąbki dostrzegły ją, dopiero gdy stanęła na wprost nich.

– Cześć, Vito.

Montana popatrzył na Poldi ze zdumieniem. Ani drgnął, jakby ze strachu wtopił się w leżak.

– Poldi! Co ty tu robisz?

– Cóż, o to samo mogłabym zapytać ciebie. Ale bez obaw, zaraz sobie pójdę. Nie przedstawisz mi swojej przyjaciółki?

Kobieta nawet nie zdjęła okularów przeciwsłonecznych.

– To jest Alessia. Alessia, to Poldi.

– Dzień dobry – przywitała się Alessia z wahaniem, jakby zadawała

pytanie. Nie podała Poldi ręki. Chyba domyślała się, co się święci.

– Nie chcę przeszkadzać – oświadczyła Poldi, będąca uosobieniem opanowania i zimnej krwi. – Miłego dnia.

Zanim jednak zdążyła odwrócić się z godnością i odzeglować w swoją stronę, biorąc ostro wiatr, Montana zeskoczył z leżaka i zatrzymał ją.

– Pozwól mi to wyjaśnić, Poldi.

– Ależ po co, Vito? Nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień. Jesteśmy przecież dorośli.

– Już dawno chciałem z tobą porozmawiać o Alessii.

– Tak, to pewnie byłoby bardzo zabawne – wydusiła z siebie. – Masz na myśli przytulny wieczór we troje? Dobrze, a teraz mnie puść, bo inaczej urządzę ci tu taką scenę, że będziesz miał Alessii bardzo wiele do wyjaśnienia. I spieprzona byłaby taka piękna niedziela. Inna rzecz, że i tak już jest, więc co za różnica.

Montana puścił ramię mojej ciotki i popatrzył na nią z powagą.

– Zadzwoń do ciebie. Tylko daj mi trochę czasu, okay?

Kolejne wyrażenie używane do okłamywania samego siebie. Numer trzy na liście Poldi. „Potrzebuję jeszcze trochę czasu”. Chciała już tylko stąd odejść, dokądkolwiek, gdzie mogłaby w spokoju płakać i pić. A najlepiej, pomyślała w tym momencie moja ciotka, gdybym mogła tak po prostu wyciec, wyparować z tego świata.

– Lepiej nie, Vito – powiedziała szorstko. – A jeśli chcesz z kimś o tym porozmawiać, to zapytaj swojego kumpla, Russo.

– Posłuchaj, Poldi, ja...

Ale nie, moja ciotka już nie słuchała. Wróciła pośpiesznie do Luisy, Cateriny i Teresy, które z oddali obserwowały to niefortunne spotkanie. Poldi nie musiała im nic wyjaśniać. Ciotka Luisa bez słowa podała jej kaftan, Teresa poupychała manatki do plażowej torby, a Caterina odholowała Poldi do wyjścia. Dopiero w samochodzie wszystkie trzy zażądały szczegółów. Poldi jednak nie była w nastroju do opowiadania. Ani nawet do płaczu. Nie chciało się jej po prostu nic. Pragnęła tylko wrócić do domu.

– Powiedz, jak będzie po włosku „skarga na pracę policji”? – zapytała, kiedy Luisa zaparkowała na Via Baronessa.

– *Denuncia disciplinare*. A czemu?

– Ach, tak tylko pytam.

Ciotki nie były głupie.

– Co zamierzasz, Poldi?

– O, rany... Trochę się pozalę, naciągnę na głowę kołdrę, przeklnę faceta w diabły. A jutro wstanie nowy dzień.

Ciotki podejrzewały, że Poldi dzieli tylko krok od kolejnego zalania się w sztok, a projekt „radość życia” jest bliski fiaska. Kategorycznie nakazały więc *assistente* Rizzoliemu, który czekał na Via Baronessa jak kot przybłęda, aby bezwzględnie zabronił Poldi pić.

Naturalnie misja ta była z góry skazana na niepowodzenie, bowiem Poldi już w drodze powrotnej do domu uknuła plan. Ledwie ciotki niechętnie zostawiły ją z Rizzolim, wysłała do Montany niezbyt uprzejmą wiadomość, w której występowało sformułowanie „*denuncia disciplinare*”. I zaczęła, co się stanie.

Chwilę potem zadzwoniła komórka młodego policjanta. Posłuchał chwilę, powiedział: „hm”, potem: „ale...” i jeszcze: „rozkaz”, a następnie rozłączył się, skonsternowany.

– Niestety muszę iść, signora. Rozkaz *commissario* Montany.

– Nie ma problemu – odparła Poldi z zadowoleniem. – Poradzę sobie.

Assistente jeszcze się wahał.

– Pani szwagierki mówiły, że mam...

– Proszę się o mnie nie martwić. Potrafię o siebie zadbać. Dziękuję za wszystko i miłej niedzieli życzę.

Kiedy wreszcie została sama, prędko pojechała do Hipersimply i zaopatrzyła się w zapasy na najbliższe dni. Impreza mogła się zacząć.

Ale się nie zaczęła. Jakoś nie mogła ruszyć z miejsca – drgnęła, przyhamowała i utknęła jak stara winda między piętrami. Poldi, wyposażona w słuszną szklanicę ginu z tonikiem, poszła na taras, klapnęła w wiklinowym fotelu i przepiła do nadwyrężonego kamiennego lwa.

– Twoje zdrowie, przyjacielu.

Kostki lodu wygrywały brzękliwie swoją pieśń o chłodzie i orzeźwieniu, pachnący jałowiec mrucał obietnice pożegnania i zapomnienia, tonik obiecywał gorycz i łzy, za Etną zachodziło słońce, a morze było tak rozdierająco zaprawione błękitem, jak za chwilę zamierzała być zaprawiona Poldi. Kończy się kolejny spierdolony dzień, najwyższy czas, by wyjść na ostatnią prostą życia, uznała moja ciotka.

Człowiek jest jednak skołtuniony i splątany z naturą dziwnymi więzami, a wolna wola czasem okazuje się humorzystą towarzyszką drogi. Może to było

światło, może piękno letniego wieczoru, łagodne powietrze, szum morza albo śmiech signory Anzalone dolatujący z sąsiedztwa – faktem jest, że Poldi nie zdołała przełknąć nawet łyka. Chciała. Naprawdę chciała. Była spragniona, miała plan i wystarczająco duże zapasy.

Przyłożyła szklankę do ust i odstawiła ją z powrotem. Popatrzyła na ciągnące się smugi topniejącego lodu. Podjęła kolejną próbę, chcąc przynajmniej umoczyć usta. „Wypijmniewypijwypijwypij”, błagał gin z tonikiem. „Wypijmniewlejsiebiewlej!”. Drink nie przechodził jej przez gardło. Wylała go do rynny i na początek spróbowała napić się samego toniku. Poszło z łatwością – smakował rozczarowaniem i ugasił najgorsze pragnienie. Ale gdy tylko Poldi dolewała ginu, pojawiała się dziwna blokada. Spróbowała z whisky, rumem i grappą. Rezultat był ten sam. Gorzej nawet, choć każdą komórką ciała pragnęła porządnego rauszu, na sam zapach alkoholu dostawała mdłości. Było to zupełnie nowe doświadczenie. Jej organizm wyśmiewał ją, a kamienny lew patrzył na nią ponuro.

– Rozumiem – powiedziała skwaszona. – Wasza wysokość zgłasza sprzeciw. A można wiedzieć dlaczego?

Lew milczał.

– Aha. No, tak to my daleko nie zajdziemy, przyjacielu.

Lew milczał.

– Jeju, niestety muszę zaprotestować. Mam dosyć. Nie chce mi się już. Montana rozwikła tę sprawę. Albo i nie. A wtedy razem wypiją za sukces: Vito, piękna Alessia i jego przyjaciel, Russo. Nie obchodzi mnie to, bo mi to zwisa i powiewa. Wychodzę z tego, raz na zawsze. – Urwała i dała lwu okazję do odpowiedzi.

Lew milczał.

– Tja, i kto to mówi, akurat ten, który cały czas chował się na tym dachu. Sama wiem, co obiecałam Valentino. Ale po prostu już nie mogę, rozumiesz? Jestem wykończona. Stara pudernica ze mnie. W dodatku mam nierówno pod sufitem i ucinam sobie pogawędkę z kamiennym lwem – na trzeźwo.

Lew milczał.

– I to ci się wydaje śmieszne, tak? Dość tego, postanowione. Nie zajmuję się już tą sprawą. Zaś jutro, przyjacielu, jutro znów będzie mi smakował gin z tonikiem, zobaczysz.

Tymi słowami zakończyła dyskusję, po czym zeszła po schodach i położyła się spać.

Nie wiem, czy moja ciotka tego wieczoru czy nocy w ogóle płakała. Nie opowiedziała mi o tym. Ale czasami zgryzota tkwi zbyt głęboko, wpija się kurczowo jak krnąbrne dziecko i blokuje wszystkie wyjścia. *Rien ne va plus*. Wyobrażam sobie, że Poldi tamtego wieczoru długo słuchała na cały regulator *Glorii*. „*Chiesa di campagna, Gloria! Acqua nel desserto, Gloria!*”. I że zbyt dużo paliła, może odrobinę pobrzękiwała butelkami po wódce, bluzgała nieprzyzwoicie na Montanę, życie i Sycylijczyków. Aż w końcu, wyczerpana, zasnęła na kanapie.

A kiedy następnego dnia się obudziła – z bólem głowy od nadmiaru papierosów i rozczarowań – kiedy wyszła z domu, żeby pójść do baru po świeże *cornetti*, pod swoimi drzwiami zobaczyła kota z podciętym gardłem.

Rozdział 12



OPOWIADA O KOTACH, LWIE I O FENIKSIE. POLDI PISZE EPITAFIUM, TWORZY NOWĄ LISTĘ I ZNAJDUJE JAJKO. POPADA WE FLOW I UZMYŚLA WIA SOBIE, DOKĄD MUSI SIĘ UDAĆ. JEST JUŻ TAM OCZEKIWANA. POLDI ANGAŻUJE CIOTKĘ TERESĘ I WUJKA MARTINO I PRZEKONUJE SIĘ, ŻE BEZ PYTAŃ NIE MA ODPOWIEDZI. DOWIADUJE SIĘ TEŻ, ŻE NA SYCYLII JEST WIELE MIEJSC O ZABAWNYCH NAZWACH I ŻE PRZY ODROBINIE SZCZĘŚCIA MOŻNA W NICH ZNALEŻĆ COŚ ŁADNEGO.

Podczas mojej ostatniej wizyty w Torre Archirafi przydarzyło mi się coś zawstydzającego. Tamtego ranka, po źle przespanej nocy, wcześniej niż zazwyczaj zszedłem na dół z mojej kanciapy na strychu, by zrobić sobie kawę i wziąć się solidnie za pierwszy rozdział. Poldi stała już przy kuchence, całkiem naga, odziana tylko w swoją perukę, i czekała na finalny syk dzbanka do parzenia espresso. Nie żebym miał jakiś problem z nagością. Albo z nagością starszych osób. Ale jeśli chodzi o własną ciotkę, człowiek ma jednak pewne zahamowania. Ja w każdym razie mam, przyznaję. Wybąkałem przeprosiny i prędko uciekłem na górę.

– Nojeju, co jest? – zawołała za mną ciotka Poldi.

– Ach, nic. Zaczekam, aż się ubierzesz.

– Wstydzisz się mnie?

– Nie, wszystko w porządku. Właśnie wpadło mi do głowy jedno zdanie i muszę je zanotować.

– Rany, jaki ty jesteś pruderyjny! No już zejdz, narzucę coś na siebie.

Kiedy dla pewności odczekałem dobrą minutę i wróciłem na dół, Poldi była już na patio, owinięta kolorowym pareo, które jednak niewiele zakrywało, i nalewała kawę do dwóch filiżanek.

– Mam pytanie, tak z czystej ciekawości – zagaiła. – Czy ty generalnie tak wstydliwie reagujesz na kobiece ciało, czy to wina mojego wieku?

– Ani jedno, ani drugie – próbowałem być dzielny. – Ale ty jesteś wyjątkiem.

– Pan autor ledwie się obudził, a już sypie dowcipem.

Wzięłem od niej kawę i usiadłem.

– Słuchaj, Poldi, to naprawdę nie ma nic wspólnego z twoim wiekiem, poważnie. Ale jesteś moją ciotką. No i w tym temacie jestem trochę...

– Pruderyjny. Mówię przecież.

– A nazywaj to sobie, jak chcesz. Nie będę się tłumaczył z mojego poczucia wstydu.

– Kiedyś latem cały czas biegaliśmy na golasa. Po mieszkaniu to już w ogóle. Ale nad Isarą i w Ogrodzie Angielskim też.

– To miło.

– Rany, jakiś ty wrażliwy! Czy w twojej powieści są w ogóle *momenty*? W sensie... – Poldi popatrzyła na mnie wyczekująco.

– Tak, wiem, w jakim sensie. I owszem, oczywiście będą sceny seksu. Ale bardzo staranne i wysmakowane.

Poldi przewróciła oczami.

– Dasz mi to do redakcji, jak już skończysz. To musi być naprawdę gorące, takie *juicy*, rozumiesz? Ten, kto wyda pieniądze na twoją powieść, ma prawo do *momentów*.

Nie zagłębiałem się w temat i upiłem łyk kawy. Jedno pytanie wciąż mnie jednak nurtowało. Bowiem w tej krótkiej chwili, kiedy Poldi stała przede mną w kuchni – taka całkiem goła, coś mi mignęło. Na jej lewej piersi, mniej więcej wielkości podstawki do piwa. Czyli wcale nie takie małe.

– Słuchaj, Poldi, co ty masz za tatuaż na piersi?

– Ach, jednak zauważyłeś, co?

Wtedy Poldi bez ceregieli rozsuptała węzeł pareo na karku i obnażyła się przede mną.

Sam jesteś sobie winien, pomyślałem i zmusiłem się do spojrzenia na tatuaż profesjonalnym okiem znawcy sztuki. Kiedyś musiał być bardzo kolorowy, ale z czasem i wraz z licznymi poparzeniami słonecznymi barwy utraciły niemal całą intensywność. Na pierwszy rzut oka motyw wyglądał jak rysunek jaskiniowy, jak wypluty na ścianę mrocznej jaskini przez szamana z epoki kamienia łupanego. Czarne smugi, wyglądające jak maźnięcia węglem,

sprawały wrażenie, jakby wydobywały się na powierzchnię z jakiejś przepastnej głębi. Obrazowały rozmaite barwne pola, które przenikały się wzajemnie jak akwarele i stapały ze sobą. Rozpoznałem coś w rodzaju fantazyjnego ptaka z krótkim papuzim dziobem i długim pasiastym ogonem. Dziwaczne ptaszysko zdawało się ze skrzekiem rozcapierać pióra, gotowe wzbić się w powietrze. Przy każdym ruchu ptak prostował się i wyciągał ku górze, jakby tylko wierność ciotce trzymała go na stałym miejscu, nad jej lewą piersią. Im dłużej wpatrywałem się w tatuaż, tym wyraźniej uświadamiałem sobie, że to nie było partactwo jakiegoś nawalonego dyletanta, lecz dzieło prawdziwego mistrza. To, co Poldi nosiła na piersi, było ewidentną sztuką.

– Wow. – Tylko tyle zdołałem z siebie wydusić.

– Co nie? – odparła z dumą Poldi. – To jest feniks, który powstaje z popiołów. Zrobił mi go w Pattayi, w siedemdziesiątym piątym, pewien mnich pustelnik. Wszyscy do niego pielgrzymowali. Rany, wtedy w Pattayi jeszcze były pustki, byliśmy, można powiedzieć, pierwsi. Znaczący, ja i szwedzcy nudyści, bo to oni odkryli to miejsce. Wszyscy latali na golasa i robili sobie tatuaże. Pytam Benniego, co mam sobie wytatuować, bo on i Björn też wtedy z nami byli. Oczywiście wszyscy wiedzieliśmy, kim oni są i że to światowej sławy gwiazdy. Ale nikt nie robił z tego powodu wielkiego halo – na plaży w Pattayi byliśmy równi. Bo wszyscy byliśmy goli. Oczywiście wolna miłość i te rzeczy, jak możesz sobie wyobrazić. Potem Bennie przysyłał mi czasem kartki. Ale na pomysł z feniksem to wpadłam sama. Dość wcześnie się zorientowałam, że to mój symbol. Moje zwierzę totem, rozumiesz? Powiedziałam Benniemu, że życie to ciągła zmiana, człowiek musi nieustannie wymyślać siebie na nowo. Od czasu do czasu upadnie albo nawet się sparzy, ale potem musi powstać z popiołów. Bo wiesz, mówię mu, *you know, the winner takes it all*. – Twarz Poldi przybrała taki wyraz, jaki przybierała zawsze, gdy oddawała się sentymentalnym wspomnieniom. Jak niebo nad jeziorem Ammersee, kiedy zanosi się na zmianę pogody. – *The winner takes it all* – powtórzyła. – Spodobało mu się to. Bennie dobrze wiedział, czym jest feniks.

Bo na feniksach i powstawaniu z popiołów moja ciotka znała się doskonale.

Naturalnie Poldi zdawała sobie sprawę, że martwy kot pod jej drzwiami miał być ostrzeżeniem, by ostatecznie wycofała się ze sprawy Valentino. Być może nawet miała zniknąć z Torre Archirafi albo w ogóle z Sycylii, ale o takie

zamiary mordercy kota ciotka jednak nie podejrzewała. Wiadomość była zrozumiała.

Na Via Baronessa było tego dnia ciszej niż zwykle, całkiem cicho. Nie turkotał żaden motorower, nie brzęczało radio, nie było widać ani słyszać żadnych ludzi. Zupełnie jakby wraz z ostatnim tchnieniem małego zwierzaka z uliczki uszło wszelkie życie. Poldi nachyliła się i ostrożnie podniosła zwierzę. Był to młody rudy kocurek, wychudzony, z odgryzioną połówką ucha. I całkiem sztywny. Mała śmierć, uliczna przybłęda, ale dla Poldi nie miało to żadnego znaczenia. Ktoś wymazał życie, by przesłać jej groźbę, być może nawet zwabił głodnego kociaka kawałkiem ryby, a potem z zimną krwią poderznął mu gardło, tak po prostu. Ktokolwiek to zrobił, nie miał szacunku dla życia, nie znał poważania dla stworzenia, więc w oczach Poldi sam nie zasługiwał na respekt i poważanie. Ktokolwiek zabił tego rudzielca, Poldi życzyła mu piekła i przysięgła, że odnajdzie go i pociągnie do odpowiedzialności.

Najpierw jednak zakopała kota.

W milczeniu owinęła zwierzątko w starą poszewkę na poduszkę, wzięła szpadel i pojechała na niewielkie leżące odłogiem pole, które jakiś czas temu zauważyła nieopodal cmentarza w Acireale. Tutaj, w miejscu, z którego było widać cmentarz, pośród krzewów janowca i dzikiego kopru włoskiego, moja ciotka wykopała w czarnej, wulkanicznej ziemi niewielki dołek, ostrożnie ułożyła w nim kota i obciążyła zawiniątko kamieniem, żeby nie mogły go wykopać psy. Z dwóch patyków i kawałka drutu do kwiatów złożyła niewielki krzyż, który wetknęła w koci grób. Do krzyża przyczepiła kartkę, na której widniał napis: „NIEZNANEMU KOTU, NAMASTE”.

I w tym momencie wszystko wróciło. Jak grom z jasnego nieba, jak wielka fala po długim odpływie. Wszystko, co się wydarzyło w weselny wieczór. Cała pamięć – po prostu wszystko. Dopiero teraz Poldi uświadomiła sobie też, że rozpoznała włamywacza na dachu. Po jednym drobnym szczególe.

– *Namaste*, kocie – powiedziała cicho. – Dorwę tego sukinsyna. Teraz tym bardziej.

To już było jasne. Że być może wszystko się ze sobą wiązało, miało głębszy sens. Być może, pomyślała Poldi, mały kot już poprzedniego wieczoru ocalił ją przed zapiciem, żeby mogła znaleźć jego trupa na trzeźwo i potem wszystko sobie przypomnieć. I dlatego teraz była winna wyjaśnienie tej

sprawy nie tylko Valentino, ale i martwemu kotu.

Teraz tym bardziej.

W domu Poldi najpierw ponownie przyjrzała się swojej ścianie i przejrzała notatki. Co wiedziała? Gdzie stała? Kogo mogła wykluczyć?

Zrobiła listę. Kolejną.

Niewyjaśnione

- czerwony piasek
- mapa topograficzna
- pieniądze u Valentino
- krople gwałtu
- Femminamorta
- telefon Valérie
- motyw zbrodni!
- Montana (prywatnie)

Wyjaśnione

- Tannenberger (Mr. X)
- Montana (prywatnie)

Jednoznaczne zachwianie proporcji. Poldi pogrzebała w torebce i odszukała serwetkę z listą nazwisk.

RUSSO
PATANÈ
TANNENBERGER
VALÈRIE
HÖLDERLIN MIMI
TURI

Jedna z tych osób zadzwoniła do Valentino z telefonu Valérie. Cała piątka była na weselu. Jedno z nich musiało jej dolać do wina kropli gwałtu. Jedno z nich włamało się do jej domu, być może też zabiło nieznanego kocurka.

Jedno z nich zabiło Valentino.

Tylko dlaczego?

Poldi cofnęła się o krok od ściany, by zyskać lepszy ogląd sytuacji, ale to nie wystarczyło. Wyszła więc po schodach na dach – ku morzu, Etnie i kamiennemu lwu. Tam zadała sobie inne pytanie: Dlaczego włamywacz

podejmował tak wielkie ryzyko dla kamiennego lwa, który może przyniósłby z tysiąc euro zysku? Lwu oczywiście to pytanie się nie spodobało – od razu sposepniał ciutkę – ale Poldi nie dała się odwieść od tematu. Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło jej do głowy, to takie, że włamywaczowi musiało chodzić o coś więcej niż lew.

W okamgnieniu chwyciła młotek i dłuto. I zabrała się za dokończenie tego, co rozpoczął włamywacz.

Zadanie okazało się istną mordęgą. Valentino musiał użyć chyba najtwardszego cementu w całych Włoszech. Po kilku uderzeniach spod peruki Poldi ciurkiem lał się pot. Nie przestawała jednak, uderzała raz za razem. Aż odłupała cement wokół cokołu na tyle, że solidnym szarpnięciem zdołała całkowicie uwolnić kamienną figurę od murku.

Stękając, staszczyła lwa z murku na podłogę tarasu. Klonk, klonk, klonk. Coś potoczyło się na ziemię. Mała metalowa kapsuła, która tkwiła w zagłębieniu w cokole kamiennego strażnika bramy. Stara zaparzaczką do herbaty w kształcie zakręcanego jajka. W środku znajdował się zwitek papieru. Rodzaj listy inwentarza z cenami, uporządkowanej według dat. Jednym słowem: motyw zbrodni.

– *The winner takes it all* – powiedziałem, kiedy Poldi opowiadała mi o tym wszystkim.

– Mówię przecież – zgodziła się. – W tym momencie przypomniało mi się, co powiedział w Monachium Tannenberger. Że Valentino znalazł coś i że ktoś dużo zapłaci za jego milczenie. I naturalnie od razu uprzytomniłam sobie, że tym czymś musiała być ta oto lista.

– A kogo szantażował Valentino?

– Rany, jakiś ty niecierpliwy. Prusacy tak szybko nie strzelają. Pomalutku, po kolei.

Poldi oczywiście miała już konkretne podejrzenie. Musiała tylko znaleźć dowody, zanim utrze nosa Montanie. A w tym celu musiała wznieść trochę kurzu. Czerwonego kurzu.

Ale po kolei. Najpierw Poldi zajęła się rachunkami. Dodała poszczególne kwoty z listy i wyszły jej ponad dwa miliony euro. Najdroższą pozycją był kompletny fresk ścienny z siedemnastego wieku za pół miliona. Trudno szukać bardziej przekonującego motywu zbrodni.

Ale po kolei. Ostatni obiekt na liście nosił datę sprzed ponad roku. Poldi porównała ją z wycinkami z gazet donoszącymi o włamaniach do starych

wiejskich rezydencji i znalazła jedną zgodność. Dzień później pojawiło się pierwsze doniesienie o włamaniu. Kolejne obiekty datowane były dzień lub dwa przed wzmianką w gazecie o kradzieży. Poldi mruknęła „bingo”, bo widziała, jak ktoś tak robił w jakimś filmie, pocałowała ścianę i podziękowała w duchu wujkowi Martino za solidną robotę. Martino miał szwajcarskich przodków, to najwyraźniej odbijało się w genach i wraz z orientálną wspaniałomyślnością i sycylijskim zarządzaniem kryzysowym tworzyło najtwardszy i najlepszy charakter.

Ale po kolei. W następnym kroku Poldi zaznaczyła w kalendarzu każdą z dat i stwierdziła ze zdumieniem, że wszystkie kradzieże, bez wyjątku, miały miejsce w soboty.

– I co nam to mówi? – sprawdziła mnie później.

– Nie mam pojęcia.

– Pomyśl. Dlaczego sobota, jak sądzisz?

– No powiedz wreszcie.

– Mała podpowiedź: bo niedziela jest dniem pańskim i można się wyspać.

– A co to ma wspólnego z włamaniami?

– Rany, nic. Zazwyczaj. Chyba że złodziej ma wyczerpującą robotę na etat i musi wypocząć po całej nocy plądrowania wiejskich rezydencji.

– Odważna teza – ośmieliłem się zauważyć.

– Nie zapominaj, że rozpoznałam włamywacza. I że musiałam tylko podsumować pewne fakty.

I wtedy, właśnie w tym momencie dochodzenia, Poldi popadła we flow. Doznała „przepływu”. Czystej intuicji. Przenikała po prostu wszystko. Sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Valérie.

– Mam do ciebie pytanko. Potrzebowałabym jednego adresu.

Wieczorem nacisnęła dzwonek przy drzwiach małego domku, stojącego bezpośrednio przy *provinciale*, na zakręcie, nie dojeżdżając do Riposto. Niezbyt dobre położenie, trzeba przyznać, ale to był naprawdę mały domek, źle otynkowany i bardzo stary. Na jego tyłach rozciągał się migdałowy sad. A kto jest posiadaczem domku z migdałowym sadem, ten nie jest biedakiem.

Okna, jak w większości domów na Sycylii, były zasłonięte okiennicami. Ze środka nie dochodziły żadne dźwięki. Dopiero po drugim dzwonku Poldi usłyszała zza drzwi czyjś nieufny głos:

– Kto tam?

– Donna Poldina!

Szuranie. Kasznięcie. Drzwi otworzyły się na centymetr i z dusznego wnętrza na ulicę wylała się fala podejrzliwości i nerwowości.

– Czego pani chce?

– Dobry wieczór, Turi. Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

Stary robotnik rolny rozejrzył się podejrzliwie.

– Jestem sama, Turi. Jeśli o mnie chodzi, może też tak zostać, o ile mnie pan wpuści.

– Nie mam pojęcia, czego pani ode mnie chce, donna Poldina.

Nie odpowiedziała.

Turi ociągał się jeszcze chwilę, potem westchnął i wpuścił ją do środka. W domu było ciemno i duszno od upału, potu oraz smrodu starości i samotności. Dwa dobrze odżywione białe koty uganiały się po wytartych tapicerkach, tandetnym dywanie i plazmowym telewizorze. Na zewnątrz z hukiem przejechała ciężarówka, wprawiając w drżenie cały dom.

– Przejdźmy do ogrodu – powiedział Turi. – Tam jest spokojniej. Chce pani mrożonej herbaty?

– Chętnie – odparła Poldi i wtedy zauważyła, że starzec utyka. – Jak pana noga?

Turi obejrzał się na nią, zmartwiony.

– Ach, donna Poldina! O mało mnie pani nie zadźgała jak zdziczałego osła. Poldi skinęła głową.

– Nie trzeba było zeskakiwać.

– Strzeliła pani do mnie!

– Ależ skąd! Zawołałam tylko „peng”.

– Co pani zawołała?

– „Peng”.

– Nie strzelała pani?

– Z całą pewnością nie.

– Ale przecież słyszałem, jak kula świsnęła mi koło ucha!

– Czysta iluzja. Ten stary muszkiet już nie strzela.

Turi ze zdumieniem pokręcił głową.

– Powoli robię się za stary na takie rzeczy.

– Ile pan ma lat, Turi?

– Siedemdziesiąt dwa.

– Naprawdę powinien pan iść na emeryturę.

– Co robić, donna Poldina! Z mojej skromnej emerytury nie wyżyję. –

Opłukał dwie szklanki, wyjął z lodówki starą butelkę po wodzie mineralnej, w której była złocista mrożona herbata, i napełnił naczynia.

– Trochę lodów cytrynowych do tego?

– O, tak!

Turi wyskrobał łyżką lody z plastikowego pojemnika, przełożył je ostrożnie do szklanek z herbatą i ruszył przodem do sadu. To był piękny sad, w rzędach rosło około czterdziestu migdałowców, obsypanych zielonymi włochatymi zawiązkami owoców. Wzdłuż muru Turi założył ogródek warzywny. Gdzieś za nim szumiała ulica – jak nieprzyjemne, ale niedające się wymazać wspomnienie. Mimo to sad był spokojny, wręcz sielankowy. Koty, miaucząc, snuły się po nim bez celu. Turi zwabił je cichym cmokaniem. Początkowo się ociągały, ale potem jeden z nich, ten grubszy, wskoczył mu na kolana i nadstawił do drapania. Drugi zaszczycił tym samym Poldi.

– Ładny sad – powiedziała.

– Dużo z nim roboty.

Poldi drapała kota, popijała herbatę, która była słodka i gorzka jednocześnie, i czekała.

– Jak mnie pani rozpoznała? – zapytał Turi.

– Kiedy na tarasie podniósł pan ręce, palec lewej rękawiczki zwisał bezwładnie w dół.

Turi wyciągnął do niej lewą dłoń pozbawioną małego palca.

– Madonna! I zobaczyła to pani po ciemku?

– Prawdę mówiąc, uświadomiłam to sobie dopiero dziś rano. – Kot miał dosyć pieszczot. Jednym susem umknął w cień migdałowca, pozostawiając na sukience Poldi ciepłą białą plamę z sierści. Ciotka dwoma palcami zebrała kłaczki w kłębuszek. – Ktoś podłożył mi dziś rano kota pod drzwi. Miał poderżnięte gardło.

– Madonna! – zawołał wstrząśnięty Turi. – Chyba pani nie myśli...

– Nie, już nie. Ma pan jakiś pomysł, kto mógł to zrobić?

Turi powoli pokręcił głową, co mogło oznaczać, że albo naprawdę nie wie, albo nie chce powiedzieć.

– Niech się smaży w piekle.

– Będzie.

– Nie zamordowałem Valentino.

– Więc kto to zrobił?

– Gdybym wiedział, już dawno poszedłbym na policję, może mi pani

wierzyć. To był dobry chłopak.

– Ma pan jakieś podejrzenia?

Turi znów pokręcił głową. Tym razem gest był jednoznaczny. W milczeniu wpatrywał się w swoje migdałowce.

– Kogo szantażował Valentino? – zapytała Poldi. – Russo czy Patanègo?

– Nie wiem, donna Poldina. Domyślałem się, że Valentino jest w jakichś tarapatach, ale nie rozmawiał o tym ze mną.

– Dlaczego zadzwonił pan do niego w wieczór przed jego śmiercią z telefonu Valérie?

– Co? Nie dzwoniłem! I czemu miałbym użyć telefonu signory Belfiore? Przecież mam swoją komórkę. Poza tym każdy wie, że ten jej telefon to rupieć.

Poldi pomyślała chwilę.

– Daleko tak nie zajdziemy, Turi.

Starzec głąaskał kota.

– Więc pójdzie pani na policję?

Trudne pytanie. Poldi westchnęła. A wieczór był taki piękny. Nad migdałowcami wschodził księżyc, witany przez tysiące świerszczy.

– Zna pan ten kawał, jak Bóg stworzył Sycylię z resztek gliny po pięciu kontynentach?

– Ten, w którym dla równowagi stworzył Sycylijczyków?

– Dokładnie ten.

Turi skinął głową.

– Dobry. Czemu?

Poldi wzruszyła ramionami.

– Tak mi się przypomniał. Nadal jest pan złodziejem i włamywaczem, Turi.

– Za włamanie do pani przepraszam, nie powinienem był tego robić. Ale złodziejem nie jestem.

– Nie? A co z tymi wszystkimi starymi wiejskimi posiadłościami?

– Ależ donna Poldina! To nie były kradzieże – obruszył się Turi.

I zaczął opowiadać.

Późnym wieczorem, kiedy Poldi – w doskonałym humorze, z brzuchem wypełnionym domowej roboty *pasta di mandorle* i z koszykiem świeżych pomidorów – wróciła do domu, pierwsze, co zrobiła, to skreśliła Turiego z listy podejrzanych. Teraz lista wyglądała tak:

RUSSO
PATANÈ
TANNENBERGER
VALÈRIE
HÖLDERLIN MIMI
FURI

Zostało pięć osób. Po relacji Turiego właściwie mogła skreślić jeszcze jedną. Ale moja ciotka nie chciała działać na łapu-capu. Po kolei, jedno po drugim. Do Montany też nie chciała dzwonić – raz, ze względu na historię z *lido*, dwa, ponieważ coś obiecała Turiemu. A poza tym nadal brakowało jej istotnego kawałka układanki. Miejsca zbrodni.

Tutaj również Poldi posunęła się o krok.

Pomimo późnej godziny zadzwoniła do Teresy.

– Coś się stało? – zapytała ciotka Teresa, wyraźnie zaniepokojona.

– Spokojnie, czuję się superancko.

– Piłś?

– Jestem trzeźwiuteńka. Posłuchaj, potrzebuję waszej pomocy.

A właściwie pomocy Martino. Moglibyście wpaść do mnie jutro rano?

Ciotka Teresa od razu nabrała podejrzeń.

– A o co chodzi?

– No rany, o sprawę – odparła Poldi tak niewinnie, jak to tylko możliwe.

W słuchawce zapadła cisza.

– Myślałam, że w końcu sobie odpuściłaś.

– No tak, ale właśnie dziś coś zatrybiło. Jeśli teraz odrobinę popchniemy wóz, to może zaskoczy i wszystko się rozwikła.

– Opowiedz o wszystkim Montanie – rzuciła rezolutnie Teresa. – Nie zajmujesz się już tą sprawą, Poldi.

– Rany, nawet sobie nie wyobrażasz, jaka melancholia mnie dopadła.

Moja ciotka była mistrzynią subtelných aluzji, zawoalowanych grózb i delikatnych sugestii.

– Grozisz mi, Poldi?

– Skąd! Po prostu jestem taka rozchwiana emocjonalnie, wiesz.

Teresa westchnęła z dezaprobatą.

– O jaki rodzaj pomocy chodzi?

– Ojeju, natury topograficznej. I może konieczna będzie mała przejażdżka.

– Przejazdzka.

– Niedaleko. Proszę, Tereso!

Poldi usłyszała, jak szwagierka mówi coś niezrozumiałego do Martino. Wychwyciła tylko słowo „amore”. Zaraz potem gdzieś w tle rozległo się szczekanie Tottiego i wiedziała już, że wygrała.

Następnego ranka, punktualnie o dziewiątej, wujek, ciotka i Totti stanęli pod drzwiami domu Poldi. Ciotka znów miała na sobie lniany komplet w kolorze khaki z górą w stylu munduru. Wszystko przygotowała – na stole w patio stał dzbanek z lodowatym mlekiem migdałowym z sadu od Turiego, obok leżało zdjęcie z mapą topograficzną, zwitek papieru, wyjęty z wnętrza kamiennego lwa, oraz mapa Sycylii – z zaznaczonymi miejscami włamów z ostatnich miesięcy. Poldi drżała z podekscytowania. Totti również, wujek zaś ledwie nad sobą panował. Tylko ciotka Teresa zachowywała zimną krew, bo wciąż miała za złe Poldi jej mały szantaż. Ze stoickim spokojem delektowała się mlekiem migdałowym.

– Znakomite! Jak je zrobiłaś?

– Na bazie *pasta di mandorle*. Dostałam od informatora.

Teresa zignorowała aluzję.

– Naprawdę wyborne.

Poldi zrozumiała.

– Proszę, wybacz mi, Tereso. To z melancholią tak mi się wyrwało.

Teresa odstawiła szklanę.

– A kto jest owym informatorem?

– Bo wiesz – we wrześnie ciotka przerwała opowieść, by zrobić miejsce na małą dygresję – wszystkie twoje ciotki to Byki, czyli nie są pamiętliwe. W przeciwieństwie do Skorpionów; wiem, co mówię. Ze Skorpionami to jest tak, że popełnisz jeden błąd, powiesz jedno niewłaściwie słowo, a potem do końca życia jesteś u nich na czarnej liście. A potem, kiedy ty już dawno zapomniałeś o sprawie, atakują jadowitym żądłem.

– A kto na przykład jest spod znaku Skorpiona? – zapytałem.

– Nojeju, za daleko odbieglibyśmy od tematu.

– Myślałem, że to odgrywało jakąś rolę w twoim śledztwie?

Poldi popatrzyła na mnie, jakbym właśnie odkrył patent na pokój na świecie.

– Japierdolę.

I nie mówiąc nic więcej, zniknęła w sypialni, pogrzebała w pudle

z materiałami dochodzeniowymi, aż w końcu natrafiła na decydującą notatkę.

– Alleluja! – Usłyszałem jej głos. – Teraz już nic mnie nie zdziwi.

– Więc kto był tym Skorpionem? – zapytałem, kiedy wróciła.

Zamiast odpowiedzieć, pokazała mi notatkę.

– Cała trójka? – wykrzyknąłem zdumiony.

– Dokładnie. A jedno z nich było mordercą Valentino.

Ale wróćmy do tematu. Zgodnie z obietnicą Poldi naturalnie nie zdradziła tożsamości „informatora” i w paru słowach streściła swoje ustalenia, łącznie z martwym kotem i odzyskaną pamięcią, aż do momentu znalezienia zwitka papieru.

– Mój informator przyznał się, że wraz z Valentino brał udział w kradzieżach. Ale to nie były prawdziwe kradzieże, bowiem wszystkie odbyły się za milczącą aprobatą właściciela okradanych majątków ziemskich. Ów właściciel oczywiście też zarabiał na tym procederze.

– Dlaczego miałyby robić coś takiego? – zaproponowała ciotka Teresa, nie do końca przekonana.

– Bo jest bankrutem.

– W takim razie mógł po prostu sprzedać te domy.

– Rany, ale tylko wraz z działką i wszystkim. A ziemię jaśnie pan chciał sobie zostawić.

– Kto? – chciała wiedzieć Teresa.

– Mimì Pastorella di Belfiore oczywiście. Wszystkie splądrowane wiejskie rezydencje należą do niego. To znaczy w przypadku niektórych nieruchomości kwestia własności pozostaje niejasna. Prawdopodobnie nie chciał się dzielić z rodziną.

– Ale to i tak kradzież – zawyrokowała ciotka Teresa.

– W zasadzie tak – przyznała jej rację Poldi. – Właśnie tym Valentino szantażował Patanègo.

– Jesteś pewna?

– Rany, przecież to oczywiste!

– To znaczy, że Patanè jest mordercą Valentino? – wtrącił wujek Martino.

– Jestem o tym przekonana. Patanè naciskał mojego informatora, by ten włamał się do mojego domu i ukradł kamiennego lwa. Prawdopodobnie właśnie dlatego Patanè dolał mi do wina kropli gwałtu. Dokładnie jak w przypadku Valentino. Więc to on jest mordercą. Jestem pewna, że to on podłożył mi martwego kota.

– W takim razie musisz natychmiast pomówić z Montaną.

Poldi pokręciła głową.

– Najpierw muszę zebrać dowody. A w tym celu musimy znaleźć miejsce zbrodni.

– My?

– Rany... No tak. Valentino powiedział przecież przed śmiercią, że ma coś ważnego do załatwienia w Femminamorta. Założyłam więc, że Valérie miała z tym coś wspólnego. Już choćby ze względu na Iwa, Russo i tak dalej. Ale wczoraj mój informator zasugerował mi, że wcale nie musiało tak być. Bo, teraz trzymajcie się mocno, na Sycylii nie ma jednej Femminamorta – jest ich na pęczki.

Teresa i Martino popatrzyli po sobie.

– I? – zapytał Martino.

Poldi przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Wiedzieliście?

– Oczywiście. – Ciotka Teresa wzruszyła ramionami. – Femminamorta to we Włoszech dość popularna nazwa małych wiosek. Tak samo jak Donnafugata.

– Albo Donnadolce – dodał wujek. – Albo Occhiobello, Campodimiele, Buonvicino, Fiumelatte, Bastardo, a nawet Baciaculo. Są wszędzie.

A zwłaszcza na Południu, gdzie ludzie bardziej kwieście myślą i intensywniej się wyrażają. Poldi właściwie mogła się tego spodziewać, w końcu w Bawarii nie jest inaczej. Przepędzona Kobieta, Martwa Kobieta, Piękne Oko, Miodowe Pole, Dobry Sąsiad, Mleczna Rzeka, Bastard albo Pocałunek w Dupę – niektóre miejscowości jak stemple nosiły w nazwie historie i losy z burzliwych czasów. A niektóre losy lubiły się powtarzać, w taki lub inny sposób. W Femminamorta Valérie, tej koło Riposto, w osiemnastym wieku podobno na suchoty zmarła panna, w której wszyscy się kochali. W innej Femminamorta w śmierci kobiety dopomógł być może odrzucony facygant. Nazwa była w każdym razie popularna i chwytliwa. Na samej Sycylii, zgodnie z szacunkami wujka Martino, było co najmniej pół tuzina miejsc o tej nazwie.

Co Poldi nie mieściło się w głowie.

– Ale, na litość boską, dlaczego nigdy nic nie powiedzieliście?

Pełne zakłopotania wzruszenie ramionami.

– Nie pytałaś.

To też była prawda. Ratunkiem był pragmatyzm. Moja ciotka i tak nie należała do ludzi, którzy długo zamartwiają się swoimi błędami, gafami i zaprzepaszczonej szansami. Bowiem na porażkach, przeszkodach, błążnieniu się i zbieraniu ciosów, a także na nowych początkach, dźwiganju się na nogi, śmianju się z siebie i niedawaniu dmuchać sobie w kaszę moja ciotka znała się świetnie. Tylko na jednym, myślę, znała się niezbyt dobrze: na dawaniu za wygraną.

– Japierdolę – ulżyła sobie, a potem rozpostarła na stole mapę Sycylii. – No dobrze, Martino, to gdzie są te wszystkie Femminamorta?

Wujek enigmatycznie popukał palcem w różne miejsca na wschodzie i w centrum wyspy.

– A można trochę dokładniej?

Martino podrapał się nerwowo po głowie.

– To było dość dawno.

– *Amore!* – upomniała go surowo ciotka Teresa. – Skup się i nie zostawiaj nas na lodzie.

Nas.

Poldi się rozpromieniła.

Pół paczki MS-ów później wujek Martino zakreślił na mapie pięć czerwonych kółek, rozproszonych po całej wyspie. Wszystkie znajdowały się z dala od wiosek i miasteczek.

– Więcej nie ma? – upewniła się Poldi.

Wujek uniósł ręce w obronnym geście.

– To te, które pamiętam. No i, jak mówiłem, to są raczej nieoficjalne nazwy. Majątki ziemskie, przysiółki, czasem tylko stary most, nazywany tak przez okolicznych wieśniaków.

Poldi wpatrywała się w mapę z posępną miną.

– Są za bardzo rozproszone, żeby zaliczyć je wszystkie na raz. – Zdecydowanym ruchem skreśliła dwa czerwone kółka na południu i na północy wyspy. – Te są za daleko.

Ciotka Teresa i wujek Martino milczeli.

Poldi porównała zaznaczone miejsca ze zdjęciem mapy topograficznej Russo, które zrobiła w Taorminie. Skala obu map wprawdzie się nie zgadzała, ale ciotka próbowała mimo to, obracała i przesuwiała mapę, jednak bez skutku. W końcu ze złością odsunęła ją na bok.

– Na litość boską!

– *Beh!* – Wujek zgasił papierosa i popatrzył na zegarek. – Zaraz południe. Podjadę na targ rybny w Riposto.

– Zostań – zarządziła Poldi. – Zaraz skończę.

Wujek i ciotka Teresa wymienili spojrzenia. Ciotka pokręciła lekko głową, zapewne w nadziei, że sprawa wkrótce rozwiąże się sama i instynkt łowczy Poldi powoli osłabnie.

Nic z tego.

Z komody w salonie Poldi przyniosła lupę ojca i zaczęła studiować trzy pozostałe kółka. Wodziła palcem po wiejskich drogach, rozszyfrowywała nazwy miejscowości, odkrywała kościoły, klasztory, miejsca znalezisk archeologicznych i ruiny, szacowała odległości, wzdychała, mruzczała, odmawiała sobie piwa. W końcu obok kółka, które Martino zakreślił nieopodal Piazza Armerina koło Etny, odkryła symbol na wpół zamazany czerwonym tuszem. Narysowane do góry nogami godło górnicze: skrzyżowane narzędzia – żelazko i perlik.

– Co to jest?

– Zamknięta kopalnia.

Poldi przez chwilę trawiła tę informację. W jej głowie zrodziła się myśl, uwolniła gdzieś z głębin podświadomości, popłynęła leniwie na magmie stopionych wspomnień ku górze, ku świadomości, utknęła w połowie drogi i nie mogła wyjść na wierzch.

– Jaka kopalnia?

Wujek Martino rzucił okiem na mapę.

– Stara kopalnia siarki, jak sądzę.

Poldi niemal usłyszała dźwięk otwieranego korka, kiedy zaczopowana myśl uwolniła się, wystrzeliła gwałtownie w jej świadomości i zamarła, zamieniając się w kryształ. Moja ciotka podskoczyła nagle, popędziła do sypialni, do swej ściany, i wróciła ze zdjęciem kolekcji Valentino, które zrobiła w jego pokoju. Popukała w żółty kryształ na skraju fotografii.

– Czy można tam znaleźć coś takiego?

Wujek Martino założył okulary do czytania.

– Na pewno. W sycylijskich kopalniach siarki można znaleźć najpiękniejsze kryształy na świecie.

Poldi triumfalnie złożyła kartę i oznajmiła:

– Jedziemy.

Rozdział 13



OPOWIADA O SIARCE, POCAŁUNKACH I NIEJASNYCH DROBIAZGACH ORAZ O TYM, CO ZNALAZŁA POLDI W FEMMINAMORTA PRZY UŻYCIU TECHNIKI RADAROWEJ. CHODZI TU BOWIEM O ZNAJDOWANIE, NIE O SZUKANIE, KTÓŻ TO WIE LEPIEJ OD KOMISARZA PRZYPADKA. TOTTI NIE CHCE WYJŚĆ NA GŁĄBA I PRZEŻYWA SWOJĄ WIELKĄ CHWILĘ. MONTANA TEŻ. SĄ KAWA I MARCEPAN, DOBRE I ZŁE WIADOMOŚCI, A TAKŻE NIEOCZEKIWANA WIZYTA.

– Historia wydobycia siarki na Sycylii to ballada o zbytku, bogactwie, pazerności i cierpieniu – powiedział mi kiedyś wujek Martino.

Sycylijska siarka wytworzyła się na płaskowyżu messyńskim, kiedy pięć milionów lat temu wyparowały wody Morza Śródziemnego, pozostawiając potężne gipsowe struktury o dużej zawartości żółtego minerału. Już starożytni Grecy i Rzymianie wiedzieli o jej ogromnych złożach i wydobywali ją w licznych kopalniach koło Agrigento i w trójkącie Enna–Sciaccia–Gela. Ludzie od wieków przekopywali okoliczne góry, dziurawe w środku jak gąbka, których zbocza pokrywają hałdy skał płonnych, upstrzone prymitywnymi kopułowatymi piecami. To w nich z pirytu wyprażano siarkę i odtransportowywano ją w formie czworokątnych płyt.

W dziewiętnastym wieku nastąpił boom. Młode kraje przemysłowe potrzebowały kwasu siarkowego – a Sycylia mogła go dostarczyć. W tamtym okresie była bowiem najważniejszą dostawcą siarki na świecie, z osiemdziesięcioprocentowym udziałem w rynku, i miała monopol na produkcję tego minerału.

Ale warunki pracy w kopalniach były zabójcze. Rębacze ze względu na upał pracowali nago, ich płuca ulegały poparzeniom pyłem siarkowym

i trującym dymem, który powstawał podczas prażenia rudy. Tysiące dzieci, nazywanych *carusi*, musiały stromymi korytarzami, w workach i koszach, wynosić piryt ze sztolni. Codziennie po dwanaście godzin. Większość nie dożywała nawet okresu dojrzewania. Dziesiątki tysięcy górników zostawiły życie w kopalniach, przy piecach, albo umarły z głodu w domu. Ich nędza była niewyobrażalna. Właściciele kopalni, burbońscy arystokraci, którzy dzięki monopolowi coraz bardziej się bogacili, płacili bowiem głodowe stawki i nic ich nie obchodził los górników. Zaślepieni monopolem i wręcz niewyczerpanymi złożami, nie widzieli powodu, by poprawić warunki pracy albo inwestować w nowe technologie. Przeciwnie – chciwość popychała ich do kontynuowania swego dzieła. „Choroba sycylijska”, mówił wujek Martino. Aż nagle boom się skończył. A dlaczego? Bo Amerykanie wynaleźli tańszy sposób pozyskiwania siarki, która powstawała w ogromnych ilościach jako produkt uboczny podczas obróbki ropy naftowej. Na początku dwudziestego wieku zamykano jedną kopalnię za drugą. Dzisiaj na Sycylii nie ma już ani jednej czynnej kopalni siarki.

Wyobrażam sobie, jak wujek Martino w czasie jazdy opowiada o tym wszystkim Poldi. Wyobrażam sobie, jak ciotka Teresa, lekko spięta, ale w niezłym humorze, siedzi z przodu, obok niego, i udaje, że słyszała to już tysiąc razy, co pewnie nawet się zgadzało. Mimo to pewnie miała w oczach ten błysk dumy z męża, który wiedział o Sycylii wszystko, a drobne luki w wiedzy łątał hojnie i z fantazją. Wyobrażam sobie Poldi, która siedzi z tyłu i głaska ciężki łeb Tottiego, spoczywający na jej kolanach. Zamyślona i pełna niedobrych przeczuć.

Za Katanią wujek Martino skręcił na A19 w kierunku Palermo – autostradę, która przecinała serce Sycylii. Jechali obok wzgórz porośniętych łąkami pszenicy, przez skwar i zasypaną przeszłość, obok prowadzących donikąd ruin zamków, wzdłuż dzikich wysypisk śmieci, przez pustkowia spowite magicznie zmieniającym się światłem.

W połowie drogi leżała Enna. Miasto było widać z daleka, ponieważ leżało wysoko na górze stołowej, pierwsze domy zaczynały się równo z krawędzią, jakby wyrastały prosto ze skały. Jak zanieczyszczony minerał, pomyślała Poldi, wiedziała bowiem, że Enna nadal uchodzi za jeden z głównych ośrodków mafii. Ale nie do Enny się wybierała.

Wujek Martino zjechał z autostrady i skręcił na południe, w kierunku Piazza Armerina, które słynie z późnorzymskiej luksusowej willi

z przepięknymi mozaikami podłogowymi, przedstawiającymi między innymi dziewczęta w strojach przypominających bikini. Ale do dziewczyn w bikini też nie jechali. Chcieli dotrzeć do Femminamorta.

Opuszczona kopalnia znajdowała się dobry kilometr za miastem, za niewielkim wzgórzem i piniowym zagajnikiem. Drogę zagrażał zardzewiały szlaban ze znakiem zakazu wjazdu. Tutaj musieli zostawić samochód. Totti, który cenił jazdę z wujkiem tak samo jak ja, wyskoczył z ulgą z wozu i zniknął w zagajniku. Rozjeżdżona piaszczysta droga prowadziła pośród pinii. Pachniało żywicą, ziołami i siarką.

Za zagajnikiem ku kopalni opadało strome zbocze zawałone gruzowiskiem. Poldi rozpoznała w dole ruiny wieży wyciągowej, rozpadające się domy z kamienia, zapadnięte łukowate zejścia do sztolni na wzgórzu po przeciwległej stronie, porośnięte zielskiem i janowcem stare piece hutnicze, przypominające kurhany. Wszystko pokrywała warstwa pyłu, brudu i utlenionych związków siarki. Poldi zauważyła, że gdzieś tam ma czerwone zabarwienie. Wciąż jeszcze dawało się wyczuć zapach siarki, który ostro i nieprzyjemnie piekł w nozdrza, drażnił śluzówki i zdawał się krzyżeć do Poldi, by stąd uciekała. Moja ciotka spodziewała się czegoś innego. Nigdzie nie mogła dostrzec żadnej willi, nie było ani jednego domu mieszkalnego. Jeśli Femminamorta Valérie była małym rajem, to ta Femminamorta była przedsionkiem piekła. Kiedyś na pewno.

– Co za upiorne miejsce – zauważyła z niepokojem ciotka Teresa.

– I takie opustoszałe – zgodziła się Poldi. – Nic nie słyhać. Żadnych samochodów, nawet ptaków. Może wolelibyście zaczekać w samochodzie?

– Zwariowałaś?

Wujek zapalił kolejnego papierosa, jakby to była jedna z jego zwykłych przejażdżek krajoznawczych, i ruszył przodem. Zszedł w dół krętą dróżką, szeroką akurat na tyle, by zmieścił się na niej pojedynczy pojazd. Totti nie odstępował ich na krok, jakby nie spodziewał się po tym wypadzie niczego dobrego. Ani nie zamerdał, ani nie czekał jak zazwyczaj z podekscytowania i żądzy przygód. Wyglądał, jakby chciał stać się niewidzialny, i raz po raz kichał. Poldi czuła się podobnie. Smród siarki zdawał się być najlepszą ochroną przed nieproszonymi gośćmi. Ale zawrócić już nie mogli.

– I gdzie leży ta Femminamorta? – zagadnęła wujka Martino.

– To jest Femminamorta! – odparł, nie oglądając się za siebie. – Tak się nazywa kopalnia.

– Ach, nagle sobie przypomniałeś!

Martino popukał się w czoło.

– Wszystko jest tutaj. W pamięci. Czasem to trochę trwa, ale w końcu zawsze wychodzi na powierzchnię. Dyrektor oddziału Banco di Sicilia, któremu pomogłem raz w kłopotliwym położeniu, pokazał mi kiedyś tę kopalnię. Będzie już ze dwadzieścia lat. Miał pomysł, by przekształcić ją w rodzaj obiektu sportowego dla młodzieży. Ale wszystko rozbiło się o opór właściciela.

– A kto był właścicielem?

– Jakiś hrabia Pastorella di Belfiore.

Poldi nawet to nie zdziwiło. Kiedy dotarli do kopalni, rozejrzała się wokół. Teren miał kształt wydłużonej litery L, wciśniętej między zalesione pagórki i stare hałdy, porośnięte makią. Był niewidoczny z zewnątrz. Miejsce bez cieni, jakby wyrwane ze świata, umarłe i zapomniane, skąpane w jaskrawym popołudniowym świetle. Powietrze było nabrzmiące gorącem, kurzem i wspomnieniem tysięcznego cierpienia. Poldi oblała się potem, wyobrażając sobie, jak czuli się tu kiedyś górnicy i *carusi*. W każdej chwili spodziewała się, że zobaczy wyłaniające się z szybów duchy zmarłych dzieci.

– Czego szukamy? – zapytała ciotka Teresa, która wyraźnie czuła się tu nieswojo.

Poldi nie miała zielonego pojęcia.

– Ja nie szukam, ja znajduję! – oświadczyła jednak i mężnie pomaszerowała przed siebie, przez pył i smród siarki.

– To były słowa Picassa – wyjaśniła mi później, we wrześnie. – Właśnie tak pracował: po prostu rzucał się naprzód i dopiero potem patrzył, dokąd go to zaprowadzi. Możesz to sobie zapamiętać na potrzeby swej powieści. Musisz znajdować, nie szukać. Musisz być otwarty. Przepuszczalny. Przygotowany na wszystko, rozumiesz? I brać rzeczy takimi, jakie są, korzystać z każdej okazji...

– Dziękuję, zrozumiałem! – przerwałem jej, lekko rozdrażniony. – Może w takim razie wyjaśnisz mi również, jak to jest z tym znajdowaniem?

– Oczywiście, że ci wyjaśnię. Przy odrobinie praktyki nawet ty sobie poradzisz.

Bardzo ważne jest przy tym niezmordowane oko. Poldi wodziła wzrokiem jak Buszmen na pustyni Kalahari, tam i z powrotem, w górę i w dół. Bo kiedy człowiek skupia się za bardzo na pojedynczych rzeczach, umyka mu cała

reszta. Wiedzą to doskonale grzybiarze, profesjonalni fotografowie i przewodnicy wycieczek. Wzrok Poldi systematycznie omiatał teren jak promień radaru. Krok naprzód – radar. Krok w bok – radar. Teresa i Martino działali podobnie. Krok po kroku, ostrożnie jak po cienkim lodzie.

Jedno nie ulegało wątpliwości: to nie było dobre miejsce. Nawet zwierzęta nie chciały tu przebywać. Nie było słycać ptaków, szelestów w krzakach janowca, które rozpanoszyły się na całym areale, pomimo skażenia ziemi. Może dlatego, zgadywała Poldi, że żółtym roślinom łatwiej w siarkowym pyłe.

Usiłowała się skupić, pomimo rosnącego niepokoju, pomimo przemożnego impulsu, który nakazywał jej jak najszybciej opuścić to miejsce. Patrzyła na zrujnowane budynki, zardzewiałe części maszyn, zwietrzałe wielkogabarytowe śmieci na skraju zbocza, odkrytą cysterne, obok niej kolorowe zabawki z plastiku. I mnóstwo śladów opon. Od ostatnich opadów, czyli w ciągu dwóch ostatnich miesięcy, musiały tu wjeżdżać i wyjeżdżać dwa samochody. Jeden miał szerokie opony z topornym bieżnikiem, drugi – węższe. Wszędzie były też ślady stóp, ale Poldi nie potrafiła rozpoznać, do ilu osób należały. Zresztą to pewnie bez znaczenia, bowiem teren wyraźnie nie był strzeżony. Każdy mógł tu wejść. Tyle że jakoś jej się nie wydawało, by to miejsce przyciągało wiele osób. Im dłużej się rozglądała, tym bardziej była przekonana, że nikt nie przychodził tu z własnej woli. Nic dziwnego, że pomysł z boiskiem nie wypalił.

Odplynęła myślami, które łatwiej poddały się impulsowi nakazującemu ucieczkę niż nogi. Ale i nogi podążyły za myślami, ukradkiem stąpając w tył. Kiedy się w tym zorientowała, surowo przywołała do porządku i ponownie skierowała radar na ziemię, zobaczyła niewielki odłamek ceramiki.

Leżał pod krzakiem janowca i pewnie mógłby tam zostać na zawsze – pojedyncza cząsteczka w nieskończoności wszechrzeczy, mała, niebieska, nic nieznacząca. Ale najwyraźniej na służbie znów pojawił się komisarz Przypadek, wyrobił sobie krótki ogląd stanu śledztwa, odchrząknął i wyszedł z narady, by przynieść sobie kawę.

Poldi nie popełniła błędu i nie podniosła odłamka, nawet go nie dotknęła. Od razu rozpoznała niebieski drobiazg, który mrugał do niej w blasku popołudniowego słońca. Sfotografowała go tylko i zapamiętała, gdzie leżał. A później zawołała do swoich towarzyszy:

– Valentino tu był!

– Znalazłaś coś?

– Glazurowany gliniany odłamek. Prawdopodobnie wypadł mu z kieszeni.

– To dzwoniemy na policję, tak? – Ciotka Teresa pragnęła tylko opuścić to miejsce.

– Nie, jeszcze nie skończyliśmy.

Poldi miała już pewność. Nie było w niej ani śladu chęci ucieczki, przeciwnie – zagwizdała na palcach na Tottiego, bowiem potrzebowała wsparcia w postaci jego czułego nosa.

– Potrafisz gwizdać na palcach? – przerwałem jej, kiedy opowiadała mi o tym parę tygodni później.

– Oczywiście. A ty nie?

– Pokaż!

– Rany, jaki ty jesteś podejrzliwy! – jęknęła ciotka, po czym wetknęła kciuk i palec wskazujący między zęby i zagwizdała tak, że omal nie urwało mi uszu. – W porządku? Mogę opowiadać dalej czy może jesteś zmęczony, znudzony albo coś jeszcze?

– Forza, Poldi! – zachęciłem ją.

Totti zastrzygł uszami i przybiegł prosto do niej – z ulgą, że jednak nikt nie chce go tu porzucić. W pysku trzymał coś, co z dumą zaprezentował. Była to żółta psia zabawka z miękkiego plastiku, dość sfatygowana i zgryziona.

– Fuj, co ty tam masz? – zawołała Poldi, próbując odebrać mu zdobycz. – Puść! Hej, no puść to, przecież to jakiś śmieć!

Totti niechętnie oddał swój skarb i zamerdał ogonem, gotów natychmiast go zaaportować, gdyby ta miła pani o niskim głosie w końcu – proszę, proszę! – go rzuciła. Ale ona, zamiast tego, obojętnie cisnęła jego trofeum na bok i przytrzymała go za obrozę, kiedy chciał za nim pobiec.

– No, dobry piesek. Złotko, wiem, że to wyzwanie przekraczające psie możliwości, ale teraz musisz się skupić, słyszysz?

Wtedy moja ciotka zaciągnęła nieszczęśliwego i zdezorientowanego Tottiego do miejsca, w którym leżał odłamek, i łagodnie przycisnęła jego pysk do ziemi.

– Tutaj. Wąchaj. Czujesz Valentino? No jeju, wąchaj!

Totti ostatni raz spojrzął zezem na swój skarb, a potem się poddał. Zaczął węszyć, kichając z zapalem wokół krzewu janowca. Kiedy Poldi w końcu łaskawie go puściła, przez moment gapił się na nią niezdecydowanie.

– No szukaj! Szukaj!

Nie robiła sobie wielkich nadziei. Totti jej zdaniem za bardzo wyspecjalizował się w grzybach rosnących na stokach Etny. Z tym większą radością patrzyła, jak pies w końcu puszcza się przed siebie, węszy to tu, to tam, sprawiając wrażenie psa tropiącego, który wie, co robi.

Ponieważ wiedziała, że artystom i dochodzeniowcom nie wolno przeszkadzać w pracy, podążała z Martino za Tottim w odpowiedniej odległości i zachęcała psa okrzykami. Ciotka Teresa zaś spoczęła w cieniu wieży wyciągowej, wciąż żywiąc nadzieję, że jak najszybciej opuszczą to upiorne miejsce.

Pomimo profesjonalnego zachowania Totti wyraźnie miał trudności z podjęciem tropu. Im dłużej podążali za psem, tym bardziej Poldi była przekonana, że to był poroniony pomysł. Zerknęła w stronę ciotki Teresy, która pomachała do niej niemrawo, po czym wyciągnęła komórkę.

– Koniec. Dzwonię do Montany. W tym siarkowym smrodzie nawet najlepiej wytresowany pies tropiący nic nie wywęszy.

Totti jednak niewzruszenie węszył dalej. Nagle zaczął kopać pod obramowaniem starej cysterny.

– Co on tam robi?

– *Bella figura*. – Wujek Martino wzruszył ramionami. – W końcu to Sycylijczyk.

Poldi ponownie zagwizdała na palcach.

– Odpuść sobie, Totti! Fajrant!

Ale pies nie przestawał kopać. Najwyraźniej coś znalazł. Popatrzył w stronę Poldi i Martino, zamerdał i zaszczekał głośno.

Ciotka Teresa wstała i wyszła z cienia.

Poldi popatrzyła na wujka.

– I co teraz?

– Szczeka, jakby znalazł prawdziwkę.

Poldi puściła się biegiem. Totti oszalał – kopał jak wariat przy obramowaniu cysterny i szczekał w podnieceniu. Okrągły cokół z nieciosanych kamieni kiedyś był otynkowany. Sięgał Poldi do pasa. Stary zbiornik na wodę zamykała zardzewiała żelazna płyta, zabezpieczona kłódką. Na niej, a także na obramowaniu, przy którym kopał pies, Poldi rozpoznała czerwonawe rozbryzgi. Było ich dużo. Nie potrzebowała analizy laboratorium, by mieć pewność. Ucałowała i wytarosiła Tottiego, a potem zadzwoniła do Montany:

– Vito, to ja. Możesz przyjechać do Piazza Armerina? Mam coś dla ciebie.

Miejsce zbrodni.

Zmierzchało już, kiedy Montana wreszcie przyjechał. Czerwone pierzaste chmury żarzyły się na niebie jak monstrualna projekcja rozbryzganej krwi Valentino. Może były ostrzeżeniem z samej góry, że jego śmierć nie może ulec zapomnieniu, nie może pozostać niepomszczona, pomyślała Poldi. *Namaste*, chmury.

Polizia di Stato odgrodziła taśmą teren wokół cysterny. Technicy kryminalistyczni w papierowych kombinezonach uwijali się z pędzlami i taśmą do zdejmowania odcisków palców, zeszkrobywali próbki krwi, cykali zdjęcia, dopóki jeszcze było światło, wykonywali odlewy odcisków butów, wtykali w ziemię chorągiewki.

Poldi i ciotka Teresa przyglądały się temu bez słowa, aż wujek Martino wrócił z wioski – z panini i wodą mineralną. Jedli w milczeniu, przygnębieni znaleziskiem, kopalnią, własną bezsilnością, widokiem funkcjonariuszy i ich obojętnego profesjonalizmu. Tylko Totti był zadowolony i zainteresowany wszystkim, jakby wykąpał się w fontannie wiecznej młodości i jeszcze ociekał wodą.

– Może pojedziecie do domu? – zaproponowała Poldi. – Montana na pewno mnie podrzuci.

– Wykluczone – oświadczyła ciotka Teresa.

Kiedy Montana przyjechał, jak zwykle w wygniecionym garniturze, moja ciotka wstała, poprawiła perukę i otrzepała z kurzu lniane spodnie.

– *Salve*. – Montana przywitał się z Teresą i Martino uściśnięciem ręki, Poldi cmoknął lekko w oba policzki.

– Cześć, Vito.

Rozejrzał się wokół.

– A więc to tutaj.

Poldi nie odpowiedziała.

– Jak wpadłaś na tę kopalnię, Poldi?

– Po prostu dodałam jedne fakty do drugich.

– A konkretniej?

– Valentino mówił o *Femminamorta*, pamiętasz?

– I?

Poldi rozłożyła ramiona.

– To jest *Femminamorta*!

– To one są *dwie*?

– Jest ich co najmniej sześć – wtrącił wujek Martino.

– Madonna! – jęknął Montana. – Ale ze mnie idiota.

– Nie przejmuj się, ja też sama na to nie wpadłam.

– A dlaczego akurat ta tutaj?

Poldi podała mu zdjęcie kolekcji glinianych odłamków Valentino i wskazała kryształ siarki.

– Kryształ, siarka, kopalnia, Femminamorta. Tak się nazywa ta kopalnia. Okazało się, że warto było spróbować. – Pogrzebała w torebce i wręczyła Montanie zaparzaczkę do herbaty z listą inwentarza Valentino. – Znalazłam ją wczoraj we wnętrzu kamiennego lwa. To dowód na to, że za kradzieżami stoi Patanè.

Montana otworzył metalowe jajko, rzucił okiem na zwitek papieru, zwinął go z powrotem i wraz z zaparzaczką schował do przezroczystej torebki.

Poldi czekała na reprimendę, że nie zgłosiła listy wcześniej, ale Montana tylko popatrzył na funkcjonariuszy, którzy kręcili się na miejscu zbrodni.

– O czymś jeszcze powinienem wiedzieć? – zapytał.

Poldi pokręciła głową.

– Okay, zaraz do was wrócę. – Montana, nieco rozluźniony, podszedł do mundurowego *ispettore*, który kierował akcją.

Poldi obserwowała, jak Montana się wylegitymował, jak *ispettore* w paru słowach zrelacjonował mu dotychczasowe ustalenia i jak razem poszli na miejsce zbrodni. Wszystko to bez pośpiechu, z profesjonalną nonszalancją i arogancją, które zaczynały coraz bardziej działać jej na nerwy.

– Jedźmy – powiedziała do Teresy i Martino. – Nie jesteśmy już tu potrzebni.

Tottiemu mało nie pękło serce, że musi opuścić miejsce swego kryminalistycznego triumfu – tak po cichu, bez oklasków. Trzeba go było odciągać siłą.

– Poldi! – Nagle Montana przywołał moją ciotkę do zbiornika.

Niechętnie i ze skwaszoną miną wróciła do miejsca, w którym zmarł Valentino.

– Co znowu?

– Co to jest? – zapytał Montana.

– Stara cysterna, jak sądzę.

– Mam na myśli to. – Montana wskazał na zardzewiałą żelazną pokrywę.

– Przykrycie, żeby nikt nie wpadł do środka?

– A widziałaś kłódkę?

Słońce schowało się już za wzgórzem. Cienie zalały kopalnię, wypłukując z doliny światło i kolory. Poldi musiała się schylić, żeby zobaczyć, o co pyta Montana.

– Wygląda na dość nową.

– Powiedziałbym, że jest nowiutka. Nowiutka kłódka na starej żelaznej pokrywie.

Poldi podniosła na niego wzrok.

Montana odwrócił się do *ispettore*.

– Potrzebuję nożyc do metalu, prędko.

Kiedy podważył pokrywę, z mroku starego zbiornika buchnął zapach stęchlizny. Montana poświecił do środka latarką. Poldi początkowo niewiele mogła zobaczyć. Cysterna była głęboka, miała ze trzy metry, podłużny, wybetonowany rezerwuuar o nieokreślonych rozmiarach, w którym nie było już wody, a dno pokrywały kurz i ziemia. Promień latarki omiatał jego wnętrze, aż w końcu Poldi rozpoznała coś, co wyglądało na ubranie. Zbutwiałe, bezbarwne ubranie, również pokryte kurzem. A kiedy promień światła zastygł na nim w bezruchu, ciotka rozpoznała coś jeszcze.

– O Boże! Czy to jest...?

– Na to wygląda – potwierdził ochryple Montana.

Na dnie wyschłej cysterny, wśród ubrań i ziemi, leżał ludzki szkielet.

Montana nie odzywał się od dwóch dni i Poldi w końcu stwierdziła, że ma tego dosyć. O śnie i tak nie było mowy, bowiem powietrzem nad Torre Archirafi od wczesnych godzin rannych co pół godziny wstrząsały odpalane na pobliskim kościelnym placu monstrualne petardy – bum! – które eksplodowały nad dachami domów. Wiedziała dlaczego. Pewnie wypadały imieniny jakiegoś miejscowego patrona, co należało świętować godnie – bum! – i przez cały dzień. Wieczorem przypuszczalnie odbędzie się końcowy pokaz fajerwerków, a także festyn pod kościołem. A do tego czasu – bum! – co pół godziny salut, od którego trzęsły się ściany, a Poldi powoli zaczynała łupać głowa. Trzeba stąd uciekać.

Pojechała do Acireale, zaparkowała alfę w niedozwolonym miejscu na Corso Umberto i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę ciemnego, neobarokowego budynku prefektury. Przed bramą obijali się wymuskani mundurowi – w okularach przeciwsłonecznych i z kubkami kawy, jakby mieli

za zadanie odtworzyć scenkę rodzajową przed posterunkiem policji na południowym Manhattanie. Poldi powstrzymała się od sfotografowania ich i bez słowa przemaszerowała obok wyfiokowanych smarkaczy.

Na dziedzińcu panował przyjemny chłód. Marmurowa fontanna z delfinami i nimfami, obstawiona radiowozami, szemrała pluskaną piosenkę o ukrytym pięknie, w każdym rogu dziedzińca stało na baczność drzewko pomarańczowe, a z fasady spływał zapach jaśminu i spalin. Poldi widziała już dużo posterunków i prezydiów policji na całym świecie, ale takiego jeszcze nie. Prefektura w Acireale była jednym wielkim usprawiedliwieniem dla samej siebie.

W oszklonej portierni siedział blady młody policjant o smutnych oczach i bardzo dużej grdyce na bardzo chudej szyi.

– *Commissario* Montana – rzuciła Poldi.

– Jest pani umówiona, signora?

– Nie, nie jestem. Ale to bez znaczenia. *Commissario* mnie przyjmie.

Długie spojrzenie smutnych oczu. Grdyka podskoczyła wyżej i opadła, jakby próbowała wydostać się ze zbyt ciasnego gardła. Poldi nie mogła oderwać od niej wzroku.

– Nazwisko?

– Oberreiter, Isolde. – Poldi przeliterowała swoje nazwisko: – Otranto, Bologna, Empoli, doppia erre, Empoli, Imola, Torino, Roma. Ach, proszę mi po prostu powiedzieć, że chce się z nim widzieć Poldi.

Blady portier wykonał telefon, zasłaniając dłonią usta i słuchawkę.

– *Commissario* zaraz zejdzie – oznajmił po chwili.

– Niepotrzebna fatyga, proszę po prostu mi powiedzieć, gdzie znajdę jego biuro.

Grdyka odtańczyła tarantelę.

– Proszę zaczekać tutaj, signora.

Montana pojawił się po paru minutach. Wyglądał na wycieńczonego – miał podkrążone oczy i zdradzał lekką nerwowość. Jego beżowy garnitur był poplamiony kawą. Skinął głową smutnemu portierowi, wziął Poldi pod rękę i poprowadził do wyjścia. Bez pocałunku.

– Chodźmy na kawę. Za rogiem jest bar.

– Możemy przecież pójść do twojego biura.

– Nie, nie możemy, Poldi.

– Dlatego że siedzi tam twoja ładna koleżanka czy może na biurku leżą

jeszcze koperty z tymi wszystkimi łapówkami?

– Bardzo śmieszne, Poldi. I to nie jest moja koleżanka.

– Możesz mi o niej opowiedzieć coś więcej.

Montana zacisnął usta i łagodnie, ale zdecydowanie wyprowadził moją ciotkę z budynku, mijając po drodze kolegów.

– I tak zadzwoniłbym do ciebie dziś wieczorem.

– Czyżby?

– Tak! – potwierdził rozdrażniony.

W barze za rogiem zamówił dwie kawy i mandarynkę z marcepana, po czym pohołował Poldi do kontuaru.

– Mam dobrą i złą wiadomość – zaczął. – Którą chcesz usłyszeć najpierw?

– Dobrą oczywiście.

– Dobra jest taka, że jeszcze ze mną rozmawiasz.

– Żartowniś. – Poldi usiłowała przybrać kwaśną minę, co zakończyło się kompletnym fiaskiem, bo właśnie w tej chwili w jej piersi buchnęła radość, rozplywając się aż po kończyny.

Montana uśmiechnął się szeroko.

– Patanè przyznał się do kradzieży.

– To wszystko?

– Oczywiście, że nie. Po kolei.

– To moje słowa.

– Chcesz mi ciągle przerywać czy wolisz się dowiedzieć, jaki jest stan dochodzenia? Zdecyduj, bo muszę zaraz wracać.

– Wyluzuj, Vito. Więc?

Zamiast wymieszać espresso łyżeczką, Montana zakręcił filiżanką i wlał w siebie całą jej zawartość.

– Patanè od paru godzin siedzi tam, na górze, w pokoju przesłuchań. Początkowo nie był skory do mówienia, ale kiedy skonfrontowaliśmy go z dowodami, zaczął gadać jak najęty.

– Z jakimi dowodami?

– Ze śladami zwłok w jego samochodzie.

– Alleluja! – zawołała z zachwytem Poldi.

– Ślady opon w kopalni pasują do jego samochodu – podsumował Montana. – Sprawdziliśmy go więc i znaleźliśmy w bagażniku ślady po zwłokach. A także ślady krwi Valentino, identyczne z tymi na miejscu zbrodni.

- Przyznał się?
- Na razie tylko do kradzieży. Twierdzi jednak, że to nie były prawdziwe kradzieże. Podobno wszystko było uzgodnione z właścicielem willi.
- Mimì Pastorella di Belfiore. Przesłuchaliście go?
- A jak myślisz? Pan arystokrata nawet nie zaprzeczał. Prawdę mówiąc, sprawia wrażenie lekko pomyłonego. Cały czas gada tylko o jakimś niemieckim poecie...
- Hölderlinie.
- To ktoś znany?
- Szalony geniusz z Tybingi. Czy Mimì powiedział coś jeszcze?
- Nie. Jeśli chodzi o kradzieże, to zostanie wszczęte osobne śledztwo, żeby wyjaśnić, czy w ogóle miało miejsce przestępstwo. Moim zdaniem Mimì Pastorella po prostu zidiociał.
- Ale nieźle zarabiał na tym układzie.
- Może robić ze swoją własnością, co chce. Najwyżej postawią mu zarzuty o oszustwo podatkowe. W każdym razie Valentino pracował dla Patanègo. Ten zaprzecza jednak, jakoby Valentino go szantażował.
- Poldi pomyślała chwilę.
- Więc dlaczego tak bardzo zależało mu na kamiennym lwie?
- Twierdzi, że działał pod wpływem impulsu. Podobnie tłumaczy dołanie ci kropli gwałtu do wina. Nawiasem mówiąc, chciał cię przeprosić.
- Ależ z niego piskorz! A powiedział, o co się pokłócił z Russo wtedy na parkingu?
- O niezapłacone rachunki za rozbudowę posiadłości Russo. Russo to potwierdził.
- Coś takiego... Potwierdził. Mniejsza o to. Przy takich dowodach Patanè może pakować manatki.
- Montana wyjadł łyżeczką reszkę cukru z filiżanki.
- Kategoriecznie zaprzecza, że zamordował Valentino.
- Niech sobie zaprzecza. Są dowody, które go obciążają.
- Montanie wyraźnie brakowało cukru. Ugryzł kawałek marcepanowej mandarynki.
- Wyborne. Świeżutkie. Spróbuj.
- Dowody są obciążające, prawda, Vito?
- Mniej więcej. Musimy poczekać jeszcze na analizę śladów DNA z miejsca zbrodni. Nawiasem mówiąc, nie mamy narzędzia zbrodni. Patanè

utrzymuje ponadto, że dzień przed śmiercią Valentino pożyczył mu samochód. Następnego ranka wóz stał pod jego domem, więc uznał, że wszystko jest w porządku.

– I przez cały czas nawet słówkiem się o tym nie zająknął? Proszę cię, Vito! Ma alibi?

– Nie.

– Widzisz! Zatrzymaliście jeszcze kogoś w związku z kradzieżami?

– A powinniśmy?

– Tak tylko pytam.

– Poldi?

– Pytam tylko! Czy Patanè przyznał się przynajmniej do zamordowania kota?

Montana pokręcił głową.

– Temu również zaprzecza.

– Kłamie. A co ze szkieletem w cysternie?

– Cóż, to kolejne pytanie. Najwyraźniej była to jakaś młoda kobieta, ale jeszcze nie zdołaliśmy ustalić jej tożsamości. Lekarz sądowy szacuje, że mogła tam leżeć trzydzieści, a nawet pięćdziesiąt lat. Sprawdzamy wszystkie zgłoszenia osób zaginionych, ale bez porównania DNA nie będzie to łatwe.

– *Cold case!* – zawołała z entuzjazmem Poldi.

Montana się skrzywił.

– Po tak długim czasie trudno udowodnić komuś zabójstwo. Ale przy szkielecie znaleźliśmy zasuszone resztki kwiatów.

– Kwiatów?

– Róż.

– Myślisz, że ktoś wiedział, że leży tam ta kobieta, i wrzucił do środka kwiaty?

– I to całkiem niedawno. Niektóre były całkiem dobrze zachowane. Romantyczne, co?

– A co na to Mimì? W końcu to jego kopalnia.

– Był kompletnie zaskoczony. Twierdzi, że nigdy nie zaprzętał sobie głowy tą kopalnią. Był tam tylko raz – ze swoim ojcem, jeszcze będąc dzieckiem. Nie wierzę, że to się wiąże z morderstwem Valentino.

– A ta nowa kłódka? Sądzisz, że to przypadek, Vito?

– Pracujemy nad tym, okay? – westchnął Montana.

Poldi odgryzła kawałek marcepanowego owocu i pozwoliła, by słodka

masa powoli rozpuściła się w jej ustach. Namysłała się, zaniepokojona jakąś drobnostką, tak samo nieuchwytną jak marcepan na jej języku. Jak odległe, irytujące stukanie, którego nie można zlokalizować i zlikwidować. Jak nieprzyjemny zapach, prześladowający cię cały dzień. Jak pytajnik bez pytania. A to oznaczało, że coś przeoczyła. Jakiś drobiazg. Decydujący kawałek układanki.

Montana spojrział na zegarek.

– Muszę lecieć.

– A zła wiadomość? – przypomniała mu Poldi.

– Ach tak, zła wiadomość... – Montana wziął głęboki wdech. – Wierzę mu. Wierzę Patanèmu.

Poldi usiłowała nie dać po sobie poznać, że wcale się nie dziwi.

– Dlaczego?

Zmęczenie Montany nagle jakby się pogłębiło.

– Nie potrafię ci powiedzieć. Nazwij to instynktem. Dowody są wystarczające dla wysunięcia oskarżenia, nawet bez przyznania się do winy. Ciało Valentino było przewożone jego samochodem, Patanè jest złodziejem, odurzył cię i włamał się do twojego domu. Prefekt chce jak najszybciej zamknąć tę sprawę.

– Ale ty uważasz, że Patanè nie jest mordercą.

– To tylko przeczucie, jak mówiłem.

– Jak długo pracujesz w policji, Vito?

– Trzydzieści sześć lat.

– Czy twoje przeczucie kiedykolwiek cię zmyliło?

– Milion razy.

Rozkojarzony, Montana przejechał dłonią po twarzy i brodzie, jakby chciał usunąć z niej jakąś irytującą powłokę. Jego jasnozielone oczy sprawiały wrażenie mętnych, prawie szarych. Mała gniewna zmarszczka stała się prawdziwą bruzdą. Poldi domyśliła się, że ostatnio niewiele sypia.

– Naprawdę muszę iść, Poldi.

– A ja chciałabym cię teraz pocałować.

Jasnozielone oczy ożywiły się nieco. Ale uśmiech pozostał wymuszony. Dla Poldi była to ewidentna oznaka wewnętrznego rozdarcia. A akurat na tym dobrze się znała.

– Porozmawiajmy, kiedy ta sprawa się wyjaśni, Poldi, dobrze?

– Ach, Vito!

Chciał odejść. Widać było, że chce już tylko odejść, wrócić do prefektury, znaleźć się z powrotem w swoim biurze, w znajomym świecie dochodzeń i kłamstw, gdzie być może, jak wyobrażała sobie moja ciotka, czekała już na niego niecierpliwa i – przy odrobinie szczęścia – także zazdrosna piękna koleżanka.

Zanim jednak odszedł, przyciągnął Poldi do siebie i pocałował ją.

– Ale co to znaczy „pocałował”? – w tym miejscu przerwałem jej opowieść. – Szczegóły poproszę.

– Tylko mi nie mów, że nagle cię to interesuje? Zwykle jesteś taki wstydlivy, jak przychodzi co do czego.

– A ty zwykle jesteś bardziej precyzyjna. Więc jak cię pocałował? Z języczkiem czy bez? Wyssał z ciebie oddech? Był pożądlivy, zdesperowany, spragniony jak tonący? Czy to była eksplozja zmysłowości, wyrafinowana gra wstępna czy przelotny całus? Jego usta były suche czy wilgotne? Jego zarost drapał? Czy pocałunek wydał ci się wiecznością czy raczej był zawstydzająco krótki? Czy jego oddech smakował świeżością czy był zwietrzały? W sensie, no wiesz, zaiskrzyło?

Moja ciotka patrzyła na mnie uważnie, tak jak się patrzy na rozkosznego gryzonia w klatce, który nauczył się nowej sztuczki.

– Po pierwsze – oświadczyła – najwyraźniej nie masz zielonego pojęcia o całowaniu, inaczej nie zadawałbyś takich idiotycznych pytań. Po drugie ten facet jest komisarzem policji kryminalnej i Sycylińczykiem, a więc seksualnym żywiołem. Po drugie... – Poldi zamknęła oczy. I otworzyła je znowu. – Po trzecie smakował jak Sycylia. Gorzki od kawy, słodki od marcepanu, kwaśny od papierosów i słony od melancholii, od kłamstw, które musi przełykać każdego dnia, od powstrzymywanej namiętności i od bólu zawieszenia między młotem a kowadłem. Jego zarost drapał, ale w sposób, który przeszywał mnie dreszczem na wskroś. Jakbyś szedł latem przez łany zboża i czuł, że żyjesz. Pachniał potem, jak mężczyzna, który ciężko pracuje. Pachniał ciepłą skórą i resztkami wody toaletowej, tęsknotą i ulgą, że znów jest przy tobie i że znów może być tym, kim jest. To był pocałunek, który krótko i konkretnie mówi ci „chcę cię i gównu mnie obchodzą inni”. A jednocześnie, jeju, jednocześnie był to również pocałunek pożegnalny, taki, który nagle odrywa się od twych ust, zanim język zdąży powiedzieć „chodź!”, taki, który przecina wszystkie liny i za jednym zamachem wyrywa ci serce z piersi. Taki to był pocałunek. Wystarczy ci to?

Jeśli kiedykolwiek ktokolwiek rozumiał miłość, Sycylię i pożegnania, to była to moja ciotka Poldi. Z drugiej strony nie zamierzała przyjąć tego pożegnalnego pocałunku z wyrozumiałością, *piacere, grazie e buona giornata*, odłożyć swe serce ad acta i tak po prostu zrezygnować z *commissario*. Tak samo jak nie miała zamiaru rezygnować ze sprawy. Moja ciotka powoli zaczynała się czuć na Sycylii jak u siebie.

Po powrocie do domu Poldi usiadła wyprostowana na kanapie, by się pozbierać. Zamknęła oczy, usiłując nie myśleć o pocałunku, za to próbując powrócić do drobiażdżku, który tak ją zaniepokoił w kawiarni. Nie było to łatwe, bowiem na placu kościelnym nadal odpalano petardy. Bum! Z narastającą irytacją grzebała w swoich wspomnieniach, jakby chciała wydłubać uparcie tkwiący między zębami strzępek salami. Na próżno. Podeszła więc do rzeczy tak, jak się tego nauczyła na medytacjach w aśramie: chwyciła niejasny drobiażdżek za skórę na karku, jakby to był szczeniak, który musi się nauczyć komendy „siad”, i posadziła go na kocyku.

– Zostaniesz tam tak długo, aż sam mi odpowiesz!

Bum! Niejasny drobiażdżek podskoczył przy kolejnej petardzie, zaskomlał cicho, popatrzył dobrodusznie na Poldi i podjął próbę opuszczenia kocyka. Poldi odetchnęła głęboko, ponownie chwyciła go za kark i cierpliwie, łagodnie posadziła na miejsce.

– Może mógłbyś mi powiedzieć, dlaczego nie zdziwiła mnie zła wiadomość Vito? W końcu Patanè jest złodziejem, paserem i o mało mnie nie ukatrupił kroplami gwałtu. Miał motyw i przemawia przeciwko niemu cała masa poszlak i śladów. Dlaczego więc już nie wierzę, że to on zabił Valentino?

Niejasny drobiażdżek popatrzył uważnie na Poldi.

– Grzeczny drobiażdżek – pochwaliła go. – Załóżmy więc, że to nie był Patanè. Co to oznacza? To oznacza, że pomyliłam się co do motywu zbrodni. Zgadza się?

Niejasny drobiażdżek zamerdał ogonkiem.

– Aha. A poza tym to oznacza, że w grę wchodzi już tylko Valérie i Mimì. Albo jednak Russo. Zgadza się?

Niejasny drobiażdżek, zmęczony, złożył mordkę na łapach i zamknął ślepią. Poldi nie wiedziała, co o tym sądzić. Otworzyła oczy.

W domu było chłodno i cicho. W kranie w łazience kapiała woda, okiennice poskrzypywały cicho w świetle południa. Chyba zarządzono

przerwę w odpalaniu petard. Z Via Baronessa dochodził głos signory Anzalone. Rozmawiała z kimś, jednak Poldi słyszała tylko głos sąsiadki – jej rozmówca albo mówił bardzo cicho, albo po prostu milczał.

Poldi wstała z kanapy, by ukradkiem wyrzeć przez szczelinę w okiennicach. Kiedy wyszła do przedpokoju, ktoś zadzwonił do drzwi. Zamarła, zdjęta nagłą wizją – dwóch nieogolonych typów w dresach, w okularach przeciwsłonecznych i z bronią zabezpieczoną tłumikiem; signora Anzalone leżąca w kałuży krwi za ich plecami. Potem usłyszała głos sąsiadki:

– Ależ jest, jest, widziałam przed chwilą, jak wracała. – Jej słowa brzmiały zachęcająco. W jakiś sposób znajomo. Nie tak rozmawiałaby z kilerami mafii.

Poldi otworzyła.

W progu stała smutna signora Cocuzza z baru. Nadal miała na sobie białe fartuch, a pod nim szarą spódnicę i różowy T-shirt, utyłany mąką. Wyglądała na mniejszą i bardziej kruchą niż zwykle, gdy stała za kasą, była niemal przezroczysta, ale wyprostowana jak struna. Poldi jeszcze nigdy nie widziała jej w pełnym wzroście. Teraz zauważyła, że pomimo smutku, który bruździł jej twarz, signora Cocuzza zdawała się promienieć. Jakby gdzieś w środku płonęło jakieś światło, przenikające wszystkie cienie na jej sercu. Ale może to tylko jaśniało światło południa na Via Baronessa. Signora Cocuzza podała Poldi mały pakunek, owinięty wstążką z baru. Pachniał apetycznie – czymś smażonym.

– Nie chcę przeszkadzać, donna Poldina.

– Ależ w ogóle pani nie przeszkadza.

– Chciałam raz jeszcze podziękować za prawdziwki. Były przepyszne.

Lubi pani *arancini*?

Poldi zrozumiała.

– Sprzedałabym własnego siostrzeńca za kilka pani *arancini*, signora.

Na twarzy kobiety pojawił się nikły cień załóżka uśmiechu.

– Są jeszcze ciepłe. Dwa z mięsem i dwa z mozzarellą. Ale mogą poleżeć do jutra.

Poldi wzięła pakunek i ustąpiła na bok.

– Proszę wejść.

Spodziewała się nieśmiałej odmowy, ale smutna signora bez wahania przyjęła jej zaproszenie.

– Nie chciałabym przeszkadzać.

– Nonsens. Zjemy razem *arancini* i wypijemy po chłodnym piwku, co pani na to?

Kiedy Poldi zamknęła drzwi, signora Cocuzza odwróciła się do niej.

– Wciąż szuka pani mordercy Valentino?

Gdzieś w tyle głowy Poldi niejasny drobiazdek na kocyku westchnął, targany niespokojnym snem.

– Owszem.

Smutna signora skinęła głową.

– Dobrze. Bo może mam coś dla pani. – Popatrzyła znacząco na Poldi. – Wiem, kim była dziewczyna w cysternie.

Rozdział 14



OPOWIADA O PIĘKNIE I ŚMIERCI, I O TYM, O CZYM NIE MOGŁA ZAPOMNIEĆ SIGNORA COCUZZA. DZIEWICA MARYJA ZDRADZA SWĄ TAJEMNICĘ I ZOSTAJE HUCZNIE UCZCZONA PETARDAMI ORAZ PROCESJĄ. POLDI WYCIĄGA WNIOSKI I ZASTAWIA TOTALNIE WYRAFINOWANĄ ZASADZKĘ NA MORDERCĘ VALENTINO. NIESTETY, SPRAWY PRZYBIERAJĄ INNY OBRÓT I POLDI MUSI KONTYNUOWAĆ ZAPLANOWANE PRZESŁUCHANIE NAD OTCHŁANIĄ.

Historia, którą signora Cocuzza opowiedziała Poldi, była, można powiedzieć, sycylijską balladą o pięknie i śmierci. A było tak:

Dawno temu w niewielkiej miejscowości Carruba na wschodnim wybrzeżu Sycylii, na stokach Etny, żyła prześliczna dziewczyna, Marisa Puglisi. Była jedynym dzieckiem prostych wieśniaków zajmujących się uprawą cytryn, których całe życie polegało na harówce dla starego hrabiego. Pomimo biedy rodzice Marisy byli bardzo szczęśliwi, gdyż uroda oraz pogodne, przychylne usposobienie ich córki było całym ich bogactwem, całym szczęściem. Kiedy się śmiała, wschodziło słońce, otwierały się pąki i serca, kiedy przeklinała, dzień mroczniał, Etna milkła, anioły dzwoniły na Armagedon. Wszyscy ją lubili.

Marisa wczesnie rozkwitła – już w wieku dwunastu lat miała krągłości dorosłej kobiety. Budziła zawiść i pożądanie. Koleżanki z klasy w jej obecności ponuro krzyżowały ramiona na płaskich jeszcze piersiach, zaś miejscowi mężczyźni – i młodzi, i starzy – gdy ich mijiała, marzyli o zakazanych rajskich jabłuszkach. Kiedy mała Marisa zjawiała się na niedzielnej mszy w swojej białej sukieneczce i z ulubioną torebką z małą Monchichi, w jej stronę obracały się wszystkie głowy. Wkrótce po całym

kraju rozeszła się wieść, że w Carrubie dorasta dziewczę, którego dzika uroda może oślepić cyklopy, a mężczyźni doprowadzić do obłądzenia.

I tak też się stało. Kiedy Marisa miała szesnaście lat, jej imię obiegło cały kraj – wycięte w korze drzew i kościelnych ławek, namalowane sprayem na ścianach. *Marisa ti amo, Marisa, ti voglio, Marisa – vita mia*. Jej skóra połyskiwała jasno jak ricotta z miodem i miękko jak brzoskwinie z Santa Venerina, gdyż Marisa unikała słońca. Wszędzie na jej ciele były cieniste dołeczki, tajemne miejsca i zagłębienia, które czekały na to, aż ktoś je odkryje. Czarne włosy opadały gęstymi puklami na jej ramiona jak prastare strumienie lawy, a oczy były tak wielkie, turkusowe i tajemnicze jak laguna Tindari, ze złotymi refleksami niczym błyski porannego słońca na morzu. Jej usta ciągle były wpółotwarte, jakby złożone do wielkiego pytania lub maleńkiej pretensji, jej wargi były tak pełne, czerwone i błyszczące jak wiśnie z S. Alfio. Wszystko, ale to wszystko w niej było miękkie, krągłe i płynne. Ramiona i nogi mocne i silne od pracy w gospodarstwie, biodra jak u antycznej bogini płodności – może Persefony – przy każdym kroku chwiały w posadach światem. A jej biust, ach! Brzeg tęsknoty, widoczna z daleka cicha zatoka między dwoma cudownymi pagórkami, miejsce, w którym mógł zakotwiczyć zabłąkany rybak, by ukoić swe troski. Jednym słowem: Marisa została stworzona przez hojnego boga. Stworzona dla miłości – w każdym razie tak to widziała Marisa. Była chętna i gotowa, by tak samo hojnie odwzajemnić tę miłość, obdarzać śmiechem i namiętnością. Ale nie pierwszego lepszego biedaka.

Jednakże wszelka uroda dla prawdziwej doskonałości potrzebuje jakiegoś małego uszczerbku, który tę doskonałość uwidoczni i uczyni znośnym naszą własną przeciętność, nasze zbyt duże nosy, krzywe zęby i zbyt małe piersi. U Marisy uszczerbkiem tym były drobne, nieznaczące zanieczyszczenia cery, odrobinę zbyt duże stopy i pewna skłonność do ordynarnych przekleństw. A przede wszystkim, niestety, jej rozum. Przy całej swej urodzie Marisa Puglisi, trzeba przyznać z żalem, była dość głupią gąską. Była zarozumiała na punkcie swej urody. Kokietowała i przechwalała się tym, jak działa na chłopców i mężczyzn. Łaknęła podziwu i adoracji jak bogowie ambrozji, jak narkoman działki, a mimo to wszystkim adoratorom dawała kosza. No cóż – większości z nich, nie miała bowiem serca z kamienia, była młoda, no i przecież sama musiała znaleźć ujście dla swej namiętności. Powzięła jednak mocne postanowienie, że nie roztrwoni daru swej urody, tylko użyje jej

w charakterze biletu do szczęścia. A szczęście oznaczało dla niej dom z nowoczesną kuchnią i sprzątaczką, futro i stały karnet do *lido* w Katanii. Krótko mówiąc: Marisa Puglisi była zdeterminowana wyjść bogato za mąż. Właściwie nikt poniżej jakiegoś *dottore* lub *avvocato* nie wchodził w rachubę. Prędko znalazł się jednak odpowiedni kandydat.

W tym punkcie ballady na scenie pojawiła się signora Cocuzza, sama będąca wówczas osobą młodą, nieśmiałą i chorowitą, której Marisa czasem się zwierzała. Piękna dziewczyna wyznała przyjaciółce, że pewien młody mężczyzna z najlepszego domu nie tylko namiętnie ją adoruje, a wręcz otacza największym uwielbieniem, lecz pisuje do niej płomienne listy miłosne, co jakoś nie przyszło do głowy żadnemu innemu nicponiowi. Marisie się to podobało. Tak jak i to, że musiała trzymać wszystko w wielkiej tajemnicy i mogła spotykać się ze swym adoratorem wyłącznie ukradkiem, ponieważ jego surowy ojciec był przeciwny ich związkowi. Wkrótce jednak zamierzała wszystko wyjawić przyjaciółce – oczywiście uczyni ją swoją druhną, a wtedy już nie będzie odwrotu.

Dwa tygodnie później Marisa Puglisi zaginęła bez śladu gdzieś na *provinciale* z Carruby do Acireale i nigdy więcej nikt jej nie widział, aż do dnia, w którym Vito Montana otworzył cysternę w starej kopalni siarki, noszącej znamiennej nazwę Femminamorta.

Poldi w milczeniu wysłuchiwała tej historii, od czasu do czasu popijając drobnymi łyčzkami piwo, dopóki było chłodne, i ani razu nie przerywając swemu gościowi.

– Jej rodzicom oczywiście pękło serce – opowiadała smutna signora Cocuzza. – Mnie również. Nie potrafiłam zapomnieć o Marisie, nigdy. Kiedy wczoraj usłyszałam, że policja znalazła w Femminamorta koło Piazza Armerina szkielet kobiety, wiedziałam, że to musi być Marisa.

Poldi skinęła głową.

– To prawda. Ale skąd pani wie o tym znalezisku?

Signora Cocuzza machnęła ręką.

– Słyszysz się to i owo.

– A wtedy nie było żadnego śledztwa?

– O, było. Oczywiście, że było. Policja przez wiele tygodni przeszukiwała okolicę. Bez skutku.

– A ustalono, kim był ów tajemniczy wielbiciel?

– Cóż... – westchnęła signora. – Myślę, że policja w końcu musiała się

wykazać. Jediną wskazówką, jaką mieli, było to, co Marisa wyznała mi w dniu swego zaginięcia. Że nazajutrz wieczorem miała się spotkać ze swym adoratorem w Femminamorta, by ostatecznie się z nim rozmówić.

– Rozmówić?

– Rozstać się z nim.

– Myślałam, że chciała za niego wyjść?

– No cóż. Nie był jej jedynym adoratorem, a Marisa uważała go za... dość dziwnego. Zbyt dziwnego. Listy miłosne od niego zaczęły jej działać na nerwy, choćby z tego tylko powodu, że ledwie potrafiła rozszyfrować jego pismo. Poza tym zakochała się bez pamięci w środkowym obrońcy z klubu Calcio Catania. No i... cóż... była w ciąży.

– Z piłkarzem?

Smutna signora pokiwała głową.

– W drugim miesiącu.

– A zatem tamtego wieczoru w Femminamorta Marisa chciała zerwać ze swym tajemniczym adoratorem – podsumowała Poldi.

– Tak. Chciała również oddać mu wszystkie jego listy.

– Bardzo romantycznie.

– Nie, to piłkarz był piekielnie zazdrosny.

– Więc kim był ten tajemniczy adorator?

– Wskazówka dotycząca Femminamorta doprowadziła do ojca Valérie, przyjaciółki Marisy. Podejrzenie padło na niego, przesłuchiowano go przez kilka dni, bez skutku. Nie zdołano mu niczego udowodnić. Ale wszyscy w okolicy, łącznie ze mną, uważali go za mordercę, bowiem ostatecznie każdy z nas zdawał sobie sprawę, że Marisa nie żyje. Signor Raisi do końca życia starał się oczyścić z tych podejrzeń, żył dalej mężnie wśród nas, nigdy się nie wykręcał, ale w końcu stwierdził chyba, że ma dosyć.

– Co pani ma na myśli?

– Odebrał sobie życie. Nie wiedziała pani o tym? Na koniec wszyscy byliśmy przekonani, że to jednak on zamordował Marisę.

Poldi wzięła głęboki wdech.

– A rodzice Marisy?

– Załamali się pod ciężarem nieszczęścia. Dwa lata później się rozeszli. Matka zmarła w zeszłym roku. Gdzie dziś mieszka ojciec, tego nie wiem. – Signora Cocuzza posmutniała jeszcze bardziej.

– Powinna pani opowiedzieć o tym wszystkim policji – poradziła moja

ciotka, ale rozmówczyni pokręciła głową.

– Co by to dało po tylu latach! Poza tym policja też nie wykazała się wtedy wielkimi osiągnięciami. Zawsze miałam wrażenie, że wcale im nie zależy, by rozwikłać tę sprawę.

– Chce pani powiedzieć, że ktoś się do tego przyczynił?

– Udowodnić oczywiście niczego się nie da.

– Russo?

Signora Cocuzza wzruszyła ramionami.

– Miał wtedy dziewiętnaście lat. Oczywiście on również latał za Marisą, może nawet ze sobą romansowali. Ale Russo nie był głupi, wiedział, że nie ma u niej szans, nie wtedy. Sam był powalająco przystojny, trzeba wiedzieć, mógł wybierać, przebierać. Poza tym i tak miał ręce pełne roboty ze swoim pierwszym biznesem.

– Z jakim biznesem?

– Wykopywał duże palmy z ugorów i sprzedawał je Amerykanom w bazie w Sigonelli. To musiał być niezły interes, bo wkrótce kupił swoją pierwszą parcelę i założył *Piante Russo*. Potem jego kariera potoczyła się błyskawicznie.

– Myśli pani, że jego sukcesy zaczęły się bezpośrednio po zniknięciu Marisy?

– Ja nic nie sędzę, donna Poldina. Ja tylko nie mogę zapomnieć, to wszystko. No i pomyślałam, że może to panią zainteresuje.

Poldi popatrzyła na smutną kobietę.

– A co to wszystko ma wspólnego ze śmiercią Valentino?

Wzruszenie ramion.

– Jak słyszałam, Valentino został zamordowany w miejscu, gdzie znaleziono zwłoki Marisy. Jej zabójca zamordował więc i jego. To logiczne.

Poldi wprawdzie jeszcze nie patrzyła na to w ten sposób, a i wniosek signory nie był jakoś szczególnie kryminalistyczny, ale raz wypowiedziany, rzucony swobodnie w świat, wydał się jej nagle tak logiczny w swej prostocie, że mogła tylko ze zdumieniem pokręcić głową.

– Moja droga signora Cocuzza, pani jest genialna!

Na zewnątrz ponownie walnęła petarda ku czci lokalnego świętego. Niejasny drobiażdżek znów stał wesolutki na swoim kocyku, z entuzjazmem merdał ogonem i szczekał na Poldi. I trzymał coś w pysku. Małą, kolorową zabawkę.

– W tym momencie – tłumaczyła mi później Poldi nie bez satysfakcji – wszystko stało się dla mnie jasne. Kto zamordował Valentino i dlaczego, a także jak to udowodnić.

– Zamieniam się w słuch.

– Masz już jakieś podejrzenie?

– Teraz będę zdawał egzamin semestralny z logiki indukcyjnej czy co? – wykręciłem się.

– Rany, no powiedz – naciskała.

Nie dałem jednak się wciągnąć w dyskusję. Nienawidzę egzaminów. Zawsze ich nienawidziłem. Oblewam się potem, gdy tylko ktoś zapyta mnie o drogę w moim własnym mieście. Nie jestem Sherlockiem Holmesem i nie lubię psuć puent.

– To *twoja* opowieść – zakomunikowałem kategorycznie. – Więc to ty opowiedz ją do końca!

Poldi rozumowała następująco: Valentino szantażował mordercę swoją wiedzą o Marisie. Prawdopodobnie odkrył zwłoki w cysternie. Ale musiał mieć jakieś inne dowody. Przypuszczalnie koło zbiornika miała się odbyć wymiana dowodów na gotówkę. Tylko że coś poszło nie tak. Ponieważ zaś morderca Valentino, wnioskowała sprytnie ciotka, chciał – za pomocą martwego kota – odwieść ją od dalszego węszenia w tej sprawie, mogło to oznaczać tylko jedno: że dowody wciąż gdzieś były. Valentino schował je pewnie, podobnie jak listę inwentarza. Tylko gdzie? W swoim pokoju w domu u rodziców? To wydawało się mało prawdopodobne, gdyż było dość ryzykowne. Więc gdzie? A raczej o jakie dowody w ogóle chodziło? Poldi rzuciła okiem na niejasny drobiażdżek i nagle przyszło jej do głowy przypuszczenie.

– Jak Marisa otrzymywała tamte miłosne listy? Poczta? – zapytała signorę Cocuzę.

– Oczywiście, że nie, wtedy jej rodzice dowiedzieliby się o tym. Mieli martwą skrzynkę kontaktową, gdzie jej adorator deponował listy i skąd ona mogła je potem po kryjomu odebrać.

Przypuszczenie Poldi nabierało kształtów.

– Wie pani, gdzie była ta martwa skrzynka?

– Naturalnie. To przecież ja odbierałam dla niej przesyłki.

– Czemu mnie to nie dziwi, signora Cocuzza?

Smutna signora przymknęła oczy. Z nutką kokieterii, jak zauważyła Poldi.

– Powiedziałałam o tym wtedy policji. Ale listy zniknęły. Chce ją pani zobaczyć?

– Martwą skrzynkę? To ona jeszcze istnieje?

Gdzie w Bawarii i na Sycylii wciąż jeszcze deponuje się zapasowe klucze, karteczki z prośbami wotywnymi, kupony loterii i tajemne wiadomości? U dziewicy Maryi, oczywiście. Mały posążek *Vergine* i w Bawarii, i na Sycylii jest częścią każdego szanującego się gospodarstwa domowego, a w starych domach można znaleźć przeznaczone specjalnie do tego małe nisze w ścianie. Ale i poza własnym mieszkaniem można spotkać kapliczki ze Świętą Madonną – na rozstajach dróg, w portach rybackich, w gospodach i miejscach wymagających szczególnej ochrony, jak na przykład przy źródle wody mineralnej. Patronką Torre Archirafi jest *Madonna del Rosario*, Matka Boska w niebieskiej szacie i z różańcem w ręku. Jej duży posąg o rozpaczliwej wymowie stoi w kościele obok ołtarza. Jego kopię umieszczono przy bocznej ścianie rozlewni wód mineralnych *Acque-di-Torre*, tuż obok publicznych kranów, w starej kapliczce z kamieni wulkanicznych i glazurowanych kafelków.

– Ufundowała go w dziewiętnastym wieku rodzina Belfiore – objaśniła signora Cocuzza, przyprowadziwszy Poldi na miejsce.

Po drodze ciotka zauważyła, że na kościelnym placu zbudowano niewielką scenę. Z wielu okien zwieszały się flagi, a nad uliczkami powiewały proporczyki i girlandy. *Padre Paolo*, nadzorujący dwóch nastolatków, którzy odpalili kolejną petardę, pozdrowił pogodnie obie kobiety. Poldi, myślami już przy kapliczce, w odpowiedzi pomachała ręką.

Znała tę kapliczkę, ale dotąd nie zwracała na nią szczególnej uwagi. Wtopiona tylną ścianką w mur fabryki, miała kształt przysadzistego tabernakulum. Za żeliwną kratą na niedużym marmurowym cokole pośród świec wotywnych i sztucznych kwiatków stał posążek Matki Boskiej z pomalowanego gipsu, obwieszony małymi plastikowymi różańcami.

– *Ecco!* – oznajmiła signora Cocuzza. – Marisa dostała od swojego wielbiciela klucz do kłódki. Teraz zastanawia się pani pewnie, gdzie deponowano listy, prawda?

Poldi dokładnie obejrzała kapliczkę. Podstawa z kamieni wulkanicznych wyglądała masywnie, a w środku, obok posążku, było za mało miejsca, żeby niezauważenie przechowywać tam pojedyncze liściki, nie mówiąc o całym ich pliku.

– Niech pani dobrze się przyjrzy – wyszeptała smutna signora.

I wtedy Poldi to zobaczyła.

– *Madonna mia!* Japierdole!

Wąska, czworokątna szczelina w marmurowym cokole, na którym stała Madonna, była ledwie widoczna. Mały wazon zasłaniał filigranową gałkę precyzyjnie osadzonej kamiennej szuflady.

– Rodzina Belfiore deponowała w niej niegdyś swoje prośby wotywnie – wyjaśniła signora Cocuzza. – Tylko oni mieli klucz do kraty.

Poldi obejrzała kłódkę. Wyglądała na w miarę nową. Ani śladu rdzy.

– A teraz kto ma klucz?

– *Padre Paolo*. Był tak miły... – Signora Cocuzza wyciągnęła z kieszeni spódnicy mały kluczyczek i podsunęła Poldi pod nos. Bez uśmiechu, nawet bez jego cienia. Smutna kobieta miała twarz pokerzysty. Moja ciotka lubiła ją coraz bardziej.

Podczas gdy signora Cocuzza stała na czatach, Poldi otworzyła kratę, odsunęła na bok plastikowe kwiatki i lekkimi szarpnięciami wysunęła szufladę spod *Vergine*. Ostrożnie, ale bez wahania, wyjęła z niej zawartość, zasunęła szufladę, ustawiła na nowo kwiatki i zamknęła kratę.

– Co pani zamierza z tym zrobić? – zapytała smutna signora.

– Pójść na policję.

To była tylko połowa prawdy. Poldi najpierw wróciła do domu, rozłożyła znalezisko na stole w patio i dokładnie je obejrzała. Leżało przed nią wszystko, co Valentino zdołał zmieścić w małej szufladce: cztery bladobłękitne koperty, zaadresowane manierycznym i pełnym zawijasów pismem do niejkiej Diotymy. Poldi nic to nie mówiło. A także czarny pukiel włosów, związany tanią wstążką. Musiał należeć do Marisy Puglisi. Jednak imię Diotymy na kopertach trochę zbiło Poldi z tropu. Ułożyła listy jeden obok drugiego. Nieduże kartki z cieniutkiego papieru, starannie złożone i zapisane tym samym, ledwie czytelnym, ozdobnym pismem. Listy opatrzone datami. Napisano je w odstępach paru tygodni. Poldi przypuszczała, że Valentino wyłowił je na chybił trafił z większego pliku i schował pod posążkiem. Niejako w charakterze żelaznej rezerwy. Sądząc po wyglądzie, ich treścią były wiersze z osobistym dopiskiem na dole. I w tym momencie w głowie Poldi zwolniła się jakaś zapadka, w iście diotymiczny sposób. Już nie potrzebowała tłumaczenia, wystarczyły dwa kliknięcia, by znalazła oryginał w internecie. Autor listów dość obcesowo podmienił słowa słynnej *Ody do Diotymy*

Hölderlina, dostosowując wiersz do swych cielesnych potrzeb. Co w tłumaczeniu wyglądało następująco:

*A jej niebiańskie piersi
W figlach nade mną dyndają
I me guziki pod twym łonem
Radośnie się rozpinają.*

Dla Diotymy, mej bogini w świątyni pożądania. Spotkajmy się dziś w nocy, o jedenastej, na molo.

D.

– D? – zapytałem nieco bezradnie, kiedy ciotka zdradzała mi rozwiązanie sprawy.

– No oczywiście. „D” jak Domenico. Domenico Pastorella di Belfiore, zwany Mimì, partacz Hölderlina i podwójny morderca. Rany, nie należą do grona fanów tego poety, ale to było jedno wielkie szmirowate świństwo.

– Nie jesteś zbyt surowa? – zapytałem. – W końcu facet był wtedy zakochany, a mężczyźni często robią z siebie błaznów w takich sytuacjach.

– A idź, co ty tam wiesz! Ale naturalnie te wypociny powiedziały mi sporo o stanie umysłu Mimiego. Zdałam sobie sprawę, że musiał zamordować zarówno Marisę, jak i Valentino. Marisę – to oczywiste – z zazdrości i zranionej próżności, Valentino ze względu na szantaż.

– Aha. I czemu olśniło cię tak nagle?

– No rany, przez lwa! Lwa, rozumiesz?

– Przez lwa.

– No tego plastikowego. Tę psią zabawkę, którą odebrałam Tottiemu w kopalni i wyrzuciłam. To była dokładnie ta sama zabawka, którą gryzł zawsze doberman Mimiego.

– No i co z tego? Takich zabawek jest na pęczki.

– Czyżby *professore* dziś rano nie zjadł śniadania? Na litość boską, chyba przyznasz, że to nie może być przypadek. Plastikowy lew w kopalni był dość nowy, Totti znalazł go pod cysterną. Cysterna, plastikowy lew, Hölderlin, Valentino, Mimì, peng. Rozumiesz? Przecież to jasne jak słońce.

– Więc trzeba było zadzwonić do Montany.

– Rany boskie! Gdybaniem i trzebaniem nie załatwi się żadnej sprawy, mawiał mój ojciec – i w tym punkcie wyjątkowo muszę się z nim zgodzić. Chciałam sama rozwikłać tę zagadkę, a nadal nie miałam w ręku niezbitych dowodów.

– Pukiel Marisy? I może jeszcze DNA na listach, na przykład?

– Tak, teraz to jesteś mądry, wiesz. *Cento punti*. Ale w tamtym momencie to mnie po prostu poniosło.

– Instynkt łowcy.

– No, wreszcie się rozumiemy.

Moja ciotka Poldi była jedną z najbardziej nieustraszonych osób, jakie znałem. Chciała, by winowajca przyznał się do winy, to było całkiem jasne. A w tym celu musiała zastawić na Mimiego Pastorellę małą pułapkę.

Zdecydowana na wszystko, zadzwoniła do niego i wyjaśniła mu uprzejmie i bez ogródek, że go zdemaskowała. I że może to udowodnić. A także, że ewentualnie byłaby gotowa milczeć i wydać mu wszystkie dowody co do joty. O ile Mimì – w wyrazie wdzięczności – przekaże jej kwotę pięćdziesięciu tysięcy euro, których potrzebuje na remont dachu.

Ciotka Poldi nie pozostawiła osłupiałemu Mimiemu czasu na replikę czy wykręty. zaproponowała, żeby załatwili sprawę jeszcze tego samego wieczoru na Via Baronessa, w przeciwnym razie uda się wraz z dowodami na policję. I odłożyła słuchawkę. Pomysł z pięćdziesięcioma tysiącami na przeciekający dach wystraszyła jak z rękawa. Była to suma, którą dało się przeboleć, w dodatku realistyczna, jak uznała, i nie opłacało się za nią mordować po raz trzeci. Poldi rozumowała tak: jeśli Mimì pójdzie na układ, to będzie praktycznie oznaczało przyznanie się do winy. Oczywiście bardzo profesjonalnie przygotowała wyczerpującą dokumentację wieczoru, przyklejając taśmą pod stolikiem kawowym dyktafon, który miał wszystko nagrać. Poza tym załadowała muskiet piechoty bawarskiej i położyła go w widocznym miejscu na kanapie – tylko na wypadek gdyby Mimì przybył ze swoją luparą.

– Momencik, zaraz! – przerwałem jej ponownie. – Myślałem, że ta stara pukawka nie strzela. Zablokowana urzędowo i tak dalej.

Poldi westchnęła.

– Nojeju, naturalnie, że nie. Mój ojciec nie kolekcjonował przecież nieużytecznej broni.

Zrobiło mi się nieswojo i popatrzyłem na ścianę z zawieszonymi na niej flintami, pistoletami i szpadami.

– Chcesz powiedzieć, że one wszystkie... są... eee... gotowe do wystrzału?

– Ujmijmy to tak: są w lepszym lub gorszym stanie. No dobra, przyznaję,

sytuacja nie była pozbawiona ryzyka. Ten muszkiet to broń odprzodowa, a taką nie jest łatwo załadować, trzeba przy tym piekielnie uważać. Ale po pierwsze mój staruszek pokazał mi wszystko ze sto razy, a po drugie nie załadowałam muszkietu kulą, tylko małym ładunkiem prochu z papierowym czopem, łapiesz?

Jęknąłem.

– Chciałaś, żeby zrobiło peng, tak?

– Dokładnie tak, *dottore*. Chciałam być po prostu przygotowana na wszystkie ewentualności. Niczego nie pozostawić przypadkowi. To było zaplanowane w sposób superprofesjonalny.

Ale jak to bywa z planami, które niczego nie pozostawiają przypadkowi: koniec końców ciotka znalazła się w tarapatach.

Gdyż, o czym nie pomyślała, a właściwie co w haniebny sposób zlekceważyła, dokładnie tego wieczoru odbywał się festyn ku czci patronki Torre Achirafi, *Madonna del Rosario*. A to oznaczało nie tylko petardy przez cały dzień, ale i wielkie fajerwerki wieczorem, mszę z procesją przez całą wieś, a potem imprezę miejscowej młodzieży wraz z występem zespołu z Riposto. Normalna sprawa. Na takich uroczystościach się nie oszczędzało, zwłaszcza gdy mieszkało się nad morzem i pragnęło ochrony przed sztormem i powodzią. Całe Torre Archirafi było na nogach. Wszyscy, wezwani dzwonami i petardami, ciągnęli w stronę kościoła. A to oznaczało, niestety, że nie było ani jednego sąsiada, który usłyszałby wołanie o pomoc.

Mimì zjawił się punktualnie, jak zawsze nienagannie ubrany w trzyczęściowy garnitur. I w towarzystwie Hölderlina. O tym Poldi również jakoś nie pomyślała. Niestety, nie było w tym nic dziwnego, ponieważ kiedy przyszedł Mimì, była już lekko zawiana. Wbrew wszelkim postanowieniom wychyliła setkę na nerwy. Nie były to optymalne warunki dla tak decydującego spotkania, ale cóż, taka była ciotka. Przynajmniej gość nie wyglądał na uzbrojonego, a w każdym razie nie miał ze sobą lupary.

Poldi zawahała się jeszcze, czy zaprosić starszego pana i jego dobermana do domu. Naprawdę miała chęć po prostu zatrzaskać mu drzwi przed nosem i zadzwonić do Montany. Może lepiej byłoby, gdyby tak zrobiła. Ale nie, wzięła się w garść, ustąpiła na bok i wpuściła Hölderlina i jego pana. Mimì rozejrzał się wokół, Hölderlin zaś wyruszył na zwiedzanie domu, węsząc jak gliniarz z nakazem rewizji. Albo jak kiler zawodowiec.

– Piękny ma pani dom. A tu już dach do naprawy. W Niemczech pewnie tak nie ma. Może trzeba było zostać w Niemczech, donna Isolde.

Poldi nie podjęła tematu.

– Może winka, don Mimì?

– To miło z pani strony, donna Isolde, ale nie, dziękuję.

– Coli, wody?

– Proszę się nie fatygować.

– Ale nie będzie miał pan nic przeciwko temu, jeśli sama naleję sobie kapkę?

– Ależ proszę, donna Isolde!

Mimì zachowywał się jak pełną gębą czcigodny signor. Zacny na wskroś – od dręczonego podagrą wielkiego palucha u nogi po resztki cebulek włosów na czaszce. O cienkim i cichutkim głosie. Wyglądał na bardziej pochylonego niż zazwyczaj, ale i na bardziej zatroskanego. Nic dziwnego, pomyślała Poldi, skoro robi się takie świństwa, od dziesięcioleci dźwiga na barkach taką winę, a teraz w dodatku pojawiła się groźba, że to wszystko się wyda. Z drugiej strony, stwierdziła, Mimì zachowywał się zdumiewająco nonszalancko.

– Spadek po ojcu, jak słyszałem – powiedział swym szeleszczącym głosem Mimì, wskazując na muszkiet na kanapie.

– Eee... tak. Wymagał czyszczenia. Proszę! – Poldi nerwowo wskazała ręką fotel.

Nie odrywając wzroku od mojej ciotki, Mimì ostrożnie osunął się na siedzenie. Pstryknął palcami, na co Hölderlin przytruchtał i usiadł grzecznie przy panu.

Poldi z pewnym niepokojem zauważyła, że doberman też nie spuszcza z niej wzroku. Usiadła na brzeżku kanapy, odsunęła flintę na bok i drżącą ręką naląła sobie whisky. Miała nadzieję, że dyktafon pod stolikiem wszystko nagrywa.

– A ja miałem taką szczerą nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi, donna Isolde.

Poldi nie dała się zapędzić w kozi róg.

– Przyjaciele nie podkładają sobie martwych kotów pod drzwi.

Gość wykonał znużony gest dłonią.

– Czymże jest kot! Za to pies... – Poklepał po łbie Hölderlina. – Pies jest boskim stworzeniem, bliskim mężczyźnie jak żadna inna kreatura. Bliższym nawet od kobiety.

– Czyżby pan coś opacznie zrozumiał na lekcjach biologii i religii?

Cień złości zmarszczył czoło Mimiego, ale starszy pan zaraz nad sobą

zapanował. Chrząknął.

– Cóż... jeśli chodzi o pani niewiarygodne oskarżenia...

– Mogę poprzeć je dowodami, don Mimì. Zabił pan Valentino. A czterdzieści lat temu także Marisę Puglisi.

Znowu ten zmęczony gest.

– W takim razie czy mogłaby mi pani pokazać te rzekome dowody mej rzekomej winy?

– A ma pan coś dla mnie?

Kolejne westchnienie. Mimì sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął plik banknotów po pięćset euro. Położył je na stole, rozsuwając na kształt wachlarza.

– Chce pani przeliczyć?

– To nie będzie konieczne.

Poldi wyjęła spod poduchy na kanapie wyściełaną kopertę, wyciągnęła z niej cztery listy i pukiel włosów, i położyła obok pieniędzy.

Mimì skinął głową.

– A, kosmyk włosów! Wiedziałem, że Valentino ma gdzieś jeszcze kosmyk. Gdyby nie położyła go pani tutaj, nie zaufałbym pani.

– To wszystkie listy, które znalazłam. Myślę, że Valentino nie miał więcej.

– Nie, pozostałe niestety musiałem spalić.

– Przed czy po tym, jak go pan zastrzelił?

To był moment, w którym Poldi chciała rozpocząć swoje twarde przesłuchanie. Lecz wydarzenia przybrały inny obrót. Zupełnie nie taki, jak sobie założyła.

Po pierwsze bowiem z placu kościelnego pośród piekielnego huku petard, dzwonów i ogólnego zgiewu wyruszyła procesja z madonną z różańcem. A po drugie Mimì z przestachu zrzucił maskę zdziwaczałego romantyka, puszczając jednocześnie psa. Drgnął jak katapultowany z pięknego snu w okropną rzeczywistość i popatrzył na Poldi, jakby dopiero teraz rozpoznał, kogo przed sobą ma. Błyskawicznie, zwinniej, niż podejrzewała go o to moja ciotka, i szybciej, niż mogła zareagować, chwycił listy i pukiel włosów. A potem zawołał:

– Hölderlin, bierz! – Po niemiecku, nawiasem mówiąc.

Psu nie trzeba było mówić dwa razy. Zdawał się tylko czekać na tę komendę. Bo czy można całe życie tarosić wyłącznie kaszmirowe swetry, ręczniki frotte i plastikowe lwy? No dobrze, od czasu do czasu, w celach

testowych, także łydkę jakiegoś pakistańskiego kuriera albo rękę nieostrożnego dziecka na Corso. Ale nie wolno mu było tknąć nawet Valentino, bo przecież zostawiłby zdradzieckie ślady. Zrozumiałe zatem, że w niewinnej dobermańskiej duszy Hölderlina spiętrzyły się napięcie, fantazja o szale zabijania, rzeźnicki dziki zew, za którym teraz pognał z entuzjazmem.

Brytan rzucił się na Poldi bez zbędnego szczekania czy warczenia. To nie było nic osobistego, Hölderlin był profesjonalistą. Za to moja ciotka miała krótki oddech i raczej powolne ruchy. Poza tym, jak wspomniałem, nie była już całkiem trzeźwa. Ale w podobnych sytuacjach los lubi płatać niespodzianki. Bowiem ciotka zareagowała z nieoczekiwaną zwinnością, jak w *Matriksie*, jakby czas płynął dla niej dużo wolniej.

– Jakbym widziała skok Hölderlina w zwolnionym tempie – relacjonowała mi później. – Jakbym w ostatnią godzinę swego życia wstąpiła w jakąś inną czasoprzestrzeń, rozumiesz?

Jak zwał, tak zwał. W takich momentach reżyserię przejmują odruchy. Poldi zawirowała, chwyciła za flintę i płynnym ruchem zdzieliła nią Hölderlina. Doberman zaskowyczał i grzmotnął na stolik. Jednocześnie rozległ się huk muszkietu. Broń wypaliła z potężną dawką dymu i ognia i wybiła dziurę w suficie. Odrzut wytrącił ją Poldi z ręki. Mimì, do głębi wstrząśnięty wydarzeniami – upadkiem psa i wybuchem – podskoczył i wlepił spojrzenie w Poldi. Cios nie wystarczył wprawdzie, by całkiem unieszkodliwić psa, ale dał mojej ciotce trochę czasu. Zerwała się na nogi, nadal z niezwykłą zwinnością przesadziła, cofając się, kanapę i pognała ku schodom prowadzącym na taras. Klasyczne nieprzemyślane działanie pod wpływem impulsu, bowiem w gruncie rzeczy mogła spokojnie dopaść do drzwi prowadzących na zewnątrz. Tylko że wtedy musiałyby minąć Mimiego i znokautowanego Hölderlina, a to stanowiło coś w rodzaju optyczno-psychologicznej bariery. Poldi pomknęła więc na dach. Jednocześnie Mimì otrząsnął się ze stuporu, a Hölderlin wstał na cztery łapy.

– Bierz! – rozległo się ponownie.

Zasapana Poldi dotarła na taras.

– Na pomoc!!! RATUUUUNKUUU!

Ale nikt jej nie słyszał, bowiem całe Torre maszerowało właśnie w procesji. Huk petard, orkiestra dęta i żarliwe śpiewy rozchodziły się po uliczkach i wraz z blaskiem świec i pochodni wznosiły się ku nocnemu niebu.

– RATUUUUNKUUU!

Zero szans. Poldi przez chwilę rozważała, czy nie uciec jak Turi na dach *dottore* Brancifortiego, ale nie odważyła się na to.

I tak moja ciotka stała sama na wielkim dachowym tarasie i powoli ogarniał ją strach. Bowiem sekundę potem na dach wpadł również lekko oszołomiony i rozdrażniony Hölderlin i zaczął niedwuznacznie spychać Poldi w kierunku barierki. Mimì z trudem wspinał się po schodach, a kiedy dotarł na górę, nie pozostawił żadnych wątpliwości co do dalszego przebiegu tego wieczoru.

– Niemcy to taki piękny kraj. Dlaczego nie została pani w Niemczech, donna Isolde? Dlaczego musiała pani wtykać nos w sprawy, które nie powinny pani obchodzić?

– Stary nawyk – stęknęła Poldi. Tuż przed oczami miała śliniącą się mordę brytana. Hölderlin opierał się łapami o jej pierś, jakby chciał ją zepchnąć z dachu. Podejrzenie to nie było całkiem bezpodstawne.

– Jak Valentino wszedł w posiadanie listów i pukła? – zawołała, bardziej by zyskać na czasie niż z prawdziwej ciekawości.

– Głupi przypadek. Miałem spotkanie z Patanèm w sprawie... wykorzystania moich rozlicznych posiadłości. To wtedy Valentino musiał się natknąć na listy. W swoim ostatnim liście do Marisy wspomniałem o Femminamorta. Valentino połączył kilka faktów i zaczął węszyć po kopalni. Przyuważył mnie, jak w rocznicę śmierci Marisy wrzucam różę do cysterny.

– Jakie to romantyczne.

– Nie zamordowałem jej! – fuknął Mimì. – To był wypadek, Marisa chciała ze mną zerwać. Przez tego... piłkarza! Nawet moich listów nie chciała zachować, głupia krowa.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

– Niech pani milczy! Ja ją ubóstwiałem! To był wypadek. Hölderlin Pierwszy tak ją wystraszył, że potknęła się i poleciała do tyłu, nieszczęśliwie uderzając głową o kant zbiornika.

– Mógł pan to wszystko wyjaśnić policji.

– Policja była moim najmniejszym problemem. Ale ten skandal! Nie znała pani mojego ojca. Rozerwałyby mnie na strzępy i wydziedziczył.

– Powinien był to zrobić.

– Więc z krwawiącym sercem pochowałem moją boginię, moją Diotymę, w cysternie, by na wieczność zachować naszą miłość i nasz sekret.

– Wrzucił ją pan tam jak jakiś śmieć!

Mimì ochłonał nieco. Zerknął badawczo za barierkę i całkiem spokojny cofnął się o krok.

– Wszyscy w wiosce będą opłakiwać pani śmierć, donna Isolde, proszę mi wierzyć. Kupię pani wieniec, a podczas nabożeństwa żałobnego zadeklamuję kilka wierszy mistrza. To będzie wzruszające.

– Proszę się nie fatygować – odparła jadownicie Poldi.

Mimì pokręcił głową.

– Nikt nie będzie się dziwił, donna Isolde. Alkohol, melancholia, obcy kraj – nic dziwnego. Będą myśleć, że wypatrywała pani śmierci jak odległego, nieosiągalnego kochanka. – Znowu przemawiał przez niego romantyk. Po chwili jednak stał się prozaicznie konkretny. – Donna Isolde, daję pani wybór: albo skoczy pani dobrowolnie, albo Hölderlin pani pomoże i rozerwie na kawałki.

– Wybieram telefon do przyjaciela – stęknęła Poldi mężnie.

– No już! – huknął na nią Mimì. – Skacz! Hölderlin!

Doberman kłapnął zębami przy szyi Poldi, która cofnęła się jeszcze bardziej w stronę barierki. Dalej już nie mogła. Wyobraziła sobie Śmierć – z jego śmieszną podkładką, jak wyciąga długopis, by odhaczyć na liście jej nazwisko. Z tyłu wciąż dochodziły dźwięki procesji. Poldi szacowała, że poruszając się w tym tempie, wiernym zajmie co najmniej dwadzieścia minut, zanim dotrą do Via Baronessa. Za długo, niestety.

– I dlatego Valentino musiał umrzeć?

– Chciał dwieście tysięcy euro!

– Mój Boże, Mimì! Dlaczego po prostu pan mu ich nie dał? Valentino chciał tylko wyjechać z Sycylii. Nigdy więcej by pan o nim nie usłyszał.

– Bo ten bydlak podczas naszego pierwszego spotkania nie dał mi wszystkich listów i pukła włosów! Szantażowałby mnie dalej.

Dlatego jeszcze raz zadzwonił do Valentino z telefonu Valérie i umówił się z nim w Femminamorta na ostateczne przekazanie pieniędzy. Podczas ich drugiego spotkania nie patyczkował się, tylko poszczuł na niego Hölderlina, tak jak wcześniej jego poprzednika na Marisę, tak jak teraz na moją ciotkę. A potem z zimną krwią posłał Valentino ładunek śrutu prosto w twarz, zapakował go do bagażnika Patanègo i zawiózł z powrotem do Torre, gdzie zostawił na plaży w Praioli.

– Dlaczego nie wrzucił go pan do tamtej cysterny?

– Żeby leżał przy Marisie? Nie! Nikt nie będzie leżał przy mojej Marisie.

- Może to był właśnie decydujący błąd.
- Dosyć tego! Skacz albo Hölderlin cię ukatrupi!

Doberman przysunął się bliżej. Z pyska jechało mu resztkami mięsa i kamieniem nazębnym. Poldi cofnęła się jeszcze troszkę. Za sobą miała już tylko osiem metrów w dół do nierówno wybrukowanej Via Baronessa. Całkiem niedaleko orkiestra grała marsza. Stacja końcowa. Śmierć niecierpliwie obracał w palcach długopis.

I wtedy... wybuchła Etna.

Etna uchodzi za łagodny wulkan, z ubogą w gazy, mało wybuchową lawą, regularnie spuszczaający ciśnienie. Owszem, co parędziesiąt lat strumień lawy rozwałkowanie na płask jakąś wioskę, a w siedemnastym wieku – połowę Katanii, ale wszystko to odbywa się zawsze pomalutku, bez pośpiechu, więc jest czas na wyniesienie rzeczy z *salotto*, zawiązanie dzieciom sznurówek, wypicie jeszcze jednej *caffé*, a potem obserwowanie wszystkiego z bezpiecznej odległości. Zazwyczaj lawa i tak wylewa się tylko do opustoszałej doliny Valle del Bove, na którą roztaczał się piękny widok z tarasu Poldi.

Łagodna czy nie – gdy Etna wybuchła, jest to wstrząsające przeżycie. Góra z malowniczym dymkiem przeistacza się w gigantyczne żywe stworzenie. Mruczy ono niczym rozjuszony starzec, któremu przeszkodzono w popołudniowej drzemce. Powietrze drga przy każdej erupcji, wprawiając w wibracje nerwy i fantazję. I dokładnie ten pomruk wydobył się w tym momencie z góry za plecami Mimiego, zagrzmiął w słonym wieczornym powietrzu, stoczył się zboczami w dół, uderzył w spokojne Torre Archirafi z jego gorzką wodą mineralną i przeszył Poldi na wskroś. Sycylijczycy od wieków żyją ze swoim wulkanem i traktują wybuchy Mongibello i uciążliwy deszcz popiołów z dystansem. Ale kiedy Etna się budzi, nikt nie pozostaje obojętny. Każdy się odwraca.

Odwrócił się także Mimì.

A nawet Hölderlin.

Poldi ujrzała wydobywającą się z krateru potężną fontannę lawy – przepiękny widok, ostatnie pozdrowienie. Tak to czasem bywa, coś nadchodzi niespodziewanie, nie wiadomo skąd, tak wymownie. I wszystko staje się jasne. Moją ciotkę Poldi, pozdrowioną przez wulkan, stojącą o krok od śmierci, zdjął dreszcz nieposkromionej afirmacji i chęci życia. W tym krótkim momencie przekonała się, jakie piękne było jej życie, tutaj, między morzem

a wulkanem, z ciotkami, grzybami, Valérie, smutną signorą, z Montaną i całą resztą – i że chce pożyć w ten sposób jeszcze przez jakiś czas.

Drugiego prychnięcia Etny już nie zauważyła, bowiem od tej pory wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Hölderlin odstał od ciotki i ogłupiały ponownie obejrzał się za siebie.

Na dach, z bronią gotową do strzału, wpadł Montana.

Mimì krzyknął:

– Hölderlin, bierz!

Zanim jednak brytan zdążył dostosować się do nowych okoliczności i rzucić Montanie do gardła, *commissario* wypalił. Pies, rżąc, padł na ziemię. Mimì Pastorella, wstrząśnięty wybuchem wulkanu i nagłym zgonem Hölderlina, chwycił się za serce, stęknął, i również osunął się na ziemię. Zawał. Exitus. Nic nie dało się zrobić.

Rozdział 15



OPOWIADA O MOJEJ CIOTCE POLDI W ZBLIŻENIU NA TARASIE, O OBJĘCIACH I OBIETNICY. O ZMIANIE POGODY I O POLDI W PREFEKTURZE. O WYJAŚNIANIU RÓŻNYCH RZECZY, NIE ZAWSZE Z DOBRYM SKUTKIEM. ALE JAK TO BYWA – AKURAT WTEDY, GDY CZŁOWIEK MYŚLI, ŻE JEST PO WSZYSTKIM, NASTĘPUJE COŚ NIEOCZEKIWANEGO.

Nazajutrz, mojego ostatniego dnia na Via Baronessa, wzburzony i zainspirowany opowieścią ciotki, napisałem na nowo pierwszy rozdział mojej powieści. Pradziadek Barnaba przed wyjazdem do Monachium na emigrację ma jeszcze do wyjaśnienia sprawę morderstwa. Kilkadziesiąt lat wcześniej pewien arystokrata i obszarnek, Calogero Macaluso, zaszczuł na śmierć niewinną wiejską dziewczynę, która nie chciała mu się oddać. Legenda głosi, że od tamtej pory w okolicy straszy duch monstrualnego psa. Kiedy ostatni wnuk Macaluso zostaje znaleziony – martwy i rozszarpany – w pomarańczowym zagajniku mojego pradziadka, Barnaba jest zmuszony znaleźć mordercę, by udowodnić swoją niewinność. Udaje mu się to przy zastosowaniu błyskotliwej logiki indukcyjnej i wsparciu pięknej Eleonory. Na rywala zamordowanego wnuka i potomka zaszczutej na śmierć dziewczyny Barnaba zastawia pułapkę w niegościnniej Valle del Bove, gdzie powala strzałem tresowanego dobermana i wymierza mordercy zasłużoną karę. Na końcu rozdziału Barnaba i Eleonora kochają się pod gołym niebem, podczas gdy nad nimi wymownie wybucha Etna.

Pisałem jak w transie. Wieczorem zaś musiałem przeczytać swój rozdział Poldi. Wysłuchiła z uwagą, nie przerywała mi, nawet nie drgnęła ani nie przewracała oczami. Kiedy skończyłem i popatrzyłem na nią nerwowo, pokręciła głową.

– Jeju, wywal tę szmirę.

– Może jakieś *konkretne* uwagi natury dramaturgicznej lub stylistycznej?
Naląła sobie whisky.

– Nie. Potrafisz zrobić to lepiej. To kwestia wprawy.

Bo na opowiadaniu to ona się zna.

Ale wróćmy do finału Poldi.

Z oddali ciągle dochodziły pomruki wulkanu i tratatam procesji, która właśnie skręciła w Via Baronessa. Zaś na pierwszym planie: zbliżenie mojej ciotki. Błada, z przekrzywioną peruką, ale poza tym cała i zdrowa. Zaszokowana patrzyła na dwa trupy leżące na jej tarasie: Mimiego i Hölderlina, oraz na Montanę, który sprawdził tętno na szyi Mimiego, po czym pokręcił głową. Schował broń, wstał i powoli podszedł do Poldi, umyślnie zasłaniając jej widok na martwe ciała.

– Nic ci się nie stało?

Poldi nie mogła wykrztusić z siebie słowa, więc tylko na niego patrzyła.

– Poldi?

Wyszeptała coś ledwie słyszalnie.

– Co powiedziałaś?

– Możesz...

– Co mogę, Poldi?

– Czy możesz wziąć mnie w ramiona, proszę?

Nie ma sprawy. Montana objął ją, bardzo mocno, i nie puszczał. Trzymał ją tak, milczący i silny, i odrobinę spocony, aż w końcu szok zelżał i moja ciotka wreszcie mogła zapłakać. A on dalej trzymał ją w objęciach, jakby nie chciał jej puścić już nigdy w życiu, aż przestała dygotać.

– Lepiej?

Poldi skinęła głową i pociągnęła nosem.

– Muszę teraz zadzwonić po kolegów, okay?

Poldi skinęła głową, ale dalej trzymała go mocno.

Commissario wyswobodził się łagodnie i popatrzył jej w oczy.

– Chcesz usiąść?

Poldi pokręciła głową.

– Jak tu właściwie się dostałeś?

Montana pokazał jej zapasowy klucz.

– Twoja szwagierka dała go *assistente* Rizzoliemu. Już dawno chciałem ci go oddać.

- Dobrze, że z tym zwlekałeś.
- Dobrze, że możesz już się uśmiechać.

Procesja przeciągnęła przez Via Baronessa, Madonna del Rosario przesybowała w lektyce obok dachu, królewska i łagodna, niesiona przez ośmiu młodych mężczyzn w wieku Valentino. Poldi nie wiedziała, co to był za marsz, który fałszywie i w zbyt wolnym tempie zaintonowała orkiestra dęta, mieszający się ze śpiewem niosących świece mieszkańców Torre Archirafi, ale było jej to obojętne. Brzmiało cudownie. Niebiańsko.

- *Namaste*, życie – wyszeptła.
- Co powiedziałaś, Poldi?
- Nic takiego.

Powiadomiwszy kolegów, Montana sprowadził Poldi do salonu, usadził ją na kanapie, odsunął na bok muszkiet i nalał grappy.

- Wypij to, dobrze ci zrobi – powiedziała cicho Poldi.
- Co?
- Teraz musisz tak powiedzieć. Tak zawsze mówią na filmach. No już, mów.
- Wypij to, dobrze ci zrobi.
- Ale ja nie chcę.
- Nie kapryś, Poldi. I nie ruszaj się stąd. Ja się wszystkim zajmę.
- Nie odchodź, Vito!
- Nie odejdę.
- Obiecuj mi.
- Wypij grappę, Poldi. Muszę zająć się teraz swoją pracą.
- Obiecuj.
- Nie odejdę, obiecuję ci. Mam zadzwonić do twoich szwagierek?
- Ani mi się waż. To może poczekać.

Do Poldi niewiele dotarło z tego całego techniczno-kryminalistycznego szumu, który nastąpił potem. Z nieobecny wzrokiem skinęła głową *assistente* Rizzoliemu, który znów był na służbie, odpowiadała na pytania, które już po chwili zapomniała i przyglądała się telefonującemu Montanie. Kiedy przeniesiono obok niej metalową trumnę z ciałem Mimiego i plastikowy worek z Hölderlinem, drgnęła i zaczęła płakać. Ale powoli, po dwóch podwójnych grappach, w końcu wzięła się w garść. Upłynęło jednak jeszcze trochę czasu, zanim ostatecznie dotarło do niej, co się stało. Montana musiał powtarzać jej to kilka razy.

Tego wieczoru i tak chciał z nią porozmawiać, znaczy – prywatnie. Chciał z nią coś wyjaśnić, wyprostować pewne sprawy, emocjonalnie oczyścić atmosferę, zapalić światełko w ciemności, zagrać w otwarte karty i co tam jeszcze się robi w takich sytuacjach. Ich przedpołudniowa rozmowa w barze koło prefektury chodziła za nim bowiem jak namolny sprzedawca za niezdecydowanym klientem. Ogarnął go dziwny rodzaj nerwowości, jakieś nieokreślone rozdrażnienie, zaburzające koncentrację i ciężące na żołądku. Pod względem meteorologicznym były to typowe oznaki nadciągającego burzowego niżu. Montana gardził niezdecydowaniem, a najbardziej u siebie samego. Nienawidził niezłatwionych spraw tak samo jak niewyjaśnionych morderstw. Bycie zawieszonym między młotem a kowadłem doprowadzało go do szaleństwa, sprawiało, że stawał się nie do zniesienia, a w połączeniu z intuicją, która podpowiadała mu, że Patanè nie mógł być mordercą Valentino, tworzyło niesmaczny koktajl złego humoru i bólu serca.

– Powiedziałaś: ból serca? – upewniła się ciotka Poldi.

– Daj mi powiedzieć wszystko do końca, dobrze?

– Forza, Vito!

Poza tym nie był całkiem szczery wobec swojej ciotki, bowiem jej intuicja naturalnie się nie myliła – Alessia była koleżanką Montany, choć pracowała w administracji. Montana nienawidził kłamstw. Kłamstwa były czymś najgorszym, kłamstwa były wrogiem, kłamstwa były trucizną, którą musiał łykać każdego dnia i która mogła zniszczyć, jeśli się nie uważało. Dlatego po pracy chciał przyjechać do Poldi i wyjaśnić parę rzeczy. Już siedział w samochodzie, kiedy przerwał mu anonimowy telefon. Ukryty numer i nieznanego, zdawkowy głos. Powiedział, że signora z Niemiec być może jest w niebezpieczeństwie i żeby się pośpieszył, z łaski swojej.

– Ale kto dzwonił? – wtrąciła ciotka.

– Powiedziałem już: anonim. Ktoś najwyraźniej wiedział, co zamierza zrobić Mimì.

– Kobięcy głos?

– Nie, męski.

– A skąd miał twój numer?

– Madonna, Poldi, nie wiem! W każdym razie natychmiast przymocowałem koguta na dach i wcisnąłem gaz do dechy.

Poldi naturalnie korciło, by dowiedzieć się, co takiego pierwotnie chciał z nią wyjaśnić. A właściwie na której szalce wagi by wylądowała. Ale on

machnął ręką. Był zmęczony, głodny, spocony, właśnie zastrzelił psa i nie zdołał zapobiec zawałowi serca, uratował życie mojej ciotce i wyjaśnił sprawę morderstwa.

– Wystarczy mi na dzisiaj – oświadczył.

I na tym stanęło.

Następnego dnia Poldi musiała stawić się w prefekturze, by złożyć zeznania do protokołu. Wybuch wulkanu przyniósł zmianę pogody. Nad Etną, do wtóru odległego łoskotu, spiętrzył się tysiącmetrowy słup dymu i ognia. Ale nie było już tak gorąco. Pierzaste chmurki marszczyły niebo od zachodu, dając łagodne, mleczne światło, wygładzające brzegi i kontury świata i wymywające z głów letnie lenistwo. Niebo i morze stapiały się ze sobą, nawet signor Bussacca sprawiał tego ranka wrażenie tak prężnego i pełnego wigoru jak Livingstone tuż przed wyruszeniem na pustynię Kalahari. Signora Cocuzza zdobyła się nawet na mrugnięcie, kiedy Poldi wpadła na cappuccino i *cornetto* – najwyraźniej była już o wszystkim poinformowana. Piękny dzień. Moja ciotka często bywała już w miejscach, których już nigdy nie chciała opuścić, a potem ostatecznie opuścić musiała. Tego ranka jednak stwierdziła, że wreszcie naprawdę znalazła swój dom.

Opowiedziała signorze Cocuzzy o anonimowym telefonie, ale jej nowa przyjaciółka tylko zmarszczyła czoło i z troską pokręciła głową. Poldi wierzyła jej. Jeszcze z baru wykonała krótki telefon do Teresy. Poprzedniego wieczoru, choć było już późno, poinformowała szwagierki o wydarzeniach na Via Baronessa. Była im to winna, a poza tym tego ranka potrzebowała pomocy Teresy w sprawie urzędowej.

Punkt dziewiąta – zadowolona, trzeźwa i pachnąca wiosną – zjawiała się w prefekturze w Acireale, ubrana w pistacjową ołówkową spódnicę i kremową, jedwabną bluzkę z głębokim dekoltem. Zmysłowa, ciemna pomadka, okulary przeciwsłoneczne i cień à la Nefretete, dla szczypty dramaturgii, a na głowie, pod chustką w cytryny, swoisty ukłon w stronę Etny: spiętrzona niedzielna czarna peruka. Wszyscy się za nią oglądali. W prefekturze, jak starego znajomego, Poldi przywitała portiera z wielką grdyką, puściła oko do młodych policjantów, opartych o radiowóz, i zakołysała biodrami niczym gwiazda filmowa z lat sześćdziesiątych, gotowa wsiąść na pierwszą lepszą vespę albo zanurzyć się w najbliższej marmurowej fontannie. Kiedy składała zeznania, *assistente* Rizzoli miał trudności z koncentracją.

Podpisała protokół i wtedy, zwabiony kliknięciem długopisu jak kot na odgłos otwieranej puszki, w drzwiach stanął Montana. Miał na sobie czarny garnitur, czarny T-shirt i wyglądał trochę jak rosyjski oligarcha, a trochę jak mediolański gwiazdorski architekt. Czyli według kryteriów Poldi: seksownie. Zaprowadził ją do biura na końcu korytarza i zamknął drzwi.

– Chcesz mnie tu schrupać?

– Nie wygłupiaj się, Poldi!

Zrozumiała. Wylądowała na niewłaściwej szalce wagi.

– Szkoda. Mogę usiąść?

– Naturalnie, proszę. Napijesz się czegoś?

– Wody.

Montana zniknął, a Poldi miała okazję rozejrzeć się po jego biurze. Wyglądało tak jak oczekiwała: było zbyt małe, zbyt ciasne, zbyt stare, zbyt duszne, zbyt deprymujące. Metalowe biurko, chybotliwe krzesło biurowe w motylki, prehistoryczny komputer, składane krzeselka dla gości, szafa na akta, stosy skoroszytów na podłodze, krzyż na ścianie, mapa Sycylii i kalendarz urlopowy bez żadnych wpisów. Dokładnie tak wyobrażała sobie biuro komisarza Przypadka gdzieś na końcu korytarza. To cud, że w gabinecie Montany nie składowano środków czystości. Jedyнным osobistym przedmiotem było zdjęcie dwójki dzieci na biurku.

– Rozumiesz teraz, co mam na myśli? – Za plecami Poldi zabrzmiał głos Montany.

Odwróciła się do niego.

– To hańba. Skandal.

– Jeszcze tylko trzy lata. – Usiadł obok, na jednym ze składanych krzeseł, i podał jej wodę. – Znaleźliśmy narzędzie zbrodni. W willi w Acireale. W połączeniu z nagraniem z twojego dyktafonu nie ma żadnych wątpliwości: Domenico Pastorella zastrzelił Valentino. I najprawdopodobniej przed laty zamordował Marisę Puglisi. Nawiasem mówiąc, był niemal bankrutem, stąd ten układ z Patanè.

– Zastanawiam się tylko, kto wymyślił ten układ – rzuciła Poldi.

– Co masz na myśli?

– Patanè jest obleśnym idiotą. Bez protekcji nigdy nie skumałby się z Mimim.

– Więc Russo?

Poldi machnęła ręką.

- To tylko spekulacje, zapomnij o tym. Co mówi żona Mimiego, Carmela?
- Sprawiała wrażenie opanowanej. Niemal jakby...
- ...jej ulżyło?

Montana skinął głową.

– Oczywiście zaprzecza, ale myślę, że cały czas wiedziała. Przypuszczalnie jednak nigdy jej tego nie udowodnimy. Rzygać się chce.

– Ach, Vito!

– To, co zrobiłaś, było głupie i niebezpieczne, Poldi. Już nawet nie chcę mówić o utrudnianiu śledztwa. Powinnaś była mi powiedzieć dużo wcześniej.

– To ty nieustannie zatajałaś różne informacje.

– Ja jestem policjantem!

– A ja to ja. Następnym razem...

– Nie będzie następnego razu, Poldi.

Zamilkła.

– Prefekt przed chwilą mi gratulował.

– To dobrze. Znasz ten dowcip, jak Bóg z resztek gliny stworzył Sycylię, a potem dla równowagi Sycylińczyków?

– Klasyk. Dobry dowcip.

– Nie, jest do bani, Vito. Sycylia jest rajem, i to włącznie z wami, Sycylińczykami. Wczoraj uratowałaś mi życie. Podziękowałam ci już?

Uśmiechnął się szeroko.

– Nie ma za co.

– Jeśli dalej będziesz się tak uśmiechał, to przyjdą mi do głowy kosmate myśli. Więc teraz byłaby dobra okazja, żebyś powiedział mi to, co zamierzałeś powiedzieć wczoraj.

Montana się ociągał. W końcu jednak zebrał się na odwagę i w skomplikowany oraz rozwlekły sposób wyjaśnił, że jest z ową koleżanką zaledwie od trzech miesięcy. Z Alessią. Są tak mniej więcej razem, ale to też jest skomplikowane, ale ostatnio przedstawił Alessię swoim dzieciom i wszystko przebiegło bardzo harmonijnie i tak dalej. I że to z jego ciotką trafiło go jak grom z jasnego nieba. Że jest tylko facetem. I owszem, że nieustannie o niej myśli. Ale że jest mężczyzną z zasadami. I że musiał się nauczyć kontrolować swoje uczucia. I że dlatego, w pewnym sensie, dla ratowania życia przeprowadził operację na otwartym sercu. I że... no... zdecydował się na Alessię.

Kiedy skończył, wyglądał jak maratończyk na mecie.

Poldi milczała. Mogłaby wygłaszać jego monolog wraz z nim, taki wydał się jej znajomy.

– Poldi? Powiedz coś.

Odetchnęła głęboko.

– Co za bzdury – oznajmiła w końcu i wstała. – Jeśli sądzisz, Vito, że z nami koniec, to grubo się mylisz. To jeszcze długo nie koniec. A dlaczego? Bo mnie potrzebujesz. Teraz myślisz może, co ona wygaduje. Ale ja wiem, że mam rację. Wiem, bo się na tym znam. Potrzebujesz mnie, Vito Montana, tak czy siak.

A przy tym dzień zaczął się tak pięknie. A potem, szast-prast – Poldi znów stała pod prefekturą z sercem ściśniętym smutkiem i rozczarowaniem. Smutek mężnie zignorowała, bo nie chciała sobie psuć dnia, który był jak jej dwudzieste urodziny. Ale to rozczarowanie! Rozczarowanie, że w całej tej sprawie nie potwierdził się jednak wątek mafijny, jak przypuszczała przez cały czas. Rozczarowanie, że nie mogła niczego udowodnić Russo. Wprawdzie dotrzymała obietnicy, którą złożyła nieżyjącemu Valentino na plaży w Praioli, ale nie czuła, że sprawa jest rozwiązana. I to ją denerwowało. I dlatego potrzebowała pomocy Teresy i Martino.

Ciotka i wujek zgodnie z umową czekali w barze Cipriani i zajadali granitę. Wujek Martino prowadził pogawędkę z jednym z kelnerów, rozprawiając o tym, jaki to bezsens, by jeść granitę wieczorem. Bowiem z granitą, trzeba wiedzieć, jest tak samo jak z bawarską białą kiełbasą – tradycyjnie je się ją tylko przed południem, najlepiej na śniadanie razem z brioszką, bo w czasach młodości Martino smaczny sorbet później po prostu kawalił się w zamrażalniku i był nie do użytku.

– Świetnie wyglądasz, Poldi – zauważyła Teresa.

– Bo świetnie się czuję – skłamała Poldi i na wzmocnienie granity zamówiła *mandorla caffè*.

– I myślicie, że pokażą nam wszystko, tak po prostu?

– Martino zna urzędnika, to jego stary znajomy, pokazał mu kiedyś najlepsze grzybowe miejsca pod Etną. Więc nie powinno być z tym problemu. W końcu to nie są jakieś tajne dokumenty, a my nie jesteśmy z NSA.

– Co prawda, to prawda. Rany, chodźmy!

Urząd katastralny *Commune di Acireale* znajdował się zaledwie parę kroków dalej – przy Piazza Duomo, we wspaniałym barokowym pałacu, który równie dobrze mógł być luksusowym hotelem albo siedzibą hiszpańskiej

inkwizycji. Ale mieścił się tu urząd gminy. Poldi była tu już raz, żeby załatwić sprawy meldunkowe i związane z domem. Dobrze pamiętała chaos w poczekalni – znów nie działał automat do wydawania numerków – tym razem jednak nie musiała pobierać numerka. Nie musiała też czekać. Przyjął ich niemłody już mężczyzna, blady, niestaránie ogolony i z wytrzeszczem oczu. Pocałował Teresę w rękę, a z Martino przywitał się serdecznie jak uczeń z mentorem, od którego wszystkiego się nauczył.

– To moja szwagierka, Isolde Oberreiter – Martino przedstawił mu Poldi.

– Bardzo mi miło, signora.

– Mam nadzieję, że nie fatygujemy pana zbyt.

– Ależ, signora! Cieszę się, że mogę oddać przysługę mojemu drogiemu przyjacielowi. Proszę za mną, pokażę wam archiwum.

Dwie godziny później Poldi wyszła z pałacu razem z Teresą i Martino oraz z kilkoma fotokopiami w rękę i z przekonaniem, że jednak będzie mogła położyć wisienkę na sprawie Valentino.

– Chcesz, żebyśmy poszli z tobą? – zapytała Teresa.

– Nie ma potrzeby, poradzę sobie.

Kiedy jakiś czas później Poldi dojeżdżała do łukowatej bramy Femminamorta, zobaczyła, że drugi kamienny lew wrócił na swoje dawne miejsce. Spoglądał tylko jakoś tak bardziej posępnie niż przedtem.

– *Namaste*, lwie – przywitała go i zatrąbiła dwa razy. Raz na lwa, raz na Valérie.

Wieść o winie i śmierci Mimiego rozeszła się lotem błyskawicy i już dawno dotarła do Femminamorta.

– *Mon dieu*, więc to jednak prawda? – zawołała wstrząśnięta Valérie, kiedy Poldi przekazała jej pierwszą, skróconą wersję wydarzeń.

– Bez wątplenia – odparła Poldi. – A ja chciałam cię przeprosić, że cię podejrzewałam. Ale od wczoraj wiem, co musiał przejść twój ojciec. Czy to dlatego wyjechałaś z Francji i objęłaś Femminamorta?

Valérie w zamyśleniu mieszała podgrzaną wczorajszą kawę.

– Nie wiem. Może. Przecież ledwie go znałam. Nie musisz przeproszać.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. W liściach palm szumiało i trzeszczało, kiedy myszy kotłowały się w nich w poszukiwaniu dojrzałych daktyli. Na ziemi nieco dalej kotłowały się Oscar i Lady.

Poldi dostrzegła czarny cień, przesuwany się węzowym ruchem w wysokiej trawie między drzewami awokado.

– Nie jest jadowity – orzekła Valérie. – Wręcz przeciwnie, przynosi szczęście.

– Przydałoby się go trochę. – Poldi skinęła głową.

Valérie popatrzyła na nią.

– Nie wiem dokładnie, dlaczego przyjechałam do Femminamorta. Może masz rację. Ale wiem, dlaczego tu zostanę. Femminamorta to dobre miejsce. Miejsce, które chroni swoich mieszkańców. Mojego ojca też przez długi czas chroniło. Miejsce, które przyciąga dobro. Tak jak ciebie, Poldi. I dopóki będziesz mnie odwiedzać, będę się tu czuć jak w domu, rozumiesz?

Moja ciotka przytaknęła. Bo na dobrych miejscach, przyjaźni i rzeczach, które nas trzymają, to ona się znała.

– Może – dodała Valérie – przedstawiś mi kiedyś swojemu niemieckiemu siostrzeńcowi, o którym ciągle mówisz.

– Halo? – wtrąciłem od razu, kiedy Poldi opowiadała mi o tym we wrześnie, ostatniego wieczoru mojego pobytu. – Mówisz o mnie *ciągle*?

– Nojeju, nie ciągle. Tak raczej od czasu do czasu. Mimochodem.

– A co takiego o mnie mówisz?

– No to, co w długie wieczory opowiada się o swoim siostrzeńcu.

– Na przykład?

– Przestańże mnie przesłuchiwać. Nie muszę ci się ze wszystkiego spowiadać.

Jęknąłem.

– Ale Valérie chętnie by mnie poznała.

– Wybij to sobie z głowy! Nic z was nie będzie, ja się na tym znam.

I żeby prędko zmienić temat, opowiedziała mi jeszcze, co miała do omówienia z Russo. Bowiem to ze względu na niego przyjechała do Femminamorta. Nie musiała też wcale przechodzić do jego posiadłości i meldować się w głównym budynku, gdyż Russo, jakby coś go tknęło, sam zjawił się w ogrodzie. Ubrany był w jeansy, T-shirt i okulary przeciwsłoneczne. Moja ciotka pojęła, co miała na myśli smutna signora, mówiąc, że kiedyś był przystojniakiem.

– Właśnie usłyszałem od Turiego, że pani tu jest – wyjaśnił i bez krępacji przysiadł się do nich. – Cieszę się, że jest pani cała i zdrowa, signora Poldi.

Nie zdjął okularów.

– A zawdzięczam to panu, signor Russo, nieprawdaż?

– Nie rozumiem.

– To pan był tym anonimowym rozmówcą, który wczoraj wieczorem poinformował *commissario*, że jestem w niebezpieczeństwie.

– *Mon dieu!* – wykrzyknęła Valérie.

– Niestety, nie mam pojęcia, o czym pani mówi, donna Poldina.

Poldi machnęła ręką.

– O wszystkim pan wiedział. O zabójstwie Marisy Puglisi i być może również o Valentino... – Poldi urwała na moment, nie spuszczając wzroku z mężczyzny.

Russo odchylił się do tyłu.

– Stąpa pani po cienkim lodzie, donna Poldina. Ale proszę mówić dalej.

– Chętnie. Tego z Valentino nie mogę udowodnić. Ale jedno wiem na pewno: Valentino nie był pierwszym, który szantażował Mimiego. Pierwszy był pan.

– Aha.

– *Mon dieu!*

Poldi rozłożyła na stole fotokopie, które zrobiła w urzędzie katastralnym w Acireale.

– Trzydzieści dziewięć lat temu, tuż po zniknięciu Marisy, kupił pan swoją pierwszą działkę i założył plantację ogrodniczą.

– I co z tego?

– Zastanawiałam się, jak to możliwe, by na sprzedaży paru dzikich palm zarobił pan tyle pieniędzy. Ale pan wtedy wcale nie potrzebował dużo pieniędzy, bo Mimì Pastorella sprzedał panu parcelę za bezcen.

– Potrzebna mu była gotówka.

– Nie, potrzebne mu było pana milczenie. – Poldi popukała palcem w fotokopie. – To tylko kilka wyciągów z książki wieczystej. W ciągu ostatnich czterdziestu lat nieustannie kupował pan za śmieszne kwoty działki od Mimiego Pastorelli. Szantażował go pan. Zaaranżował pan układ między Patanèm a Mimim. Zbudował pan swoje palmowe imperium na morderstwie, signor Russo. Na śmierci dziewczyny, którą prawdopodobnie kiedyś sam pan kochał.

Valérie milczała. Russo nawet nie tknął kopii, tylko rzucił na nie okiem.

– Więc dlaczego miałbym ostrzec wczoraj wieczorem *commissario* Montanę?

– Bo wiedział pan, że Mimì jest skończony. Było tylko kwestią czasu, żeby wszystko wyszło na jaw. A pan nie chciał, by narobił jeszcze większego

bałaganu, który być może dotknąłby i pana.

– Lubię panią, donna Poldina, naprawdę – westchnął Russo. – Naprawdę panią lubię. Ale z całym szacunkiem, trochę się pani zagalopowała. W każdym razie to nie są dowody. Widzi pani, jestem tylko ciężko pracującym człowiekiem, który kocha swoją ziemię i ludzi. Pracowałem od zawsze, ciężko pracowałem. Pochodzę z biednej rodziny. Moi rodzice nie mieli niczego. Ale ja, dzięki pracy i odrobinie szczęścia, coś w swoim życiu osiągnąłem, i cieszę się, że mogę dać pracę wielu ludziom. To wszystko. Z szantazem czy innymi machlojkami nigdy nie miałem nic wspólnego. – Wstał. – A teraz proszę mi wybaczyć, ale muszę się zająć swoimi interesami.

– Jeszcze tylko jedno – powstrzymała go Poldi. Wyjęła z torebki zdjęcie mapy topograficznej, które zrobiła w Taorminie i którego nigdy nie udało się jej przyporządkować. – Zdradzi mi pan, co to jest?

Russo wziął od niej fotografię.

– Działka w Trecastagni, którą niedawno kupiłem. Winnica.

– Ach, teraz będzie pan winiarzem?

Russo oddał jej zdjęcie.

– Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy, donna Poldina.

– Tego, signor Russo, jestem całkowicie pewna.

Była to niedwuznaczna zapowiedź.

Moja ciotka pojechała do domu i zlikwidowała ściankę w wycinkami w sypialni. Kiedy wieczorem siedziała samotnie nad butelką grappy, ktoś zadzwonił do drzwi.

Montana.

Wyglądał źle. Był wykończony nerwowo. Był wrakiem człowieka. Poldi od razu dostrzegła, co się dzieje, bo na takich stanach to ona dobrze się znała.

– Poldi, ja...

– Nic nie mów, Vito – powiedziała, położyła mu palec na ustach i wciągnęła do domu. – Nic nie mów.

Kiedy kilka dni później rozmawiałem przez telefon z ciotką Luisą, by zapowiedzieć swój przyjazd w połowie września, powiedziała mi, jaką wielką odczuwali ulgę, że nasz konspiracyjny projekt „radość z życia” tak dobrze się zaczął. Poldi była dużo bardziej zrównoważona, zdradzała zaskakujące zainteresowanie grzybami i targiem rybnym, niemal codziennie spotykała się z Valérie, od czasu do czasu plotkowała ze smutną signorą, a nawet wyglądało na to, że regularnie przychodzi do niej pewien pan.

A ostatnio dodatkowo zainteresowała się winiarstwem.

– Posłuchaj, co to właściwie znaczy „*namaste*”? – zapytała mnie ciotka Luisa.

– To chyba jakieś indyjskie powitanie.

Ciotka zachichotała.

– Bo wiesz, co ostatnio codziennie robi Poldi? Wychodzi – golusienka jak ją pan Bóg stworzył – na dach, składa ręce i wrzeszczy na cały głos: „*Namaste, Sicilia!*”. A potem jeszcze „*Japierdolę!*”.

Dobre wiadomości. Moja ciotka Poldi!

Ale u niektórych ludzi z afirmacją życia jest jak z wybuchem wulkanu. Ten może być intensywny i gwałtowny – w końcu jednak powracają spokój i melancholia. Dlatego ciotki odetchnęły z ulgą, kiedy niedługo potem Poldi przeszkodziła sprawa kolejnego morderstwa.



Podziękowania

Dziękuję z całego serca:
Rosarii, Fini, Nuccii i Piero – za wszystko,
Gaetano za rozmowy,
Julii za genialny pomysł,
Janowi za żywe zachęty,
Sibylle za wspaniałą opiekę,
Anji, Johannesowi, Barbarze, Jochenowi i Danieli
za ich przychyłność i dokładność,
Marie-Luce, Paoli, Gianniemu, Ciro oraz Stef
za ich gościnność, opowieści i wino.
I oczywiście mojej ciotce Poldi.

1 Tłum. Agnieszka Hofmann.

2 Fragment wiersza Friedricha Hölderlina *Die Nacht (Noc)*: „Bądźcie pozdrowione, cienie, schronienia ostoje, / samotne korytarze śpiące wokół mnie; / Księżycu niemy, ty słyszysz, inaczej niż oszczerca przyczajony, / serce me pod czarem perłowej łuny twej” (tłum. Agnieszka Hofmann).

3 Rozkosze ziemskie znam. Kiedyż to było, / Kiedym pożegnał się z młodością miłą! / Kwiecień, maj, czerwiec – dawne wspomnienie! – Dziś żyć mi się już nie chce. Jestem cieniem. (*Rozkosze ziemskie*, tłum. Antoni Libera, z tomu *Co się ostaje, ustanawiają poeci. Wiersze wybrane w przekładzie Antoniego Libery*, Gdańsk 1999).

4 ‘Nigdzie na świecie nie ma / Dziewcząt tak wdzięcznych jak w Szwabii / Anieli się w niebie radują / Ich gołębimi sercami’ (tłum. Agnieszka Hofmann).

5 ‘A jej niebiańska istota/Słodko mnie w harcach przepaja/
I z powabem me więzy/Radośnie rozbraja’ (przyp. tłum.).



initium
wydawnictwo

WYDANIE I

ISBN 978-83-62577-57-6

Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: studio@initium.pl